JERZY ŻUŁAWSKI

# Na Srebrnym Globie

LWÓW □ NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO □ 1909
WARSZAWA ⁂ E. WENDE I SPÓŁKA
LWÓW ⁂ GUBRYNOWICZ I SYN ⁂ ⁂

J. B

JERZY ŻUŁAWSKI

# NA SREBRNYM GLOBIE

## RĘKOPIS Z KSIĘŻYCA

WYDANIE DRUGIE (TRZECI I CZWARTY TYSIĄC).
WE LWOWIE — NAKŁAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO. — WARSZAWA — E. WENDE I SP.
LWÓW — GUBRYNOWICZ I SCHMIDT. — 1909.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
Nr 443038
Inwentarz Główny
w Białymstoku
CZYTELNIA KSIĄŻEK
821.162.1-311.9
LUŹNE KARTKI
884-3
TVVM FAC NEC RESPICIAS FINEM
Miejska Biblioteka Wojewódzka w B...
KOMPUTER
4335
R.M. 7.2.26.5.45

Druk pierwszego wydania ukończono dnia siódmego marca tysiąc dziewięćset drugiego roku.

## JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

POEZJE:

**Poezje,** tom 1. wyd. II., 1901.
**Poezje,** tom 2., 1900.
**Z domu niewoli,** 1902.
**Pokłosie,** 1904.
**Xięgi żydowskie,** 1905.
**Poezje,** wyd. zbior. w 4 tomach, 1908.

PROZA:

**Opowiadania prozą,** 1902.
**Na srebrnym globie,** wyd. II., 1909.
**Prolegomena,** 1902.
**Benedykt Spinoza,** 1902.

DRAMAT:

**Dyktator,** wyd. II., 1907.
**Eros i Psyche,** wyd. III., 1906.
**Wianek mirtowy,** 1905.
**Ijola,** wyd. II., 1906.
**Gra,** 1905.
**Donna Aluica (La Bestia),** 1906.
**Terakoja,** przekład, 1907.

*Pięćdziesiąt lat blizko upłynęło już od owej podwójnej wyprawy, najszaleńszej zaiste, jaką kiedykolwiek człowiek przedsięwziął i wykonał — i cała rzecz poszła niemal w zapomnienie, gdy pewnego dnia w jednym z dzienników w K.... pojawił się podpisany przez asystenta małego miejscowego obserwatorjum artykuł, przypominający wszystko na nowo. Autor artykułu twierdził, że ma w ręku niewątpliwe wiadomości o losie wystrzelonych przed pięćdziesięciu laty na księżyc szaleńców. Rzecz narobiła wiele wrzawy, chociaż początkowo nie brano jej zbyt poważnie. Ci, co słyszeli lub czytali o owem nadzwyczajnem przedsięwzięciu, wiedzieli, że śmiali awanturnicy ponieśli śmierć, ruszali więc teraz ramionami na wieść, że ci, od dawna za umarłych uważani, nie tylko żyją, ale przysyłają nawet wiadomości wprost z księżyca.*

*Asystent mimo wszystko uporczywie obstawał przy swojem zdaniu i pokazywał ciekawym stożkową żelazną kulę, czterdzieści centymetrów wysoką, w której miał odnaleźć rękopis na księżycu sporządzony. Misternie odkręcającą się, wewnątrz próżną kulę, pokrytą grubą warstwą rdzy i żużlu, można było oglądać i podziwiać; rękopisu jednakże asystent nikomu nie chciał pokazać. Twierdził, że są to papiery zwęglone, których treść on dopiero odczytuje za pomocą sztucznych zdjęć fotograficznych, robionych z wielkim trudem i największą ostrożnością. Ta tajemniczość wzbudzała podejrzenia, zwłaszcza, że asystent do tego czasu nie powiedział, jak doszedł do posiadania kuli; ale zaciekawienie wzrastało ciągle. Czekano z pewnem niedowierzaniem przyrzeczonych wyjaśnień, a tymczasem zaczęto sobie przypominać ze współczesnych pism*

*dzieje całej wyprawy. I nagle zaczęli się ludzie dziwić, że mogli tak prędko zapomnieć... Wszakże w czasie owej wyprawy nie było pisma codziennego, tygodniowego lub miesięcznego, któreby przez parę lat z rzędu nie poczuwało się do obowiązku poświęcenia w każdym numerze kilku szpalt temu wypadkowi, tak niesłychanemu i nieprawdopodobnemu. Przed samą wyprawą pełno było wszędzie sprawozdań ze stanu robót przygotowawczych; opisywano niemal każdą śrubę w »wagonie«, który miał przebyć międzyplanetarne przestrzenie i wysadzić śmiałych szaleńców na powierzchnię księżyca, znaną do tego czasu jedynie ze znakomitych zdjęć fotograficznych, dokonywanych od szeregu lat w* Licke-Observatory, *— zajmowano się żywo wszystkiemi szczegółami przedsięwzięcia; na naczelnem miejscu umieszczano portrety i życiorysy obszerne podróżników. Wiele wrzawy wywołała wieść o cofnięciu się jednego z nich w ostatniej niemal chwili, bo niespełna na dwa tygodnie przed naznaczonym terminem »odjazdu«. Ci sami, co niedawno jeszcze rzucali gromy na cały »niedorzeczny i awanturniczy« plan wyprawy a uczestników jej nazywali wprost półgłówkami, zasługującymi jedynie na dożywotnie zamknięcie w szpitalu, oburzali się teraz na »tchórzostwo i odstępstwo« człowieka, co powiedział otwarcie, że się spodziewa mieć grób na ziemi również spokojny a nierównie późniejszy, niż jego niedoszli towarzysze na księżycu. Największe jednak zaciekawienie wywołała osoba nowego śmiałka, zgłaszającego się na opróżnione miejsce. Przypuszczano powszechnie, że go uczestnicy wyprawy nie przyjmą do swego grona, gdyż czas był już za krótki, aby nowy towarzysz mógł odbyć konieczne przedwstępne ćwiczenia, którym tamci przez kilka lat się oddawali, doszedłszy w końcu do niesłychanych wprost wyników. Opowiadano o nich, że nauczyli się znosić w lekkiem odzieniu mróz czterdziestostopniowy i czterdziestostopniowe gorąco, obywać się całymi dniami bez wody i oddychać bez szkody dla zdrowia powietrzem, bez porównania rzadszem od atmosfery ziemskiej na wysokich górach. Jakież tedy było zdziwienie, gdy się dowiedziano, że nowy ochotnik, przyjęty, dopełni liczby »lunatyków«, jak ich nazywano. To tylko sprawozdawców pism doprowadzało do rozpaczy, że nie mogli się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym tajemniczym awanturniku. Mimo natarczywe nalegania, nie*



*dopuszczał do siebie reporterów, ba! nawet nie przysłał żadnemu dziennikowi fotografji, ani nie odpowiadał na listowne zapytania. Inni członkowie wyprawy zachowywali również ścisłe milczenie co do jego osoby. Na dwa dni dopiero przed wyruszeniem wyprawy w drogę pojawiła się wiadomość bliższa, choć nieco fantastyczna. Jednemu z dziennikarzy udało się po wielu trudach zobaczyć nowego uczestnika przedsięwzięcia i rozpuścił natychmiast wieść, że to ma być kobieta w przebraniu męskiem. Nie bardzo wierzono tej pogłosce, a zresztą nie było już czasu zajmować się nią. Stanowcza chwila nadchodziła. Gorączkowe oczekiwanie zamieniło się poprostu w szał. Okolica nad ujściem Kongo, skąd wyprawa miała »wyruszyć w drogę«, zaroiła się od ludzi, przybyłych ze wszystkich części świata.*

*Fantastyczny pomysł Juliusza Vernego miał być nareszcie urzeczywistnionym — w sto kilkanaście lat po śmierci swego autora.*

*Na wybrzeżu Afryki, dwadzieścia kilka kilometrów od ujścia Kongo, zionął otwór obszerny gotowej już studni z lanej stali, która miała za kilkanaście godzin wystrzelić na księżyc pierwszy pocisk z zamkniętymi w nim pięcioma śmiałkami. Osobna komisja sprawdziła jeszcze raz w pośpiechu wszystkie zawiłe obliczenia; zrobiono raz jeszcze przegląd zapasów i narzędzi: wszystko było w porządku, wszystko było gotowe.*

*Na drugi dzień na krótko przed wschodem słońca potworny huk wybuchu oznajmił światu na paręset kilometrów wokoło, że podróż rozpoczęta...*

*Według niezmiernie ścisłych i dokładnych obliczeń, pocisk miał pod działaniem wybuchowej siły prostopadłego rzutu, przyciągania ziemi i siły rozpędowej, nabytej przez dzienny obrót ziemi dookoła osi, zakreślić w przestworzu olbrzymią parabolę z zachodu na wschód i wszedłszy w oznaczonym punkcie i w oznaczonej godzinie w sferę przyciągania księżyca, spaść prawie pionowo na środek jego tarczy, ku nam zwróconej, w okolicy* Sinus Medii. *Bieg pocisku, obserwowany z różnych punktów ziemi przez setki teleskopów, okazał się zupełnie prawidłowym. Dla patrzących pocisk zdawał się cofać na niebie w kierunku od wschodu na zachód, zrazu znacznie wolniej niż słońce, potem coraz szybcej,*

*w miarę, jak się od ziemi oddalał. Ten ruch pozorny był wynikiem obrotu ziemi, wobec którego pocisk w tyle pozostawał.*

*Śledzono go długo, aż wreszcie w pobliżu księżyca już i najsilniejsze teleskopy nie były zdolne go spostrzec. Mimo to łączność między zamkniętymi w pocisku awanturnikami a ziemią nie ustawała jeszcze przez pewien czas ani na chwilę. Podróżnicy, obok mnóstwa innych przyrządów, zabrali ze sobą znakomity aparat do telegrafji bez drutu, który, według obliczeń, powinien był funkcjonować nawet na odległość trzystu ośmdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, dzielących księżyc od ziemi. Obliczenia atoli zawiodły w tym wypadku; ostatnią depeszę otrzymały stacje astronomiczne z odległości dwustu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Czy to ze względu na niedostateczną siłę prądu wytwarzającego fale, czy też wadliwą budowę przyrządu, telegrafowanie na większą odległość było niemożliwe. Ale ostatnia depesza brzmiała nader zachęcająco:* Wszystko dobrze, niema powodu do obaw.

*W sześć tygodni wysłano według umowy drugą wyprawę. Tym razem znalazło w pocisku pomieszczenie dwóch tylko ludzi; wieźli za to ze sobą znacznie większe zapasy żywności i potrzebnych narzędzi. Aparat telegraficzny mieli znacznie silniejszy, niźli poprzedni; nie było wątpliwości, że wystarczy do przesyłania wiadomości z księżyca. Atoli z księżyca depeszy już nie otrzymano. Ostatni telegram wysłali już podróżnicy z pobliża celu wyprawy, przed samym spadkiem na księżycową powierzchnię. Wiadomość była nie najpomyślniejsza. Pocisk z niewytłumaczonej przyczyny zboczył nieco z drogi i wskutek tego widocznem było, że spadnie na księżyc nie prostopadle, lecz skośnie, pod kątem dość ostrym. Ponieważ pocisk nie był zbudowany dla takiego spadku, więc podróżnicy obawiali się, czy nie poniosą śmierci przez rozbicie. Widocznie obawy się spełniły, gdyż to była ostatnia depesza.*

*Wobec tego zaniechano zamierzonych wypraw dalszych. Nie można się było łudzić co do losu nieszczęśliwców; pocóż było powiększać jeszcze bezużyteczne ofiary? Żal jakiś i wstyd ogarnął ludzi. Najwięksi zwolennicy »międzyplanetarnej komunikacji« przycichli teraz, a o wyprawach mówiono i pisano już tylko jako o szaleństwie, będącem wprost zbrodnią. W kilka lat wreszcie cała rzecz poszła w zapomnienie na długi przeciąg czasu.*



*Przypomniał ją dopiero, jak się powiedziało, artykuł nieznanego dotąd a wkrótce głośnego asystenta w pomniejszem obserwatorjum astronomicznem. Odtąd każdy tydzień przynosił coś nowego. Asystent odsłaniał powoli rąbki swej tajemnicy, a chociaż niedowiarków nigdy nie brakło, zaczęto zapatrywać się na rzecz coraz poważniej. Sensacyjna wieść rozeszła się wkrótce po całym cywilizowanym świecie. Wreszcie asystent opowiedział, w jaki sposób doszedł do posiadania cennego rękopisu i jak go odczytał, a nawet pozwolił ludziom fachowym oglądać jego zwęglone szczątki wraz z cudownemi iście odbitkami fotograficznemi.*

*Otóż jak się rzecz miała z ową kulą i rękopisem: »Pewnego dnia popołudniu — opowiadał asystent — gdy siedziałem zajęty notowaniem codziennych spostrzeżeń meteorologicznych, oznajmił mi służący zakładu, że jakiś młody człowiek chce ze mną mówić. Był to mój kolega i dobry przyjaciel, właściciel wioski nieopodal położonej. Widywałem go rzadko, gdyż, choć mieszkał niedaleko, nie często się do miasta wybierał. Zatrzymałem go tedy i uporawszy się coprędzej z robotą, wyszedłem do drugiego pokoju, gdzie mnie, jak zauważyłem, niecierpliwie oczekiwał. Zaraz po powitaniu oświadczył, że mi przynosi wiadomość, która mię ucieszy niewątpliwie. Wiedział, że od lat zajmuję się z zapałem badaniem meteorytów, przyszedł mi tedy powiedzieć, że przed kilku dniami spadł w jego wiosce meteor znacznej, jak się zdaje, wielkości. Kamienia nie znaleziono, gdyż upadł w trzęsawisko i prawdopodobnie zagłębił się znacznie, ale jeśli go chcę mieć, on jest gotów dać mi kilku robotników dla jego wydobycia. Kamień naturalnie chciałem mieć i uwolniwszy się na parę dni z obserwatorjum, pojechałem sam na miejsce w celu poszukiwań. Ale mimo niewątpliwych znaków i usilnej pracy nie mogliśmy nic znaleść. Wydobyto tylko duży kawał obrobionego żelaziwa kształtu kuli armatniej, której obecność w tem miejscu mocno mnie zadziwiła. Zwątpiłem już o pomyślnym wyniku poszukiwań i wydałem właśnie polecenie zaprzestania dalszych robót, gdy przyjaciel zwrócił moją uwagę na ową kulę. Istotnie wyglądała zastanawiająco. Powierzchnia jej była pokryta żu-*

*żlem, jaki się tworzy na żelaznych meteorytach przy rozżarzaniu się ich podczas przejścia przez atmosferę ziemską. Czyżby to ona miała być owym spadłym meteorem?*

*»W tej chwili — nagle — błysnęła mi pierwsza myśl. Przypomniała mi się wyprawa z przed lat pięćdziesięciu, której historję znałem dosyć dobrze. Dodać muszę, że nie podzielałem nigdy przekonania o bezwzględnej zatracie podróżników, mimo beznadziejnej treści ostatniej depeszy, jaką od nich ziemia otrzymała. Zawcześnie było jednak teraz wyjawiać domysły; zabrałem więc tylko kulę i przewiozłem z największą ostrożnością do domu, pewny niemal w duchu, że znajdę w niej cenne wskazówki o tych zaginionych. Z jej niewielkiego względnie ciężaru odgadłem zaraz, że jest wydrążona.*

*»W domu w największej tajemnicy zabrałem się do roboty. Nie łudziłem się ani na chwilę, że jeśli się w niej znajdują jakie papiery, to musiały ulec zwęgleniu podczas rozpalenia się żelaza w ziemskiej atmosferze. Należało zatem otworzyć kulę tak, aby tych przypuszczalnych szczątków nie zniszczyć, a może — myślałem — da się z nich co odcyfrować.*

*»Praca była nadzwyczajnie ciężka, zwłaszcza, że nie chciałem brać nikogo do pomocy. Przypuszczenia moje zbyt były niepewne a nawet — przyznaję — fantastyczne, aby je można było przedwcześnie rozgłosić.*

*»Spostrzegłem, że szczyt kuli stanowi śruba, którą należało odkręcić. Osadziłem więc kulę szczelnie w ciężkim śrubsztaku, aby ją uchronić od wstrząśnień, mogących uszkodzić jej zawartość i zabrałem się do roboty. Śruba była zardzewiała i nie chciała odchodzić. Po długich usiłowaniach nareszcie udało mi się ją poruszyć. Pamiętam, ten pierwszy zgrzyt obracanej śruby przejął mię dreszczem radości i niepokoju zarazem. Musiałem pracę przerwać na chwilę, gdyż trzęsły mi się ręce. Powróciłem do niej po godzinie, z bijącem jeszcze sercem.*

*»Śruba poruszała się zwolna, gdy wtem posłyszałem dziwny świst. Początkowo nie mogłem zrozumieć jego przyczyny. Prawie bezmyślnie poruszyłem śrubą w odwrotnym kierunku, i świst ustał natychmiast; zaledwie jednak znów nieco odkręciłem śrubę, dał się*



*zaraz słyszeć, choć był teraz słabszy. Nareszcie pojąłem wszystko! Wnętrze kuli było całkowitą próżnią! Świst pochodził z wdzierania się powietrza do środka szczeliną, przez rozluźnienie śruby utworzoną!*

*Ta okoliczność upewniła mnie w przekonaniu, że jeśli kula zawiera w sobie papiery, to nie będą całkiem zniszczone, gdyż brak powietrza musiał je uchronić od spalenia, gdy kula rozżarzyła się, przebywając atmosferę ziemską! W parę chwil przekonałem się o słuszności tych domysłów. Po usunięciu śruby znalazłem w kuli, której wnętrze wyłożone było jeszcze warstwą wypalonej gliny, zwój papierów zwęglonych, ale nie spalonych. Nie śmiałem prawie oddychać z obawy, aby tych cennych dokumentów nie uszkodzić. Wyjąłem je z największą ostrożnością i... popadłem w rozpacz. Na zwęglonym papierze litery były prawie niewidoczne, a ponadto papier był tak kruchy, że się niemal rozsypywał w ręku.*

*»Bądź co bądź postanowiłem dokonać dzieła i treść rękopisu odczytać. Kilka dni zeszło mi na rozmyślaniu, jak się wziąć do tego. Wreszcie uciekłem się do pomocy promieni röntgenowskich. Przypuszczałem — i jak się później okazało, słusznie, że atrament, którego użyto do pisma, zawierał składniki mineralne, a zatem zaczernione nim miejsca będą stawiały większy opór promieniom röntgenowskim, niż sam zwęglony papier. Naklejałem tedy ostrożnie każdą kartę rękopisu na cienką błonę, rozpiętą w ramie i robiłem röntgenowskie zdjęcia fotograficzne. W ten sposób otrzymałem klisze, które po przeniesieniu obrazu na papier dały mi rodzaj palimpsestów, gdzie litery, po obu stronach papieru pisane, łączyły się ze sobą. Było to trudne do odczytania, ale bynajmniej nie niemożliwe.*

*»Za kilka tygodni postąpiłem był już tak daleko z odczytywaniem rękopisu, że nie widziałem potrzeby zachowywania dłużej całej rzeczy w tajemnicy. Wtedy to napisałem ów pierwszy artykuł, donoszący o wypadku... Dzisiaj leży przedemną cały rękopis gotowy, odczytany, uporządkowany i przepisany, i nie mam zgoła wątpliwości, że został spisany na księżycu ręką jednego z pięciu najpierw wyprawionych podróżników i wysłany z księżyca na ziemię.*

*»Co do reszty — treść rękopisu mówi sama za siebie«.*

*Do tego wyjaśnienia, które poprzedziło ogłoszenie tekstu rękopisu, dodał asystent krótką historję samejże wyprawy.*

*Przypomniał zatem, że pierwsza myśl wyszła od irlandzkiego astronoma O'Tamora, a pierwszym jej zapalonym i niewątpiącym w urzeczywistnienie zwolennikiem stał się młody, sławny podówczas w Brazylii portugalski inżynier, Piotr Varadol. Ci, pozyskawszy trzeciego towarzysza w polaku Janie Koreckim, który im oddał do rozporządzenia całą dość znaczną fortunę, rozpoczęli zabiegi około urzeczywistnienia jasno już określonego planu. Przedewszystkiem tedy przedstawiono szkice projektu akademjom i ciałom naukowym, a następnie wezwano pomocy fachowych powag do opracowania jego szczegółów. Myśl spotkała się z nadspodziewanem uznaniem i obudziła zapał; wkrótce nie była to już sprawa kilku ludzi, lecz całego cywilizowanego świata, który zapragnął wysłać swych przedstawicieli na księżyc, celem dowiedzenia się bliższych szczegółów o tym globie. Na wniosek akademji i astronomicznych instytutów rządy pospieszyły z pomocą pieniężną, a że nie brakło i znacznych ofiar prywatnych, więc wkrótce inicjatorowie mieli do rozporządzenia kapitały, z któremi można było już nie jednę, ale kilka wypraw urządzić. Tak też postanowiono. Jak wiadomo jednak, dwie tylko z tych wypraw doszły do skutku.*

*Załogę pierwszego pocisku stanowić miało pięciu ludzi, w tej liczbie trzej autorowie projektu; czwartym był anglik, lekarz Tomasz Woodbel, piątym niemiec Braun, który wszakże cofnął się w ostatniej chwili. Na miejsce jego zgłosił się nieznajomy ochotnik.*

*W drugim pocisku zamknęło się dwóch braci, francuzów, nazwiskiem Remogner.*

*Po tym krótkim zarysie historycznym asystent w dalszym ciągu memorjału rozwodził się obszernie nad techniczną stroną przedsięwzięcia. Opowiadał tedy szczegółowo zbudowanie olbrzymiej armaty w kształcie stalowej studni, mówił o budowie pocisku, który po dostaniu się na bezpowietrzną powierzchnię księżyca można było zamienić na hermetycznie zamknięty wóz, poruszany osobnym motorem elektrycznym, opisywał przyrządy ochronne, mające podróżników zabezpieczyć od zmiażdżenia w chwili wystrzału, a następnie spadku na księżyc, wreszcie wymieniał wszystkie przedmioty, składające się na wewnętrzne urządzenie i zaopatrzenie »przenośnego pokoju«.*



*Księżyc nie jest światem gościnnym. Astronomowie wiedzą o tem od dawna, chociaż go znają tylko zdaleka i — jednostronnie. Mimo niesłychanego udoskonalenia przyrządów optycznych w dwudziestym wieku, księżyc oparł się zwycięsko próbom przybliżenia go do ziemi za ich pomocą na taką odległość, aby można było zbadać wszystkie szczegóły jego powierzchni. Krążąc około ziemi w średniej odległości trzystu ośmdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, wydaje się w szkłach o tysiąckrotnem powiększeniu odległym od niej na 384 km., co stanowi jeszcze zawsze pokaźny kawałek drogi. Silniejszych zaś szkieł nie można używać do jego badania, gdyż przy znaczniejszym powiększeniu z powodu za małej przeźroczystości atmosfery ziemskiej otrzymuje się obraz tak niewyraźny, że niepodobna poznać na nim nawet gór, w słabszych szkłach dokładnie widocznych.*

*Nadto badaniu dostępna jest tylko jedna półkula księżycowego globu. Księżyc bowiem, odbywając swą drogę naokoło ziemi w dwudziestu siedmiu dniach, siedmiu godzinach, czterdziestu trzech minutach i jedenastu sekundach, wykonywa w tym czasie tylko jeden obrót około swej osi, tak, że zwrócony jest ku ziemi zawsze tą samą stroną swej powierzchni. Zjawisko to nie jest przypadkowe. Księżyc nie jest dokładną kulą, ale zbliża się kształtem do bardzo mało wydłużonego jaja. Siła przyciągania ziemi sprawia, że jaje owo zwraca się ku niej ostrym końcem i tak krąży, jakby na uwięzi, nie mogąc się odwrócić.*

*Znana astronomom połowa księżyca wystarczyła jednak, aby go zdyskredytować najzupełniej w opinji ludzi, marzących o zamieszkaniu innych, niż ziemia, światów. Ta powierzchnia naszego satelity, większa co do obszaru dwa razy od Europy, przedstawia się w teleskopach jako bezwodna i pustynna wyżyna, zasiana wprost niezliczoną ilością obrączkowych gór, podobnych z kształtu do olbrzymich kraterów, nierzadko o stukilometrowej średnicy, których brzegi wznoszą się do siedmiu tysięcy metrów ponad okoliczne równiny. W północnej części zwróconej ku nam półkuli ciągnie się szereg obszernych kolistych płaszczyzn, nazwanych przez pierwszych selenografów*

morzami. *Równiny te o stromych brzegach, utworzonych przez niebotyczne łańcuchy górskie, poprzerzynane są w różnych kierunkach mnóstwem szczelin, których pochodzenie zawsze zastanawiało astronomów, zwłaszcza że na ziemi nie istnieje nic podobnego. Szczeliny te nieraz na sto kilkadziesiąt kilometrów długie, a na parę szerokie, dochodzą głębokością do tysiąca metrów i więcej.*

*Jeśli sobie uprzytomnimy jeszcze, że ta powierzchnia pozbawiona jest niemal zupełnie atmosfery, że »dzień« księżycowy, trwający naszych dni czternaście, jest tam latem, podczas którego upał dochodzi do niesłychanego natężenia, a czternastodniowa noc zimą, mroźniejszą, niż nasze zimy podbiegunowe: będziemy mieli obraz kraju, wcale nie zachęcającego do obrania go sobie za »stałe miejsce pobytu«. Tem więcej podziwiać trzeba poświęcenie ludzi, którzy z narażeniem własnego życia wybrali się na ten glob w tym jedynie celu, aby powiększyć zasób ludzkiej wiedzy nieulegającemi wątpliwości wiadomościami o najbliższem ziemi ciele niebieskiem,*

*Podróżnicy mieli zresztą zamiar przebyć tylko jak najprędzej tę niegościnną półkulę i dostać się na drugą, od ziemi odwróconą stronę księżyca, gdzie spodziewali się nie bezpodstawnie znaleść znośne warunki do życia. Większość piszących o księżycu uczonych twierdzi wprawdzie, że i na tamtej stronie atmosfera jest zbyt rzadka, aby można nią oddychać; wszakże O'Tamor, opierając się na wieloletnich badaniach i obliczeniach, wnosił, że znajdzie tam powietrze o dostatecznej gęstości dla utrzymania życia, a z powietrzem wodę i roślinność, mogącą dostarczyć najlichszego bodaj pożywienia. Ci śmiali ludzie gotowi zresztą byli nawet na śmierć, byle wydrzeć przedtem gwiaździstemu niebu bodaj jednę z tych jego tajemnic, które tak zazdrośnie ukrywa przed człowiekiem. Odwagę ich podnosiła myśl, że poświęcenie to w żadnym razie nie pozostanie bezowocnem, gdyż będą mogli spostrzeżeń swych udzielić pozostałym na ziemi ludziom przy pomocy wziętego ze sobą telegraficznego aparatu. A nuż — myśleli czasem upojeni wielkością swego przedsięwzięcia, nuż znajdą na tamtej tajemniczej stronie księżyca raj czarodziejski i dziwny, świat nowy, zgoła odmienny od ziemskiego a gościnny? Marzyli wtedy o wezwaniu nowych towarzyszy do przebycia owych setek tysięcy kilometrów, o założeniu tam, na*



*tej jasnej, ziemi w ciche noce świecącej kuli, nowego społeczeństwa, nowej ludzkości, szczęśliwszej... może...*

*Tymczasem trzeba się było liczyć z koniecznością przebycia górzystej, bezpowietrznej i bezwodnej pustynnej wyżyny, zajmującej całą ku ziemi zwróconą półkulę księżyca. Nie było to drobnostką. Obwód księżyca wynosi blizko jedenaście tysięcy kilometrów; gdyby zatem upadli, jak się spodziewali, na środek ku ziemi zwróconej tarczy, mieliby do zrobienia około trzech co najmniej tysięcy kilometrów, nimby się dostali w okolice, gdzie mieli nadzieję móc oddychać i żyć. Pocisk — kształtu wydłużonego, z jednej strony stożkowo zakończonego cylindra — był też odpowiednio urządzony, aby go można zamienić na pewien rodzaj zamkniętego automobilu i zaopatrzony obficie w zapasy zgęszczonego powietrza, wody, żywności i paliwa, mogące wystarczyć dla pięciu osób na cały rok, to jest nawet na dłużej, niż potrzeba dla dostania się na odwrotną stronę księżyca.*

*Oprócz tego wzięli z sobą podróżnicy znaczną liczbę różnych narzędzi, małą bibljoteczkę i... sukę z dwojgiem szczeniąt. Była to piękna i wielka angielska wyżlica, należąca do Tomasza Woodbella, którą przed puszczeniem się w drogę ochrzczono zgodnie mianem Seleny.*

*Te wszystkie rzeczy przypomniał szczegółowo memorjał asystenta w K..., mający służyć za objaśnienie do wydanego wkrótce potem rękopisu.*

*Rękopis sam, spisany po polsku na księżycu przez Jana Koreckiego, uczestnika pierwszej wyprawy, składał się z trzech części, powstałych w różnych czasach, a wiążących się ze sobą w organiczną całość, stanowiącą opowieść o przedziwnych losach i przejściach rozbitka wyrzuconego na ląd, zawieszony w błękicie trzysta ośmdziesiąt cztery miljony metrów ponad ziemią.*

*A oto przedruk dosłowny owego rękopisu, według pierwszego wydania, sporządzonego przez asystenta obserwatorjum w K...*

# RĘKOPISU CZĘŚĆ PIERWSZA.

## DZIENNIK PODRÓŻY.

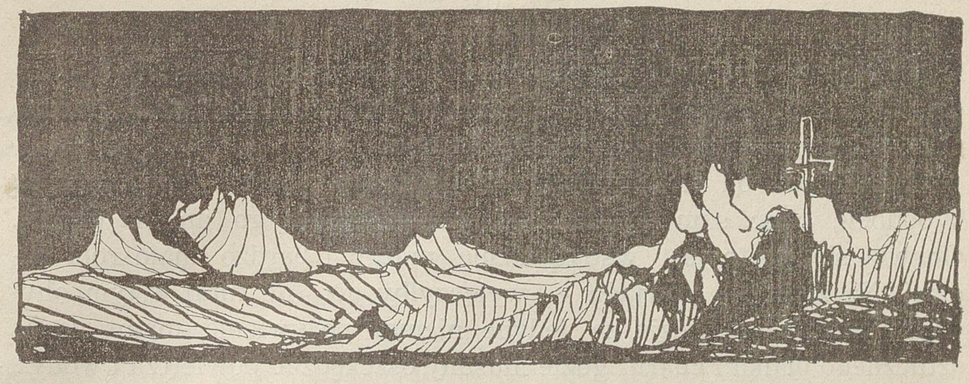

*Na Księżycu, dnia....*

Mój Boże! jakąż ja datę mam położyć?! Ów wybuch potworny, któremu kazaliśmy się wyrzucić z Ziemi, rozsadził nam rzecz uważaną tam za najtrwalszą ze wszystkiego, co istnieje, rozsadził nam i popsuł czas. W istocie to jest okropne! pomyśleć tylko, że tu, gdzie jesteśmy, niema lat, niema miesięcy, ani dni, naszych krótkich, rozkosznych, ziemskich dni... Zegarek mi mówi, że upłynęło już z górą czterdzieści godzin od chwili, kiedyśmy tu spadli; spadliśmy w nocy, a słońce jeszcze nie wzeszło. Spodziewamy się je ujrzeć dopiero za dwadzieścia kilka godzin. Wzejdzie i pójdzie po niebie leniwie, dwadzieścia dziewięć razy wolniej niż tam, na Ziemi. Trzysta pięćdziesiąt cztery godzin będzie świecić nad naszemi głowami, a potem przyjdzie znowu noc, trwająca trzysta pięćdziesiąt cztery godzin. Po nocy znów dzień, taki sam jak poprzedni i znowu noc i znów dzień — i tak bez końca, bez odmiany, bez pór roku, bez lat, bez miesięcy...

Jeśli dożyjemy...

Siedzimy bezczynnie, zamknięci w naszym pocisku i czekamy słońca. O! ta straszna tęsknota za słońcem!

Noc wprawdzie jest jasna, jaśniejsza bez porównania od naszych — tam — ziemskich nocy podczas pełni. Olbrzymi półkrąg Ziemi tkwi nad nami nieruchomie w czarnem niebie u zenitu i za-

lewa białem światłem tę pustkę straszliwą wokół nas... W tem dziwnem świetle jest wszystko takie tajemnicze i martwe... I mróz... Oh! jaki straszny mróz! — Słońca! słońca!

O'Tamor od chwili upadku nie odzyskał jeszcze przytomności. Woodbell, choć sam pokaleczony, nie odstępuje go ani na chwilę. Obawia się, że to jest wstrząśnienie mózgu i bardzo mało robi nadziei. Na ziemi — powiada — wyleczyłby go. Ale tutaj w tym ohydnym mrozie, tu, gdzie za jedyne niemal pożywienie mamy zapas sztucznego białka i cukru, gdzie musimy oszczędzać powietrza i wody... Toby było straszne! stracić O'Tamora, właśnie jego, który jest duszą naszej wyprawy!...

Ja, Varadol i Marta — a nawet Selena z obojgiem szczeniąt — jesteśmy zdrowi. Marta zdaje się nic nie wiedzieć i nie czuć. Wodzi tylko oczyma za Woodbellem, zaniepokojona jego ranami. Szczęśliwy Tomasz! jak go ta kobieta kocha!

Oh! ten mróz! Zdaje się, że nasz pocisk zamknięty zamienia się wraz z nami w bryłę lodu. Pióro wysuwa mi się ze zgrabiałych palców. O kiedyż nareszcie wzejdzie słońce!

*Tejże nocy w 27 godzin później.*

Z O'Tamorem coraz gorzej; nie można się łudzić — to jest już agonja. Tomasz, czuwając nad nim, zapomniał o własnych ranach i sam teraz tak osłabł, że się musiał położyć. Marta zastępuje go przy chorym. Skąd ta kobieta bierze tyle sił? Odkąd się otrząsnęła z pierwszego oszołomienia po spadku, jest najczynniejsza z nas wszystkich. Zdaje mi się, że jeszcze nie spała.

Ah! ten mróz...

Varadol siedzi osowiały i milczący. Na kolanach jego zwinięta w kłębek Selena. — On mówi, że im tak cieplej obojgu. Szczenięta położyliśmy w łóżku obok Tomasza.

Próbowałem spać, ale nie mogę. Mróz mi spać nie daje i to upiorne światło Ziemi nad nami. Już tylko mało co więcej nad pół tarczy jej widać. Znak to, że słońce wzejdzie niebawem. Nie umiemy dokładnie obliczyć, kiedy to nastąpi, gdyż nie wiemy, w którym



punkcie tarczy Księżyca się znajdujemy. O'Tamor byłby to z łatwością obliczył ze stanu gwiazd, ale on leży bezprzytomny. Będzie się musiał Varadol w jego zastępstwie wziąć do tej roboty. Nie wiem, dlaczego z tem zwleka.

Powinniśmy byli według obliczenia spaść na *Sinus Medii*, ale Bóg jeden wie, gdzie się istotnie znajdujemy. Na *Sinus Medii* powinnoby już słońce świecić o tej porze. Widocznie spadliśmy dalej ku »wschodowi« — jak na Ziemi tę stronę Księżyca nazywają, gdzie dla nas będzie słońce zachodziło — niezbyt jednak daleko od środka księżycowej tarczy, gdyż Ziemia jest nad nami niemal w zenicie.

Tyle nowych, dziwnych wrażeń odbieram zewsząd, że ich nie mogę zebrać ani uporządkować. Przedewszystkiem to niesłychane, wprost strachem przejmujące uczucie lekkości... Wiedzieliśmy na Ziemi, że Księżyc, czterdzieści dziewięć razy od niej mniejszy, a ośmdziesiąt jeden razy lżejszy, będzie nas przyciągał sześć razy słabiej, choć się bliżej jego środka ciężkości znajdujemy; ale co innego jest wiedzieć o czemś, a co innego czuć. Jesteśmy już blizko siedmdziesiąt godzin na Księżycu i nie możemy się jeszcze przyzwyczaić do tego. Nie umiemy zastosować wysiłku naszych mięśni do zmniejszonej wagi przedmiotów, ba! nawet własnego ciała. Powstaję szybko ze siedzenia i podskakuję blizko na metr w górę, mimo że się chciałem tylko podnieść. Varadol chciał przed kilku godzinami zgiąć hak z grubego drutu, przymocowany do ściany naszego domu. Chwycił go dłonią — i podniósł się cały w górę na dłoni! Zapomniał, że waży teraz zamiast siedmdziesięciu kilku, tylko niespełna trzynaście kilogramów! Co chwilę któryś z nas rzuca gwałtownie przedmiotami, chcąc je tylko przesunąć. Wbicie gwoździa staje się rzeczą prawie niemożliwą wobec tego, że młotek ważący na ziemi dwa funty, waży tutaj zaledwie sto siedmdziesiąt parę gramów! Pióra, którem piszę, nie czuję prawie w ręku.

Marta powiedziała przed chwilą, że ma wrażenie, jakby się już stała duchem, pozbawionym ważkiego ciała. To jest bardzo dobre określenie. W istocie jest coś nieswojskiego w tem uczuciu dziwnej lekkości... Możnaby naprawdę uwierzyć, że się jest duchem, zwłaszcza wobec widoku Ziemi świecącej na niebie jak Księżyc — tylko czternaście razy większy i jaśniejszy od tego, który ziemskie noce

NA SREBRNYM GŁOŚIE.
KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
Nr ..... Inwentarz Główny
Miejska w Białymstoku Biblioteka

rozjaśnia. Wiem, że to wszystko prawda, a wciąż mi się zdaje, że śnię, lub znajduję się w gmachu opery na jakiejś dziwnej feerji. Lada chwila — myślę — spadnie kurtyna i te dekoracje się zwiną, jak sen...

I o tem przecież wiedzieliśmy dobrze przed wyruszeniem w drogę, że tak Ziemia będzie świecić nad nami, jak olbrzymia nieruchoma lampa zawieszona wśród nieba. Ciągle powtarzam sobie, że to rzecz tak prosta: Księżyc odbywa swą drogę zwrócony ku Ziemi wciąż jedną stroną, a więc ona musi się wydawać nieruchomą patrzącym na nią z Księżyca. Tak, to jest rzecz naturalna, a przecież straszy mnie ten świecący szklany upiór Ziemi, wpatrujący się w nas od siedmdziesięciu godzin nieruchomie i uporczywie z samego zenitu!

Widzę ją przez szybę w zwróconej ku górze ścianie pocisku i rozróżniam gołem okiem ciemniejsze plamy mórz i rozjarzone tarcze lądów. Przesuwają się przedemną zwolna, wyłaniają się po kolei z cienia: Azja, Europa, Ameryka — zwężają się na krawędzi świetlistego globu i zachodzą, aby znów po dwudziestu czterech godzinach się ukazać.

Tak mi się zdaje, że cała ziemia zamieniła się w oko rozwarte, bezlitośne i czujne i wpatruje się uporczywie a ze zdziwieniem w nas, którzyśmy od niej uciekli z ciałem — pierwsi ze wszystkich jej dzieci.

W pierwszej chwili po upadku, gdyśmy nieco oprzytomnieli i odśrubowali żelazne pokrywy, zasłaniające okrągłe szyby naszego domku, zobaczyliśmy ją już nad sobą. Była niemal w pełni. Wtedy podobna była do oka szeroko w osłupieniu rozwartego; teraz zwolna zasuwa się na tę straszną, nieruchomą źrenicę powieka cieniu. W chwili, kiedy słońce, niepoprzedzone świtem, wybuchnie z za skał jak płomienna i bezpromienna kula na czarnem niebie, już się to oko zmruży do połowy, a zamknie się całkiem, gdy słońce stanie prostopadle nad nami.

*W trzy godziny później.*

Odwołany do O'Tamora, przerwałem to pisanie, którem zapełniam długie godziny, z konieczności bezczynnie spędzane.



Z tą straszliwą ostatecznością nigdyśmy się nie liczyli, że możemy zostać sami bez niego. Byliśmy przygotowani na śmierć, ale na własną, nigdy na jego śmierć! A tu niema ratunku... Tomasz też leży w gorączce i miast chorym się opiekować, sam wymaga opieki. Marta nie odstępuje ich ani na chwilę, zwracając się to do jednego, to do drugiego, a my z Piotrem stoimy bezradni i nie wiemy, co począć.

O'Tamor nie odzyskał przytomości i już jej nie odzyska. Sześćdziesiąt lat z górą przeżył na Ziemi, aby tu...

Nie, nie! nie mogę tego słowa wymówić! To jest straszne! on! na samym wstępie!...

Jesteśmy tu tak okropnie sami w tej długiej, straszliwym mrozem przejmującej nas nocy.

Przed paru godzinami Marta, jakby przejęta nagle tem uczuciem bezbrzeżnej pustki i samotności, rzuciła się ku nam ze złożonemi rękami, wołając: Na Ziemię! na Ziemię! — i zaczęła płakać. A potem znowu wołała:

— Czemu nie telegrafujecie na Ziemię! czemu nie dacie tam znać? Patrzcie, Tomasz chory!

Biedna dziewczyna! — cóżeśmy jej mieli odpowiedzieć?

Wie równie dobrze, jak my, że już na sto dwadzieścia kilka miljonów metrów przed Księżycem aparat nasz przestał funkcjonować... Wreszcie Piotr jej to przypomniał, a ona, jak gdyby przesłanie wiadomości mogło chorych uratować, zaczęła się domagać natarczywie, aby ustawić armatę, którąśmy wzięli z Ziemi, na wypadek zepsucia się telegraficznego aparatu.

Ten strzał, to już teraz jedyny — ostatni sposób porozumienia się z tymi, co tam zostali.

Uległiśmy obaj z Varadolem i odważyliśmy się na wyjście z pocisku.

Przyznaję, że strach mię zdejmował przed tym krokiem. Tam, poza chroniącemi nas ścianami istotnie jest niemal próżnia... Barometr bowiem wykazuje istnienie na zewnątrz nas atmosfery, której gęstość nie wynosi ani trzechsetnej części gęstości ziemskiego powietrza. Okoliczność, że ta atmosfera wogóle istnieje, chociaż w takiem rozrzedzeniu, jest dla nas nader pomyślna, gdyż pozwala nam

spodziewać się, że znajdziemy ją na *tamtej stronie* w dostatecznej do oddychania gęstości. Ach! z jakiemż drżeniem serca wysuwaliśmy przed kilkudziesięciu godzinami po raz pierwszy barometr na zewnątrz! Z początku rtęć tak gwałtownie spadła, iż zdawało się nam, że się zrównała zupełnie z powierzchnią. Ogromny, zimny przestrach ścisnął nas za gardło; toby znaczyło — próżnia absolutna, a z nią śmierć nieuchronna! Ale za chwilę rtęć, powróciwszy do równowagi, podniosła się w rurce na 2·3 mm.! Odetchnęliśmy swobodniej — choć tem powietrzem tam oddychać nie można!

I mieliśmy teraz wyjść dla ustawienia armaty w tę próżnię! Włożywszy nasze *nurkowe ubrania* i umocowawszy nad karkiem zbiorniki ze zgęszczonem powietrzem na zapas, stanęliśmy gotowi we wgłębieniu, znajdującem się w ścianie pocisku. Marta zamknęła za nami szczelnie drzwi od wnętrza, aby wraz z nami nie uciekło ztamtąd tak cenne dla nas powietrze, a wtedy myśmy otworzyli zewnętrzną klapę...

Dotknęliśmy stopami księżycowego gruntu i w tejże chwili ogarnęła nas straszliwa głusza. Widziałem przez szklanną maskę na twarzy, że Piotr porusza ustami, domyślałem się, że mówi, ale nie słyszałem ani słowa. Tam powietrze jest zbyt rzadkie, aby mogło głos ludzki przewodzić.

Podniosłem odłam kamienia i rzuciłem go pod nogi. Upadł wolno, wolniej niż na Ziemi i zgoła bez stuku. Zatoczyłem się jak pijany; zdawało mi się, że jestem już rzeczywiście w świecie duchów.

Musieliśmy się porozumiewać na migi. Ziemia, która nas żywiła, teraz świecąc pomagała się nam porozumieć.

Wyjęliśmy armatę umieszczoną w schowku w ścianie, otwieranym na zewnątrz i puszkę z materjałem wybuchowym, osobno dla niej przyrządzonym. Ta robota poszła nam łatwo; wszak armata waży tutaj zaledwie szóstą część tego, co ważyła na Ziemi!

Teraz należało tylko ustawione działo, dokładnie do pionu nabić, umieściwszy w wydrążonej kuli kartkę; — wobec lekkości materjałów na Księżycu siła wybuchu wystarczy w zupełności, aby zanieść ją po prostej linii na Ziemię. Ale tego nie potrafiliśmy już zrobić. Potworny, ohydny, straszliwy mróz ścisnął nas żelaznemi szponami za piersi. Wszak tu od trzystu kilkudziesięciu godzin słońce już nie



świeciło, a niema dość gęstej atmosfery, aby mogła przez tak długi czas utrzymać ciepło rozpalonych zapewne w długim dniu kamieni...

Powróciliśmy do pocisku, który się nam wydał rozkosznym, ciepłym rajem, choć tak oszczędzamy paliwa!

Przed wschodem słońca, które ten świat ogrzeje, niepodobna ponawiać próby wyjścia. A tego słońca jak niema, tak niema!

Kiedyż nareszcie się zjawi i co nam przyniesie?

*70 godzin 46 minut po przybyciu na Księżyc.*

O'Tamor umarł.

*Pierwszego dnia księżycowego, 3 g. po wschodzie słońca.*

Jest nas już tylko czworo. Za chwilę puszczamy się w drogę. Wszystko gotowe: pocisk nasz po przymocowaniu kół i ustawieniu motoru zamienił się w wóz, który nas powiezie przez te pustynie ku krajowi, gdzie będzie można żyć... O'Tamor tu zostanie...

Uciekliśmy od Ziemi, ale śmierć, wielka władczyni ziemskich plemion przebyła wraz z nami te przestrzenie i oto przypomniała się zaraz na wstępie, że jest przy nas — nielitosna, zwycięska jak zawsze. Uczuliśmy jej obecność i blizkość i wszechwładztwo tak żywo, jak nigdy tam na Ziemi. Spoglądamy mimowoli po sobie: na kogo teraz kolej?...

Noc jeszcze była, gdy nagle Selena zerwała się z kąta, gdzie w kłębek zwinięta leżała od paru godzin i wyciągnąwszy pysk ku świecącemu przez okno półksiężycowi Ziemi, zaczęła wyć przeraźliwie. Poskoczyliśmy wszyscy, jakby podrzuceni jakąś wewnętrzną siłą.

— Śmierć idzie! — krzyknęła Marta.

A Woodbell, który czując się zdrowszym, stał znowu przy łóżku O'Tamora, odwrócił się ku nam powoli:

— Już przyszła — rzekł.

Wynieśliśmy trupa z pocisku. W tym skalistym gruncie niepodobna wykopać grobu. — Księżyc nie chce przyjąć naszych umarłych, jakże przyjmie nas żywych?

Ułożyliśmy tedy zwłoki na wznak na tej twardej księżycowej skale, twarzą ku niebu i świecącej na niem ziemi i poczęliśmy gromadzić zrzadka rozsypane po płaszczyźnie kamienie, aby z nich ułożyć mogiłę. Otoczyliśmy ciało niewysokim wałem, nie mogliśmy jednak znaleźć dość dużej płyty kamiennej, aby je przykryć. Wtedy Piotr przez rurę, łączącą nasze głowy i umożliwiającą porozumiewanie się, rzekł:

— Zostawmy go tak... Czy nie widzisz, że patrzy na Ziemię?

Spojrzałem na trupa. Leżał na wznak i zdawał się istotnie szklistemi, rozwartemi oczyma wpatrywać w to oko Ziemi, mrużące się ciągle, ciągle przed blaskiem dla nas jeszcze niewidocznego słońca, które miało wzejść niebawem.

Niech tak zostanie...

Z dwóch sztab żelaznych, ułamków potrzaskanego rusztowania, które nas uchroniło od rozbicia się podczas spadku, zrobiliśmy krzyż i umocowaliśmy go w wale kamiennym nad głową O'Tamora.

Wtem — gdy właśnie ukończywszy smutną robotę, mieliśmy wracać do pocisku — stało się coś dziwnego. Szczyty gór majaczące przed nami w trupiem świetle Ziemi nagle, bez żadnego przejścia na jedno mgnienie oka stały się krwawo czerwone, a potem zaraz rozpłonęły białym, jarzącym blaskiem na tle wciąż jednakowo czarnego nieba. Podnóża gór przez kontrast oświetlenia poczerniawszy teraz zupełnie, były prawie niewidoczne i tylko te cyple najwyższe, jak w ogniu do białości rozżarzona stal, wisiały nad nami, powiększając się zwolna, lecz ciągle. Z powodu braku perspektywy powietrznej, umożliwiającej na Ziemi ocenienie odległości, te jasne plamy zdawały się wisieć na tle czarnego nieba wśród gwiazd tuż przed naszemi głowami, oderwane od podstawy skalistej, która w szarości się zgubiła. Nie śmieliśmy ręki wyciągnąć w obawie, aby nie natknąć palcami na te kawały żywego światła.

A one rosły wciąż przed naszemi oczyma, co sprawiało wrażenie, jakby zbliżały się do nas wolnym, nieubłaganym ruchem; mieliśmy ich już pełne oczy, — już, zda się, były tuż, tuż przed nami... Cofnęliśmy się mimowoli, zapominając, że te szczyty są od nas o setki, a może tysiące metrów odległe.

Wtem Piotr obejrzał się i krzyknął. Odwróciłem głowę za jego

przykładem i — osłupiałem, uderzony nowem a niesłychanem widowiskiem na wschodzie.

Nad czarną piłą jakiegoś grzbietu górskiego iskrzył się bladawy, srebrzysty słup światła zodjakalnego. Patrzyliśmy w nie, zapomniawszy na chwilę o zmarłym, gdy w tem po pewnym czasie zaczęły u dołu słupa, tuż nad krawędzią widnokręgu błyskać drobne, ruchliwe, skaczące czerwone płomyki, wiankiem obok siebie ułożone.

To słońce wschodziło! z utęsknieniem oczekiwane, upragnione życiodajne słońce, którego O'Tamor tu już nie zobaczy!

Rozpłakaliśmy się obaj, jak dzieci.

W tej chwili to słońce świeci już nad horyzontem, jasne i białe. Owe naprzód widziane płomyki czerwone, to były protuberancje, olbrzymie wytryski żarzących się gazów, które strzelają na wszystkie strony z kuli słonecznej, a na Ziemi, gdzie atmosfera je zalśniewa widoczne bywają tylko podczas całkowitych zaćmień słońca. Tutaj — wobec braku powietrza — zapowiedziały nam ukazanie się tarczy słonecznej i przez długi czas jeszcze co dnia je tak będą zapowiadać, rzucając na chwilę krwawy odblask na góry, nim się rozjarzą do biała w pełnym blasku dziennym.

Po kilkudziesięciu minutach dopiero na miejscu ruchliwego wianka czerwonych ogników, kiedy już blask spełznął ze szczytów tu w dolinę, biały rąbek tarczy słonecznej ukazał się nam nad widnokręgiem; godziny całej potrzebowała ta tarcza, aby się wyłonić całkowicie z za tych skał na wschodzie.

Przez cały ten czas, mimo okropnego mrozu, zajmowaliśmy się przygotowaniami do podróży. Ale istotnie każda chwila jest droga; dłużej zwlekać niepodobna. Teraz już wszystko gotowe.

Ze wschodem słońca zrobiło się cieplej. Promienie jego, choć tak ukośnie jeszcze padają, grzeją całą mocą, nie osłabione przez pochłaniającą atmosferę, jak to jest na Ziemi. Dziwny widok!...

Słońce płonie, jak jasna, bezpromienna kula, położona na górach, jakby na olbrzymiej, czarnej poduszce. Dwie są tutaj tylko barwy, męczące kontrastem oko nad wszelki wyraz: biała i czarna. Niebo jest czarne i mimo że zrobił się już dzień, zasiane niezliczonem mnóstwem gwiazd; wokoło nas krajobraz pusty, dziki, przestraszający — bez złagodzeń światła, bez półcieni, w połowie lśniąco biały od sło-

necznego blasku, w połowie zaś zupełnie czarny w cieniu. Niema tu atmosfery, która tam na ziemi nadaje niebu tę cudowną błękitną barwę, a sama światłem przesycona roztapia w sobie gwiazdy przed wschodem słońca i stwarza świty i zmierzchy, różowi się zorzą i zasępia chmurami, przepasuje się tęczą i powoduje delikatne przejścia od światła do mroku.

Nie! stanowczo oczy nasze nie są stworzone do tego światła i tego krajobrazu!

Znajdujemy się na rozległej równiny z litej skały, porysowanej tu i ówdzie niewielkiemi szczelinami i powydymanej w obłe, niewysokie podłużne garby, ciągnące się w kierunku północno-zachodnim. Na zachodzie *(wschód* i *zachód* naszego świata oznaczam zgodnie z *istotnym* stanem rzeczy, a więc *przeciwnie,* niż to widzimy na ziemskich mapach Księżyca), na zachodzie tedy widać niewielkie, ale nadzwyczajnie strome wzgórza, nad któremi w północno-zachodniej stronie króluje niebotyczna, poszarpana piła jakiegoś szczytu. Od północy grunt wznosi się powoli, do znacznej jednak, jak się zdaje, wysokości. Na wschodzie mnóstwo szczelin, garbów, wyrw i małych kotlinek, podobnych do dołków, sztucznie wygrzebanych; ku południu rozciąga się nieprzejrzana okiem płaszczyzna.

Varadol utrzymuje na podstawie pospiesznie dokonanych pomiarów wysokości Ziemi na niebie, że znajdujemy się istotnie na *Sinus Medii,* gdzieśmy według obliczeń spaść byli powinni. Mnie się to jakoś nie zdaje, gdyż szczyty, okalające od zachodu i północy ową płaszczyznę, znane z map: *Mosting, Sommering, Schroter, Bode* i *Pallas* nie odpowiadają ani rozmieszczeniem ani wysokością temu, co tu widzimy. Ale ostatecznie wszystko jedno! Ruszamy ku zachodowi, aby posuwając się wzdłuż równika, gdzie według map grunt zdaje się być najrówniejszym, okrążyć kulę księżycową i dostać się na *tamtą stronę.*

Za chwilę — nic tu już z nas nie pozostanie, kromia grobu i krzyża, oznaczającego po wieczne czasy miejsce, gdzie pierwsi ludzie wylądowali na Księżyc.

Żegnaj mi więc grobie towarzysza, pierwsza budowlo, jakąśmy wznieśli na tym nowym świecie! Żegnaj martwy przyjacielu, ojcze nasz drogi i niedobry, któryś nas wywiódł ze Ziemi i opuścił na



wstępie do nowego życia! Oto krzyż zatknięty na twojej mogile jest jakby sztandarem, świadczącym, że Śmierć zwycięska, przybywszy z nami, wzięła już ten kraj w posiadanie... My uciekamy przed nią; ty tu z nią zostaniesz, spokojniejszy od nas, zapatrzony w nieruchomą Ziemię, która cię zrodziła, z krzyżem nad głową, którego wiernym byłeś wyznawcą!

*Pierwszego dnia księżycowego, 197 g. po wsch. słońca.* Mare Imbrium, *11⁰ zach. dł., 17⁰ 21′ pn. szer. księżycowej.*

Nareszcie mogę zebrać myśli! Co za straszliwy, bezlitośnie długi dzień, co za straszliwe słońce, zionące ogniem blizko od dwustu godzin z tego bezdennego czarnego nieba! Dwadzieścia godzin upłynęło już od południa, a ono stoi jeszcze prawie prostopadle nad naszemi głowami, wśród tumanu nieprzyćmionych gwiazd, obok czarnego kręgu Ziemi w nowiu, obrąbionego płomienną obrączką nasyconej światłem atmosfery. Dziwne jest to niebo nad nami! Wszystko się dokoła nas zmieniło i tylko konstelacje gwiazd są te same, któreśmy ze Ziemi widzieli, ale tu, gdzie powietrze wzrokowi nie przeszkadza, widno tych gwiazd bez porównania więcej. Cały firmament zdaje się być zasianym niemi, jak piaskiem. Gwiazdy podwójne błyszczą, jak kolorowe punkty, zielone, czerwone lub sine, nie zlewając się w kolor biały, jak na Ziemi. Przytem tu niebo, pozbawione barwnego tła powietrza, nie jest gładką wydrążoną kopułą; czuje się owszem jego głębię niezmierną; nie potrzeba obliczeń, aby poznać, która gwiazda jest dalej, a która bliżej. Patrząc na Wielki Wóz, czuję olbrzymie odsunięcie w głąb niektórych jego gwiazd w porównaniu z innemi, bliższemi, podczas gdy na Ziemi wyglądał jak siedm ćwieków wbitych w gładki strop. Droga mleczna nie jest tu smugą, lecz bryłowatym wężem, wijącym się przez czarne otchłanie. Mam takie wrażenie, jakbym spojrzał na niebo przez stereoskop jakiś cudowny.

A co najdziwniejsza, to słońce wśród gwiazd, płomienne, straszne, a nie zaćmiewające ani najlichszego ze świateł niebieskich...

Upał jest straszliwy; skały, zda się, wkrótce zaczną topnieć i rozpływać się, jak lód na naszych rzekach w piękne dnie marcowe.

Tyle godzin tęskniliśmy do słońca i ciepła, a teraz musieliśmy uciec przed niem, aby zachować życie. Stoimy od kilkunastu godzin na dnie głębokiej szczeliny, ciągnącej się od stóp poszarpanych turni *Eratosthenesa* wzdłuż *Apeninu* w głąb *Morza Dżdżów*. Tutaj dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią, znaleźliśmy cień i trochę chłodu...

Okrywszy się tu, spaliśmy, obezwładnieni znużeniem, przez kilkanaście godzin bez przerwy. Zdawało mi się we śnie, że jestem jeszcze na Ziemi, w jakichś gajach zielonych i chłodnych, gdzie po świeżej murawie szemrał rozlany przeczysty potok. Po błękitnem niebie szły białe obłoki; słyszałem śpiew ptaków i brzęczenie owadów i głos ludzi wracających z pola...

Obudziło mnie szczekanie Seleny, dopominającej się jadła.

Otwarłem oczy, ale rozmarzony snem, nie mogłem długo pojąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje i co znaczy ten zamknięty wóz, w którym się znajdujemy, co znaczą te skały wokoło puste i dzikie? Zrozumiałem nareszcie wszystko i niewysłowiony żal chwycił mnie za piersi. Selena tymczasem widząc, że już nie śpię, przyszła do mnie i położywszy pysk na moich kolanach, poczęła się we mnie wpatrywać swemi rozumnemi oczyma. Zdawało mi się, że widzę w tym wzroku jakiś niemy wyrzut... Pogłaskałem ją w milczeniu po głowie, a ona zaczęła skomleć żałośnie, oglądając się na szczenięta, igrające swobodnie w kącie wozu. Te szczenięta, Zagraj i Leda, to jedyne istoty, które tutaj są wesołe.

A prawda! czasem jeszcze i Marta jest wesoła, jak małe zwierzątko, ale to tylko wtedy, gdy Woodbell wciąż niedomagający, wyciąga rękę, aby dotknąć jej ogromnych i bujnych, ciemno-brunatnych włosów. Wtedy jej smagła twarz rozjaśnia się uśmiechem, a duże jej czarne oczy płoną bezbrzeżną miłością, wpatrzone w twarz kochanka, taką męską i piękną jeszcze do niedawna, a teraz zwiędłą i strawioną przez gorączkę. Robi wszystko, aby go rozweselić, aby mu każdym ruchem, każdem spojrzeniem powiedzieć, że go kocha i przy nim jest szczęśliwa nawet tu, gdzie tak trudno być szczęśliwym. Nie mogę się powstrzymać od bolesnej zazdrości, gdy widzę, jak ona pełne, wiśniowe i takie namiętne usta przesuwa po jego wychudłej ręce, szyi i twarzy, jak całuje powieki jego zimnych, stalowych oczu, a potem wziąwszy jego głowę w dłonie tuli ją jak



małe dziecię do piersi o nieskazitelnych linjach i śpiewa mu dziwne, dla nas niezrozumiałe pieśni. Słyszał je pewnie z tych samych tak gorąco całujących ust tam, w jej rodzinnym kraju, na Malabarskiem wybrzeżu i teraz, gdy je słyszy, śnić mu się muszą rozkołysane palmy i szumy błękitnego morza... Ta kobieta przemyciła mu tu w swej duszy cały ten świat, który dla nas przepadł bezpowrotnie.

Nie zapomnę nigdy dnia, w którym ją zobaczyłem po raz pierwszy. Było to właśnie bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości, że Braun się cofa. Siedzieliśmy wszyscy czterej w Marsylji, w hotelowym pokoju, którego okna wychodziły na zatokę, i rozmawialiśmy o tem odstępstwie towarzysza, które nas wszystkich bardzo żywo obeszło.

Wtem doniesiono nam, że jakaś kobieta chce się widzieć z nami natychmiast. Wahaliśmy się jeszcze, czy ją przyjąć, gdy ona weszła sama. Ubrana była tak, jak się w południowych Indjach ubierają córki bogatych krajowców; twarz, nadzwyczaj piękna, miała wyraz na pół zalękniony, na pół stanowczy. Zerwaliśmy się wszyscy ze zdziwieniem, a Tomasz zbladł i przechyliwszy się przez stół, począł jej się bacznie przypatrywać. Ona zatrzymała się u drzwi ze spuszczoną głową.

— Marto! ty tutaj! — krzyknął wreszcie Woodbell.

Postąpiła naprzód i podniosła głowę. Na twarzy jej nie było już ani śladu wahania lub niepewności; rozlała się na niej natomiast iście południowa, namiętna miłość. Powieki opadły jej ciężko na płomienne, czarne źrenice; usta nieco rozchylone i okrągła pełna broda wysunęły się naprzód. Wyciągnęła ręce ku Tomaszowi i odpowiedziała, patrząc mu w oczy z pod spuszczonych powiek:

— Przyszłam za tobą i pójdę za tobą, choćby na Księżyc!

Woodbell był blady, jak trup. Chwycił się dłońmi za głowę i jęknął raczej, niż zawołał:

— To niemożliwe!

Wtedy ona spojrzała po nas, a poznając snać po wieku, że O'Tamor jest naszym wodzem, rzuciła mu się do nóg tak szybko, że nie miał czasu się cofnąć.

— Panie! — wołała, czepiając się jego odzienia, — panie weźcie mnie ze sobą! Ja jestem kochanką tego waszego towarzysza, kocham

go, wszystkom dla niego porzuciła, niechże on mnie teraz nie porzuca! Dowiedziałam się, że wam brak towarzysza i przyjechałam aż z Indji! Weźcie mnie! ja wam kłopotu nie zrobię, sługą waszą będę! Ja jestem bogata, bardzo bogata, dam wam złota i pereł, ile zechcecie — ojciec mój był radżą w Travancore na Malabarskiem wybrzeżu i wielkie skarby zostawił! Silna też dosyć jestem, patrzcie!

To mówiąc, wyciągała śniade, nagie, okrągłe ramiona.

Varadol się żachnął:

— Ależ do takiej podróży trzeba przygotowania! To co innego, niż podróż parowcem z Travancore do Marsylji!

Na to ona zaczęła opowiadać, jak w tajemnicy przed Tomaszem nawet odbywała te same ćwiczenia, któreśmy robili, licząc zawsze na to, że się jej w ostatniej chwili uda nas ubłagać, byśmy ją wzięli ze sobą. Teraz tylko korzysta ze sposobności, wykonując zamiar zdawna powzięty. Wie od Tomasza, że tam na Księżycu śmierć może znaleźć, ale ona nie chce żyć bez niego! I znowu nas błagała.

Wtedy O'Tamor, milczący do tego czasu, zwrócił się do Tomasza z zapytaniem, czy ją chce wziąć ze sobą, a potem, gdy Woodbell, niezdolny słowa wymówić, skinął głową, położył rękę na bujnych włosach dziewczyny i rzekł powoli i z namaszczeniem:

— Pójdziesz z nami, córko. Może cię Bóg wybrał za Ewę nowemu pokoleniu, oby szczęśliwszemu, niż ziemskie!

Tak mi żywo stoi ta scena w pamięci...

Ale oto Marta mnie woła. Tomasz znowu gorączkuje; trzeba mu dać chininy.

*W dwie godziny później.*

Żar, zamiast ustawać, wzmaga się jeszcze. Posunęliśmy się znów głębiej, aby go uniknąć. Póki nie minie, niepodobna nawet myśleć o dalszej podróży. Strach mnie przejmuje, gdy sobie przypomnę, że mamy do zrobienia blizko trzy tysiące kilometrów, nim się dostaniemy do celu... A kto nam zaręczy, że tam będzie można żyć?... Jeden O'Tamor nie wątpił, ale jego niema już między nami.

Drogomierz na naszym wozie wskazuje, że przebyliśmy już sto sześćdziesiąt siedm kilometrów; policzywszy czas, wypada po jednym



kilometrze na godzinę. A wszak posuwaliśmy się stosunkowo bardzo szybko...

Wyruszyliśmy w cztery godziny po wschodzie słońca, kierując się wprost ku zachodowi. Sądząc, że się znajdujemy na *Sinus Medii*, chcieliśmy się przedostać na płaszczyznę między górami *Sommering* i *Schroter*, a stamtąd, okrążywszy *Sommering* od północy i zachodu, zbliżyć się do równika i wzdłuż niego posuwać się prosto w kierunku pierścienia górskiego *Gambart* i wyższego, dalej ku zachodowi na równiku położonego *Landsberg*.

Grunt był wyjątkowo równy, prawie bez szczelin, to też wóz posuwał się szybko. Nadzieja i ożywienie wstąpiły w nasze serca; było nam ciepło i lekko — jedynie wspomnienie O'Tamora zasępiało na chwilę naszą wesołość. Tomasz był zdrowszy, a Marta, widząc to, promieniała radością. Zaczęliśmy na nowo snuć urocze plany. Droga wydawała nam się niedaleka, trudy niezbyt wielkie. Podziwialiśmy niesłychaną dzikość przepysznego w swej martwocie krajobrazu, lub też staraliśmy się z mapą rozłożoną przed oczyma odgadywać naprzód fantastyczne widoki, które nas czekają. Varadol zaczął przypominać wszystkie badania i dowodzenia O'Tamora, według których odwrotna strona Księżyca ma być krajem, bynajmniej niepozbawionym warunków do życia, a ciekawym i wspaniałym nad wszelki wyraz. Rzeczywiście — mówiliśmy sobie — jeśli tam są takie same góry, jak te, które błyszczą się teraz w słońcu przed nami na widnokręgu, a oprócz tego jeszcze zieloność i woda, to warto zaiste przebyć trzysta ośmdziesiąt cztery tysiące kilometrów, aby kraj ten zobaczyć! Rozmawialiśmy żywo, a Tomasz i Marta, przytuleni, jak zwykle, całem ciałem do siebie, snuli już różowe plany przyszłego życia w tym raju. Nawet Selena, słysząc ożywione głosy, zaczęła szczekać radośnie i skakać po całym wozie wraz z rozbawionemi szczeniętami.

Tak upłynęły trzy godziny i przebyliśmy już około trzydziestu kilometrów, gdy wtem Varadol, który z kolei stał przy sterze motoru, zatrzymał wóz. Przed nami wznosił się nie wysoki obły wał skalisty, ciągnący się od południa ku północnemu zachodowi. Wał można było przebyć z łatwością, ale chodziło o oznaczenie dokładne kierunku, w którym się mamy posuwać. W północno-zachodniej stronie wznosiły się jakieś poszarpane, niebotyczne turnie, któreśmy mieli

za szczyty krateru *Sommering*. Krater ów, jak astronomowie na Ziemi tutejsze obrączkowe góry nazywają, wznosi się wprawdzie tylko na tysiąc czterysta metrów ponad okoliczną równinę, podczas gdy te turnie zdawały się nam bez porównania wyższe, ale przypisywaliśmy to łatwemu do wytłumaczenia optycznemu złudzeniu. Zresztą i to przypuszczenie było możliwe, że spadliśmy z naszym pociskiem w południowo-zachodniej części *Sinus Medii*, na płaszczyźnie, otwierającej się ku szerokiemu półkolu cyrku *Flammariona* i mamy teraz po prawej ręce krater *Mosting* o pokaźnej wysokości 2300 metrów. W każdym razie należało ową górę okrążyć od północy, aby nie zmieniać pierwotnego planu. Woodbell radził, aby zrobić jeszcze raz pomiary astronomiczne dla oznaczenia punktu, w którym się znajdujemy, ale nie chcąc teraz tracić czasu, odłożyliśmy tę robotę do pory gorętszej, kiedy będziemy się musieli zatrzymać z powodu zbyt wielkiego upału. Skierowaliśmy tedy wóz wprost ku północy. Droga stawała się coraz uciążliwszą. Grunt wznosił się zwolna w górę; tu i ówdzie spotykaliśmy szczeliny, które trzeba było wymijać, lub całe pola z litej skały, podobnej do gnejsu, zasypane luźnemi odłamami głazów. Posuwaliśmy się coraz wolniej i z wielkim trudem. W kilku miejscach musieliśmy, przywdziawszy powietrzochrony, wyjść z wozu i torować drogę, odwalając zagradzające głazy. Błogosławiliśmy wtedy małą siłę przyciągania Księżyca, dzięki której wielkie nawet odłamy skał mogliśmy z łatwością poruszyć i usunąć. Bawiła nas nawet początkowo ta robota. Każdy z nas, poruszający ogromne bryły, wydawał się patrzącym nań olbrzymem. Nawet Marta nam pomagała. Tomasz tylko został w wozie przy sterze, zbyt był bowiem osłabiony. Ból w ranach ustał, ale gorączka wracała co chwilę.

Posuwaliśmy się tak kilkanaście kilometrów od punktu, gdzieśmy zawrócili ku północy. Mieliśmy po lewej ręce wciąż szereg drobnych i nadzwyczajnie stromych wzgórz, z poza których sterczały olbrzymie i nieprawdopodobnie przepaściste turnie. Przed nami grunt wznosił się ciągle, a z ogromnego wału, jaki tworzył, sterczał jeden ostry szczyt. Na prawo, ku wschodowi ciągnął się jakiś łańcuch coraz to wyższych gór.

Upłynęło już dwadzieścia cztery godzin od wschodu słońca, kiedyśmy się dostali na gładką płaszczyznę z litej skały, po której można



się było szybcej posuwać. Postanowiliśmy się tutaj zatrzymać dla odpoczynku. Przytem dziwny układ krajobrazu coraz więcej nas nie pokoił.

Byliśmy wszyscy już prawie pewni, że znajdujemy się w jakiejś innej okolicy Księżyca, a nie na *Sinus Medii*. Należało nareszcie zrobić dokładne pomiary dla oznaczenia długości i szerokości księżycowej punktu, w którym się znajdujemy.

Po krótkim posiłku wzięliśmy się zaraz do pracy. Piotr nastawił instrumenta astronomiczne. Środek tarczy ziemskiej odchylony był od zenitu o $6^0$ ku wschodowi i $2^0$ ku północy; znajdowaliśmy się zatem pod $6^0$ zachodniej długości i $2^0$ pd. szerokości księżycowej, to znaczy na krańcu *Sinus Medii*, obok krateru *Mosting*. Co do tego nie mogło być wątpliwości; pomiary były bardzo dokładne.

Postanowiliśmy tedy ruszyć dalej, nie zmieniając kierunku.

Jużeśmy mieli puścić się w drogę, gdy wtem Varadol zawołał:

— A nasza armata! zostawiliśmy armatę!

Istotnie, teraz dopiero przypomnieliśmy sobie, że armata nasza, jedyny i ostatni środek porozumienia się z mieszkańcami Ziemi, została wraz z nabojem i kulą przy grobie O'Tamora. Śmierć jego i pogrzeb tak nas w chwili wyruszenia oszołomiły, że zapomnieliśmy zabrać ze sobą tak cennej dla nas armaty. Była to strata niepowetowana a tem dotkliwsza, że po zerwaniu telegraficznego połączenia, to była ostatnia nić, która nas wiązała z Ziemią. Uczuliśmy się nagle tak bezbrzeżnie osamotnionymi, jak gdybyśmy się o setki kilometrów oddalili w tej chwili znów od globu, który jest już od nas o setki tysięcy kilometrów oddalony.

Pierwszą myślą naszą było wrócić i zabrać zostawioną armatę. Obstawał przytem zwłaszcza Woodbell, utrzymując, że musimy się porozumieć z Ziemią, aby powstrzymano dalsze zamierzone wyprawy, póki nie damy znać, żeśmy znaleźli tutaj warunki do życia.

— Jeśli my mamy zginąć — mówił — pocóż mają ginąć jeszcze i inni. Wszak wiecie, że tam na Ziemi bracia Remogner są gotowi do drogi. Oczekują od nas wieści telegraficznej, ale nasz aparat nie funkcjonuje. Trzeba ich powstrzymać — przynajmniej do czasu.

Jednakże nie łatwo było wrócić. Przedewszystkiem wobec olbrzymiej podróży, jaką mamy przed sobą, każda godzina jest dla

nas droga, gdyż w razie powtarzanych zwłok zapasy żywności i powietrza mogą się wyczerpać, a wtedy bylibyśmy skazani na niechybną zgubę. I tak z powodu choroby O'Tamora musieliśmy się dość długo zatrzymać, a wiedzieliśmy, że jeszcze nieraz upał lub mróz powstrzymają nas w pochodzie na całe dziesiątki godzin. Powtóre, któż z nas mógł zaręczyć, że trafimy do miejsca, gdzie armata została?

Varadol starał się usunąć skrupuły Tomasza. Wszak bracia Remognerzy, mówił, nie wyruszą w drogę, nie otrzymawszy wiadomości od nas. — Zresztą nie wiadomo, czy wystrzelona kula upadnie na Ziemi w takiem miejscu, gdzie ją będzie mógł ktoś znaleźć, a zatem depesza bardzo łatwo może nie dojść do rąk, dla których będzie przeznaczona.

Przypomniała się nam i ta okoliczność, że z armaty, zbudowanej wyłącznie dla pionowego strzału, możemy korzystać tylko w bliskości środka księżycowej tarczy, gdzie Ziemia znajduje się w zenicie nad nami. Na strzał paraboliczny z innego miejsca Księżyca siła naboju nie wystarcza, a choćby wystarczyła, to nie mamy sposobu ustawienia armaty tak dokładnie, abyśmy mogli być pewni, że kula, biegnąc po linii krzywej, mimo to nie ominie swego celu, Ziemi. Tak więc powstrzymawszy jednym strzałem dalsze wyprawy, nie moglibyśmy już potem, posunąwszy się ku krawędzi widocznej z Ziemi księżycowej tarczy, przyzwać drugim strzałem nowych towarzyszy w razie znalezienia pomyślnych warunków do życia. W ten sposób bylibyśmy skazani tutaj na wieczyste osamotnienie. Tymczasem, jeśli się teraz zdarzy, że bracia Remognerzy mimo wszystko przybędą, to przywiozą może ze sobą silniejszy aparat telegraficzny i tak zyskamy towarzyszy i sposób stałego porozumiewania się z mieszkańcami Ziemi.

Te wszystkie względy przemawiały za tem, aby nie tracić czasu na poszukiwanie armaty, w istocie mało dla nas przydatnej. Po krótkiej zwłoce tedy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Upłynęło znów dwadzieścia cztery godzin i mieliśmy już około stu trzydziestu kilometrów drogi poza sobą. Słońce stało już 28° nad horyzontem i ciepło wzmagało się ciągle. Zauważyliśmy przytem ciekawe zjawisko. Podczas gdy ściana wozu oświetlona słońcem była tak rozgrzana, że parzyła niemal, strona od słońca odwrócona zimna



była jak lód. Uczucia mrozu doznawaliśmy także za każdym razem, gdyśmy wjechali w cień jakiegoś cypla skalnego, których coraz więcej spotykaliśmy po drodze. Powodem tych gwałtownych przejść ciepła i zimna jest tu brak atmosfery, która na Ziemi zmniejsza wprawdzie bezpośrednią siłę słonecznych promieni, ale zato ogrzewając się sama, rozprowadza ciepło równomiernie i zapobiega zbyt szybkiemu jego ubytkowi przez promieniowanie.

Z tego samego powodu każdy cień jest tutaj nocą. Światło, w atmosferze nie rozprószone, dociera tylko do tych miejsc, które są wystawione na działanie słonecznych promieni. Gdyby nie refleks rozświetlonych w słońcu gór i światło Ziemi, musielibyśmy za każdym razem, gdy wjeżdżamy w cień, zapalać elektryczne latarnie.

Przebyliśmy już ową pochyłą, gładką płaszczyznę i zaczęliśmy się zwracać ku zachodowi, aby okrążyć domniemany krater *Mosting*. Droga stawała się coraz cięższa i tylko z wielkim trudem i bardzo powoli mogliśmy się posuwać naprzód.

Byliśmy w kraju górzystym i nad wszelki wyraz dzikim. Krajobraz to w niczem niepodobny do alpejskich krajobrazów na Ziemi. Tam wśród grzbietów górskich, łączących ze sobą szczyty, ciągną się doliny, wyżłobione działaniem wody przez przeciąg tysięcy lat; tutaj ani śladu tego wszystkiego. Grunt tu cały jest sfałdowany i podniesiony, pokryty mnóstwem niełączących się ze sobą głębokich kotlin okrągłych o wystających brzegach, albo też gładkiemi, zupełnie luźnemi kopami, dochodzącemi nieraz do znacznej wysokości. Miejsce dolin zajmują głębokie szczeliny, ciągnące się całemi milami, podobne do cięcia olbrzymiego toporu, które w prostym kierunku rozłupało grunt i znajdujące się na nim wzgórza. Nie wątpię ani na chwilę, że są to pęknięcia zastygającej i kurczącej się skorupy Księżyca.

Natomiast nie spotkaliśmy nigdzie ani śladu działania wody, tak przepotężnej na Ziemi erozji. Sądzę też, że ten kraj nigdy nie posiadał powietrza ani wody.

Wobec tego dziwiła nas z początku obecność mnóstwa luźnych głazów, rozsypanych na skalnem podłożu. Ale w kilkadziesiąt godzin później, gdy natężenie upału doszło do granic wprost niemożliwych, przyczyna, krusząca te skały w zastępstwie wody, objawiła nam się

sama. Przejeżdżaliśmy właśnie obok wysokiej skały, z kamienia nadzwyczaj podobnego do naszego marmuru, gdy wtem w naszych oczach oderwał się u jej szczytu głaz o kilkunastometrowej średnicy i runął w przepaść, rozbijając się na grupy piarg. Stało się to wszystko w straszliwej, grozą przejmującej cichości. Z powodu braku powietrza nie słyszeliśmy huku; grunt tylko pod naszym wozem zadrgał, jakby się nagle Księżyc zakołysał na swych panwach.

To wściekły ząb słońca odgryzł kawałek tego kamiennego świata. Skały, ściśnione w nocy mrozem, jak żelazną obręczą, podczas straszliwego upału dnia rozszerzają się od strony, wystawionej na działanie palących promieni. W cieniu ciągle jest chłodno; nierównomierne rozszerzanie się tedy jednolitych bloków musi powodować ich pękanie i kruszenie.

Tymczasem piarg ów ostry, zaścielający ogromne przestrzenie, dał nam się we znaki. Przebywaliśmy takie miejsca, gdzie za pomocą kół wóz nasz nie mógł się zgoła posuwać. Tam zakładaliśmy »łapy«, działające u wozu zupełnie jak nogi u zwierząt i tak podrzucani niemi, przedzieraliśmy się przez złomiska głazów, albo wspinaliśmy się na bystre zbocza.

Mimo licznych prób, dokonywanych na Ziemi z pociskiem zamienionym na wóz, nie mieliśmy wyobrażenia o uciążliwościach podobnej, dłużej trwającej podróży. Jestem przekonany, że gdyby siła przyciągania Księżyca, a co za tem idzie, i ciężkość na nim była tylko o połowę większa, musielibyśmy byli zginąć wśród tych skalisk, niezdolni ruszyć się z miejsca.

Upłynęła już od wschodu słońca trzecia ziemska doba, przez którą posunęliśmy się zaledwie o dwadzieścia kilometrów naprzód. Upał stawał się już nieznośny. W dusznem i rozpalonem powietrzu wozu, wstrząsany wciąż jego ruchami, Woodbell zapadł znów w gorączkę. Rany, otrzymane w chwili upadku pocisku na powierzchnię Księżyca, zaczęły mu znów dokuczać. Szczęście, żeśmy troje przynajmniej wyszli bez szwanku! Dreszcz zgrozy mnie przejmuje na samo wspomnienie owego potwornego wstrząśnienia!

Naprzód, jeszcze w przestworzu, głuchy wybuch min, umieszczonych u dołu pocisku, a mających zmniejszyć chyżość spadku, potem wysunięte jednem naciśnieniem guzika stalowe rusztowanie



ochronne i... Nie! to się opisać nie da! Widziałem tylko w ostatniej chwili, jak Marta, przechyliwszy się na swym hamaku, przycisnęła usta do ust Tomasza. O'Tamor zawołał: *Oto jesteśmy!* — i... straciłem przytomność.

Gdym oczy otworzył, O'Tamor leżał we krwi, Woodbell we krwi, Varadol i Marta zemdleni... Z pogruchotanego rusztowania stalowego zrobiliśmy potem krzyż na grobie O'Tamora...

Chronometry nasze wskazywały dziewięćdziesiąt ośm godzin po wschodzie słońca, kiedy upadając ze znużenia i upału, spostrzegliśmy nareszcie, że się zbliżamy do szczytu wyniosłości, na którąśmy się z takim trudem wdzierali. Przez te cztery ziemskie doby, stanowiące mało co więcej niż czwartą część »dnia« księżycowego, spaliśmy nie wiele, postanowiliśmy tedy zatrzymać się jakiś czas dla odpoczynku. Woodbell zwłaszcza potrzebował snu i spokoju.

Wóz ustawiliśmy w cieniu skały, który nas chronił od upieczenia się żywcem w nieznośnych promieniach słońca, poczem ułożyliśmy się wszyscy do snu. Po dwóch godzinach obudziłem się, pokrzepiony znakomicie. Tamci jeszcze spali. Nie chcąc ich budzić, przywdziałem powietrzochron i wyszedłem sam z wozu, aby zbadać okolicę. Zaledwie wychyliłem się z cienia, doznałem uczucia, jak gdybym się dostał do wnętrza rozpalonej huty. Już nie gorąco, ale wprost żar lał się z nieba; grunt parzył mi stopy nawet przez grube podeszwy powietrzochronu. Musiałem zebrać wszystkie siły woli, aby się nie cofnąć z powrotem do wozu.

Znajdowaliśmy się w płytkiej szyi skalnej, rozdzielającej dwa kopiaste wzgórza z litego głazu i kończącej się wśród nich rodzajem przełęczy, która, o ile mogłem dostrzec z miejsca, gdzie stałem, przechodziła w płaszczyznę, występującą poza owe kopy ku zachodowi. Te kopy zasłaniały mi też widok od północy i od południa. Tylko ku wschodowi widok był rozległy na drogę, którąśmy właśnie przebyli. Patrzyłem na kamieniste pola, pełne kotlin, wyrw, szczelin i szczytów — i wprost nie wierzyłem własnym oczom, żeśmy się przez nie zdołali przedostać z naszym wielkim i ciężkim wozem.

Na Ziemi, przy sześć razy większym ciężarze, byłoby to absolutnem niepodobieństwem.

W tej chwili uczułem, że mnie ktoś trąca. Obejrzałem się: za

mną stał Varadol i dawał jakieś rozpaczliwe znaki. Jak ja wyszedł z wozu w powietrzochronie, ale nie wziął ze sobą rury do mówienia, więc nie mogliśmy się porozumieć. Widziałem tylko, że był blady i czemś ogromnie zmieszany. Przypuszczałem, że Tomaszowi zrobiło się gorzej i pędem pobiegłem do wozu. On poszedł za mną.

Zaledwie, znalazłszy się w wozie, zrzuciliśmy powietrzochrony, gdy Varadol rzekł, nachylając się ku mnie:

— Nie budź tamtych i słuchaj: stała się rzecz straszna, pomyliłem się.

— Co? — zawołałem, nierozumiejąc jeszcze o co mu chodzi.

— Myśmy spadli nie na *Sinus Medii.*

— Więc gdzież jesteśmy?

— Pod *Eratosthenesem*, na przełęczy, łączącej ten krater z księżycowym *Apeninem.*

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Wiedziałem ze zdjęć fotograficznych powierzchni Księżyca, robionych na Ziemi, że grzbiet górski, na którym się znajdujemy, urywa się niemal prostopadle ku położonej na zachodzie olbrzymiej równinie *Mare Imbrium.*

— Jakże my stąd zejdziemy! — zawołałem w przerażeniu.

— Cicho. Bóg jeden raczy wiedzieć. Moja wina. Upadliśmy na *Sinus Aestuum.* Patrz...

Tu podsunął mi mapę i kartki, zapisane szeregiem cyfr.

— Czy się tylko nie mylisz? — odezwałem się...

— Tym razem nie mylę się, niestety! I tamte pomiary były dokładne, zapomniałem tylko, że wówczas Ziemia nie mogła się znajdować w zenicie ponad środkiem księżycowej tarczy. Wszak wiesz, że Księżyc podczas obrotu naokoło osi podlega małym wahaniom, tak zwanym libracjom, wskutek czego Ziemia nie wydaje się całkowicie nieruchomą na niebie, lecz zakreśla maleńką elipsę. Otóż ja zapomniałem wziąć poprawki z tego jej wychylenia od zenitu i dlatego oznaczyłem według jej położenia fałszywie długość i szerokość księżycową punktu, w którym robiłem pomiary. Teraz możemy za to wszyscy zapłacić życiem!

— Uspokój się, — rzekłem, choć drżałem sam na całem ciele. — Może się nam uda ocalić.

Zaczem wzięliśmy się razem do sprawdzania obliczeń. Tym



razem nie było zgoła wątpliwości. Po zrobieniu koniecznej poprawki okazało się, że spadliśmy na *Sinus Aestuum* pod $7^0$ 35' z. dł., a $13^0$ 8' pn. szer. księżycowej. Posuwaliśmy się cały czas wzdłuż stromych wzgórz u stóp olbrzymiego *Eratosthenesa*, mając przed sobą niewielki, lecz nadzwyczajnie bystry krater bez nazwy, tkwiący już w trzonie poczynającego się tu *Apeninu.* Obecnie znajdowaliśmy się pod $11^0$ z. dł., a $15^0$ 51' pn. szer. księżycowej.

Oznaczyliśmy sobie ten punkt na mapie Księżyca. Według mapy, przełęcz, którąśmy mieli o kilkaset kroków przed sobą, wznosi się 962 m. nad poziom *Mare Imbrium.*

Jest to rzecz zadziwiająca, że podczas, gdy astronomowie ziemscy mogą z odległości setek tysięcy kilometrów z łatwością obliczyć wysokość każdej góry księżycowej, mierząc w teleskopie długość cienia, jaki rzuca, my znajdując się na tej górze, musieliśmy się uciekać do pomocy mapy, sporządzonej na Ziemi, aby wiedzieć jakie jest jej wzniesienie. Brak takiej atmosfery, którąby mogła być wzięta w rachubę, uniemożliwiał dokonywanie barometrycznych pomiarów wysokości. Zmiana, jakąśmy zauważyli w barometrze, zasadzała się na tem, że rtęć w rurce opadła tak, iż się zrównała prawie z powierzchnią cieczy w naczyniu. Na tej wysokości, gdzieśmy się znajdowali, była próżnia niemal absolutna.

Tomasz i Marta zbudzili się wkrótce. Niepodobna było ukrywać przed nimi istotnego położenia. Powiedziałem im tedy jak najogłędniej, jak rzeczy stoją. Nie wywarło to na nich zbyt silnego wrażenia. Tomasz zmarszczył się tylko i przygryzł wargi, a Marta, o ile mogłem wnosić z jej zachowania się, nie zdawała sobie dobrze sprawy z grozy położenia.

— To cóż, — odezwała się, — zjedziemy, jakeśmy wyjechali, albo się wrócimy.

Zjedziemy, jakeśmy wyjechali! mój Boże! Wszak to, żeśmy trafili na drogę, która nas tu wywiodła, było czystym przypadkiem! A wracać się? — tyle trudów i tyle godzin straconych?...

Postanowiliśmy wreszcie udać się na ową przełęcz, aby zobaczyć, czy się z niej nie da spuścić na równinę *Mare Imbrium.* Wóz ruszył z miejsca i za kilkanaście minut znajdowaliśmy się nad przepaścią!

Osłupieliśmy wobec widoku, który się przed nami nagle otworzył. Skała urywała się u nóg naszych niemal prostopadle, a tam w dole, tysiąc metrów niżej, rozciągała się jak okiem zasięgnąć nieprzejrzana równina *Mare Imbrium*, z rozrzuconemi po niej z rzadka szczytami. Brak perspektywy powietrznej sprawiał, że góry nadzwyczaj nawet odległe, rysowały się wyraźnie naszemu oku, odbijając swą niesłychaną lśniącą białością od zupełnie czarnego tła gwiaździstego nieba. Widok zaiste czarodziejski; na chwilę zapomnieliśmy nawet o grozie położenia.

Na widnokręgu ku północy sterczał przed nami wśród niezmierzonej płaszczyzny, jak wyspa wśród morza, majestatyczny krater *Timocharis*, oddalony od nas czterysta kilometrów, a wysoki na siedm tysięcy stóp.

Na Ziemi góry zdala widne przybierają z powodu nieprzeźroczystości powietrza barwę sinawo-błękitną; tutaj szczyt ów wyglądał w słońcu jak do białości rozpalona stal z grubemi, czarnemi pasami cieniów i lśniącemi się czerwono żyłami ciemniejszych skał. Nieco ku zachodowi również wyraźnie szczerbiła się na niebie piła niższego odeń i więcej jeszcze oddalonego krateru *Lambert*. Od samego zachodu ograniczały widnokrąg liczne drobne wyniosłości i skały, łączące się z trzonem znacznie nam bliższego łańcucha księżycowych *Karpat*, ograniczających *Mare Imbrium* od południa.

Poza tym łańcuchem, ciągnącym sią w kierunku promienia naszego widzenia, od południowego zachodu wznosiły się w dali na niższych wzgórzach oparte, nieprawdopodobnie olbrzymie turnie *Kopernika*, jednej z największych gór Księżyca. Jeślim powiedział, że *Timocharis* błyszczał jak stal rozpalona, to nie mam już porównania na określenie światła, jakie biło z odległości setek kilometrów od owego potężnego pierścienia skał, mierzącego dziewięćdziesiąt kilometrów średnicy!

Na północnym wschodzie sterczały z za licznych wzniesień w niezmiernej oddali same szczyty szerokiego cyrku *Archimedesa*. Widok od wschodu i od południa mieliśmy zamknięty, z jednej strony niebotycznem pasmem księżycowego *Apeninu*, z drugiej przepaścistym *Eratosthenesem*, łączącym się z *Apeninem* przełęczą, na której właśnie staliśmy.



A w tych ramach *Morze Dżdżów*. Jakąż straszną ironją wydała nam się ta nazwa, przez starych ziemskich astronomów wymyślona! Pustynia straszliwa, sucha, zimno-szara, poorana tu i owdzie potwornemi szczelinami, wydęta w lekkie, podłużne garby, ciągnące się od świetnego *Timocharisa* na widnokręgu ku *Eratosthenesowi*. Nigdzie ani śladu życia, ani odrobiny zieleni! W słońcu tylko, u stóp olbrzymich odległych kraterów, lśniły się gdzieniegdzie świetne, do pasm drogich kamieni podobne, żółte, czerwone i stalowo-sine żyły jakichś pokładów...

Patrzyliśmy przed siebie w milczeniu, nie wiedząc, jaką obrać drogę. Dostawszy się na płaszczyznę *Morza Dżdżów*, mielibyśmy przed sobą przestrzeń, po którejbyśmy mogli raźno się posuwać; ale w tem była cała trudność, jak się na nią dostać? jak się spuścić z owej tysiąc metrów wysokiej prostopadłej ściany?

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy piechotą ku południu, w tej nadziei, że się nam może uda znaleść drogę po zboczu krateru *Eratosthenesa*. Szliśmy po wązkiej płaszczyźnie, wciśniętej między skały a przepaść, otwierającą się ku *Mare Imbrium*. W jednem miejscu przejście było tak wązkie, że chcieliśmy już zawrócić, zwątpiwszy, aby się nam udało tędy przedostać z wozem. Na szczęście Marta, która nam towarzyszyła, przypomniała, że posiadamy pewien zapas min, któremi będzie można z łatwością rozsadzić niewielki zastępujący nam próg skalny. Ominęliśmy go tedy, przeciskając się ponad zawrotną przepaścią i poszliśmy dalej. Teraz grzbiet górski, znacznie rozszerzony i płaski, podnosił się zwolna ku górze. Szliśmy wciąż ku południu; na prawo i na lewo piętrzyły się już potworne turnie pierścienia *Eratosthenesa*.

Po upływie pół godziny od chwili okrążenia owego progu, stanęliśmy zatrzymani nową przepaścią, która się tak niespodziewanie otworzyła pod naszemi nogami, że Piotr, który szedł naprzód i pierwszy się wdarł na zasłaniający ją przed naszym wzrokiem próg, skoczył w tył z okrzykiem przestrachu. Zaiste trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego nad widok, jaki się roztaczał teraz przed nami.

Posuwając się wciąż w południowym kierunku, dostaliśmy się, nie wiedząc o tem, w głęboką szczerbę wyrzniętą już w samej grani *Eratosthenesa*. Na prawo i na lewo piętrzyły się poszarpane turnie,

z których jedna lśniąco biała w słonecznym blasku, druga w cieniu całkiem niemal czarna. A przed nami... nie! któż to opisać zdoła! — przed nami otchłań! czeluść bezdenna i niewypowiedziana, coś tak potwornego, wprost tak drapieżnego w niesłychanym majestacie grozy, ogromu i martwoty, że teraz jeszcze dreszcz paraliżującej trwogi mnie przechodzi, gdy sobie o tem przypomnę!

Przed nami było wnętrze krateru *Eratosthenesa.*

Potężny wał górski, najeżony jak piła szczytami, zataczał tu krąg zamknięty o średnicy kilkudziesięciu kilometrów, tworząc w ten sposób rozległą kotlinę, najstraszniejszą zapewne, jaką kiedykolwiek widziało ludzkie oko. Turnie, wznosząc się przeszło na cztery tysiące metrów ponad dnem tej przepaści, spadały ku niej prawie pionowo, we wściekłych jakichś podrzutach. Wyglądało to, jakby w otchłań waliły w skoku zastygłe, o iglice poszarpane kamienne kaskady. Kotlina, zagłębiona jakie dwa tysiące metrów w stosunku do poziomu oddzielonej od niej wałem równiny *Mare Imbrium*, wydawała nam się znacznie jeszcze głębszą z powodu olbrzymich gór okolicznych i grubych cieniów, które ją w całości prawie zalegały. Z dna jej sterczało kilka odosobnionych, z rzadka rozsianych stożkowych szczytów, dochodzących połowy wysokości okolicznego wału. Patrzyliśmy na nie z góry naszego kamiennego okna. Z paru z nich wybuchały co pewien czas niewielkie obłoki ciemno-szarego dymu, opadające w tej chwili z powodu braku atmosfery i rozścielające się płasko u ich podnóża jak popiół. Nie było wątpliwości, że mieliśmy jeszcze niewygasłe wulkany przed sobą.

Jaskrawe przeciwieństwa światła i cieniów wzmagały jeszcze uczucie grozy. Cały wschodni brzeg wnętrza tonął w grubym mroku, zlewając się w jedną tajemniczą i ciemną oponę z czarnem niebem u góry; brzeg zachodni za to iskrzył się w słońcu białą ścianą, porysowaną ciemnymi żlebami i zjeżoną mnóstwem nieprawdopodobnych iglic, jak gdyby kościanych wieżyc, widniejących na tle czarnych plam cienia. Od południa wał z powodu odległości wydawał się niższy i był podobny do najeżonej kolcami bramy tej strasznej czeluści. U stóp naszych — zawrotna przepaść.

A nad tem wszystkiem, po czarnem, niemigotliwemi gwiazdami zasianem niebie, szło ogniste bezpromienne słońce, coraz bliższe Ziemi, która lśniła trupim blaskiem, wygięta w wązki, ostry sierp, zawieszony nad tym padołem, jakby znak śmierci.



Mimowoli w uszach zaszumiały mi słowa Danta:

*Vero è che in su la proda mi trovai*
*della valle d'abisso dolorosa...*

I na przypomnienie tych słów w mózgu moim, osłabłym ze znużenia, upału i przestrachu, zaczęła się budzić wizja dantejskiego piekła, które zaiste nie mogło być straszliwszem od tego co miałem przed oczyma! Poruszające się na dnie olbrzymiego kotła dymy zdały mi się korowodami potępieńczych duchów, wirujących około potwornej postaci Lucyfera, którego kształty przybrał w mych oczach jeden z wulkanicznych stożków... Pełno duchów, straszna procesja potępieńców. Snują się wszędzie, po skalistych stokach czeluści płyną ogromną falą, zsuwają się w głąb żlebami, przewalają się, kotłują, cisną. Niektóre chcą się wznieść w górę, na świat, na słońce, — odrywają się od dna całemi chmurami i opadają znowu jak ołowiane pary na miejsce wieczystej kaźni...

A wszystko odbywa się w takiej strasznej, dreszczem przejmującej głuszy...

Świat zaczął mi w głowie wirować; czułem, że jestem blizki utraty przytomności.

Wtem doleciał mnie płacz. Byłem tak oszołomiony, iż w pierwszej chwili sądziłem, że istotnie słyszę głos potępieńców.. Ale tym razem nie była to wizja. Rzeczywiście słychać było płacz przez rurę, łączącą głowy naszych powietrzochronów.

Oprzytomniałem nieco i spojrzałem dokoła. Woodbell, oparty plecami o skałę, stał blady ze spuszczoną głową; Varadol, podobny z ruchów do dzikiego zwierza na uwięzi, chodził niespokojnie o ile mu grunt i długość rury na to pozwalały i rozglądał się, jak gdyby szukał wśród tych turni drogi i wyjścia. Marta klęczała na ziemi z czołem przy kolanach i trzęsła się od łkania, przestrachem i najwyższem podrażnieniem nerwów wywołanego.

Niezmierną litością zdjęty zbliżyłem się ku niej i oparłem zwolna dłoń na jej ramieniu. Wtedy ona z jakąś dziecięcą skargą zaczęła wołać, jak w ową pamiętną długą noc przed śmiercią O'Tamora:

— Na Ziemię! na Ziemię!

Taka głęboka, przejmująca rozpacz była w jej głosie, że nie mogłem znaleźć słowa, aby ją pocieszyć. Zresztą, jak to zrobić? — położenie nasze było istotnie rozpaczliwe. Zwróciłem się do Varadola:

— Co teraz będzie?

Piotr ruszył ramionami.

— Nie wiem... śmierć. Wszak stąd zejść niepodobna.

A gdyby wrócić, — wtrąciłem.

— O tak! wrócić, wrócić! — łkała Marta.

Varadol zdawał się płaczu jej nie słyszeć. Patrzył przez chwilę przed siebie, a potem odpowiedział, zwracając się do mnie:

— Wrócić... chyba po to, aby, straciwszy wiele drogiego czasu, spotkać na innej drodze podobną znów do tej przeszkodę. Patrz! — tu odwrócił się twarzą ku północy i wskazał okiem nieprzejrzaną równinę *Mare Imbrium*, leżącą poza nami — gdybyśmy się mogli tam dostać, mielibyśmy względnie równą drogę przed sobą — ale tam się nie dostaniemy... Chyba na łeb...

Spojrzałem we wskazanym kierunku. *Morze Dżdżów*, gładkie, oświetlone słońcem, wydało mi się rajem — zwłaszcza w porównaniu ze strasznem wnętrzem *Eratosthenesa*. Poczynało się tuż prawie u naszych stóp, zda się, tak blizkie, że dość skoczyć, aby się tam znaleść. Dzieliło nas jednak od upragnionej równiny tysiąc metrów pionowej skały nie do przebycia!

Zbiliśmy się wszyscy w kupkę i poczęliśmy patrzyć z niewypowiedzianem pożądaniem na tę przestrzeń, mogącą nas zbawić. Nie czuliśmy znużenia ani gryzących promieni słońca, które już połową tarczy wyjrzało z za krawędzi skalnej nad nami. — Po chwili Piotr powtórzył:

— Tam się nie dostaniemy...

Odpowiedział mu głośny, spazmatyczny płacz Marty, która niezdolna już była panować nad sobą.

Varadol żachnął się niecierpliwie:

— Milcz! — krzyknął, chwytając ją za ramię, — bo cię stąd strącę! Dość mamy kłopotu!

Wtedy nagle Tomasz wysunął się naprzód:



— Daj pokój — i ty nie płacz; dostaniemy się na *Mare Imbrium*. Wracajmy po wóz.

Tyle było stanowczości i pewności siebie w tych spokojnie, choć dobitnie powiedzianych słowach, że zwróciliśmy się na miejscu, aby wykonać rozkaz, nie śmiejąc sprzeciwić się ani pytać.

Woodbell nas jeszcze zatrzymał.

— Patrzcie, — mówił, wskazując zewnętrzne, ku *Morzu Dżdżów* opadające stoki *Eratosthenesa*, — widzicie tę grań, tu o pięćdziesiąt metrów niżej poczynającą się u stóp urwistej ściany? O ile można stąd ocenić, opada dość łagodnie aż ku płaszczyźnie; tędy zdołamy zjechać na dół...

— Ale ta ściana... — szepnąłem mimowoli, poglądając na prostopadle urwaną skałę, która nas dzieliła od rozłożystego grzbietu grani, poprzednio nie dostrzeżonej.

— Głupstwo! jesteśmy przecież wprawni w spinaniu się po skałach! obejdziemy ją bokiem z łatwością. A wóz?... wóz zepchniemy naprzód, uwiązawszy go na linach. Nie zapominajcie, że jesteśmy na Księżycu, gdzie ciała są sześć razy lżejsze, a spadek z wysokości pięćdziesięciu metrów znaczy tyle, co z wysokości ośmiu na Ziemi!

Uczyniliśmy według rady Tomaszowej.

W sto dziewięć godzin po wschodzie słońca poczęliśmy zjeżdżać po stromem zboczu *Eratosthenesa*, aby się dostać na *Mare Imbrium*. Prawie całe trzy ziemskie doby trwało owo spuszczanie się w dolinę, tuż u naszych stóp leżącą. Większą część drogi przebyliśmy pieszo, prażeni nielitościwemi, coraz więcej prostopadłemi promieniami słońca, upadając ze znużenia i wysiłku.

Wóz wypadło istotnie stoczyć na linach w przepaść z wysokości kilkudziesięciu metrów. Jemu to nie zaszkodziło, ale psy zamknięte w nim potłukły się mocno, mimo wszelkich z naszej strony ostrożności. Parę razy zatrzymywaliśmy się, straciwszy całkowicie nadzieję, aby się nam udało z życiem zejść w dolinę. Grań nie była drogą tak wygodną, jak nam się to z góry i zdala wydawało. Poprzerywana piętrami i rozpadlinami zmuszała nas do nawrotów i okrążań, tem trudniejszych, że wszędzie musieliśmy wóz wlec za sobą, albo spuszczać go naprzód po linach. Często rozpacz nas ogar-

niała. Wtedy Woodbell, choć osłabiony gorączką i ranami, okazywał najwięcej przytomności i siły woli. Jeżeli żyjemy i żyć będziemy, jemu to mamy do zawdzięczenia.

Przez te trzy doby, nie wiem czyśmy spali więcej, niż dwanaście godzin, wyszukując za każdym razem miejsca jak najwięcej zacienione, aby się uchronić od upieczenia żywcem w promieniach słońca. Chwilami upał odbierał nam wprost przytomność.

Było właśnie księżycowe południe i słońce stało prostopadle nad naszemi głowami obok czarnej kuli Ziemi w nowiu, otoczonej krwawą obwódką nasyconej światłem atmosfery, kiedyśmy wyczerpani do ostatecznych granic stanęli wreszcie na płaszczyźnie.

Upał był tak potworny, że dech nam w piersiach zapierało, a krew przysłaniała oczy i waliła w skroniach młotami. Już i cień nie dawał ochrony! rozżarzone skały zionęły zewsząd ogniem, jak czeluść hutniczego pieca.

Selena ziajała gwałtownie z wywieszonym językiem, szczenięta skomliły żałośnie rozciągnięte bez ruchu w kącie wozu. Z nas co chwilę ktoś popadał w omdlenie; zdawało się, że śmierć nas spotka u wstępu do tak upragnionej równiny!

Trzeba było uciekać przed słońcem, — ale dokąd?

Wtedy Marta przypomniała, żeśmy schodząc z góry widzieli głęboką szczelinę, którą snadź teraz nierówności gruntu zasłaniają przed nami. Ruszyliśmy tedy we wskazanym kierunku i istotnie po godzinie szybkiej jazdy, która się nam rokiem wydała, natrafiliśmy na ową szczelinę. Jest to wądół o pionowych ścianach, utworzony przez pęknięcie skorupy księżycowej, do tysiąca metrów głęboki a na paręset szeroki, zresztą w niczem nie podobny do ziemskich wąwozów i jarów.

Ciągnie się, o ile możemy stąd ocenić, dziesiątki kilometrów równolegle do pasma *Apeninu*. Na mapach Księżyca nie jest naznaczony; uszedł zapewne uwagi astronomów z powodu cienia, w jakim prawie zawsze musi być pogrążony, leżąc w blizkości wysokich gór.

Dla nas ta szczelina stała się ocaleniem. Natrafiwszy na miejsce, w którem się poczyna, zjechaliśmy bystro w jej głąb i tu do-



piero, tysiąc metrów pod powierzchnią *Mare Imbrium*, znaleźliśmy trochę chłodu...

Sen pokrzepił nas znakomicie. Tomasz tylko, którego trzymała dotąd żelazna siła woli, zapadł znów w gorączkę. Jest tak osłabiony, że się ruszać nie może. Mimo to za jakie dwadzieścia godzin puścimy się w dalszą drogę. Słońce poczyna się od zenitu przechylać ku zachowi. Tam na równinie upał musi być wciąż jeszcze straszliwy, ale w każdym razie nie taki, jak przed kilkudziesięciu godzinami. Zresztą my po odpoczynku łatwiej go znieść zdołamy.

Po głębokiej rozwadze zmieniliśmy plan podróży. Zamiast na zachód, zwrócimy się wprost na północ, ku biegunowi Księżyca. Zyskujemy na tem podwójnie. Przedewszystkiem mamy przed sobą przeszło tysiąc kilometrów względnie równej i dobrej drogi przez płaszczyznę *Mare Imbrium*, co przyspieszy znacznie podróż. Powtóre zbliżając się ku biegunowi, dostajemy się w okolice, gdzie słońce nie stoi we dnie tak wysoko nad horyzontem, ani tak głęboko w nocy pod horyzont nie zapada; spodziewamy się więc spotkać tam znośniejszą temperaturę. Jedno bowiem jeszcze takie południe jak dzisiaj, — a śmierć nasza byłaby nieuchronna.

*Na* Mare Imbrium, *340 godzin po wschodzie słońca.*

Dzień się już ma ku schyłkowi. Wkrótce, za czternaście i pół godziny, zajdzie słońce, które teraz stoi nad dalekiemi obłemi wzgórzami na zachodzie, wzniesione zaledwie kilka stopni ponad horyzont. Wszystkie nierówności terenu, każdy głaz, każda mała wyniosłość — rzucają długie, nieruchome cienie, krające w jednym kierunku tę olbrzymią płaszczyznę, na której się znajdujemy. Jak okiem zasięgnąć — nic, tylko pustynia bezbrzeżna, śmiertelna, zorana w długie kamienne skiby z południa ku północy, po których na poprzek czernią się owe pasy cieniów... Daleko, daleko na widnokręgu sterczą najwyższe iglice szczytów, widzianych z *Eratosthenesa* a teraz kulistością księżycowej bryły przed nami u podstawy zasłoniętych.

W miarę, jak się oddalamy od równika, szklana Ziemia nad nami przechyla się od zenitu ku południu. Dopełnia się teraz do

pierwszej kwadry i świeci jasno — jak siedm księżyców w pełni. Tam, gdzie słabnący blask słońca nie dochodzi, srebrzy się jej upiorna poświata. Mamy dwa światła niebieskie, z których jedno, silniejsze, wydaje się przez kontrast żółte, a drugie sine. Cały świat jest napoły jaskrawo żółty i napoły szaro-siny. Gdy spojrzę na wschód, żółci się pustynia i żółcą się odległe szczyty *Apeninu* księżycowego; od zachodu, pod brylantowe słońce, wszystko jest zimne, sine i mroczne. A nad dwubarwną pustynią ciągle to niebo z czarnego aksamitu pełne różnokolorowych drogocennych kamieni, zadęte bajecznym tumanem drobnego złotego piasku...

Noc się przybliża. Wysłała już swego zwiastuna, jedynego jaki jej pozostał na tym świecie, pozbawionym zmierzchu i wieczornej zorzy... Chłód idzie przed nią po pustyni, przysiada w każdej szczelinie, w każdym cieniu i czeka cierpliwie, rychło żółwie słońce zczołga się z firmamentu i ześlizgnie z pustyni, pozostawiając jemu i nocy samowładne królowanie...

Póki jesteśmy w pełnym blasku, nie domyślamy się nawet jeszcze obecności tego przybysza, ale w cieniu przejmuje nasze rozgrzane ciała lekki dreszcz, mówiący o jego blizkości...

W zamkniętym naszym wozie nie jest już tak duszno i wszystkim nam jakoś rzeźwiej i weselej. Varadol pełen nadziei snuje znów plany lub bawi się ze suką i szczeniętami; Woodbel jest znacznie zdrowszy, — rozmawia teraz z Martą, stojąc przy sterze. Gdy podniosę nieco wzrok od papieru, widzę ich dwoje. Martę zwłaszcza widzę wyraźnie. Jest do mnie bokiem zwrócona i śmieje się teraz. Dziwnie się śmieje. Usta jej przybierają taki kształt, jak gdyby całowały powietrze. Tego uśmiechu pełne ma oczy i pełną pierś, która się wznosi drobnemi, szybkiemi ruchami. Podczas upału dnia pierś miała odsłoniętą; za gorąco było nawet dla niej, którą opaliło indyjskie słońce. Teraz okryła się pod szyję. Nie wiem dlaczego, szukam mimowoli wciąż oczyma tej przepysznej, smagłej a tak ciepłej w kolorycie piersi i dziwnie mi czegoś brakuje, gdy jej nie widzę. Nie potrzebnie myślę tak wiele o tej kobiecie, ale jej tu jest naprawdę pełno. Od czasu jak śmierć oddaliła się nieco od naszego wozu, cała jego szczupła atmosfera jest nią przesiąknięta. — Nawet Varadol — niby igra z psami, a wiem, że patrzy na nią ukradkiem.



Gniewa mnie to. Czemu Tomasz nie zwraca na to uwagi? A zresztą — cóż mnie to obchodzi...

Już przeszło od sześćdziesięciu godzin jesteśmy w drodze. Wóz posuwa się ciągle. Śpimy na zmianę podczas jego ruchu i teraz podczas ruchu piszę. Zatrzymaliśmy się tylko trochę, aby nabić na nowo akumulatory naszego motoru elektrycznego. Dla oszczędności paliwa, którego będziemy w nocnym mrozie wiele potrzebowali, puściliśmy maszynę w ruch za pomocą rozprężającego się zgęszczonego powietrza. Akumulatory musimy nabijać, bo same baterje przy szybkiej jeździe nie wystarczają.

A posuwamy się ciągle szybko naprzód, o ile tylko teren na to pozwala. Znaczne nierówności gruntu nie pozwoliły nam wziąć się odrazu ku północy po wydostaniu się ze *Szczeliny Zbawienia.* (Tak nazwaliśmy ów wądół pod *Eratosthenesem*, gdyż zbawił nas istotnie chłodem od śmierci). Pod 12° z. dł. natrafiliśmy na jedną z owych smug świetlnych, które jak promienie rozchodzą się od góry *Kopernika* na setki kilometrów naokoło. Smugi te w słabszych nawet teleskopach ziemskich dokładnie widoczne, zadziwiały zawsze astronomów. Są to, jakeśmy się przekonali naocznie, kilkanaście kilometrów szerokie pasy na szkliwo stopionej skały. Nie umiem sobie wytłumaczyć powstania tych dziwnych utworów... Wogóle wiele tu jest dla nas zagadką nawet z tych rzeczy, które niemal dotykamy rękami. — Jak powstała owa płaszczyzna, wśród której się znajdujemy, jak powstały te pierścienie górskie o kilkudziesięciu a nieraz i kilkuset kilometrach średnicy i wale wzniesionym na kilka tysięcy metrów? To pewna, że nie są to wygasłe kratery wulkanów, jak niegdyś na Ziemi sądzono. Zajrzeliśmy do wnętrza *Eratosthenesa* i widzieliśmy tam wulkaniczne stożki, nie różniące się niczem od ziemskich wulkanów, ale sam ten ogromny pierścień zaiste nie był kraterem nigdy! Przemawia przeciw temu, — pomijając jego potworne rozmiary — i rodzaj skały, z której wał jest utworzony i zaklęśnięcie dna poniżej powierzchni otaczających go równin i wiele innych rzeczy, które mieliśmy sposobność stwierdzić własnemi oczyma.

Zdaje się, że aby zrozumieć te zadziwiające formacje, trzeba się cofnąć myślą do zamierzchłych okresów, kiedy Księżyc był jeszcze płynną, rozpaloną kulą, zastygającą dopiero na powierzchni

w zimnych przestworach międzygwiaździstych. Wtedy to potworne, wprost siłę ludzkiej wyobraźni przechodzące wybuchy gazów, pochłoniętych przez płynną masę, a teraz podczas jej stygnięcia wydzielanych, wydymały jego jeszcze podatną powierzchnię i tworzyły jakby olbrzymie bąble i bańki. Bąble te pękając, zastygały równocześnie, nim spłynęły całkowicie w otaczającą je równinę. Jako ich ślad pozostały właśnie te obrączkowe góry. Słońce poprzegryzało w nich potem szczyty, poszczerbiło je i poszarpało; siły wulkaniczne wysadziły we wnętrzu niektórych z nich stożkowe kratery — i oto jakie są dzisiaj, nie zniszczone wszystko niwelującą na Ziemi wodą, świadczące o twórczej potędze we wszechświecie, dla której planetarne bryły i słońc ogniste kule są tylko posłusznym materjałem w olbrzymim tyglu wieczystego stawania się.

Tak żywo o tem wszystkiem mówią mi wielkie góry i drobne, często po drodze spotykane a na ich podobieństwo utworzone kotlinki, że gdy się wpatrzę w otaczający mnie krajobraz, to mi się zdaje chwilami, że te od słońca jaskrawo-żółte głazy, to masa jeszcze żarząca się, płynna i niemal żywa; zdaje mi się, że wnet pocznie płaszczyzna cała jak morze falować, giąć się i wzdymać, rość, pęcznieć i pod parciem wewnętrznych gazów bryzgać ku czarnemu niebu pierwotną lawą, tężejącą w góry pierścienne a olbrzymie.

A ileż to setek tysięcy wieków od owych czasów minęło! Skorupa Księżyca zastygła i popękała, kurcząc się ciągle; jakieś tajemnicze siły ogniowe powypalały w niej ogromne promienne smugi zeszklonego kamienia i tu, gdzie niegdyś hasały rozpętane, zmagające się twórcze siły, cisza jest teraz i martwota tak straszliwa i ostateczna, że nas aż dziwi i wstydzi wśród niej własne życie...

Do tej chwili posuwamy się ciągle po owej jasnej smudze, utworzonej przez żyłę szkliwa, idącą od *Kopernika*. Stanowi ona dla nas wygodną i równą drogę. Kierunek jej północno wschodni jest nam bardzo na rękę, gdyż zawiedzie nas prosto na płaszczyznę między *Archimedesem* a *Timocharisem*, którą przebyć nam trzeba. *Archimedesa* nie widno wcale teraz, gdy jesteśmy na płaszczyźnie. W stronie, gdzie się powinien znajdować, stoją tylko przed nami drobne, strome wyniosłości, podobne do górzystej wysepki wśród morza. Jest to zapewne grupa »kraterów«, wznosząca się pod $11^0$ z. dł., a $19^0$ pn. szer. księżycowej. Spodziewamy się wyminąć ją przed zachodem słońca. A potem na północ, wciąż na północ, byle dalej od tej straszliwej strefy, gdzie obok złowieszczego sierpa Ziemi wprost nad głowami wspina się w zenicie zabójcze słońce, jak rumak rozszalały, ognisty i wściekły. O! bo to nie jest nasze ziemskie, życiodajne słońce, ta leniwa kula biała i bezpromienna! — to jakiś bóg zachłanny i szyderczy, bóg niszczyciel i pożerca! A nas czworo, to jedyne żywe ofiary, jakie sobie upatrzył na tej płaszczyźnie śmierci! Musimy mu ujść, nim po raz drugi wypłynie na czarny, złotem wyszyty całun firmamentu.



Przerywam pisanie. Varadol, który zluzował Tomasza, woła od motoru, że na mnie teraz kolej stanąć przy sterze wozu. Tamci już śpią. Marta, jak zwykle, z hamaku swego wychylona z głową na piersi tego — jedynego wśród nas szczęśliwego człowieka!

*Pierwszego dnia księżycowego, 4 godz. po zach. słoń., na* Mare Imbrium *10° z. dł., 20° 28' pn. szer. księż.*

Już się tedy zaczęła noc, długa — dla której ziemskie doby są cząstkami mniejszemi, niż godziny dla ziemskiej nocy. Ziemia, przechylająca się wciąż ku południu, świeci nad nami, jak wielki jasny zegar. Z posuwania się cienia po jej tarczy możemy z łatwością oznaczyć porę. Była o zachodzie w pierwszej kwadrze, o północy będzie w pełni i znów będzie w kwadrze o wschodzie słońca. Rolę minutowej wskazówki na tym niebieskim zegarze odgrywają części świata. Po zachodzeniu ich w cień, możemy poznać godziny, które są jakby minutami dla naszej siedmset-dziewięciogodzinnej doby.

Po zachodzie słońca zrobiło się zimno tak nagle, że doznaliśmy uczucia, jakbyśmy z łaźni parowej skoczyli wprost do basenu z lodowatą wodą. Zachód słońca zgotował nam wspaniałą niespodziankę: oczekiwaliśmy po nim natychmiastowej nocy, a tymczasem długi czas trwało jeszcze dziwne jaśnienie, kłócące się z blaskiem Ziemi, a podobne nieco do naszych zmierzchów.

Skończyła się była właśnie owa smuga szkliwa, która nas wio-

dła przeszło sto kilometrów, kiedyśmy wyjechali z cienia drobnych kraterów, o których wspominałem poprzednio. Zbliżaliśmy się już do dwudziestego równoleżnika, posuwając się teraz wprost ku północy, kiedy tarcza słoneczna, niezarumieniona zachodem, owszem jasna i błyszcząca jak we dnie, poczęła się powoli pogrążać pod horyzont. Ogarnęła nas nagle straszna tęsknota za tem znikającem słońcem, które się nam ukaże znowu dopiero za czternaście dni. Stanęliśmy wszyscy obok siebie przy zachodniem oknie naszego wozu. Marta zwróciła na płask dłonie ku zapadającej gwieździe dnia i poczęła śpiewnym a monotonnym głosem odmawiać indyjskie hymny, którymi fakirzy żegnają na Ziemi tego jasnego boga.

Woodbell odpowiadał jej czasem jakiemiś niezrozumiałemi zdaniami z świętych ksiąg, przypominając sobie zapewne podobne chwile, spędzone w Travancore, kiedy słońce płomienne tonęło w bezbrzeżnym oceanie.

Słońce tymczasem, zagłębione cząstką tarczy, zdawało się stać na widnokręgu i czekać. Blask jego rozświetlił wyciągnięte dłonie dziewczyny i iskrzył się na jej białych zębach, widocznych wśród rozchylających się purpurowych warg. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że oni rozmawiają oboje — ta dziewczyna i to słońce.

Za pół godziny już tylko rąbek słonecznej tarczy był widoczny. Kamienna pustynia zczerniała po pod ten skrawek białej jasności, jak gdyby się zamieniła w morze atramentu. Tu i owdzie tylko lśniły gładkie głazy, odbijające sine światło Ziemi. Marta skończyła już hymny i stała wpatrzona w pustynię, z głową opartą o ramię Tomasza.

Wszystkich nas ogarnął dziwny smętek; nawet Piotr, najmniej do wzruszeń skłonny, zasępił się i poruszał wargami, jakby odpowiadając z cicha jakimś myślom, czy wspomnieniom. A ja... Hej! jakże szalenie szybko przemknęło to moje życie na Ziemi. Dziwny taniec widm i wspomnień miałem na oczach: śniły mi się nadwiślańskie równiny i chmurne turnie Tatr, a wszystko zaludnione takim nieprzeliczonym orszakiem znajomych, drogich, a pożegnanych już na wieki... Na wieki!...

Wtem słońce nagle zagasło. Czerwone protuberancje, jak drobne, ogniste języki, drgały jeszcze przez chwilę nad horyzontem



wreszcie znikły i one — a w nagle spadającym na pustynię zmroku było coś tak niespodziewanego, że mimowoli przycisnęliśmy się do siebie, jak gdyby chcąc się ochronić przed czemś, co się na nas rzuca, jak szary żbik na przechodnia. Ale był to tylko zmrok, nie noc. W tejże bowiem chwili, gdy ostatni rąbek słońca zatonął, wystrzelił na zachodzie słup jasności, zasklepiony na kształt kopuły, a podobny do bajecznej fontanny świetlanego pyłu.

Światło zodjakalne lśniło przed nami w takiej niesłychanej wspaniałości, w jakiej go na Ziemi nigdy ludzkie oczy nie widziały. Patrzyliśmy długo w oniemieniu na ten słup roziskrzony, lekko od pionu ku południu się przechylający i zasiany różnokolorowemi gwiazdami, przezierającemi przez ten kosmiczny pył, krążący dokoła słońca i teraz po jego zachodzie odbijający nam w twarz jego światło.

Teraz zgasło już wszystko i tylko Ziemia świeci nad nami i gwiazdy, dziwne gwiazdy, w czarne niebo wgłębione, niemigotliwe i różnobarwne. Ta różnokolorowość gwiazd nie przyćmionych powietrzem, którego tu niema, jest tak zastanawiająca, że nie mogę do tego przywyknąć, choć przecież świeciły nademną przez przeciąg całego długiego dnia księżycowego.

Ziemia posyła nam tyle światła, że możemy przy jej blasku odbywać podróż bez przerwy. Bardzo to dla nas pomyślna okoliczność, gdyż nie potrzebujemy tracić czasu i możemy się przez noc posunąć tak daleko na północ, że nie będziemy już narażeni podczas drugiego dnia na prostopadłe promienie słońca. Strachem nas tylko przejmuje myśl o nocnym mrozie, który już dobrze chwyta.

Grunt znowu jest nierówny, co nas zmusza do licznych zboczeń i wykrętów, opóźniających podróż. Na przodzie wozu zapaliliśmy elektryczną latarnię, oświetlającą nam drogę. Gdyby nie to, moglibyśmy łatwo wpaść w jaką szczelinę, nie dość jasno widoczną przy mdłem świetle Ziemi. Kierujemy się według gwiazd, gdyż z kompasem nie możemy trafić jakoś do ładu na tym dziwnym świecie. Przytem metalowe ściany wozu zmieniają położenie igły.

*Na* Mare Imbrium, *7°45' z. dł., 24°1' pn. szer. księż. o pierwszej godzinie drugiej księżycowej doby.*

Minęła już północ i zapomnieliśmy nawet, jak słońce wygląda; nie możemy pojąć, jak mogliśmy się skarżyć na jego żar. Blizko od stu ośmdziesięciu godzin, które upłynęły od zachodu, jesteśmy narażeni na mróz tak niesłychany, iż zdaje się, że myśl zamarza w mózgu. Nasze piece pracują całą siłą, a my skuleni obok nich, trzęsiemy się od zimna.

Pisząc, oparłem się o piec. Skóra piecze mi się na plecach, a równocześnie czuję, jak krew we mnie od mrozu zastyga i krzepnie. Psy cisną nam się na kolana i wyją bez ustanku, — a nas obłęd już napada. Patrzymy na siebie w milczeniu z jakąś dziwną nienawiścią, jak gdyby które z nas było temu winne, że tu słońce przez trzysta pięćdziesiąt cztery i pół godziny nie świeci i nie grzeje...

Chciałem się przemóc i zanotować kilka wrażeń z odbytej po zachodzie słońca podróży, ale widzę, że nie jestem zdolny do skojarzenia najprostszych wyobrażeń. Mózg mam zamrożony, niepodatny, jakby był maszyną z lodu. Przez myśl przesuwają mi się na przemian luźne obrazy i jakieś rozpaczliwe błyski, których nie mogę w żaden sposób powiązać ze sobą. Niekiedy doznaję uczucia, jak gdybym spał — na jawie. Widzę Martę, Tomasza, psy, Piotra, piec — i nie wiem zupełnie, co to znaczy, nie wiem, kto ja jestem, skąd się tu wziąłem, po co...

Istotnie, po co?...

Chciałem się nad tem zastanowić, przypomnieć sobie, ale nie mogę. Musiała być jakaś przyczyna, dla której opuściłem z tymi ludźmi Ziemię... Nie pamiętam. Nuży mię myślenie.

Zdaje mi się, że stoimy. Nie słyszę syczenia motoru. Trzeba iść i zobaczyć, co się stało, ale wiem, że ani ja, ani oni — nikt tego nie zrobi. Musielibyśmy się oddalić od pieca.

Co za ohydny mróz!

Widzę przez okno jakieś skały, które Ziemia oświetla jasno. Pewnie dlatego stoimy, że jesteśmy wśród skał... To jest wszystko dziwne i wszystko obojętne...



Co ja piszę? Czyżbym już rzeczywiście dostawał obłędu? Senny jestem straszliwie, a wiem, że jak usnę, zmarznę i już się nie obudzę... Trzeba się otrząść, przyjść do przytomności...

To dziwne, że pierwszej nocy na *Sinus Aestuum* takiego mrozu nie było. Widocznie ciągną się pod tamtą płaszczyzną jakieś żyły wulkaniczne, które grunt nieco ogrzewają.

Piszmy, piszmy, aby nie zasnąć, bo to śmierć.

Od zachodu słońca posuwaliśmy się ciągle ku północnemu zachodowi — w coraz to silniejszem świetle dopełniającej się Ziemi i w coraz to większym mrozie. Pod $9^0$ z. dł. $21^0$ pn. szer. przedarliśmy się przez nizkie, obłe wały, zagradzające nam drogę. Nie zmienialiśmy kierunku, dążąc, zamiast wprost na północ, ku północnemu wschodowi w stronę wzgórz, rozciągających się szeroko naokoło pierścienia *Archimedesa* w tej nadziei, że znajdziemy tu może jaki czynny krater, a w nim ciepło. Jesteśmy na granicy tego górzystego kraju, ale wszystko martwe i zimne. Wjechaliśmy w środek dziwnego półksiężyca, utworzonego ze skał, amfiteatralnie spiętrzonych. Varadol robił pomiary astronomiczne, by oznaczyć położenie tych gór. Z pomiarów jego wynika, że jest to wyniosłość, oznaczana na mapach księżycowych zazwyczaj literą *E*, a leżąca pod $7^0 45'$ z. dł., $24^0 1'$ pn. sz. księżycowej.

Mróz, mróz, mróz,... ale trzeba się przemóc i nie spać. Byle tylko nie spać, bo to śmierć! Ta śmierć musi tu być gdzieś blizko. Tam na Ziemi powinni ją malować siedzącą na Księżycu, bo to jest jej królestwo...

Dlaczego my stoimy? Ach prawda! wszystko jedno!

Tak, trzeba się przemóc. O czem ja to pisałem? Aha! te góry... Dziwny amfiteatr, ze cztery kilometry szeroki, otwarty od południa. Nad nim, jak lampa, zawieszona Ziemia. Najwyższy szczyt na północy, wprost przed nami. Ma pewnie jakie tysiąc dwieście metrów. Tak to wszystko strasznie wygląda. Teatr dla olbrzymów, dla potwornych kościotrupich olbrzymów. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby te stoki zasnuły się nagle tłumem ogromnych kościotrupów, zwolna w świetle Ziemi idących i zajmujących miejsca widzów. Olbrzymie czaszki tych, którzyby zasiedli najwyżej, bieliłyby się na tle czarnego nieba, wśród gwiazd. Zdaje mi się, że to wszystko wi-

dzę. Kościotrupy gigantów siedzą i tak mówią do siebie: »Która godzina? Jest już północ; Ziemia, nasz wielki i jasny zegar, stoi w pełni na niebie, — pora zaczynać«. — A potem do nas. »Pora zaczynać, umierajcie zatem; patrzymy«...

Dreszcz mię przechodzi.

Palus Putredinis, *na dnie szczeliny* δ, *7°36' z. dł., 26° pn. szer. księż. Druga doba, 62 g. po pn.*

Stało się zatem. Jesteśmy skazani na śmierć, zgoła bez nadziei ocalenia. Wiemy o tem od sześćdziesięciu godzin; to dość czasu, aby się z tą myślą oswoić. A jednak — ta śmierć...

Spokoju, spokoju, wszak to do niczego nie prowadzi. Trzeba się zgodzić z tem, co jest nieuchronne. Zresztą nie jest to przecież dla nas czemś niespodziewanem; wybierając się w tę podróż — jeszcze tam, na Ziemi — widzieliśmy, że się na śmierć narażamy. Ale czemuż ta śmierć nie spadła na nas nagle, jak piorun, czemu pojawiła się przed nami i zbliża się tak powoli, że możemy każdy krok jej obliczyć, że wiemy, kiedy pocznie nas chwytać za gardła zimną dłonią i dusić...

Tak, dusić. Udusimy się wszyscy. Zapas zgęszczonego powietrza wystarczy nam przy największej oszczędności zaledwie na trzysta godzin. A potem... No cóż, trzeba się zawczasu przygotować na to, co będzie potem. Przez trzysta godzin jeszcze będzie wszystko tak, jak dotąd. Będziemy oddychali, jedli, spali, poruszali się... W ciągu tego czasu wypróżni się ostatni zbiornik zgęszczonego powietrza, jedyny, jaki nam pozostał. Za trzysta godzin — to będzie księżycowe popołudnie... Słońce będzie stało jeszcze dość wysoko. Będzie jasno i ciepło, — nawet gorąco, może zagorąco Przez jakiś czas, kilka godzin będzie wszystko jeszcze w porządku. Potem zaczniemy powoli uczuwać jakąś ociężałość, szum w głowie, bicie serca... Atmosfera naszego wozu, nie odświeżana tlenem, którego nam już braknie, będzie przepełniona wydychanym przez nas kwasem węglowym. Teraz usuwamy go sztucznie, ale wtenczas pocóż go będzie usuwać, kiedy nie będziemy mieli tlenu, aby go nim zastąpić? Zaczniemy się tedy zatruwać tym kwasem węglowym. Uderzenie krwi, ociężałość, duszność,



przedniem atakiem. Wtedy Tomasz spostrzegłszy, co się stało, polecił Marcie ułożyć nas na hamakach, a sam cofnął wóz, nawrócił i wjechał w głąb szczeliny. Tutaj dopiero na samem dnie, gdzie, jak słusznie przypuszczał, jest bez porównania cieplej niż na powierzchni, zajął się trzeźwieniem nas. Piotr pierwszy się ocucił. Nie pamiętał zgoła szału, który nas tak przeraził. Wreszcie i ja odzyskałem zmysły.

Na razie nie groziła nam już śmierć z umarznięcia, gdyż w tej niezmiernie głębokiej szczelinie mróz nie jest tak wielki. Widocznie wnętrze Księżyca, podobnie jak wnętrze Ziemi, nie jest jeszcze całkiem pozbawione własnego ciepła, choć on, jako mniejszy 49 razy od ziemi, znacznie też wcześniej musiał zastygnąć.

Tomasz przewidywał to, i dlatego wjechał z wozem w szczelinę, pragnąc, abyśmy się mogli spokojnie naradzić, co począć, zabezpieczywszy się od bezpośredniego niebezpieczeństwa, które nam groziło ze strony paraliżującego naszą myśl mrozu.

Zaczęliśmy się naradzać. Przyszło nam na myśl, że może uda się za pomocą powietrznej pompy tłoczącej zgęścić na tyle otaczającą nas niesłychanie rzadką atmosferę księżycową, aby nią odświeżać powietrze w wozie. Pomysł ten błysnął nam, jak gwiazda nadziei i ocalenia, to też niezwłocznie wzięliśmy się wspólnemi siłami do jego wykonania. Jednakowoż po godzinie usilnej, wytężającej pracy przekonaliśmy się, że jest to rzecz, nie dająca się urzeczywistnić. Atmosfera Księżyca jest tutaj tak rzadka, że po całkowitem zasunięciu tłoka w pompie nie zgęszcza się jeszcze do tego stopnia, aby mogła przezwyciężyć ciśnienie powietrza w naszym wozie i klapę sobie otworzyć. Próbowaliśmy ją następnie zgęścić zapomocą pompy w jednym z opróżnionych zbiorników, zatkawszy poprzednio szczelnie szparę, którą nam powietrze uciekło, ale i to okazało się niemożebnem.

Zniechęceni i wyczerpani porzuciliśmy wreszcie bezcelową robotę. Tomasz pociesza nas jeszcze, że może dalej ku północy znajdziemy nieco gęstszą atmosferę, przy której nasza pompa da się zużytkować, ale wiem, że on sam w to nie wierzy. Na całej ogromnej przestrzeni *Mare Imbrium* atmosfera będzie równie rzadka, to znaczy prawie jej nie będzie, — a nim przestrzeń tę przebędziemy,

wyczerpią się nasze zapasy powietrza i wtedy przyjdzie to, co jest nieuchronne. Za dwieście dziewięćdziesiąt godzin pomrzemy.

Mimo to jak tylko zadnieje i cieplej się zrobi, wyjedziemy z tej szczeliny i podążymy dalej na północ. Nie wiedzie to wprawdzie do niczego, ale ostatecznie i stanie w miejscu do niczego nie wiedzie. A może... może .. istotnie znajdziemy gdzie nieco gęstszą atmosferę ..

*Na temże miejscu, 70 godzin po pn.*

Odkryliśmy nareszcie przyczynę, która spowodowała stratę naszych zapasów powietrza. Zbiorniki zostały uszkodzone podczas zsuwania wozu ze stoków *Eratosthenesa*. Jakiś ostry głaz, znajdujący się na drodze, po której wóz się ślizgał zarysował je głęboko, a wewnętrzne ciśnienie gazu dokonało reszty. Szczeliny są widoczne. Dwie rzeczy mnie tylko zadziwiają w tem wszystkiem; naprzód, że parcie zgęszczonego powietrza nie rozsadziło uszkodzonych miedzianych zbiorników, następnie, że nie spostrzegliśmy wcześniej straty... Łamię sobie nad temi zagadkami głowę, jak gdyby ich rozwiązanie mogło w czemkolwiek zmienić nasze położenie.

Nie umiem o czem innem myśleć; tylko ciągle i ciągle stoi mi przed oczyma to widmo śmierci. A to najstraszniejsze, że wiedząc, iż umrzemy, czujemy się najzupełniej zdrowymi. To zwiększa grozę tego czegoś okropnego, co ma na nas spaść. Tomasz jest najspokojniejszy z nas wszystkich, ale widzę, zwłaszcza z jego zachowania się wobec Marty, że i on bez ustanku myśli o tem, co ma nastąpić. Przesuwa jakimś delikatnym, wprost kobiecym ruchem dłoń po jej włosach i patrzy na nią tak, jakby chciał prosić przebaczenia. A ona całuje jego rękę, mówiąc mu tą pieszczotą i oczyma: Nie martw się, Tom, wszystko jest dobrze, wszak umrzemy razem...

Dla nich jest to może istotnie pewną pociechą, że umrą razem, ale dla mnie, przyznam się, ta wspólność losu w niczem nie zmniejsza jego okropności. Znajduję się w stanie takiego wzburzenia wszystkich władz umysłowych, że refleksje nie wywierają na mnie zgoła wpływu. Trzeźwo myślę o wszystkiem, ze wszystkiego jasno zdaję sobie sprawę, powtarzam sobie w duszy setki razy, że umieram wraz z tymi ludźmi jako dobrowolna ofiara wszechpotężnej żądzy poznania, która nas oderwała od Ziemi i rzuciła na ten glob niegościnny, — wmawiam w siebie, że powinienem się zgodzić z losem i zachować spokój wobec tej nieuchronnej konieczności; a mimo te wszystkie piękne refleksje czuję wciąż jedno: strach, bezbrzeżny, rozpaczliwy strach! Takie to jest nieubłagane i tak powoli się zbliża...



Nie pojmuję rzeczywiście, dlaczego nie pomyślimy o szybkiem rozwiązaniu tego okropnego położenia? Wszak w naszej mocy leży skrócić to życie, które teraz jest już tylko śmieszną parodją życia, a nadto zmorą i ciężarem...

*W godzinę później.*

Nie! nie mogę tego zrobić! Nie wiem, co mię powstrzymuje, ale nie mogę. Może to dziecinna tęsknota za słońcem, dobrą gwiazdą dnia, które ma wzejść ponad nami niezadługo, może jakieś śmieszne, niemal zwierzęce przywiązanie do życia, choćby nie wiem jak krótkie być już miało, może resztki głupiej, nieuzasadnionej zgoła nadziei...

Wiem, że nic nas nie ocali a tak strasznie pragnę żyć, i tak się... boję...

Wszystko jedno! — niech się dzieje, co chce.

Jestem straszliwie znużony. Niechby już wreszcie przyszło to — nieuchronne! Przy każdym oddechu myślę, że mam już o jeden oddech mniej. Wszystko jedno!...

*O wschodzie słońca.*

Wyruszamy w drogę za godzinę. Krawędź zachodnia szczeliny błyszczy się już nad nami w słonecznym blasku. Wyjedziemy na rozległą pustynię zobaczyć jeszcze raz słońce, zobaczyć gwiazdy i Ziemię, spokojną, rozświetloną i tak cichą na tem czarnem niebie...

I pojedziemy ku północy. Po co? — nie wiem. Nikt z nas nie wie. Ale pojedziemy. Śmierć pójdzie cicho koło nas przez kamieniste pola, przez góry i doliny, a gdy wskazówka manometru przy osta-

tnim zbiorniku powietrza dojdzie do punktu zerowego, śmierć wejdzie do wozu.

Nie mówimy do siebie; nie mamy o czem mówić. Staramy się tylko zajmować czemkolwiek, więcej może z fałszywego wstydu przed drugimi, niż dla własnej rozrywki. Bo jakaż robota może zająć człowieka, który wie, że wszystko, co robi, jest bezcelowe?

A zatem pójdźmy naprzeciw swego losu!

*Druga doba księżycowa, 14 godzin po południu.*
*Na* Mare Imbrium, *8°54' z. dł., 32°16' pn. szer. księż.,*
*między kraterami* c—d.

Jesteśmy ocaleni! — a ocalenie przyszło tak nagle, tak niespodziewanie i w tak dziwny, a... straszny sposób, że do tej chwili nie mogę ochłonąć, choć to już dwanaście godzin mija od czasu, jak śmierć, towarzysząca nam przez dwa ziemskie tygodnie, odwróciła się od nas i odeszła.

Odeszła, ale nie bez łupu... Śmierć nigdy bez łupu nie odchodzi. Jeśli z litości albo z musu pozwoli żyć tym, których już miała w swoich szponach, to bierze sobie za nich okup dowolny, gdzie go znajdzie bez wyboru...

O wschodzie słońca puściliśmy się w drogę, mocą przyzwyczajenia raczej, niż z jakiej wyrozumowanej potrzeby. Byliśmy pewni, że niedożyjemy wieczora tego długiego dnia. Jechaliśmy w milczeniu, z tą zmorą śmierci, siedzącej pośród nas i czekającej spokojnie chwili, kiedy nas będzie mogła wziąć w swe zimne, duszące objęcia. Czuliśmy jej obecność tak żywo, jak gdyby była jakąś uchwytną, dostrzegalną istotą i oglądaliśmy się ze zdziwieniem, że jej nie widzimy.

W tej chwili jest to wszystko już tylko wspomnieniem, ale wówczas było rzeczywistością straszliwą nad wszelki wyraz. Nie mogę nawet zrozumieć, jak zdołaliśmy przeżyć w takiej ohydnej, niezaradnej trwodze, z tem nieubłaganem widmem na oczach, trzysta kilkadziesiąt godzin! Nie przesadzę, gdy powiem, żeśmy każdej



godziny umierali, myśląc, że nieuchronnie musimy umrzeć. Bo ocalenia — zwłaszcza takiego — nikt się z nas nie spodziewał.

Teraz wydaje mi się to snem okropnym i muszę wszystkie zmysły przywołać ku pomocy, aby uwierzyć, że to rzeczywiście na jawie się działo.

Nie pamiętam już dokładnie drogi, którąśmy przebywali.

Godzina wlokła się za godziną, wóz posuwał się wciąż szybko ku północy, a my patrzyliśmy jakby we śnie na mijane krajobrazy. Teraz czuję, że wszystkie wrażenia zlały się u mnie w jedno z tem wrażeniem nieubłaganej śmierci. Nie mogę teraz owego chaosu odmotać. Wszystko, co pamiętam z tej drogi, było straszne. Początkowo posuwaliśmy się granicą między *Palus Putredinis* a *Mare Imbrium*, mając po prawej stronie okolicę górzystą i dziką. Na lewo, ku zachodowi, rozciągała się równina, przechodząca w dali w niewysokie, faliste wzgórza, ciągnące się równoległe do kierunku naszej jazdy. Poza temi wzgórzami jaśniały odległe szczyty *Timocharisa*, oświetlone prosto na nie padającymi promieniami słońca.

Pozostała mi w pamięci groza i dziwnie łączące się z nią niesłychane bogactwo barw tego krajobrazu. Najwyższe iglice krateru były białe, ale od nich spadały ku dołowi smugi i koła, grające wszystkiemi kolorami tęczy. Nie wiem, czemu to przypisać; czyżby *Timocharis*, pierścień górski wielkości *Eratosthenesa*, był istotnie niegdyś czynnym, a teraz wygasłym olbrzymim kraterem? Byłyżby te barwy smugami osiadających na kraterach feldszpatów, trachytów, siarki, law i popiołu? Nie umiem tej zagadki rozwiązać, a wtedy nie zastanawiałem się nawet nad nią. Miałem tylko wrażenie czegoś nieprawdopodobnego, czegoś, co mi przywodziło na myśl baśnie o krajach czarodziejskich i górach, zbudowanych z drogich kamieni. Wpatrzony w te roziskrzone od słońca szczyty, podobne do stosu topazów, rubinów, ametystu i djamentów, odczuwałem równocześnie mrozem przejmującą ich martwotę. Było coś nielitościwie srogiego i nieubłaganego w tem ostrem lśnieniu barwnych głazów, lśnieniu nieprzyćmionem i niezłagodzonem niczem, nawet powietrzem... Jakiś przepych śmierci bił od tych gór.

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca, mając wciąż szczyty *Timocharisa* na widoku, wjechaliśmy w cień niewysokiego krateru

*Beer*. Minąwszy go, przesunęliśmy się wzdłuż podnóża jeszcze niższego odeń, a tuż obok położonego krateru *Feuillée* i wjechaliśmy na niezmierną, okiem nieprzejrzaną równinę, ciągnącą się sześćset kilometrów przed nami, aż do północnego krańca *Mare Imbrium*. Zwróceni ku północy mieliśmy szczyty *Timocharisa* już nieco poza sobą; ku północnemu wschodowi zato ukazał się nam na skraju widnokręgu odległy, w cieniu pogrążony wał pierścienia *Archimedesa*.

Doznałem nagle wrażenia, że mijamy olbrzymią bramę, szeroko rozwartą ku równinie śmierci. Bezbrzeżny, dławiący strach opętał mnie znowu. Odruchowo chciałem zatrzymać wóz, skręcić gdzie wśród ginące za nami skały, byle tylko nie wjeżdżać na tę rozległą płaszczyznę, której — wiedziałem — nie przebędziemy żywi.

Zdaje się, że nietylko we mnie powstało to uczucie; tamci troje patrzyli również zasępionym wzrokiem na otwartą przed nami kamienistą pustynię.

Woodbell ponury, z głową opuszczoną na piersi i zaciśniętemi ustami zdawał się długo mierzyć oczyma przestrzeń równiny, której krańców nie było widno, a potem zwolna przeniósł wzrok na wskazówkę manometru, przytwierdzonego do ostatniego zbiornika ze zgęszczonem powietrzem. Mimowoli spojrzałem za jego przykładem. Wskazówka w niewielkim mosiężnym bębnie opadała ciągle, powoli, ale bez ustanku...

Wtedy nagle błysnęła mi straszna, potworna myśl: powietrza nie wystarczy dla *czworga*, ale dla *jednego* możeby wystarczyło. Jeden z tym zapasem mógłby dotrzeć aż do takich okolic, gdzie atmosfera Księżyca będzie dość gęsta, aby się nadała choćby przy użyciu pompy do oddychania.

Przeląkłem się tej ohydnej myśli i zaledwie się pojawiła, chciałem ją odegnać, ale ona była silniejsza od mojej woli i powracała ciągle. Nie mogłem oczu oderwać od wskazówki manometru, a w uszach dźwięczało mi ciągle: dla czworga nie wystarczy, ale dla jednego...

Spojrzałem wreszcie na towarzyszy, ukradkiem, jak złodziej i — rzecz okropna — w oczach ich rozpłomienionych, niespokojnych, wyczytałem myśl tę samą. Zrozumieliśmy się wzajemnie. Przez chwilę panowało wśród nas przygnębiające, podłe milczenie.

Wreszcie Tomasz potarł ręką czoło i odezwał się:



— Jeśli mamy to zrobić, to trzeba robić prędko, nim się zapas uszczupli...

Wiedzieliśmy o czem mówił; Varadol skinął głową w milczeniu; ja uczułem żrący rumieniec na twarzy, ale nie zaprzeczyłem.

— Czy będziemy ciągnęli losy? — zapytał znów Tomasz, zmuszając się widocznie do wykrztuszenia tych słów. — Ale... — tu głos mu zadrgał i załamał się, przybierając jakiś miękki, błagalny ton, — ale... chciałbym... was prosić, aby... Marta została przy życiu... także...

Zapanowało znowu głuche, przygnębiające milczenie. Wreszcie Piotr wybąknął:

— Dla dwojga nie wystarczy...

Tomasz odrzucił głowę jakimś dumnym ruchem:

— A zatem dobrze, niech się stanie! Tak lepiej.

To mówiąc, wziął cztery zapałki, jednej z nich odłamał główkę, a ukrywszy je w dłoni, tak, że tylko końce było widać, wyciągnął ku nam rękę.

Podczas całej tej rozmowy Marta stała na uboczu i nic nie słyszała. Przystąpiła do nas właśnie w chwili, gdyśmy wyciągali palce po owe losy i zapytała z nienacka głosem zupełnie spokojnym;

— Co robicie?

A potem do Tomasza:

— Pokaż, co masz w ręce...

I wyjęła mu z dłoni te zapałki, które miały być wyrokiem śmierci dla trojga z nas, aby czwarte mogło żyć.

Stało się to wszystko tak szybko i niespodziewanie, że nie mieliśmy jej czasu przeszkodzić. Rumieniec wstydu oblał nas aż po białka oczu; zrozumieliśmy, że ta dziewczyna zaszła nas na spełnianiu wstrętnej zbrodni egoizmu, podłości i tchórzostwa. Spojrzeliśmy po sobie i nagle rzuciliśmy się sobie w objęcia, wybuchając spazmatycznym, długo tłumionym płaczem.

O ciągnieniu losów nie było już mowy. Przez reakcję, która jest zasadniczem prawem duszy ludzkiej, wzajemna zawiść, wywołana blizkością i nieuchronnością śmierci, wiszącej nad nami, zamieniła się teraz w uczucie jakiegoś ciepła i serdecznego wylania. Zeszło na nas dziwne, bezbrzeżne ukojenie. Usiedliśmy blizko obok sie-

bie, — Marta przytuliła się zwinnem, gibkiem ciałem do piersi Tomasza — i zaczęliśmy rozmawiać serdecznie, przyciszonym głosem o mnóstwie drobiazgów, które nas niegdyś na Ziemi obchodziły. Każde wspomnienie, każdy szczegół — nabierały dla nas teraz wielkiego znaczenia, — czuliśmy, że ta rozmowa to pożegnanie życia.

A wóz tymczasem pędził bez ustanku na północ, przez niezmierzoną, śmiertelną równinę.

Mijały godziny i doby ziemskie; wskazówka manometru opadała ciągle, — ale my byliśmy już spokojni, zgodziwszy się z losem. Rozmawialiśmy, jedli, nawet spali, jak gdyby nic nie było zaszło. Czułem tylko dziwny, przykry ucisk w okolicy serca i gardła, jak człowiek, który poniósłszy wielką stratę, stara się o niej zapomnieć, a nie może.

Około południa znajdowaliśmy się już między 31. a 32. równoleżnikiem. Upał, chociaż bardzo znaczny, nie dokuczał nam już w tym stopniu, jak dnia poprzedniego, gdyż pod tą szerokością księżycową słońce wznosi się tylko sześćdziesiąt stopni niespełna ponad horyzont. Ziemia, zawieszona od południa na niebie w tej samej wysokości, była w nowiu, kiedy bezpromienna tarcza słońca, dotknąwszy płomiennej obrączki jej atmosfery, poczęła zwolna poza nią zachodzić.

Mieliśmy mieć zaćmienie słońca, trwające tu około dwóch godzin, a przedstawiające się mieszkańcom Ziemi jako zaćmienie Księżyca.

Świetlna obrączka atmosfery ziemskiej stała się z chwilą, gdy ją słońce dotknęło, podobną do wieńca z krwawej błyskawicy, otaczającej ogromną czarną plamę, jedyną na niebie, na której nie świeciły gwiazdy. Blizko godziny potrzebowała tarcza słoneczna, aby zajść poza ten czarny wśród płomienia krąg. Przez ten czas wieniec zażegał się coraz krwawiej i szerzej. — Z chwilą, gdy słońce znikło, światło było już tak silne, że widno przy niem było zarysy krajobrazu, majaczące w pomarańczowym obrzasku. Czarna plama Ziemi wyglądała teraz jak zionący otwór jakiejś potwornej studni, wydrążonej w gwiaździstem niebie; naokoło niej wiła się wązka, krwawopłomienna obwódka, przechodząca dalej stopniowo w światło czerwone, pomarańczowe i żółte, szeroko w krąg rozpostarte, a ginące



wreszcie na czarnem tle słabą, białawą poświatą. A z za tego płomiennego wieńca wystrzelały na wschód i zachód dwa snopy promieni, dwie fontanny złocistego pyłu świetlnego: było to światło zodjakalne, widoczne podczas zaćmienia, podobnie, jak po zachodzie słońca.

Oświetlenie na Księżycu stało się tymczasem z pomarańczowego czerwonem; wyglądało to tak, jakby kto wylał krew na mroczną przed nami pustynię.

Musieliśmy się zatrzymać, gdyż w tem krwawem i słabem świetle niepodobna było rozpoznać drogi. Razem z cieniem spadł na nas po zniknięciu słońca i chłód dotkliwy. Otuliwszy się tedy, zbiliśmy się razem w kupkę, czekając rychło słońce się znów ukaże. Nad nami palił się wciąż w niesłychanym przepychu świetlny, rogaty wieniec różnobarwnych płomieni — gdy wtem psy zaczęły wyć, naprzód z cicha, później coraz głośniej i rozpaczliwiej. Wycie to przejęło nas lodowatym dreszczem; przypomniała nam się noc przed zgonem O'Tamora, kiedy Selena tak samo wyła, witając śmierć wchodzącą do naszego wozu. I nagle wobec tych wspaniałości na stropie niebieskim uczuliśmy tak żywo całą bezbrzeżną, straszną nędzę naszego położenia; zdało się nam, że te ognie i blaski rozpaliły się jakby na szyderstwo ponad głowami umierających, na których słońce już nie chciało patrzyć...

W zbiorniku mieliśmy powietrza już tylko na jakie dwadzieścia godzin.

Po upływie dwóch godzin rąbek słońca począł się wyłaniać na zachodniej stronie czarnej tarczy ziemskiej, a świetlna aureola zwężała się już i gasła powoli. Na widok słońca doznałem naprzód uczucia niespodziewanego zdziwienia; przywykłem już tak do tej krwawej nocy, tak mi się już zdawało, że jest zwiastunką nocy głębszej, wieczystej, która nas ogarnie pod nieobecność słońca, iż świtający dzień był dla mnie czemś niepojętem. A potem naraz — nie wiem skąd — wstąpiła we mnie otucha, jakby z pojawieniem się słońca, cud jaki miał nas uratować

— Będziemy żyć! — zawołałem tak nagle i z takiem przekonaniem, że oczy wszystkich zwróciły się na mnie z wyrazem pytania i nadziei.

Wtem stała się rzecz zadziwiająca. Z paki, w której był zamknięty bezużyteczny teraz aparat telegraficzny, doleciało nas kołatanie. Z początku nie wierzyliśmy własnym uszom, ale kołatanie słychać było coraz wyraźniej. Rzuciliśmy się ku pace; po jej otwarciu okazało się, że aparat stuka istotnie, jakgdyby odbierał przesyłaną skądś depeszę. Nadaremnie jednak staraliśmy się treść depeszy wyrozumieć. Coś się było popsuło, czy pomieszało; zaledwie mogliśmy złowić kilka oderwanych słów: Księżyc... za godzinę... od środka tarczy... pod kątem... niech... Francja... tamci... a jeżeli... śmierć...

Ogarnęło nas bezbrzeżne zdumienie. Varadol poskoczył do aparatu i zatelegrafował: Kto się odzywa?

Czekaliśmy chwilę — żadnej odpowiedzi. Piotr powtórzył pytanie po raz drugi i trzeci, ale bez skutku. Aparat zamilkł i stukanie już się nie ponowiło.

Minęło pół godziny najzupełniejszej ciszy i zaczęliśmy już przypuszczać, że cała ta sprawa była jakiemś niepojętem złudzeniem.

Słońce wyszło było właśnie z poza Ziemi i stało na niebie obok niej. Upał wzmagał się znowu.

Wtem mignęło coś i błysnęło przed nami w promieniach słońca, a równocześnie grunt pod nogami zatrząsł się, jak mur uderzony kulą armatnią. Krzyknęliśmy z przestrachu i podziwu. Rzuciwszy się ku oknu, spostrzegliśmy masę jakąś o metalicznym połysku, która odbiwszy się od powierzchni Księżyca, zatoczyła w naszych oczach ogromny łuk w przestrzeni i uderzyła znów dalej i znów się odbiła po raz drugi, trzeci, czwarty, sadząc w potwornych kozłach ku północnemu-zachodowi.

Milczeliśmy zdumieni, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego zjawiska, aż nagle Piotr zakrzyknął:

— Bracia Remognerzy przybywają!

Teraz rozjaśniło nam się wszystko! Wszak to upłynęło właśnie sześć ziemskich tygodni od czasu, gdyśmy około północy spadli na Księżyc, to jest termin, w którym miała podążyć za nami druga wyprawa. Aparat nasz telegraficzny kołatał pod wpływem depeszy, przesyłanej widocznie z bliskości Księżyca przez braci Remognerów na Ziemię. Mógł już i przedtem słabiej się odzywać, tylko kołatanie wewnątrz



paki, gdzie był zamknięty, uszło naszej uwagi. Również bracia Remognerzy nie zauważyli widocznie naszej depeszy, zajęci w ostatniej chwili przygotowaniem do spadku.

Wszystkie te uwagi przebiegły mi błyskawicą przez myśl, gdyśmy w największym pośpiechu puszczali w ruch motor, poruszający nasz wóz. W parę chwil później pędziliśmy już całą siłą w kierunku, gdzie pocisk znikł z przed naszych oczu, opętani jedną, potężniejszą w tej chwili nad wszystko inne myślą: Bracia Remognerzy mają ze sobą powietrze!

W niespełna pół godziny dojechaliśmy do miejsca, gdzie pocisk upadł nareszcie po kilkakrotnem odbiciu. Straszliwy widok przedstawił się naszym oczom: wśród rozrzuconych szczątków strzaskanego pocisku leżały dwa pokrwawione i zmiażdżone trupy.

Przywdzialiśmy co prędzej powietrzochrony i wypełniwszy je resztą naszego zapasu, wyszliśmy z wozu, drżąc ze wzruszenia, wywołanego (po cóż to ukrywać!) nie tyle straszliwym zgonem przyjaciół, jak raczej obawą, czy ich zbiorniki powietrza nie ucierpiały podczas katastrofy.

Dwa pękły istotnie i leżały próżne wśród pogruchotanych płyt metalowych, ale cztery inne zostały nienaruszone.

Byliśmy ocaleni!

Na chwilę ogarnął nas istny szał radości, tak mało licujący z tem, co się dokoła nas znajdowało. Ale wszak myśmy przez trzysta pięćdziesiąt godzin umierali, a dowiedzieliśmy się teraz, że będziemy żyć!

Upewniwszy się co do swego losu, mogliśmy dopiero zastanowić się nad losem, który spotkał braci Remognerów. Ostatecznie ta sama okoliczność, która nas ocaliła, stała się przyczyną ich śmierci. Czysty przypadek, wprowadzający jakąś niedokładność w obliczenie, kazał im spaść tuż przed nami, zamiast na środek księżycowej tarczy, oddalony od nas w tej chwili blizko o tysiąc kilometrów. Ten przypadek zaopatrzył nas w zapasy powietrza, ale ich zabił. Spadając bowiem w tej okolicy, upadli nie prostopadle na księżycową powierzchnię, lecz pod kątem; pocisk tedy uderzył o twardy grunt bokiem, gdzie nie był zabezpieczony rusztowaniem ochronnem, i odbijając się parę razy, musiał się wreszcie roztrzaskać. Mróz nas

przeszedł, gdyśmy pomyśleli, że to samo mogło się było stać z nami...

Pogrzebawszy starannie trupy wśród kamieni, zajęliśmy się spadkiem po nich. Wybraliśmy z pomiędzy szczątków wszystko, co nam się mogło przydać; więc przedewszystkiem przenieśliśmy do naszego wozu owe tak cenne zbiorniki ze zgęszczonem powietrzem, następnie żywność, zapasy wody i niektóre mniej uszkodzone narzędzia. Z drżeniem serca szukaliśmy ich aparatu telegraficznego w nadzieji, że może będzie dość silny, aby się znieść za jego pomocą z mieszkańcami Ziemi. Ta nadzieja atoli okazała się płonną; aparat podczas rozbicia uległ zniszczeniu. Ten sam los spotkał większość astronomicznych instrumentów. Motor wozu zabraliśmy, choć mocno jest uszkodzony.

Co za szczęście dla nas, że przynajmniej miedziane zbiorniki powietrza przetrwały bez szkody tę okropną katastrofę!

Po zabraniu dobytku nieszczęśliwych braci Remognerów, puściliśmy się niezwłocznie w dalszą drogę ku północy, gdyż upał przerwany chłodem podczas zaćmienia słońca, wzrastał znów szybko i należało znaleść jaką wyniosłość, któraby nam mogła użyczyć cienia.

Zatrzymaliśmy się dopiero tutaj, między niewielkiemi kraterami *c — d*.

Stożki te bystre, stykające się niemal podstawami, są niewątpliwie wulkanicznego pochodzenia. Cała okolica, pokryta siarką, żółci się w oślepiającym blasku słonecznym. Głębokie żleby, któremi zbocza kraterów pokryte są od wierzchu aż do podstawy, dają nam doskonałe schronienie przed piekącym upałem.

Jesteśmy ocaleni, a jednak przygnębienie nie opuszcza nas ani na chwilę. Mimowoli mam wciąż na oczach okropne, pokaleczone trupy Remognerów; nie jesteśmy w niczem winni ich śmierci, a przecież czuję jakby wyrzut: wszak ich śmierć nas ocaliła...

Zmęczony jestem temi wszystkiemi przejściami, zmęczony długiem pisaniem. Trzeba się położyć i wypocząć nieco przed dalszą podróżą. Trudy bowiem, a zapewne i niebezpieczeństwa jeszcze się dla nas nie skończyły.

Spojrzałem w tej chwili na Selenę, igrającą ze szczeniętami,



które ogromnie wyrosły w ciągu tych paru tygodni... Dziwna rzecz gdy nam groziła śmierć z braku powietrza, byliśmy przez pewien czas gotowi poświęcić życie trojga z nas dla uratowania czwartego, a nikomu nie przyszło na myśl, że można było zabić psy, które przecież także zużywały wiele powietrza i przedłużyć w ten sposób czas, jaki — sądziliśmy — pozostawał nam do życia! Jakażby to była okropna rzecz, gdybyśmy tak byli istotnie kogo z nas poświęcili, oszczędzając psy li tylko przez zapomnienie!

Ostatecznie niebezpieczeństwo minęło na razie i lepiej, że psy żyją. Przez swą zwierzęcą prostotę przypominają one nam więcej Ziemię, niż my sobie możemy przypominać nawzajem swemi osobami. Z rozczuleniem patrzę na te zwierzęta... Jesteśmy tak samotni i tak strasznie od Ziemi oderwani. Dwóch ludzi wysłała za nami, ale my zobaczyliśmy już tylko ich trupy. Mieliśmy nadzieję, że z przybyciem braci Remognerów zyskamy towarzyszów a zarazem sposób porozumiewania się z Ziemią; tymczasem ocalili nam oni życie, ale skazani jesteśmy za to na wieczyste osamotnienie.

*Na* Mare Imbrium, *9° z. dł., 37° pn. szer. księż., druga doba, 152 g. po południu.*

Od stu blizko godzin, to znaczy prawie cztery doby ziemskie wleczemy się przez równinę, która zdaje się nie mieć końca! Jak okiem zasięgnąć — nie widać nic, żadnej wyniosłości, żadnego szczytu, na którymby się wzrok mógł zatrzymać. Straszliwa jednostajność krajobrazu przytłacza nas i nuży. Odbywałem raz na Ziemi podróż przez Saharę; ale zaiste Sahara wydaje mi się pięknym, urozmaiconym krajem wobec tej pustaci, która nas otacza! Na Saharze spotyka się ciągle jakieś łańcuchy skał, jakieś faliste piaskowe wzniesienia, poza któremi ukazują się często zielone wierzchołki palm, rosnących na rozkosznych oazach; ponad Saharą jest błękitne niebo, które w krótkich odstępach czasu osrebrza się świtem, rozjaśnia w blasku południa, zorzą rumieni lub zaciąga gwiaździstą nocy oponą; po Saharze wichry się przechadzają i mącąc to piaszczyste morze, świadczą ruchem o życiu; tutaj niema nic z tego wszystkiego.

Kamienne podłoże, poorane w niegłębokie bruzdy, zwietrzałe na powierzchni od słonecznego żaru, jednostajne, straszne, jak to niebo nad nami, niezmieniające się prawie w przeciągu trzystu kilkudziesięciu godzin! Wiatr, błękit, zieloność, woda, życie — wszystko to wydaje nam się jakąś miłą, przepiękną, ale nieprawdopodobną bajką, słyszaną czy przeżytą kiedyś w młodości, dawno, bardzo już dawno... Według ziemskiej rachuby czasu jesteśmy na Księżycu dopiero niespełna dwa miesiące, ale nam zdaje się, że to już wiek upłynął od chwili, kiedyśmy opuścili Ziemię. Przyzwyczajamy się zwolna do nowych warunków życia; już nas nie dziwi to, co nas otacza, dziwią nas raczej wspomnienia, mówiące nam, że tam na tej jasnej kuli, zawieszonej nad nami w odległości setek tysięcy kilometrów wśród gwiazd na czarnem niebie, jest kraj, gdzieśmy się wychowali, taki odmienny od tego, a tak rozkoszny, tak niesłychanie rozkoszny!...

O! ludzie nie umieją cenić piękności Ziemi! — Gdyby się dostali tutaj, gdzie my jesteśmy, kochaliby ją tak, jak my ją teraz, straconą na wieki, kochamy i tak jak my śniliby o niej w snach gorączkowych, niespokojnych, pełnych upartej a bolesnej tęsknoty... Ach! jakże te sny są nużące! Budzę się po kilku godzinach i widzę, że słońce stoi na niebie prawie w tem samem miejscu, gdzie stało nim zasnąłem, że wóz nasz mimo nieustannego ruchu wciąż na tej samej jest pustyni, jednakowo od widnokręgu odległy — i zaczynam przypuszczać, że niema czasu ani przestrzeni, lecz tylko bezmiar a wieczność!

Dla rozrywki i aby w tej pustce nie oszaleć, opowiadamy sobie rozliczne a długie, czasem dziecinne historje, albo czytamy zabrane ze Ziemi książki. Mamy trochę dzieł przyrodniczych, obszerną historję cywilizacji, kilku najznakomitszych poetów i biblję. Biblję zwłaszcza czytujemy często. Zazwyczaj Woodbell rozkłada księgę i dźwięcznym, wyraźnym głosem odczytuje rozdziały z Gienezis lub Ewangelje...

My słuchamy, jak Bóg stworzył Ziemię dla człowieka, aby po niej chodził i Księżyc, aby Ziemia miała swe światło nocne; jak kazał nocy następować po dniu, jak wygnał Adama z kwitnącego raju w kraj pusty i nieurodzajny; słuchamy, jak Zbawiciel zeszedł na świat, aby odkupić ludzkie plemię, jak chodził z wierną rzeszą po



wonnych łąkach i zielonych wzgórzach Galilei, jak cierpiał i umarł; słuchamy tego wszystkiego, patrząc na Ziemię, podobną do srebrnego sierpa na czarnym nieba aksamicie, jadąc przez puste, straszliwe obszary pod słońcem, które wlokąc się leniwie, zapomina nam znaczyć dni i godzin...

Marta tonie całą duszą w tych opowieściach, a gdy Tomasz skończy czytanie, zadaje mu różne, nieraz dziwne pytania... Wszystko odnosi do naszego obecnego położenia... Niedawno powiedziała do Tomasza: »My jesteśmy tu oboje, jak Adam i Ewa«. — Istotnie, oni tutaj są pierwszą parą ludzi, wygnaną z Ziemi na pustynię, jak ongi tamci byli z raju wygnani, — ale my z Piotrem, czemże my jesteśmy? Jest coś nieludzkiego w naszem obecnem istnieniu: Tomasz i Marta mają sami w sobie rację swego bytu, — lecz my — po co my żyjemy?

Przypomina mi się, cośmy mówili na Ziemi, wybierając się w tę nadniebną drogę: udajemy się tam dla *poznania!* — Teraz widzę, że poznanie samo nie zadowala człowieka, jeśli niema sposobu utrwalić go i innym przekazać. Widzimy takie cuda, jakich jeszcze od stworzenia świata żaden człowiek nie widział — i spostrzegamy sami ze zdziwieniem, że jest nam to dość obojętne, gdyż nie mamy komu opowiedzieć tego, co widzimy! Z tego też powodu — mimowoli — nie badamy wielu rzeczy, którebyśmy badać mogli i powinni... Ach! gdybyśmy mieli środek porozumiewania się z Ziemią! Bez tego życie nasze jest bezcelowe. Szczęśliwy Tomasz i Marta szczęśliwa! — oni żyją dla siebie!

Pali mnie jakaś straszna gorączka, gdy na nich patrzę, gdy myślę o nich. Żyjąc na Ziemi przez trzydzieści sześć lat, należałem do tych, przyznaję dziś — szaleńców, dla których istnieje jedna tylko miłość: wiedzy — i jedna tęsknota: za prawdą. Teraz zaczynam tęsknić za tą wielką tajemnicą wieczystego życia, którą ma w sobie kobieta — i za tym świętym obłędem, w którym się owa tajemnica objawia, — za miłością...

Cha! cha! — jakże śmiesznie wygląda to zdanie tu napisane! Jestem sam i sam będę aż do śmierci, co wpadnie na mnie i zdławi mnie wraz z tą niewyzyskaną potęgą stwarzania życia, wraz z tą

wiedzą bezużyteczną, jak źródło bijące wśród skał niedostępnych i nieurodzajnych...

Marta... Niewiem, czemu to imię napisałem. Cóż mnie obchodzi ta półdzika Malabarka, piękna jak młode zwinne zwierzę, którą na ten świat setki tysięcy kilometrów od Ziemi odległy zagnała nie najszczytniejsza żądza docieczenia tajemnic, lecz zwykła, głupia miłość do mężczyzny? — Tak, nic mnie nie obchodzi, a jednak myślę o niej bez ustanku, uparcie, aż boleśnie. Jest nas tu trzech mężczyzn, silnych, mądrych — a jednak nie myśmy na ten świat człowieka przenieśli, lecz ona, ta głupia, wątła kobieta. Z nas ten tylko ma wartość, którego ona wybrała...

My dwaj jesteśmy niczem i w istocie służymy tylko tamtym dwojgu swym mózgiem, tak, jak zwierzęta robocze mięśniami.

Właściwie to jest niesprawiedliwość. Dlaczego on, dlaczego tylko on, dlaczego właśnie on?...

Marta mówiła na Ziemi, prosząc nas, by ją wziąć na Księżyc: »Będę waszą niewolnicą«. A w istocie my jesteśmy jej niewolnikami, chociaż ani ona nam kiedy co rozkazuje, ani my nie staramy się jej służyć. Jesteśmy jej niewolnikami przez tę tak ogromnie prostą rzecz, że mimowoli służymy, choć w różny sposób, do celu, który ona jedna może urzeczywistnić: stworzyć tu nową ludzkość.

Hej! gdzie mnie myśl unosi! Zaledwie widmo śmierci zeszło z mych oczu, a już starym, ziemskim, ludzkim zwyczajem myślę o przyszłości, która się może nigdy nie spełni. Ludzkość, nowa ludzkość! a tu dokoła nas pustynia, a tu kraj bezpowietrzny, bezwodny i martwy. Księżyc jeszcze nam nic nie dał; żyjemy dotąd tą odrobiną Ziemi, którąśmy ze sobą zabrali. Nie mamy nawet zgoła danych, mogących nas utwierdzić w przypuszczeniu, że znajdziemy tutaj warunki do życia. Przebyliśmy już około kilkuset kilometrów, nie spostrzegłszy wcale zmiany w ukształtowaniu powierzchi gruntu, ani w gęstości atmosfery. Powietrze tu ciągle tak rzadkie, że nie jest zdolne we dnie zaćmić gwiazd ani pomalować na błękitny kolor czarnego nieba; na skalistem podłożu nie widno nigdzie śladów, iżby tu kiedykolwiek była i działała woda.

A jednak nie tracimy nadziei. Prawie wszystkie nasze rozmowy zaczynają się pełnym ufności zwrotem: A gdy już przybędziemy na



*tamtą* stronę... Jaka będzie *tamta* strona? Wiemy o tem również nie wiele, jak w chwili, kiedyśmy się ze Ziemi w tę podróż puszczali, to znaczy nic zgoła nie wiemy.

*Pod* Trzema Głowami, *7° 40' z. dł., 43° 6' pn. szer. księż., przed północą drugiej doby.*

Znajdujemy się u stóp góry, wznoszącej się w północnej części *Mare Imbrium*, a różnej od wszystkich wyniosłości, któreśmy dotąd po drodze spotykali. Światło Ziemi, wzniesionej tutaj tylko czterdzieści kilka stopni ponad widnokrąg, pada ukośnie na skały podobne do olbrzymiej gotyckiej świątyni lub bajecznego zamku dla wielkoludów.

Blask nocny jest tu znacznie słabszy niż tam, gdzie Ziemia świeciła nad nami w zenicie; widne przy nim wszakże ogólne zarysy. Pierwsza to góra, która nie ma postaci pierścionnego krateru. Wygląda raczej na szczątek ruin takiego pierścienia, zniszczonego jakimś straszliwym kataklizmem natury, czy też powolnem działaniem wody.

Tak jest, mówimy już »działaniem wody«, a choć to jest tylko słabe przypuszczenie uczuwamy taki dreszcz radości, jak gdyby było prawdą... Bo jeśli tu woda była, to można się spodziewać, że tam dalej, na »tamtej stronie«, woda jest, a jeśli jest woda, to musi być i powietrze w dostatecznej dla oddychania gęstości. Mimo mrozu, który, choć znacznie słabszy niż poprzedniej nocy, gnębi nas dotkliwie, wyszliśmy na chwilę z wozu i badaliśmy przy ukośnem świetle Ziemi okolicę, szukając śladów, potwierdzających nasze przypuszczenie. Pewnego nic nie wiemy, ale to niewątpliwe, że inne przyczyny musiały się złożyć na utworzenie tej góry, niż spotykanych dotąd obrączkowych wzniesień. Tuż przed nami piętrzy się ściana niemal prostopadła, z trzema potężnemi szczytami, niby kawał cyklopiego muru z tkwiącemi w nim basztami. Nazwaliśmy to sobie *Trzema Głowami*. Mur ciągnie się w kierunku północno-wschodnim i zwrócony jest ku nam czarną, nieoświetloną stroną. Szczyty jeno same bielą się płaszczyznami nachylonemi ku Ziemi i wyglądają jak trzy srebrne kaski na czarnych głowach. Cała góra różni się od tła nieba

tylko tem, że na jej czerni niema gwiazd, których niebo jest pełne. Kształt jej tak poznajemy, jak się na Ziemi poznaje w nocy ciemną na ciemnym, lecz gwiaździstym błękicie chmurę.

Jesteśmy pogrążeni w absolutnej nocy, gdyż góra nam Ziemię zasłania. Drogę rozjaśniamy przed sobą elektrycznemi latarniami. Utrudnia to podróż niezmiernie. Każda wyniosłość rzuca tu już długi cień i musimy się posuwać z największą ostrożnością, aby nie uwięznąć w jakiej nierówności gruntu lub płytkiej rozpadlinie, których tu coraz więcej spotykamy. Zdaje się, że nie wiele drogi zrobimy przed wschodem słońca, zwłaszcza, że mróz potęgujący się z końcem nocy zmusi nas prawdopodobnie do zatrzymania się dłuższy czas na miejscu. Chcielibyśmy przedtem dotrzeć chociaż do szczytu *Pico*, który według mapy oddalony jest od nas około siedmdziesięciu kilometrów ku północy, gdyż wiemy już z doświadczenia, że w pobliżu gór jest znacznie cieplej, niż na równinie. Tłumaczymy sobie to zjawisko wulkanicznym charakterem wielu z nich: muszą tam być gdzieś w pobliżu podziemne żyły wewnętrznego ognia.

Po krótkim postoju, wywołanym koniecznością opatrzenia motoru, puszczamy się w dalszą drogę. Muszę przerwać pisanie, gdyż niepodobna nawet myśleć o niem podczas ruchu. Wobec nierównego gruntu i licznych cieniów, jakie rzuca światło nachylonej ku widnokręgowi Ziemi, musimy ciągle mieć się wszyscy na baczności. Ze snem tak się teraz urządzamy, że aby nie wstrzymywać wozu, jedno tylko śpi, a troje czuwa. W tej chwili śpi Marta. Słyszę jej równy, spokojny oddech, widzę przy blasku przyćmionej latarni jej twarz, wyzierającą z pośród stosu futer. Usta ma trochę rozchylone, jakby do uśmiechu lub pocałunku... O czem ona śni teraz?

Ach! głupstwo! Puszczamy się w drogę.

*Trzecia doba, 30 g. po północy, na* Mare Imbrium *9° 14' z. dł., 43° 58' pn. szer. księż.*

Dziwne, dziwne jest to, co widzę...

Niemal o samej północy wyruszyliśmy z pod *Trzech Głów*. Droga była straszliwie uciążliwa, zwłaszcza, że co chwilę zapadaliśmy w cień drobnych wyniosłości gruntu. Parę razy w ciągu godziny musieliśmy się zatrzymywać i badać z pomocą światła elektrycznego teren, lub też robić pomiary wysokości gwiazd, będących teraz jedynym dla nas drogowskazem. Okolica, pokrajana cieniami, podobna jest do kłębów chmur, lekko z wierzchu posrebrzonych. Niepodobna nic rozeznać oprócz ogólnych zarysów. A jednak... Może właśnie dla tego...



W przeciągu trzydziestu godzin ujechaliśmy zaledwie czterdzieści parę kilometrów. Wreszcie dotarliśmy teraz do dziwnej szarej smugi, podobnej do ławicy piasku. Ciągnie się na znacznej przestrzeni ku północnemu zachodowi lekko wygiętym łukiem, odbijając jaśniejszą barwą od ciemnego tła kamienistej pustyni. — O ile mogę dojrzeć przy świetle Ziemi, kończy się u szczególnej grupy skał, podobnej zdala do fantastycznych zwalisk jakiegoś zamku, czy miasta. Miasta...?

Puszczamy się wzdłuż tej smugi, gdyż stanowi dla nas drogę znacznie równiejszą od zaścielonej głazami pustyni, a nie zwodzi nas zbyt z wytkniętego kierunku. Posuwamy się dość szybko, a tymczasem owa grupa skał, widna zdala, występuje przed nami coraz wyraźniej. Teraz można już rozróżnić dokładnie poszczególne głazy, fantastycznie spiętrzone, a przypominające do złudzenia ruiny wież i gmachów.

Nie wiem, co mam myśleć o tem wszystkiem. — Staram się zdać sobie sprawę... Nie, nie! to jest zbyt dziwne doprawdy! Jakaś zabobonna niemal trwoga mnie ogarnia...

Czyżby to...

*Trzecia doba, 36 godzin na* Mare Imbrium...

Przekleństwo! — przekleństwo! — Jeżeli stracimy Tomasza... Wyniszczony był tak straszliwie pierwszą gorączką a teraz znowu... O Boże! ratuj go, bo my już... To trupie miasto...

*59 g. po północy, na* Mare Imbrium *pod* Pico, *9°12' z. dł., 45°27' pn. szer. księż.*

Zbieram myśli... Trzeba nareszcie zapisać.

Pamiętam, wstałem był właśnie, od tych kart i patrząc na niepojęte ruiny czy spiętrzone głazy, wykrzyknąłem mimowoli:

— Ależ to wygląda doprawdy jak miasto!

Tomasz, który przez cały czas stał przy oknie i obserwował ze wzrastającem zajęciem widne przed nami skały, odwrócił się żywo na moje słowa. Na twarzy malowało mu się wzruszenie.

— Zdaje mi się, że masz słuszność, rzekł poważnie, z lekka drżącym głosem. — To w istocie może być miasto...

— Co!?

Poskoczyliśmy wszyscy ku oknu, chwytając za lunety.

Nawet Piotr podszedł od steru, zatrzymawszy wóz, aby się przypatrzyć temu dziwu. Tomasz wyciągnął rękę:

— Patrzcie — mówił — tam na prawo. Wszakże to są zwaliska bramy kamiennej. Widać oba filary, a w górze trzyma się jeszcze kawałek łuku... Albo tu, w głębi, czyż to nie jest wieża, rozwalona do połowy? A tam, patrzcie, gmach jakiś obszerny, z nizką kolumnadą na przodzie i dwiema ściętemi piramidami po bokach. Ręczę, że ten niby wąwoz, zasypany miejscami mnóstwem głazów, był niegdyś ulicą... Teraz to jest zwalone i martwe... Trupie miasto.

Nie umiem określić uczucia, jakie mną owładnęło.

Im dłużej patrzyłem, tem skłonniejszy byłem do uwierzenia, że Tomasz ma słuszność. W oczach mi rosły coraz nowe wieżyce, łuki i kolumny, kawałki rozsypanych murów i ulice zasłane gruzem gmachów. Światło Ziemi posrebrzało te fantastyczne ruiny; z czarnego jeziora cienie wyskakiwały tajemniczo, jak zjawione duchy. Przeszedł mnie dreszcz nieokreślony. Jakieś księżycowe Pompei czy Herkulanum, jeno nie z piasku wygrzebane, lecz raczej w piasek się rozsypujące, — straszliwsze, większe, więcej trupie w tem opuszczeniu potwornem i w tem dziwnem świetle...

Varadol wzruszył ramionami i mruknął:

— Tak, to istotnie podobne do zwalisk, te skały... Ale przecież tu nigdy nie było żywej istoty.



— Kto to wie, — odpowiedział Tomasz. — Dzisiaj ta strona Księżyca nie ma powietrza ani wody, ale mogła je mieć niegdyś przed wiekami, przed tysiącami wieków, kiedy glob księżycowy szybciej się jeszcze obracał i Ziemia wschodziła i zachodziła na jego niebie...

— To możliwe szepnąłem w zamyśleniu.

— Nie spotkaliśmy nigdzie śladów erozji, a to dowodzi, że tu nigdy wody nie było; to zaś świadczy o braku powietrza, a więc i życia, — odezwał się Piotr.

Woodbell uśmiechnął się i wyciągnął rękę, wskazując grunt pod naszym wozem:

— A ten piasek? a *Trzy głowy*, któreśmy minęli niedawno? Wszak wyglądały, jak szczątek góry wodą rozmytej. Nie można twierdzić, że tu wody nigdy nie było. Może tylko odwieczne działanie mrozu i żaru słońca zatarło i zniweczyło to, co ona zbudowała...

Przez chwilę panowało wśród nas głuche milczenie; potem Woodbell rzekł nagle:

— Zdaje mi się, że mamy przed sobą najciekawszą zagadkę, jakąśmy mogli spotkać na Księżycu. Trzeba ją rozwiązać.

— Jak to rozumiesz? — spytałem.

— Ano, podjedziemy ku tym gruzom i zwiedzimy je...

Nie wiem dlaczego, mróz mnie przeszedł po kościach; nie był to strach, ale coś, co było do niego bardzo podobne. Te zwaliska — gmachów, czy też skał, — wyglądały jak białe trupy na niezmierzonej pustyni.

Piotr znowu ramionami ruszył z niechęcią:

— Dziwne fantazje! — szkoda czasu na oglądanie skał, które przy świetle Ziemi mają istotnie trochę podobieństwa do gmachów — ale nic ponadto.

Mimo to zwróciliśmy wóz ku ruinom. Marta patrzyła w nie z natężeniem i widocznym niepokojem zarazem.

— A jeśli to jest miasto umarłych, przez umarłych zbudowane, — szepnęła, gdy już zaledwie dwa kilometry dzieliły nas od arkady, stanowiącej wejście do tego dziwnego miejsca.

— Miasto umarłych... zapewne — rzekł, uśmiechając się To-

masz, — ale wierz mi, że musiało być niegdyś przez żywych zbudowane.

— Albo przez siły przyrody, — dorzucił Piotr i w tejże chwili zatrzymał wóz gwałtownie na miejscu.

Poskoczyliśmy ku niemu, zobaczyć co się stało. Ława piasku skończyła się była właśnie, a przed nami leżało pole tak zasłane dużemi głazami, że nie mogło być mowy o przedostaniu się przez nie z wozem bliżej ku miastu. Tomasz, spostrzegłszy to, zawahał się chwilę, a potem zawołał:

— Pójdę piechotą!

Zrazu poczęliśmy go wszyscy powstrzymywać od tego zamiaru, nie zdając sobie nawet sprawy, dlaczego to robimy.

Czyżby to było przeczucie tego, co miało nastąpić? Ostatecznie jednak postawił na swojem. Piotr zaklął pod wąsem i powiedział, że trzeba być skończonym warjatem, aby tracić czas i narażać się przez wyjście z wozu na straszliwy mróz dla urojenia; ja ofiarowałem się towarzyszyć Tomaszowi, ale gdy powiedział, że wyjdzie sam, nie nalegałem. Do tej chwili nie wiem, co mnie właściwie powstrzymało, obawa zimna, czy też to dziwne, niewytłumaczone a przykre uczucie jakiegoś lęku na widok trupiego miasta... Dość, żem pozostał we wozie — i źle się stało.

Tomasz, wyszedłszy z wozu, ruszył wprost przed siebie w kierunku piętrzących się fantastycznie zwalisk. My, stojąc przy oknie, widzieliśmy go w świetle Ziemi jakby na dłoni. Posuwał się zwolna, schylając się często, zapewne w celu zbadania gruntu. Na chwilę znikł w cieniu niewielkiej skałki z przed naszych oczu; potem zobaczyliśmy go znowu, znacznie już dalej. Naraz stało się coś dziwnego. Woodbell, uszedłszy może trzecią część drogi, wyprostował się, stanął jak wryty, i nagle zwróciwszy się, począł biec w szalonych susach napowrót w stronę wozu.

Patrzyliśmy na jego ruchy, nie mogąc ich sobie wytłumaczyć. Wtem o kilkanaście kroków przed wozem potknął się i upadł. Widząc, że nie wstaje, rzuciliśmy się obaj, przejęci już trwogą, iść mu z pomocą. Nimeśmy wyszli, zbiegła chwila czasu, gdyż trzeba było przywdziać powietrzochrony. Załatwiwszy się z tem, wybiegliśmy wreszcie. Woodbell leżał bez przytomności. Nie było czasu zastanawiać się, co się mu stało, — chwyciliśmy go więc na ręce i zanieśli co prędzej do wozu.



Gdyśmy zdarli z niego powietrzochron, przedstawił nam się straszny widok. Twarz obrzękła i sina, zlana była cała krwią, cieknącą obficie z ust, nosa i oczu; na nabrzmiałych dłoniach i na szyi widać było także gęste krople krwi, choć nie mogliśmy nigdzie odkryć rany.

Marta na widok tej strasznej postaci wydała dziki okrzyk i zaledwie udało się przemocą Varadolowi powstrzymać ją od rzucenia się na ciało i uspokoić nieco. Ja tymczasem zająłem się trzeźwieniem nieszczęśliwego. Z początku sądziliśmy, że powalił go atak apoplektyczny, gdy jednak Piotr obejrzał porzucony powietrzochron, okazała się nam właściwa przyczyna zemdlenia. Szkło w masce, czegośmy zrazu nie zauważyli, było rozbite. Pękło widocznie, gdy Tomasz się potknął i upadł, a w następstwie tego powietrze uciekło z powietrzochronu. Nim zdążyliśmy przybiec z pomocą, cały prawie zbiornik był wyczerpany. To spowodowało wybuch krwi i omdlenie; ale z jakiej przyczyny tak biegł, pozostało na razie tajemnicą.

Po dość długim czasie udało się nam wreszcie przywołać go wspólnemi siłami do przytomności. Pierwszym znakiem powracającego życia był oddech głęboki, kurczowy, po którym mu się znowu krew ustami rzuciła. Potem otwarł oczy i dysząc szybko, jakby z wysiłkiem, jął na nas patrzeć błędnie, nie pojmując snadź, co się z nim dzieje. Nagle krzyknął przeraźliwie, wyciągając ręce, jakby coś odpychał i zemdlał znowu. Ocuciliśmy go powtórnie, ale mimo to nie odzyskał przytomności: wpadł w gorączkę, która zda się być zapowiedzią dłuższej choroby.

Ułożywszy jak najtroskliwiej chorego na hamaku, puściliśmy się w dalszą drogę. O fantastycznych skałach, czy też tajemniczem mieście nikt z nas już nie myślał, tak byliśmy zakłopotani strasznym wypadkiem i zdjęci pragnieniem jak najprędszego wydostania się z tej złowrogiej okolicy.

We dwadzieścia kilka godzin dotarliśmy wreszcie do stoków *Pico*, gdzie obecnie stoimy. Zatrzymamy się tutaj aż do rana.

Stan Woodbella jest wciąż bardzo groźny. Krwotoki wprawdzie już ustały, ale gorączka wzmaga się ciągle. Czasem zrywa się

i rzuca, jakby chciał uciekać, majaczy i wykrzykuje jakieś niezrozumiałe zdania, w których powtarza się często imię nieszczęśliwych braci Remognerów. Po takich wybuchach następują chwile zupełnego obezwładnienia. Wygląda wtedy tak trupio blady, jakby w całem ciele jego nie pozostała ani jedna kropla krwi.

Zaniepokojeni jesteśmy tem wszystkiem do najwyższego stopnia. Marta odchodzi od zmysłów z rozpaczy i trwogi, ale stara się zapanować nad sobą, widząc, że jej pomoc potrzebna jest teraz choremu. My ją pocieszamy, jak możemy i ukrywamy przed nią własne obawy...

Jest w tym całym tak strasznym wypadku jakaś zagadka. Nie mogę pojąć, co mogło Tomasza skłonić do owej szalonej ucieczki, która ostatecznie stała się przyczyną nieszczęścia? Bo to pewna, że maska rozbiła się dopiero wtedy, gdy upadł. Żałuję teraz, że nie przyszło nam na myśl wyjść z wozu i zbadać drogę, którą przeszedł. Możeby to było pomogło do rozwiązania zagadki... Bo tam coś być, lub coś się stać musiało! Jeśli kto, to właśnie Tomasz, który okazał tyle przytomności umysłu i spokoju w najgorszych położeniach, nie byłby się dał opanować trwodze bez powodu. Ale co go przestraszyło? co go tu wogóle na tym martwym świecie przestraszyć mogło?... Nie przeszedł nawet połowy drogi do bram owego rzekomego miasta trupów...

*Pod* Pico, *148 godz. po północy.*

Odetchnęliśmy nareszcie spokojniej; zdaje się, że nam się uda utrzymać Tomasza przy życiu. Teraz zasnął — to znak, że przełomowa chwila choroby już minęła. Zachowujemy się jak można najciszej, mówimy nawet tylko szeptem, aby go nie obudzić. Może go ten sen ocali.

Boimy się tylko, aby psy szczekaniem nie narobiły hałasu, gdyż zbudzić teraz Tomasza, znaczyłoby go zabić. To też nieustannie ktoś z nas czuwa przy psach; jeśliby się który odezwał, wyrzucimy go natychmiast z wozu. Ale na szczęście psy zachowują się spokojnie. Selena, ulubiona jego suka, usiadła nieruchomie przy hamaku jakby na straży i nie spuszcza oka ze swego chorego pana. Jestem przekonany, że to rozumne zwierzę zdaje sobie doskonale sprawę ze stanu,



w jakim się pan znajduje. W oczach jej widno tyle żałości i niepokoju... Gdy się kto z nas zbliża do chorego, ona warczy z cicha, jakby ostrzegając, że czuwa i nieda mu krzywdy zrobić, a potem wywija ogonem, aby dać poznać, że wierzy w nasze przyjazne zamiary i cieszy się naszą troskliwością.

Z drugiej strony hamaku siedzi Marta. Od stu godzin prawie się nie odzywa. Otwiera usta tylko wtedy, gdy się musi z nami porozumieć co do czuwania nad chorym. Nie umiem sobie wyobrazić większej boleści. Nie płacze, nie narzeka, owszem jest spokojna, ale w tym spokoju, w tych zaciśniętych ustach i suchych, szeroko rozwartych oczach jest coś strasznego, co łamie poprostu serce patrzącym na to. Mamy jakąś cześć dla niej i dla jej bólu. Pragnęlibyśmy ją pocieszyć, dodać jej otuchy i nadziei, a doprawdy że nie śmiemy się do niej zbliżyć ani odezwać. Ona też patrzy na nas dziwnie obojętnie; znać, że obchodzimy ją tylko o tyle, o ile pomagamy jej ratować Tomasza. Poza tem nie istniejemy dla niej zgoła.

*Pod* Pico, *przed wschodem słońca dnia trzeciego.*

Najwyższy szczyt *Pico* rozbłysnął już w słońcu; za trzy lub cztery godziny i tutaj w dole dzień nastanie. Przez całą noc widzieliśmy przed sobą w świetle Ziemi srebrną ścianę potężnej góry; teraz ściana ta zszarzała i pociemniała przez kontrast z roziskrzonym w słońcu szczytem.

Podobnie jak *Trzy Głowy*, *Pico* nie jest kraterem, lecz raczej olbrzymim złomem zniszczonego pierścienia górskiego. Stoimy pod jego najwyższym szczytem, sterczącym od północnego zachodu. Urywa on się tutaj prawie prostopadle ku dolinie. Można dostać zawrotu na widok tej straszliwej wysokości, tem wydatniejszej, że wokoło rozciąga się gładka równina. — Szczyt wznosi się nad nią półtrzecia tysiąca metrów w górę.

Trudno zgadnąć, co mogło spowodować rozsypanie się owego pierścienia górskiego, z którego ten cypel tylko pozostał. Może skała utworzona z miększego materjału skruszała pod wpływem zmian temperatury, a może rozmyła ją woda?

Już po raz drugi robimy w tej podróży to przypuszczenie. Tutaj przemawia za tem i ta okoliczność, że nie widać nigdzie wału złomów skalnych, któryby musiał powstać, gdyby tę górę były rozgryzły mrozy i słońce. Tam, gdzie niegdyś snadź się wznosił grzbiet pierścienia, znajduje się zaledwie gładkie, niewysokie wzniesienie, majaczące przed nami niewyraźnie w blasku Ziemi. Piotr mimo straszliwego zimna, wypadł na chwilę z wozu, aby zbadać grunt. Nie mógł się dłużej zatrzymać, ale przyniósł kawałek kamienia, który jest ogromnie podobny do skał, osadzających się z wody...

Gdy słońce wzejdzie i oświeci tę okolicę, może dowiemy się czegoś pewniejszego.

Tomasz śpi ciągle od trzydziestu blizko godzin. Jesteśmy przez to nieco swobodniejsi, ale z drugiej strony tak długi sen zaczyna nas niepokoić. Strach zbiera patrzeć na tę twarz, tak trupio bladą. Oczy ma zamknięte, zapadłe policzki, obciągnięte żółtą, niemal przejrzystą skórą, usta spalone i bezkrwiste. Leży bez ruchu, — żebra zaledwie się podnoszą w słabym oddechu. Czasem mam złudzenie, że nie żywego człowieka, ale trupa widzę przed sobą. Radbym, żeby się już obudził.

Marta ciągle milcząca nie odstępuje od łóżka ani na chwilę. Pokonana znużeniem, zasypia nawet tak, siedząc. Trwa to jednak krótko; zaraz się budzi i patrzy znów szeroko rozwartemi oczyma na chorego, jakby go chciała wzrokiem uzdrowić. Zaczynam się naprawdę o jej zdrowie obawiać. Tegoby jeszcze brakowało, żeby się i ona rozchorowała. Ale wszelkie przedstawienia z naszej strony na nic się nie zdają. Z trudem możemy ją tylko nakłonić, aby jadła.

Niespokojny jestem, co będzie, jeśli się Woodbell przed nastaniem dnia nie obudzi. Chcielibyśmy zaraz puścić się w dalszą drogę, a boimy się przerwać mu snu. Pierwotnie mieliśmy zamiar zwrócić się od *Pica* na wschód, aby okrążyć łańcuch *Alp,* tworzący północno-wschodni kraniec *Mare Imbrium,* ale ostatecznie udajemy się wprost na północ ku olbrzymiemu pierścieniowi *Platona.* Piotr po dokładnem zbadaniu map utrzymuje, że uda nam się przedostać przez ten pierścień, wprost na *Mare Frigoris,* poza którem znajduje się kraj górzysty, ciągnący się aż do bieguna. Toby nam skróciło znacznie drogę.



*Na* Mare Imbrium, *10° z. dł., 47° pn. szer. księż., 20 godzin po wschodzie słońca dnia trzeciego.*

Dojeżdżamy nareszcie do krańca niezmiernego *Morza Dżdżów,* dla którego przebycia potrzebowaliśmy prawie dwóch miesięcy czasu. Tutaj — są to dwa dni, ale tam na Ziemi tymczasem dwa razy Księżyc się odmienił, dwa razy rozbłysnął w pełni i dwa razy zaćmił się nowiem.

Od kilkunastu godzin widzimy już przed sobą potężny wał pierścienia *Platona.* Część jego wschodnia lśni się już w słońcu jak ogromny biały mur na ciemnem niebie; w stronie zachodniej jeszcze noc; szczyty jeno wyższe płoną tam jak pochodnie. Jest to stanowczo najwspanialszy i najpotężniejszy widok ze wszystkich, jakieśmy dotąd spotykali; jesteśmy jednak tak zaniepokojeni zdrowiem Tomasza, że nie zwracamy prawie uwagi na to, co nas otacza.

Tomasz obudził się o wschodzie słońca. Patrzył na nas przez chwilę w zdumieniu, a potem usiłował usiąść w hamaku, ale siły mu nie dopisały. Upadł w tył bezwładnie i dopiero Marta go podniosła i posadziła. Podbiegłem co rychło z zapytaniem, czy sobie czego nie życzy; Piotr tymczasem stał przy sterze wozu.

Tomasz zaczął się naprzód dziwić, że jest dzień. Nie pamiętał nic ze swej choroby, zapomniał nawet o wypadku, który ją poprzedził. Napomknąłem mu o tem; namyślał się przez chwilę, szukając widocznie w pamięci, a potem nagle zbladł — jeśli można mówić o zblednięciu twarzy i tak już trupio bladej — i zakrywszy oczy rękami, począł powtarzać z wyrazem trwogi: To było straszne, straszne! — Dreszcz nim wstrząsnął.

Gdy się po chwili uspokoił trochę, spróbowałem ostrożnie dowiedzieć się, co go przestraszyło i wywołało tę fatalną w skutkach ucieczkę, ale wszystkie moje usiłowania spełzły na niczem. Milczał uporczywie, lub zbywał mnie odpowiedziami bez związku, tak że w końcu zaprzestałem bezcelowych pytań, zauważywszy, że go tem tylko nużę i męczę. Musiałem mu za to ze wszystkiemi szczegółami opowiedzieć, w jakim stanieśmy go znaleźli i cały przebieg choroby. Słuchał tego uważnie, wymawiając niekiedy półgłosem łacińskie nazwy lekarskie, dopytywał się o najdrobniejsze okoliczności i objawy, a wy-

słuchawszy wszystkiego, zwrócił się wreszcie do mnie i rzekł z dziwnym spokojem, uśmiechając się nawet cokolwiek:

— Wiesz, zdaje się, że ja umrę.

Zaprzeczyłem żywo i stanowczo, ale on pokiwał tylko głową:

— Jestem lekarzem i teraz, gdy jestem przytomny, z tego stanowiska patrzę na własną chorobę. Dziwię się tylko, że jeszcze żyję. Gdym upadł, jak powiadasz, rozbiło się szkło w masce powietrzochronu. Jeślim odrazu nie umarł, to tylko dzięki temu, że przybiegliście mi dość szybko z pomocą, nim powietrze, zawarte w zbiorniku, który miałem ze sobą, zdołało się wydobyć przez otwór i rozprószyć. Z tego, co opowiadasz o stanie, w jakim znaleźliście mnie, wnoszę jednakże, że atmosfera w moim powietrzochronie musiała już być niezmiernie rzadka, to też krew wskutek wewnętrznego wyższego ciśnienia, zaczęła ze mnie uchodzić już nie tylko ustami i nosem, lecz nawet porami skóry. Gdybyście się byli parę sekund spóźnili, bylibyście już tylko zastali bezkrwistego trupa. Dziwię się zresztą, jak wobec tak strasznego upływu krwi zdołałem przetrzymać tyle dni gorączki... Chociaż nie mogła być silna, bo skądże... przy braku krwi i tak słabej akcyi serca... Ale ostatecznie przetrzymałem gorączkę i żyję, ale to nie znaczy bynajmniej, że będę żył. Nie mam krwi. Patrz, pulsu prawie nie znać; dotknij piersi, — czujesz, jak serce bije? ledwo je można poczuć. Na Ziemi możebym wyszedł z tego, ale tutaj brak warunków...

Urwał zmęczony i przymknął oczy. Myślałem, że znów zasypia, ale on, oparłszy się tylko o poduszkę, wodził z pod przymkniętych powiek oczyma za Martą, krzątającą się około przyrządzenia lekarstwa, które sam sobie przed chwilą przepisał. — Niesłychany, bezdenny żal był w tym wzroku. Poruszył parę razy ustami, a potem podniósłszy powieki, rzekł cicho, patrząc mi prosto w oczy:

— Wy będziecie dla niej dobrzy? prawda?

Bolesny kurcz ścisnął mnie za serce, a równocześnie zdawało mi się, że jakiś bezczelny, ohydny głos szepce mi do ucha: Gdy on umrze, Marta dostanie się jednemu z was, może tobie...

Spuściłem oczy ze wstydu przed samym sobą, ale on zdaje się wyczytał już był tę myśl w mej twarzy, choć Bogiem się świadczę, że krócej trwała, niż najszybsze mgnienie oka!



Uśmiechnął się z niezmierną boleścią i wyciągając ku mnie trupią rękę, pełną cieniuchnych niebieskawych żyłek pod żółtą skórą, dodał:

— Nie kłóćcie się o nią. Zostawcie jej... szanujcie... szanujcie...

Nie mógł dokończyć. Po chwili dopiero, zaczerpnąwszy tchu, rzekł szorstko, zmieniając nagle ton:

— Zresztą ja może będę żył. Niema zgoła konieczności, abym musiał umierać.

Zacząłem go skwapliwie zapewniać, że będzie żył, ale sam wątpię o tem.

Od czasu tej rozmowy upłynęło kilkanaście godzin, ale stan jego w niczem się nie poprawia, owszem zdaje się nawet pogarszać. Ciągle powtarzają się bicia serca, duszność, omdlenia. Nie wiem, jak to dalej pójdzie. Zrobił się przytem ogromnie drażliwy i wymagający. Marta nie może go ani na krok odstąpić; na nas spogląda, jakby na wrogów.

Próbowałem jeszcze kilkakrotnie dowiedzieć się od niego przyczyny owej tajemniczej ucieczki, ale za każdym razem, gdy tylko rozmowę na to sprowadzę, milknie natychmiast, a oczy jego przybierają wyraz takiej trwogi, — że nie mam serca dręczyć go pytaniami. Ostatecznie, co mi na tem zależy? Dość, że stało się nieszczęście i oby na tem tylko był koniec!

*Trzecia doba księżycowa, 66 godzin po wschodzie słońca, pod* Platonem, *w drodze na wschód.*

Przypuszczenia Varadola zawiodły całkowicie. Przedostanie się z wozem przez środek pierścienia *Platona* jest czystem niepodobieństwem. Musimy okrążyć łańcuch *Alp*, co niezmiernie przedłuża naszą drogę. Ale niema innej rady.

Mało co ponad 30 godzin minęło od wschodu słońca, gdyśmy stanęli pod turniami *Platona,* zrobiwszy w tym czasie blizko sto kilometrów drogi, po gruncie co prawda wyjątkowo gładkim.

Olbrzymi, mierzący dziewięćdziesiąt kilka kilometrów średnicy pierścień *Platona* tkwi w północnej krawędzi *Morza Dżdżów*. Na po-

łudniowy wschód od niego ciągnie się pasmo *Alp* księżycowych, aż ku *Palus Nebularum,* którem *Mare Imbrium* łączy się z *Mare Serenitatis.*

Pasmo przerwane jest tylko w jednem miejscu szeroką doliną poprzeczną, bodaj czy nie jedyną na tej stronie Księżyca, wiodącą ku *Mare Frigoris*, przez które trzeba nam się będzie przedostać w drodze do bieguna. Na zachód od *Platona* ciągnie się na niezmierzonej przestrzeni brzeg stromy i wysoki, wygięty w półkole, w które jeszcze wgłębia się obszerna *Zatoka Tęcz.* Sam pierścień *Platona* utworzony jest z wału górskiego, otaczającego wewnętrzną płaszczyznę obszaru około 7.500 km²! Szczyty najwyższe we wschodniej części wału dochodzą do półtrzecia tysiąca metrów wzniesienia.

Zbadawszy te wszystkie rzeczy bardzo dokładnie na mapie, spostrzegliśmy, że w południowym wale *Platona,* tuż około tkwiącego w nim niewielkiego krateru, grzbiet się obniża i rozpłaszcza, tworząc pewien rodzaj szerokiej przełęczy.

Otóż chcieliśmy według planu Piotra dla skrócenia sobie drogi dostać się przez tę przełęcz na środkową równinę, a przerznąwszy ją w kierunku północnym, poszukać znowu wyjścia na wyżynę, opadającą już łagodnie ku *Mare Frigoris.*

Przybywszy pod stoki *Platona*, znaleźliśmy z łatwością miejsce, wyszukane na mapie. Pomocny nam w tem był ów strzelisty krater, sterczący nad przełęczą. Droga na przełęcz nie wydawała się zbyt trudną; grunt wznosił się zwolna i nie widno było na nim nierówności. Mimo to nie odważyliśmy się puścić odrazu z wozem w drogę. Trzeba się było wpierw przekonać, czy rzeczywiście da się tędy przejechać.

Pozostawiwszy tedy Woodbella pod opieką Marty, puściliśmy się obaj z Piotrem naprzód pieszo. Wóz miał czekać naszego powrotu.

Okrążyliśmy krater w trzonie *Platona* od wschodu, postępując wciąż ku górze. Droga nie była tak łatwa, jak nam się to z dołu wydawało. Spotykaliśmy kamieniste pola i urwiska, które trzeba było wymijać. Mimo to byliśmy pewni, że wóz zdoła tę drogę przebyć. Byliśmy obaj w jak najlepszem usposobieniu. Słońce, nie wysoko jeszcze ponad horyzontem świecące, grzało nas w miarę, było nam ciepło i lekko; dookoła nas roztaczały się widoki zaiste cudowne!



Zbocza skał, poprzerywane jak smoła czarnemi cieniami, iskrzyły się w oślepiającem słońcu całą symfonją cudownych tęczowych barw. Deptaliśmy po skarbach, za jakie na Ziemi możnaby kupować królestwa i korony: wśród skruszałych głazów krwawiły się ciemne rubiny, — żyły malachitów łyskały z dala podobne do trawników, na których rozsypane odłamy onyksów i topazu świeciły jak kwiaty, — a czasem z jakiej szczeliny, gdy wdarł się w nią promień słońca, wytryskała nagle tęczowo fontanna blasku, istna orgja światła, rozszczepionego w olbrzymich pryzmach kryształu górskiego.

To niesłychane bogactwo, zgromadzone przez jakiś wybryk przyrody w jednem miejscu, oślepiało nas zrazu i oszałamiało, ale wkrótce przyzwyczailiśmy się tak do tego widoku i tych bezużytecznych tu dla nas skarbów, że deptaliśmy po nich, jakby po zwykłych krzemieniach

Czarodziejskie otoczenie wywarło na nas jednak wpływ znamienity: było nam wesoło. Zapomnieliśmy o wszystkich zmartwieniach i kłopotach, o chorobie Tomasza, o przebytych trudach i nieszczęściach, o niebezpieczeństwach, które nam jeszcze grożą, nawet o niepewnej przyszłości! Cieszyliśmy się jak dzieci pięknym rankiem i pięknemi widokami. Do niewygodnych trochę powietrzochronów przyzwyczailiśmy się zupełnie, a myśl o niebezpieczeństwie, jakiem groziła otaczająca nas próżnia, mimo świeżego wypadku z Woodbellem, nie mąciła nam jakoś pogody umysłu. Korzystając z lekkości naszych ciał na Księżycu przy nieosłabionej sile mięśni, przesadzaliśmy ogromne głazy lub skakali z wysokich urwisk.

Te wybuchy dobrego humoru powstrzymywała tylko myśl o konieczności pośpiechu. Powietrza i żywności wzięliśmy ze sobą na czterdzieści godzin, co było wcale nie wiele, zważywszy, że mogła zajść jakaś nieprzewidziana okoliczność, zmuszająca nas do zatrzymania się w drodze.

W niespełna dziesięć godzin staliśmy już na przełęczy.

Przed nami roztworzył się widok na tajemnicze wnętrze *Platona.* Wał północny pierścienia, odległy od nas prawie o sto kilometrów, widniał w dali jak olbrzymia poszarpana piła, najeżona licznemi szczytami. Aż po ten kres rozciągała się równina gładka, ciemnoszara, jak morze zastygłe i ciche. Tu i ówdzie tylko przecinały ją

nieco jaśniejsze, szerokie pasy, z rozsianemi na nich zrzadka nizkiemi kraterami, podobnemi raczej do płytkich kotlinek. U stóp naszych skała urywała się od wewnątrz nadzwyczajnie bystro; nie było mowy, abyśmy się mogli tędy z wozem przedostać.

Beznadziejny smutek wionął na nas z tego morza śmierci. Niepodobna sobie wyobrazić krajobrazu, gdzieby było więcej spokoju i więcej martwoty. Skały tu nawet spływają jakoś zwolna i jakby leniwie ku głębinom, szczyty dźwigają się senne, ogromne, a takie w blaskach słońca ponure, jak gdyby wzniosły się z trudem i niechętnie li tylko dlatego, że im kazano stanąć na straży i ogrodzić ową okropną pustą i szarą równinę.

Poprzednia wesołość nasza zniknęła bez śladu.

Dziwna, jak krajobraz działa na ludzkie serca! Patrzyłem długo w milczeniu, nie mogąc oczu oderwać od tej pustki i ściskał mnie żal coraz większy, — nie wiem za czem i za kim... Tak mi się stało wszystko obojętnem i nużącem i niewartem wysiłku, a tak ponętną wydawała mi się Śmierć-ukoicielka, która przecież niedawno, wisząc mi nad głową, takim piekielnym napełniała mnie strachem.

Czułem, że mnie ten widok zabija; nie mogłem znieść go już dłużej, a przecież potrzebowałem całego wysiłku woli, aby się odeń oderwać.

Zwróciłem się twarzą ku południowi i świecącemu na niebie sierpowi Ziemi. Ponad szczyty krateru, który nam przy wchodzeniu służył za drogowskaz a teraz w dole pozostał, zobaczyłem przed sobą *Morze Dżdżów*. Ogromna, ogromna przebyta płaszczyzna! Patrzyłem na nią tak, jak niegdyś z przełęczy pod *Eratosthenesem,* tylko wówczas leżała jeszcze przedemną, jako nieznana droga do nieznanego upragnionego kraju, — teraz miałem ją już poza sobą...

Szara była, martwa i przestrona, jak wówczas; tylko zamiast płonących w słońcu szczytów *Timocharisa* i *Lamberta*, czerniły się przed mem okiem w cieniu spowite iglice: *Pico* i dalej ku wschodowi — *Piton*.

Sierp ziemi stał ponad tem morzem, bliższy już horyzontu, niż szczytu nieba. I tak mi się wydała cała równina, jak droga szeroka, od tej Ziemi wiodąca. Jaka straszna, jaka ciężka droga i daleka! Nimeśmy ją przebyli, dwa razy przeszło nad nami słońce, jak

płomień rażący i żywy, dwa razy ogarnęły nas mroźne, długotrwałe cienie. A ileż trudów, ile przygód i cierpień! Zejście z *Eratosthenesa*, śmiertelny żar południowy, potem mróz zajadły, a potem znowu to widmo Śmierci, towarzyszące nam przez tyle godzin! a potem śmierć braci Remognerów — a potem nieszczęśliwy wypadek i choroba Tomasza... Śmiercią O'Tamora nasza droga się zaczęła, — ale nie jest jeszcze skończona.

Pogrążony byłem w tych myślach ponurych i w jakiejś nagłej, budzącej się, a nieprzemożonej tęsknocie ku Ziemi, widnej z daleka nad nieprzejrzaną płaszczyzną, — gdy krzyk Varadola wyrwał mnie z zadumy. Odwróciłem się szybko, pewny, że znów przychodzi jakieś nieszczęście, ale Piotr stał zdrowy przy mnie i tylko ręką wskazywał w stronę dalekiego północnego wału *Platona*. Spojrzałem w tym kierunku i dostrzegłem coś, jakby nikły obłok, nie! zaledwie nikły cień obłoku, przysłaniający podnóża gór, przed chwilą jeszcze doskonale widoczne.

Drgnąłem na ten widok, jak gdyby to nie obłok się przesuwał, lecz góry same z miejsc się ruszyły i szły przed nami. A Piotr krzyczał tymczasem przez rurę:

— Obłok! a więc tam jest atmosfera, jest powietrze, tam będzie można oddychać!

Szalona radość brzmiała w tych nadzieją wezbranych słowach Istotnie, ponad tą równiną śmierci, jak ją nazwałem, ukazał się nam pierwszy promyk życia. — Obłok ten nie świadczy wprawdzie jeszcze, iżby tamtą atmosferą można już oddychać człowiekowi, ale w każdym razie nie ulega wątpliwości, że powietrze jest tam gęstsze, niż w przebywanych dotąd okolicach, kiedy mogą się w niem obłoki tworzyć i utrzymywać choćby nizko nad powierzchnią. Dymy kraterów zewnątrz *Eratosthenesa* opadały natychmiast, jak piasek, na ziemię.

Pokrzepieni tem zjawiskiem, utrwalającem nas w nadziei znalezienia na tamtej stronie Księżyca, a może i pierwej, dostatecznie gęstego powietrza, zaczęliśmy się spuszczać z powrotem ku *Mare Imbrium* w weselszych znów usposobieniach, choć właściwy cel wycieczki nie został osiągnięty: nie znaleźliśmy drogi przez pierścień *Platona*. Schodząc, rozmawialiśmy o tem, co dalej czynić należy. Może na zachodzie od *Platona* wynaleźlibyśmy miejsce, którędyby się można

wydostać na stromy brzeg wyżyny, ale niepodobna odważyć się na to. Gdyby nam się bowiem to nie udało, musielibyśmy zrobić tysiące kilometrów, nimbyśmy okrążyli krawędź *Mare Imbrium* od zachodu. Znacznie bezpieczniej zwrócić się odrazu na wschód. Może się uda przedrzeć wspomnianą już poprzeczną doliną w paśmie *Alp*, a nawet gdyby się to okazało niepodobieństwem, to i tak, okrążając cały łańcuch, niewiele stosunkowo drogi nadłożymy.

Z tem postanowieniem zeszliśmy w dolinę. Jakież jednak było nasze przerażenie, gdyśmy nie spostrzegli wozu w tem miejscu, gdzieby stać był powinien! Zrazu sądziliśmy, żeśmy się zabłąkali, ale nie; okolica była ta sama; widno było doskonale głazy, pod któremi wóz zostawiliśmy. Mimo znużenia pobiegliśmy ku nim pędem, niedowierzając jeszcze własnemu wzrokowi. Wozu nie było. Staraliśmy się wynaleźć ślady jego kół, aby odgadnąć, w której go mamy szukać stronie, ale na skalistym gruncie nie mogliśmy odkryć żadnego znaku. Ogarnęła nas rozpacz. Żywność, którąśmy wzięli ze sobą, była już zjedzona, wody mieliśmy już tylko resztkę, a powietrza zaledwie na kilkanaście godzin. Varadol zaczął nawoływać; zapomniał, że jedyną istotą, mogącą tutaj krzyk jego usłyszeć, byłem ja, połączony z nim rurą do mówienia!

Puściliśmy się na poszukiwania. Schodziliśmy całą okolicę, strawiwszy na to sześć godzin czasu, ale wozu nigdzie ani śladu. Kiedyśmy po bezowocnych poszukiwaniach wrócili na dawne miejsce, głód zaczął nam już dokuczać, woda się skończyła, a zapas powietrza był na schyłku. Bezradni rzuciliśmy się na ziemię, oczekując śmierci. Varadol przeklinał głośno, a ja z dziką rozpaczą łamałem sobie głowę, co ich też mogło skłonić do odjechania przed naszym powrotem.

Nagle błysnęła mi myśl, że może Tomasz uciekł przed nami umyślnie, aby nas wydać na pastwę śmierci, poruszony chorobliwą zazdrością, której przebłysk spostrzegłem już był u niego poprzednio, gdy mówił o swym zgonie i o Marcie. Wściekłość mnie ogarnęła. Zerwałem się i chciałem biec, gonić go, zemścić się, zabić — wtem...

Wtem o kilkanaście kroków przed sobą zobaczyłem Martę. Szła ku nam powoli, uśmiechając się przez szklaną maskę na twarzy swym zwykłym, smutnym uśmiechem. Przyskoczyliśmy obaj do niej i za-



częliśmy krzyczeć naprzemian z oburzenia i radości. Marta przypatrywała się jakiś czas spokojnie naszym ustom, a gdyśmy zaprzestali, ochrypli i wzajemnie swym głosem ogłuszeni, zaczęła dawać znaki, że nic nie słyszy! Zapomnieliśmy o tem, że wobec braku powietrza między nami słyszeć nas nie może! Złość nagle nas opuściła i zaczęliśmy się śmiać, dając jej na migi do zrozumienia, że chcemy wrócić do wozu. Zaprowadziła nas, — wóz stał nieopodal za głazem, który go zakrywał.

Tutaj dopiero wyjaśniło się wszystko. W jakiś czas po naszem odejściu słońce, zataczając pochyły łuk na firmamencie, zaszło za głaz tak, że wóz znalazł się w cieniu. Woodbell zaczął się trząść ze zimna. Marta tedy ruszyła wozem, a okrążywszy głaz, stanęła przy nim od południa, gdzie słońce dostatecznie ogrzewało chorego. My powróciwszy, przerażeni zniknięciem wozu, szukaliśmy go daleko, a żadnemu z nas nie przyszło na myśl, zajrzeć pod skałę, tuż obok się znajdującą. Marta widziała nas z wozu, ale rozumiała, że się oddalamy znowu, chcąc zbadać inną stronę okolicy i czekała cierpliwie naszego powrotu. Dopiero spostrzegłszy, że powróciwszy po raz drugi, do wozu się nie zbliżamy, wyszła dowiedzieć się, co to ma znaczyć, nie przypuszczając zresztą, że wozu nie możemy znaleść! Całe zajście skończyło się szczęśliwie na śmiechu, choć mogło się było stać dla nas niebezpiecznem.

Woodbella zastaliśmy w stanie względnie dość dobrym. Przez czas naszej nieobecności zemdlał tylko cztery razy. Teraz jest spokojniejszy i mówi, że się ma lepiej. Nie widać tego wprawdzie po jego trupio-bladej i straszliwie wychudzonej twarzy, ale daj Boże, aby tak było. Dość już ofiar, jak na początek.

Wyruszyliśmy w drogę według ułożonego planu. Do tego czasu posuwamy się ku wschodowi ciągle jeszcze pod coraz wyżej piętrzącemi się turniami *Platona*. Wkrótce dojedziemy do łańcucha *Alp*.

Ze względu na zdrowie Tomasza konieczny jest jak największy pośpiech. Im prędzej znajdzie się w kraju, gdzie będzie mógł wyjść z zamkniętego wozu, poruszać się swobodnie i oddychać, tem prawdopodobniejszy jest jego ratunek. Będziemy też pędzić dzień i noc, aby tylko dalej od tej pustyni, a bliżej bieguna, gdzie prawdopodobnie zacznie się okolica nie pozbawiona powietrza i wody.

*Pod* Alpami, *3° z. dł., 47°30' pn. szer. księż., 161 godz. po wschodzie słońca trzeciej doby.*

Coraz mniej mamy nadziei, aby się udało Tomasza utrzymać przy życiu. Gnamy bez pamięci o ile tylko teren na to pozwala, ale biegun wciąż jeszcze daleki, a Tomasz tymczasem gaśnie nam w oczach. Drżymy z niepokoju i niecierpliwości, a na domiar wszystkiego pasmo *Alp*, zagradzające nam drogę, zmusza nas do trzymania się kierunku południowo-wschodniego, tak, że zamiast zbliżać się do upragnionego bieguna, oddalamy się od niego na razie. Wkrótce, za kilkanaście godzin dojedziemy do ujścia *Poprzecznej doliny;* oby się dało przynajmniej skręcić nią na północ! Do tego czasu mamy po lewej ręce wciąż nad sobą pionowe ściany *Alp*, wobec których nasz wóz wygląda, jak drobniuchny owad pod murem ogromnej fortecy. Czekamy z utęsknieniem chwili, kiedy się przed nami otworzy brama w tym murze, a za nią przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów długi korytarz skalny, wiodący na *Mare Frigoris*. Spotykamy już luźne, drobne a strome skały, które stoją jak słupy przed gardzielem doliny; znak to, że się do niej zbliżamy.

Woodbell dopytuje się ciągle, czy jeszcze daleko. Chciałby jak najprędzej być na biegunie, a tymczasem od *Sinus Aestuum* jeszcześmy nie zrobili ani połowy drogi! Strach mnie przejmuje, gdy o tem pomyślę! On, zdaje się, zapomniał o odległości. Mówi z utęsknieniem o kraju biegunowym, powietrzu i wodzie, jakby o rzeczach, które znajdziemy już jutro, — a tymczasem rzecz to więcej niż pewna, że jutro księżycowe, choć takie odległe, nie przyniesie nam jeszcze nic z tego. Tomasz, w miarę jak sił mu ubywa, coraz mocniej wierzy w swe wyzdrowienie. Robi plany na przyszłość i układa już sobie życie z Martą... Obawiam się tej jego wiary; na Ziemi mówią, że to zły znak u chorego.

Marta słucha wszystkiego cierpliwie ze swym zwykłym smutnym uśmiechem. Co ona musi cierpieć! — Wszak niepodobna aby nie widziała, że on umiera.



*W* Poprzecznej Dolinie, *82 godziny po południa.*

Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że wszystko nadarmo. Rozpacz mnie ogarnia, bo ja chcę, aby żył, chcę tem goręcej, że czuję w mózgu ohydną, wstrętną żmiję, która mimo mej woli szepce: Jeśli on umrze, Marta dostanie się jednemu z was, może tobie... Nie, nie! on musi żyć, musi, a jeśliby umarł, wiem że i Marta pójdzie za nim. Co wtedy? co wtedy? — po co my tu zostaniemy? w jakim celu?... Skarżyłem się niegdyś, że my obaj służymy tym dwojgu, a teraz czuję, że ta służba jest jedyną racją naszego istnienia tutaj. Z ich śmiercią zacznie się nasze umieranie, bo nic ze siebie stworzyć nie będziemy zdolni, życie nasze i praca nie przydadzą się nikomu, ani nam samym, bo po co? po co?...

Chyba, gdyby po jego śmierci Marta została przy życiu, — gdyby jednemu z nas, może mnie, owinęła tak ręce około szyi, tak ustami do ust przylgnęła, jak teraz Tomaszowi... Czuję, jak gdyby jakaś kula gorącego powietrza pękała mi w piersi, tamując oddech i rozlewając żar po wszystkich żyłach...

Precz, precz ta myśl! — Zresztą tym jednym mógłby być Varadol... Nie! lepiej, żeby tej kobiety między nami nie było! Czuję, że wbrew woli zaczynam pragnąć śmierci Tomasza i nienawidzić Varadola... A ona siedzi spokojna, zapatrzona w twarz umierającego kochanka...

Woodbell nie chce umierać; tak rozpaczliwie broni się śmierci. Co chwilę, zdaje się na przekór własnym myślom, opowiada, że będzie żył i każe nam przyświadczać. Przyświadczamy nieszczerze; jedna Marta kiwa głową z głębokiem przekonaniem i powtarza nizkim, śpiewnym głosem: «Tak, ty będziesz żył... ty mój...« Przytem oczy zachodzą jej jakąś mgłą rozkoszy i upojenia... Czyż ona może się naprawdę łudzić, że ten wyschnięty trup bez sił, bez kropli krwi w żyłach może żyć?

A jednak cóżbym dał za to, aby żył!

W południe nie zatrzymywaliśmy się. Przedewszystkiem upał nie był tak wielki, jak poprzednich dni, a to z powodu znacznej szerokości księżycowej; powtóre ze względu na Tomasza zależy nam nadzwyczajnie na pośpiechu. — Zrobiliśmy też już moc drogi od

chwili wyruszenia z pod stoków *Platona*. Jesteśmy w połowie *Poprzecznej Doliny;* przed zachodem powinniśmy dobić do *Morza Mrozów*.

Około południa, minąwszy drobne, na płaszczyźnie rozsiane cyple skalne, znaleźliśmy się nagle u szerokiego ujścia doliny. Pionowa ściana *Alp* załamuje się tu i cofa ku wschodowi, przerwana gardzielą olbrzymiego wąwozu. Płaszczyzna *Mare Imbrium* zachodzi tutaj szerokim półkolem, zwężając się ku właściwej dolinie, zawalonej u wstępu upłazem, nieco naprzód kolisto występującym, jakby olbrzymiem piętrem skalnem, na kilkaset metrów wysokiem. Po drugiej stronie owego półkola jak słupiec bramy sterczy majestatycznie *Mont Blanc* księżycowy o wierzchołku wzniesionym cztery tysiące metrów bez mała nad okoliczną równinę.

Zawahaliśmy się chwilę, nimeśmy wjechali w dolinę. Przestraszyło nas owe piętro. Jeśli takich spotkamy po drodze więcej — myśleliśmy — podróż nasza, zamiast skrócić, jeszcze się przedłuży, gdy będzie trzeba wspinać się za każdym razem po bystrych zboczach.

Vadarol wyjął znowu odbitki fotograficzne powierzchni Księżyca. Zawiodły one nas już kilkakrotnie, ostatni raz na *Platonie*, ale nie było innego sposobu zorjentowania się w okolicy. Wreszcie po krótkim namyśle odważyliśmy się zapuścić w dolinę. Przyczynił się do tego postanowienia i Tomasz. Nalegał z uporem chorego, który nie znosi sprzeciwiania, aby zwrócić ku północy, gdyż on wie, że przedłużanie drogi dla ominięcia *Alp* przez *Palus Nebularum* zabije go niewątpliwie.

Co z tego człowieka zrobiła choroba! Niegdyś stanowczy, przytomny a spokojny, pełen rozwagi i nieugiętej woli, teraz jest jak dziecko kapryśne i uparte. Łaje nas o byle co, a potem znów przeprasza lub błaga, aby go ratować... Wolimy to jednak, niż okresy zupełnego upadku sił, kiedy leży na wznak całemi godzinami, podobny raczej do trupa, niż do żywego człowieka. Poza tem mówi dość wiele, jakby chciał dźwiękiem własnego głosu upewnić się, że jeszcze żyje. Tylko, gdy który z nas przez nieuwagę wspomni o jego nieszczęśliwym wypadku, milknie natychmiast i zaczyna drżeć na całem ciele z oznakami najwyższej trwogi. Darmo zachodzę w głowę, co to może być za tajemnica...

Było już po południu, gdyśmy stanęli pod piętrem, zawalającem



wejście do doliny. Z wielkim trudem znaleźliśmy drogę, która nam pozwoliła wedrzeć się na nie. Stanąwszy na jego wysokości, obejrzeliśmy się jeszcze raz poza siebie na *Mare Imbrium,* któreśmy za chwilę mieli stracić z oczu na zawsze. Co do siebie, to przyznam się, że nie bez pewnego żalu żegnałem tę równinę, choć nie zaznaliśmy na niej nic okrom trudów, cierpień i rozpaczy... Dziwne jest serce ludzkie. Dążyliśmy przez tę płaszczyznę całe dwa miesiące, od południa do południa księżycowego, z jednem tylko życzeniem, aby ją przebyć jak najprędzej, a teraz oglądałem się za nią, prawie że z tęsknotą.

Doliną posuwamy się dość szybko i względnie łatwo. Szerokich pięter już nie spotykamy, a mniejsze wyniosłości, nie zajmujące całej szerokości doliny, dają się omijać. Teraz słońce stoi tak na niebie, że oświetla oba jej brzegi Z jednej i drugiej strony wznosi się potężny wał górski, do czterech tysięcy metrów wysoki. Dolina, kilkanaście kilometrów szeroka na owem wstępnem piętrze, zwęża się ku północnemu wschodowi. Wygląda to tak, jakby się jej ściany potężne zbliżały ku sobie, ściskając nas coraz więcej. Mamy wrażenie, że się posuwamy olbrzymim, prosto pod sznur wyrąbanym w skałach korytarzem. Gdy spojrzymy przed siebie, widzimy daleki wylot tego korytarza, podobny do maleńkiej a głębokiej szczerby wśród białych skał, wypełnionej szmatem nieba. Nie wiem, czy mnie wzrok nie łudzi, ale zdaje mi się, że to niebo nie jest już tak czarne, a gwiazdy na niem mniej liczne i błyszczące. Świadczyłoby to o istnieniu gęstszej atmosfery nad *Mare Frigoris*... Barometr nasz także się wznosi powoli. Byle tylko Tomasza dowieść żywcem do kraju, gdzie dość będzie dla piersi powietrza!

*W* Poprzecznej Dolinie, *168 godzin po południu, trzecia doba księżycowa.*

Zrobiśmy już od wschodu słońca pięćset kilkadziesiąt kilometrów i zbliżamy się do ujścia doliny. Przestronna gardziel skalna zwęża się coraz więcej i wały po obu stronach są coraz niższe. Ujście wąwozu na *Mare Frigoris,* widne przed nami wyraźnie, zdaje się rozprzestrze-

niać w miarę, jak się doń zbliżamy, a skały, tworzące tę bramę, rosną nam w oczach. O zachodzie słońca wjedziemy znowu na płaszczyznę; obyśmy tylko wjechali wszyscy...

O! jakąż straszną krzyżową drogę przebyliśmy dzisiaj! Od kilkudziesięciu godzin drżymy za lada szelestem, spoglądając ku hamakowi Woodbela — czy to już?... On tam dogorywa; co do tego niema zgoła wątpliwości. Stał się teraz cichy i spokojny, patrzy na nas tylko blagalnemi oczyma, w których widno, że tak pragnie, tak straszliwie pragnie życia! A my mu nic poradzić nie możemy.

Ostatnie wstrząśnienia podczas przeprawy przez szczelinę zaszkodziły mu jeszcze. Przebyliśmy już prawie dwie trzecie drogi, gdy pod $3^0$ w. dł. mniej-więcej natrafiliśmy na przeszkodę, która o mało nie zmusiła nas do zawrócenia z powrotem na *Mare Imbrium*. Słońce stało już nizko nad horyzontem i cała zachodnia strona doliny tonęła w nieprzeniknionym cieniu, rozjaśnionym zaledwie tu i ówdzie skośnem i słabem światłem Ziemi. Musieliśmy się trzymać podnóża wschodniego wału, aby uniknąć zagubienia się w nocy. Wał dochodził tutaj największej wysokości i olbrzymi wznosił się stromo nad nami, tak prawie jak pionowa krawędź *Alp*, pod którą przesuwaliśmy się przed południem.

Otóż w tem miejscu nagle spostrzegliśmy o paręset kroków przed sobą czarną pręgę, zagradzającą nam drogę na całej szerokości. Przedtem nie widzielibyśmy jej z powodu lekkiej wyniosłości gruntu. Gdyśmy się do niej zbliżyli, okazało się, że jest to szczelina, przecinająca na poprzek oba wały skalne i dno doliny. Wypełniona była grubym cieniem aż pobrzegi, tak że nie mogliśmy się nawet domyśleć jej głębokości. Tysiące metrów wysokie ściany gór rozdarte nią były aż do podstawy.

Zatrzymaliśmy się bezradni nad tą nową, a nieprzebytą przeszkodą.

Widzieliśmy na mapie tę szczelinę, przerzynającą wyżynę, która dzieli *Mare Imbrium* od *Mare Frigoris*, aż gdzieś od północnych stoków *Platona* w południowo-wschodnim kierunku, ale nie przypuszczaliśmy, aby była tak głęboka, iżby krajała i dno *Poprzecznej Doliny*, leżące od dwu do trzech tysięcy metrów niżej od poziomu okolicznych wyżyn, rozciągających się poza wałami. Pot mi wystąpił



kroplami na czoło, gdym zobaczył tę otchłań tuż przed nami. Piotr zaczął kląć z cicha.

Tymczasem Tomasz, zaniepokojony zarówno naszem zachowaniem jak i tem, że wóz stoi, zaczął się dopytywać, co się stało. Baliśmy się powiedzieć mu prawdy; on jednak, nie dowierzając widocznie naszym wybiegom, zebrawszy ostatek sił, podniósł się i wyjrzał przez okno. Patrzył przez chwilę, a potem położył się spokojnie i na pozór obojętnie. Z ust wypadło mu tylko:

— Oni nie chcą, abym żył...

— Kto? — zapytałem zdziwiony.

— Bracia Remognerzy, — odpowiedział chory i zamilkł, przymknąwszy oczy, jakby już oczekiwał śmierci.

Nie mówiłem z nim więcej i nie miałem nawet czasu zastanawiać się nad znaczeniem tych dziwnych słów, gdyż trzeba było naradzić się z Piotrem, co począć teraz. Myśleliśmy już nawet o powrocie na *Mare Imbrium*, gdy Piotrowi przyszła szczęśliwa myśl, aby za pomocą silnego reflektora oświetlić dno szczeliny i zobaczyć, jak właściwie jest głęboka. Zbliżywszy się tedy do samej krawędzi, puściliśmy promień światła elektrycznego. Szczelina, dość w tem miejscu wązka, nie była też głęboka. Natomiast dno jej zasypane było całkowicie gruzem, wśród którego sterczały ogromne odłamy kamienia. Podobne to było do wyschniętego łożyska potężnego strumienia górskiego. I kto wie, czy tędy w istocie nie płynęła kiedy woda, skorzystawszy z drogi, utworzonej przez inne siły?

Blask reflektora przesuwał się po czarnych, bezładnie spiętrzonych głazach, błyskał na czołach wyniośliejszych i ginął w głębokich nieregularnych rozpadlinach, a my patrzyliśmy ciągle, nie umiejąc nic postanowić. Wtedy Marta zbliżyła się ku nam.

— Czemu nie puszczacie się w drogę? — zapytała takim głosem, jakby nam wydawała rozkaz.

A potem dodała, wskazując głową Tomasza:

— Ja muszę żyć, dla niego... przy mnie teraz nie potrzebujecie się niczego obawiać...

Spojrzeliśmy na nią w zdumieniu. Co się z nią stało? Nigdy się jeszcze tak do nas nie odzywała. Oczy błyszczały jej dziwnie; w całej postaci, w słowach i w ruchu znać było majestat jakiś nowy

a pewny siebie. Oh! jakże ta kobieta jest piękna i godna pożądania!... Varadol wpatrzył się w nią płomiennym wzrokiem, a mnie nagle ogarnęła wściekłość na niego. Chwyciłem go brutalnie za ramię i krzyknąłem cały zapieniony:

— Czy nie widzisz, że nie mamy czasu do stracenia! mów, w tył, czy naprzód jedziemy?

Piotr zwrócił się do mnie gwałtownie i tak przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, gotowi skoczyć sobie do oczu.

Wtem zabrzmiał półgłośny, szyderczy a pogardliwy śmiech Marty. Doznałem nagle wrażenia, jakby mi się skóra jeża wbiła w serce setką kolców. Spuściliśmy obaj wzrok zawstydzeni, a ona odeszła, wzruszając z lekka ramionami. Uczułem, że zaczynam jej nienawidzić.

Ostatecznie postanowiliśmy spuścić się w szczelinę i przebyć ją po zaścielających dno głazach. Łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. Znalazłszy w jednem miejscu tuż pod wschodnią ścianą doliny skośny upłaz, poczęliśmy zsuwać po nim wóz z największą ostrożnością. Najgorsza jednak przeprawa czekała nas na dnie szczeliny. Nie dochodziło tu już światło słońca ani Ziemi, tak, że znaleźliśmy się w nocy absolutnej. Wprost nie umiem opowiedzieć trudów przebycia tych paruset metrów. Reflektor latarni elekrycznej rozświetlał tylko wązki pas przed nami; niepodobna się było prawie orjentować. Naprzemian jeden z nas szedł naprzód piechotą, a drugi pozostawał przy sterze. Wóz nachylał się ciągle, podskakiwał, uderzał o głazy lub opadał: raz uwiązł nawet tak, że zwątpiliśmy, czy nam się go uda wydostać. Wreszcie dobiliśmy do przeciwległej krawędzi szczeliny. Na szczęście grunt się tu był obsunął, przez co utworzyła się pochyłość, po której z pomocą »łap« wdarliśmy się na górę.

W połowie pochyłości mniej więcej dostaliśmy się już w światło słoneczne. Przejście od cienia do blasku za jednym podrzutem wozu było tak szybkie, że musiałem zmrużyć oczy przed tą jasną falą zalewającą nas nagle. Gdym rozwarł powieki i obejrzał się poza siebie, doznałem wrażenia, że całe przebycie szczeliny było snem. O parę set kroków za sobą widziałem krawędź raptownie urywającego się gruntu; między nią a nami był pas absolutnej czarności. Miałem tylko jakby niejasne wyobrażenie, że przed chwilą byliśmy tam, na dnie tej, jak się zdawało bezdennej rozpadliny, w tej gęstej nocy, — żeśmy



się tam przedzierali po czarnych, okropnych głazach, błyskających przed nami w świetle elektrycznem tak nagle i na krótko, jakby naraz z nicości powstały i napowrót się rozpływały w nicość — ale nie mogłem wprost uwierzyć w rzeczywistość tej straszliwej przeprawy.

Wydostawszy się na poziom *Poprzecznej Doliny,* zatrzymaliśmy się na chwilę, aby odjąć »łapy« i opatrzyć wóz, czy szwanku nie poniósł. Wszystko było w porządku i mogliśmy się puścić w dalszą drogę. Wszystko — z wyjątkiem zdrowia Tomasza. Doznane wstrząśnienia tak go osłabiły, że parę godzin leżał jak martwy, jęcząc tylko z cicha niekiedy.

Ujechaliśmy już kawał drogi, gdy Tomasz nagle się zerwał i usiadł na hamaku. W szeroko rozwartych oczach paliła mu się znowu gorączka. Piotr zajęty był przy sterze wozu, ale my z Martą nadbiegliśmy natychmiast. On przez chwilę patrzył na nas błędnie, a potem zawołał nagle:

— Marta! ja umrę!

Marta zbladła i pochyliła się ku niemu:

— Nie. Ty będziesz żył, — wymówiła zcicha ale dobitnie i nagle krwawy rumieniec oblał ją całą.

Tomasz potrząsł z lekka głową, a ona nachyliwszy się jeszcze więcej ku niemu, zaczęła mówić coś półgłosem po malabarsku. Nie rozumiałem słów, ale widziałem, że wywarły wielkie wrażenie na Tomaszu. Naprzód twarz mu się rozjaśniła, potem przebiegł po niej uśmiech niewypowiedzianie smętny, a wreszcie łzy mu się zakręciły w oczach i z cichym jękiem począł całować włosy pochylonej na jego pierś dziewczęcej głowy.

Od tej chwili jakiś czas przeleżał spokojnie, trzymając wciąż rękę Marty w wyschniętych i spotniałych dłoniach. Atoli wkrótce znów się począł zrywać i siadać; snadź mu brakowało oddechu.

— Marta, ja umrę, — powtarzał co chwila w trwodze, a ona odpowiadała niezmiennie: Ty będziesz żył. — Zwykle cichnął po tej odpowiedzi, jak małe płaczące dziecko, gdy mu matka dłoń na oczach położy. Ale raz usłyszawszy te słowa, odpowiedział:

— Cóż mi z tego, kiedy nie dożyję...

A potem dodał:

— Oni mi żyć nie pozwolą... Remognerzy...

Nie mogłem już powstrzymać ciekawości i zapytałem go wręcz, co mają Remognerzy wspólnego z jego chorobą.

Wahał się przez chwilę, aż wreszcie rzekł:

— Teraz już wszystko jedno... teraz wam opowiem...

I zaczął opowiadać zwolna, cichym głosem, przerywanym przez bicie serca i duszność.

— Pamiętacie — mówił — to trupie miasto tam na pustyni za *Trzema Głowami?* Dziś jeszcze majaczy przede mną ze swemi wieżami w gruzach i z temi wpół rozwalonemi bramami... Wiem, że umrę, ale żal mi jeszcze, żem go nie zwiedził. Ale, widzicie, to było tak... Gdym wyszedł z wozu, musiałem się wspinać po różnych spiętrzonych kamieniach, podobnych do zrujnowanego bruku starego rzymskiego gościńca gdzieś w Szwajcaryi lub we włoskim Apeninie... Nareszcie wydostałem się na miejsce nieco równiejsze. Teraz miasto było przede mną jak na dłoni. Widziałem już wyraźnie ogromną bramę o połowie łuku i potężnych filarach, gdy wtem, wtem...

Chwycił nas za ręce i wzniósł się nieco na pościeli. Oczy miał szeroko otworzone, twarz trupio blada, stała się teraz zieloną.

— Ja wiem — mówił, — wam się zdaje, i mnie zdawało się... kiedyś..., że jedyną prawdą jest ta wiedza... na doświadczeniu oparta, w matematyczne dająca się ująć formuły, — a jednak są rzeczy niepojęte i dziwne... Możecie się śmiać ze mnie, ale to postaci rzeczy nie zmieni... Bardzo mało wiemy dotąd na pewno, bardzo, bardzo mało. —

Zamilkł na chwilę i spojrzał na nas, jakby badając, czy nie szydzimy w duchu z jego słów, ale myśmy siedzieli cisi i zadumani. Odetchnął więc głęboko i ciągnął dalej przerwane opowiadanie:

— Wtem... zobaczyłem... dwa cienie — nie! dwóch ludzi, trupów czy upiorów — wyszli z pod bramy i posuwali się wprost ku mnie... Nogi zadrżały pode mną. Zamknąłem oczy, chcąc odegnać przywidzenie, ale gdym je po chwili znów otworzył, zobaczyłem... cztery kroki przed sobą — obu braci Remognerów! Stali obaj, trzymając się za ręce, okropni, nabrzmiali, skrwawieni, tacy, jak ich znaleźliśmy — i patrzyli obaj we mnie tak strasznie... Znacie mnie, nie jestem lękliwy, nie jestem skłonny do przywidzeń — ale to wam mówię, oni tam stali i ze strachu zamieniłem się w bryłę lodu. Nie



mogłem się poruszyć, odwrócić... Wtedy oni zaczęli mówić, tak, mówić! a ja słyszałem ich głos, choć tam nie było powietrza, tak jak was tu słyszę...

— I co mówili? — zapytałem mimowolnie.

— Po co wam to wiedzieć, — rzekł. — Dość, że ja to słyszałem, o! zadość, zadość... Powiedzieli mi, jak ja umrę i jak wy pomrzecie, wy obaj... Wyznaczyli dzień i godzinę. I powiedzieli mi jeszcze, że nie opuszcza się ziemi bezkarnie i nie zagląda się bezkarnie w tajemnice, oku ludzkiemu zakryte. Lepiej nam było — mówili — umrzeć tam, na *Mare Imbrium,* niż im nieżywym kradnąc powietrze, przedłużać życie na męki, tylko na męki... »Myśmy poszli za wami, — tak mówili, słyszałem, — i wyście śmierci naszej winni, ale i wy...« Mówiąc to, błyskali zawistnie zbielałemi oczyma i uśmiechali się obaj złośliwie strasznemi, nabrzmiałemi usty. W tej chwili dostrzegłem, że stoi za nimi O'Tamor blady, biały, wyschnięty... On się nie uśmiechał i nic nie mówił, tylko był smutny i patrzył na mnie, jakby z litością... Krzyknąłem z przerażenia i zbierając całą siłę woli, oderwałem zlodowaciałe nogi od gruntu i zacząłem uciekać. Zapomniałem już o mieście, o wszystkiem. Potknąłem się, chciałem się podnieść i powstać, ale wnet uczułem, że mi brak powietrza i straciłem przytomność.

Umilkł wyczerpany, a nas opanowało dziwne przygnębienie. Jestem przekonany w głębi duszy, że to wszystko było złudzeniem, podobnie jak owe miasto mam dziś za złudzenie, wywołane dziwnem ugrupowaniem skał, a jakoś nie śmiałem mu tego powiedzieć. A zresztą... bo ja wiem? Są dziwne zagadki i tajemnice. Na ten glob zastygły przyszli już ludzie i przyszła Śmierć; może z ludźmi i ich nierozłączną towarzyszką, Śmiercią, przyszło i to *Coś* nieznane, które od wieków urąga na Ziemi wszelkiej wiedzy, wszystkim badaniom i dociekaniom?...

Po tem opowiadaniu Tomasz zasnął na pół godziny.

Gdy się obudził, zaczął pytać, gdzie jesteśmy. Powiedziałem mu, że się zbliżamy do końca *Poprzecznej Doliny* i wkrótce dostaniemy się na *Mare Frigoris.* Słuchał, jakby nie rozumiał tego, co mówię.

— A tak — rzekł wreszcie — tak, tak... mnie się śniło, że byłem na Ziemi.

Następnie zwrócił się do Marty:

— Marta! opowiadaj jak to jest na Ziemi.

I Marta zaczęła opowiadać: Na Ziemi jest powietrze błękitne, a po niem chodzą chmury. Na Ziemi jest dużo, dużo wody, całe ogromne morze. Na wybrzeżu morza jest piasek i muszle różnokolorowe, a dalej są łąki na których kwitną takie wonne, słodkie, wilgotne kwiaty... Za łąkami znowu są lasy, pełne różnych zwierząt i śpiewających ptaszków. Gdy wiatr zawieje, to morze huczy szeroko i lasy szumią, i trawy szeleszczą...

Tak opowiadała z dziecinną prostotą, a my słuchaliśmy jej słów, jak najpiękniejszej, czarodziejskiej bajki... Chory poruszał z lekka, wargami, jakby za nią powtarzał: a lasy szumią, a trawy szeleszczą...

— My tam już nie będziemy — rzekł wreszcie głośno.

Odpowiedziało mu nagłe łkanie Marty. Nie mogła się już powstrzymać. Czoło oparła o brzeg hamaku i trzęsła się cała w nieutulonym, strasznym, rozpaczliwym płaczu.

— Cicho, cicho — mówił Tomasz, dotykając zlekka dłonią jej włosów. Ale i jego lęk zaczynał ogarniać. Zwrócił się twarzą ku nam i zaczął znów mówić głosem urywanym i jakby z trudem wydobywającym się z piersi:

— Ratujcie mnie! miejcie litość! ratujcie! Ja nie chcę umierać! tutaj nie chcę! Tu tak strasznie! ratujcie mnie! Ja chcę... żyć, jeszcze... żyć... Marta...

Rozpłakał się, jak kobieta, a płacząc wyciągał jeszcze ku nam chude, błagalne dłonie.

Cóżeśmy mu mieli odpowiedzieć? jak go ratować?

Zbliżamy się do ujścia doliny i płaszczyzna *Morza Mrozów* widna już przed nami. Mam bolesną pewność, że przebędziemy ją sami, bez Tomasza — niestety.

*Na* Mare Frigoris, *trzecia doba księżycowa, 23 godziny po zachodzie słońca.*

Rzucam okiem na ostatnie słowa, za dnia napisane: sprawdziły się. Na równinę *Mare Frigoris* wjechaliśmy sami. Tomasz Woodbell umarł dziś o zachodzie słońca.



Taka pustka straszliwa! Ubywa nas ciągle; już tylko troje zostało...

Nie mogę myśleć o niczem innem, jak tylko o tej cichej a tak strasznej śmierci Tomasza.

Tarcza słoneczna dotknęła już była dolnym brzegiem widnokręgu, gdyśmy wreszcie po tygodniu drogi wyjechali ze skalnego korytarza. Przed nami rozciągała się gładka, ostatniemi promieniami słońca pozłocona płaszczyzna. Mówię pozłocona, gdyż słońce, czegośmy poprzednich zachodów nie spostrzegali, skłoniwszy się na horyzont, przybrało barwę żółtawą i rozjaśniło nieco krąg czarnego nieba naokoło siebie. Znak to niewątpliwy, że atmosfera jest tu już gęściejsza. Zauważyliśmy i drugą rzecz nader pomyślną: *Mare Frigoris* jest całe zasłane piaskiem. Widocznie była ta równina niegdyś dnem prawdziwego morza...

Otucha wstąpiła nam w serca, zwłaszcza że Tomasz na pozór przynajmniej miał się lepiej. Zaczynaliśmy się już rozweselać, już się nam zdawało, że lotem ptaka przelecimy tę płaszczyznę i nim nowe słońce wzejdzie, staniemy wraz z Tomaszem w Kraju Życia, poczujemy wianie wiatrów, usłyszymy szmer wody, zobaczymy zieleń...

Miało się stać inaczej.

Zaledwie ujechaliśmy kilkanaście metrów po płaszczyźnie, Tomasz odezwał się z prośbą, aby zatrzymać wóz. Najlżejszy ruch męczył go niesłychanie...

— Chcę odpocząć — mówił słabnącym głosem — i popatrzeć na słońce, nim zajdzie.

Stanęliśmy tedy, a on zaczął patrzyć na słońce, lejące mu na twarz całą strugą blaski ostatnie i złote. Patrzył przez chwilę nieruchomie, a potem odezwał się do Marty:

— Marta, jak to jest: *Słońce, ty boże jasny*... Jak dalej?

A Marta na to, podobnie jak przy pierwszym z Księżyca widzianym słońca zachodzie, stanęła w pełnym blasku, wyciągnęła ręce i wznosząc ku niknącemu światłu pełne łez oczy, zaczęła pół mówić, pół śpiewać dziwny, w falistych rytmach rozpływający się hymn:

*— Słońce, ty boże jasny, odchodzisz od nas do krain, których nie znamy!*

*Słońce, o, światłości nieba, o, rozkoszy ziemi, odchodzisz, po-*

*zostawiając w smutku nasze oczy, aby zaświecić tym, którzy z ciał już wyzwoleni...*

*Którzy z ciał już wyzwoleni a nowych jeszcze nie wzięli, jako niewolnicy, których na chwilę puszczono, aby mieli dzień ciszy i spokoju, nim powrócą do kaźni i łańcuchów.*

*Dobry jest ON, dobry jest Przedwieczny, Niewymawialny i Niepojęty, który uczynił dzień ciszy wśród walk i utrapienia...*

*W Nim jest źródło i ujście wszechrzeczy, w Nim są roztopione dusze tych, co walkę już ukończyli, powracając w miejsce, skąd wyszli byli przed wiekami...*

*O, Słońce, boże jasny, ty idziesz pod stopy Jego, a w smutku pozostają tu nasze roztęsknione oczy...*

Woodbell słuchał i zdawał się zasypiać. Nagle rozwarł oczy:

— Marta! O'Tamor umarł?

— Umarł.

— Remognerzy umarli?

— Umarli.

— Ja umrę także... I oni... oni... — Na nas wskazał oczyma.

— Oni pomrą. Ty będziesz żył — odpowiedziała znowu z tem dziwnem, głębokiem przeświadczeniem.

— A tak... — szepnął chory — ale co mnie z tego...

Na chwilę zapanowało milczenie, — Selena wspięła się przedniemi łapami na hamak i lizała jego zwieszoną dłoń. On spojrzał i zrobił ruch ręką, jakby chciał pogłaskać wierne zwierzę, ale widocznie sił mu już brakowało...

— Moja, moja suka... — szepnął tylko.

Potem powiedział, że chce popatrzyć na Ziemię. Zwróciliśmy go tak, aby ją mógł widzieć. Stała właśnie w kwadrze ponad skałami od południa. Patrzył długo, wyciągając ręce z ogromną tęsknotą ku temu jaśniejącemu na niebie półkręgowi, przez który przesuwał się właśnie zwolna Cień Oceanu Indyjskiego, z jasnym, w głębiającym się weń trójkątem Indyj.

— Patrz, patrz! tam jest Travancore, — zawołał chory.

— Tam jest Travancore, powtórzyła Marta, jak echo.

— Tam byliśmy szczęśliwi...

— Tak, szczęśliwi...



Chory zaczął się znowu niepokoić.

— Marta! czy ja tam pójdę po śmierci?... Bo widzisz, ja nie chcę... błąkać się tutaj... po tej pustyni!... w tem mieście umarłych... Marta, czy ja tam pójdę?...

Marta milczała, schyliwszy głowę, a Tomasz począł znów nalegać...

— Marta, czy ja tam pójdę... po śmierci?... na Ziemię?

Kurcz bólu wykrzywił twarz dziewczyny, ale się przemogła i odpowiedziała cicho, głosem pełnym łez...

— Pójdziesz, na chwilę, na dzień ciszy... Potem powrócisz do mnie.

Oczy zachodziły mu już bielmem śmierci; dłonie bezwładnie opuszczonych rąk były sine i zimne. Drgnął jeszcze raz i szepnął ledwo dosłyszalnie:

— Marta, jak to jest na Ziemi...?

Marta zaczęła znów opowiadać o morzu, o łąkach, o kwiatach, a jemu na ustach osiadał, jakiś bolesny lecz spokojny uśmiech i oczy przymykały się zwolna.

Rozwarł je jeszcze raz na chwilę, spojrzał na Ziemię i na słońce, jaśniejące już tylko wązkim rąbkiem nad pustynią, westchnął lekko i skonał z ostatnim błyskiem gasnącego dnia.

Gwałtowny, szalony płacz Marty rozległ się w nagle zapadającym mroku.

Po ciemku już wykopaliśmy grób i przysypaliśmy mu piaskiem oczy.

I znowu jesteśmy w drodze od dwudziestu blizko godzin.

Posuwamy się po równej, piaszczystej pustyni. Minęliśmy już przy wyjściu z *Poprzecznej Doliny* 50. równoleżnik; Ziemia wzniesiona jest już tylko $40^0$ nad widnokręgiem, ale na szczęście niema na tej płaszczyźnie wyniosłości, któreby cień rzucały. Jeśli się da, pojedziemy całą noc bez przerwy...

Ogromny smutek nas gnębi. Marta siedzi obezwładniona, zdziczała boleścią, a u nóg jej Selena wyje za swym zmarłym panem. Dajemy jej pokarm, chcąc ją uciszyć, ale nie chce jeść. Przyzwyczajona była brać wszystko z ręki Tomasza.

*Na* Mare Frigoris, *o° 6' w. dł., 55° pn. szer. księżycowej, po północy, z początkiem doby czwartej.*

Zwracamy się wprost na północ, ku biegunowi. Od stu siedmdziesięciu kilku godzin, to jest od śmierci Woodbella, posuwaliśmy się w północno-zachodnim kierunku. Teraz już grób jego pozostał za nami daleko, daleko... Tydzień minął już na Ziemi, jakeśmy go pochowali.

Przez cały tydzień piasek sieje się przez koła naszego wozu i tylko syk motoru przerywa ciszę, nieustannie wśród nas panującą. Marta nie płacze, siedzi niema z zaciśniętemi ustami i szeroko rozwartemi oczyma, w których łzy już wyschły. Selena nie żyje.

Po śmierci Tomasza nie chciała jeść, wyła tylko całemi godzinami i biegała po wozie, węsząc wszystkie przedmioty, które do niego należały, których ręką bodaj dotykał. Wreszcie położyła się w kącie, osłabła i osowiała, warcząc groźnie, gdy się kto z nas chciał do niej zbliżyć. Obawialiśmy się, aby nie popadła w wściekliznę i dlatego, choć z wielkim żalem, musieliśmy ją zabić. Zresztą pewien jestem, że i tak nie byłaby długo żyła.

Tak więc strasznie cicho jest w naszym wozie, bo my — cóż my z Piotrem możemy do siebie mówić? Stała się rzecz zła. Śmierć Tomasza, to nie tylko śmierć człowieka, nie tylko strata dzielnego, wiernego i drogiego przyjaciela: to straszliwe nieszczęście, to potworna ironja, rzucająca nagle między nas dwóch tę kobietę, której obaj zarówno pragniemy. Nie mogę spojrzeć na nią, aby mnie nie przeszedł dreszcz pożądania, a równocześnie odczuwam jasno całą okropną ohydę tego... świętokradztwa wobec świeżej mogiły przyjaciela. Zdaje mi się, że duch Tomasza jest jeszcze gdzieś blizko, że pluje mi w serce, widząc te myśli moje, ale nie mogę się oprzeć, nie mogę, nie mogę! Gorączka mózg mi trawi, krew faluje wściekle we wszystkich żyłach, a oczy mam jej tak pełne, że choć zamknę powieki, widzę ją przed sobą z jakąś straszną, niesłychaną wyrazistością.

Powstrzymuję swe myśli przemocą, jak zgraję wściekłych psów, ale one zrywają się ze smyczy mej woli, rzucają się wszystkie na nią, bezczelnie zdzierają z niej suknie, łaszą się i ocierają o każdy



jej kształt, wiją się około jej ciała i brudzą je ohydnemi pyskami, a widząc, że mimo wszystko jest niewzruszona i zimna, zaczynają szczekać i targać ją zębami i gryść i szarpać... O, te podłe myśli moje, jakże mnie one męczą straszliwie!

Z Varadolem dzieje się to samo; wiem, czuję, widzę to. On wie również, co się dzieje we mnie. Stąd ta głucha, zaciekła nienawiść między nami. Po co się łudzić, po co nazywać rzeczy pięknemi imionami! Jesteśmy obaj podli, bo ona jest między nami. Jest nas dwóch tylko na tym strasznym świecie, a coś w głębi naszych dusz woła, że nas o jednego za wiele. Nie mówimy do siebie wcale i nie patrzymy sobie w oczy. Czasem tylko chwytam z boku spojrzenia Varadola, straszne spojrzenia, przez które błyska śmierć, jak pożar przez okna płonącego wewnątrz domu.

Czy się go boję? Nie! nie! po stokroć nie! — choć wiem, że każdej chwili, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, może mnie uderzyć z tyłu i zabić — ot naprzykład teraz, gdy piszę schylony, a on stoi za mną i widzi mój odsłonięty kark... Dreszcz mnie przechodzi, ale nie odwracam się, nie chcę schwycić jednego z tych spojrzeń, w których widzę, jak w zwierciedle, podłość własną. Zresztą istotnie nie boję się tej nagłej i niespodziewanej śmierci, która mnie może spotkać; śmierć tylko wtedy jest straszna nad wszelki wyraz, gdy się zbliża powoli a nieuchronnie, — wiem to z doświadczenia. Strach mi tylko jednego, strach mi myśli, że on może posiąść tę kobietę, do której nie większe odemnie ma prawa, że może pocałunkami zarumienić jej od łez jeszcze bladą twarz, zmusić jej pierś, zrywaną jeszcze łkaniami nieukojonemi, do szybkich, namiętnych westchnień... a! myśleć o tem nie mogę!

Szpiegujemy się wzajemnie tak, że doprawdy, póki obaj żyjemy, ona bezpieczna jest między nami!

Ale czasem ogarnia mnie wściekłość. Chciałbym napluć sobie w twarz, a potem stanąć przed nim i powiedzieć głośno: Pójdź! bijmy się o nią! gryźmy się, jak dwa wściekłe wilki o sukę, — niepewni jutra, niepewni życia, wygnańcy na tym świecie walczmy o tę wobec nas tak wzgardliwie obojętną kochankę naszego świeżo zmarłego przyjaciela! Nim jutro umrzemy, pójdź! bijmy się dzisiaj!

Ale jestem zanadto hipokrytą i tchórzem, aby to uczynić... Oh! jak ja gardzę sobą!

I nią gardzę i jej nienawidzę! Są chwile, kiedy byłbym zdolny rzucić się na nią, zmusić razami jej milczące, smutne usta do krzyku — a potem zdławić ten krzyk wraz z życiem. Możeby lepiej tak było... Zostalibyśmy sami, bez celu, bez pobudki do życia, możebyśmy wtedy nawet dobrowolnie pomarli, ale przynajmniej nie byłoby między nami...

Po co ona żyje? co ją tu trzyma? jak ona może jeszcze żyć, jeśli kochała tamtego człowieka i jeśli naprawdę on dla niej był wszystkiem i z nim wszystko się dla niej skończyło? — My jesteśmy podli, ale i ona jest podła! Pies, suka nierozumna okazała więcej przywiązania, bo nie przeżyła śmierci pana, który ją wykarmił! A wszakże ta suka nie odebrała ani setnej części tych pieszczot, nie doznała ani tysiącznej części tej miłości, którą on okazywał kobiecie! Ale kobieta żyje... I kto wie, kto wie, może z tych oczu, na pozór w boleści zastygłych i zgasłych, rzuca już na nas ukradkowe spojrzenia, może w jej mózgu, pełnym jeszcze obrazu tamtego, zmarłego, rodzi się już cicha myśl: którego z tych dwóch żywych wybrać, aby pełnić odwieczne dzieło kobiety?...

Może, może jest w tem wszystkiem jakaś pierwotna, żywiołowa, przez naturę w istoty nasze włożona, a więc święta żądza istnienia i stwarzania, która nie ogląda się na nic, nie liczy się z przeszłością ani o przyszłości myśli — ale dla mnie w tej chwili jest to tak wstrętne, takie ohydne i potworne!

A! czemu ta kobieta żyje!

A jednak — czuję — że jej śmierci nie przeniósłbym.

*Na* Mare Frigoris, *0°30' w. dł., 61° pn. szer. księż., czwarta doba, 172 godziny po północy.*

Marta miała słuszność, mówiąc Tomaszowi: Ty będziesz żył! Ach! że ja odrazu wówczas tego nie zrozumiałem!

Upłynęło już było trzy czwarte nocy, gdy spostrzegłem, siedząc przy sterze, że Piotr kręci się wciąż koło mnie z takim wyrazem



twarzy, jakby chciał zacząć rozmowę. Do tego czasu ograniczaliśmy się do zamiany słów koniecznych tylko, zdziwiło mnie to więc, ale i ucieszyło zarazem. Czułem, że czas nareszcie zrzucić z siebie tę nieznośną, gniotącą zmorę i wyjaśnić nasz wzajemny stosunek.

Zapytałem go tedy, jak mogłem najuprzejmiej:

— Czy życzysz sobie czego odemnie?

— Owszem, owszem, — podchwycił skwapliwie, siadając obok, — chciałem z tobą pomówić...

Zauważyłem, że zmuszał się do uśmiechu, ale twarz drgała mu kurczowo. Mimowoli spojrzałem mu na ręce. On, jakby zrozumiał moje przelotne spojrzenie, zarumienił się i wyjąwszy dłonie z kieszeni, oparł je próżne na kolanach. Po chwili zaczął, jąkając się nieco:

— Tak, tak, widzisz, chciałem z tobą... Bo zdaje mi się, że tej nocy zatrzymywać się nie potrzebujemy, gdyż niema wielkiego mrozu, a droga równa i dość jasno, choć Ziemia nizko stoi nad widnokręgiem; zresztą przyznasz, należy się spieszyć, a więc...

Nie spuszczałem zeń oka, a on mieszał się coraz bardziej.

Nagle zmieniając ton, krzyknął porywczo:

— Do krocset! jedziemy bez przerwy ku północy, nieprawdaż?

— Tak... — przyświadczyłem, siląc się na spokój.

Znowu nastała chwila kłopotliwego milczenia. Varadol zerwał się i zaczął chodzić niespokojnie. Zdawałem sobie jasno sprawę z tego, co się z nim dzieje; wiedziałem, o czem chciał ze mną mówić i że dlatego plótł rzeczy obojętne, bo nie mógł wykrztusić słowa, stawiającego nas twarzą w twarz wobec rzeczy, którą nareszcie wcześniej czy później należało rozstrzygnąć. Przez chwilę uczuwałem złośliwą radość z powodu jego męki, a potem, ale to tak zupełnie nagle, żal mi się go zrobiło. Było jedno mgnienie oka, kiedy gotów byłem rzucić się mu na szyję i — bo ja wiem co? — zakląć go na naszą dawną przyjaźń, ustąpić mu tej kobiety, albo prosić go, aby się zgodził na jej śmierć — nie wiem. Ale opanowałem się natychmiast; to nie prowadziło do niczego zgoła. Uczułem natomiast, że niepodobna odwlekać stanowczej rozmowy.

— Czy to mi tylko chciałeś powiedzieć? — zagadnąłem go z nienacka.

On się zatrzymał, uderzony snadź życzliwym tonem mego głosu i spojrzał mi badawczo w oczy. Potem uśmiechnął się z dziwnym smutkiem i powiódł dłonią po czole. Widziałem, że ręka drżała mu, jak w febrze.

— Tak, istotnie, chciałem nadto...

Urwał nagle i spojrzał na Martę. Wahał się jeszcze chwilę, aż wreszcie zmarszczył brwi i urywanym, suchym głosem wyrzekł po niemiecku, aby go Marta nie mogła zrozumieć:

— Co my zrobimy z tą kobietą?

Spodziewałem się tych słów, a mimo to podziałały tak na mnie, jak uderzenie młota w głowę. Zahamowałem gwałtownie wóz, bo krew mi uderzyła do mózgu i przysłoniła ciemną falą oczy. Serce biło mi w piersi, w ustach uczułem nieprzyjemną suchość. Chwila stanowcza nadeszła.

Spojrzałem na Varadola. Stał przedemną, blady jak trup i patrzył mi uparcie w oczy. Tego wzroku nie zapomnę do śmierci! Był w nim niepokój i podłe, psie niemal błaganie i groźba zarazem jakaś straszliwa.

Bez słowa odpowiedzi odsunąłem go odruchowo na bok i nie zdając sobie wprost sprawy z tego, co robię, podszedłem ku Marcie, która siedziała nad jakiemś szyciem. On poszedł za mną.

— Czemu ty żyjesz kobieto? — zapytałem znagła z niesłychanie, jak teraz myślę, śmiesznym tragizmem, choć wówczas, Bóg świadkiem, nie miałem wcale do śmiechu ochoty!

Marta spojrzała na nas zdziwiona, a potem, oblawszy się krwawym rumieńcem, wyrzekła powoli, głosem z lekka drżącym, jakby się usprawiedliwiając:

— Czekam na powrót Tomasza...

Mnie porwała wściekła złość.

— Dość tych głupich bajań! — krzyknąłem, wyrywając jej równocześnie z rąk robotę, nad którą była pochylona. Nie wiem, coby się było stało, ale w tej chwili rzuciłem okiem na ten kawałek płótna: była to koszulka dziecięca.

Zrozumiałem nagle wszystko. Niezdolny słowa przemówić, wyciągnąłem tylko rękę, pokazując tę rzecz Piotrowi. Krzyknął zlekka i odszedł szybko ku sterowi wozu.



Więc dlatego mówiła ona do umierającego Tomasza z takiem przekonaniem: Ty będziesz żył! — dlatego nie poszła za nim!

Wszak według wierzeń jej ludu, w dziecię, urodzone po śmierci ojca, przechodzi dusza zmarłego. Więc ona czeka, pewna, że Tomasz w dziecięciu do niej powróci, okrążywszy wprzód duchem Ziemię, za którą tak tęsknił przy zgonie? Musiała mu powiedzieć tę »wesołą nowinę« i to, że tak czekać nań będzie — może wówczas gdy mówiła do niego przed śmiercią coś po malabarsku?

Wszystko to błyskawicą przez myśl mi przebiegło.

Spojrzałem na nią: płakała teraz cicho z twarzą ukrytą w tej małej koszulce, wykrojonej z bielizny zmarłego.

I nagle stało się ze mną coś dziwnego. Doznałem takiego wrażenia, jakby mi w sercu coś pękło, wrzód jakiś nieznośny, a równocześnie opadła z mych oczu łuska. Marta wydała mi się zupełnie inną istotą. Patrzyłem na nią ze zdziwieniem, jakbym ją po raz pierwszy zobaczył. To nie była już kobieta, o której posiadanie byłem niemal gotów przed chwilą walczyć z moim przyjacielem i jedynym współtowarzyszem na tym świecie; to była matka nowego pokolenia, zwyciężająca śmierć przez wielką tajemnicę życia i miłości.

Niewypowiedziana wdzięczność zalała mi duszę; wdzięczność za to, że przez nią nie będziemy tu sami i za to, że zasłoniła się tym nimbem macierzyństwa przed nami, którzyśmy — ślepi! — widzieli w niej tylko cenny spadek po zmarłym. Schyliłem się bezwiednie i pocałowałem ją w rękę.

Drgnęła, ale snadź zrozumiała mój pocałunek, bo w tej chwili wzniosła twarz zapłakaną jeszcze, ale już dumną nowem i uznanem dostojeństwem.

Dziwna jest natura ludzka! Przecież to wszystko nie rozwiązuje sprawy, lecz odsuwa ją tylko na czas jakiś, a mimo to jesteśmy obaj tacy spokojni teraz, jak gdyby cała rzecz była już załatwiona. Mamy to przeświadczenie, że ta kobieta nie należy do żadnego z nas żyjących, lecz do tego, co umarł i szanujemy ją, nie zastanawiając się, — że przyjdzie może znowu czas, kiedy...

Ale nie! nie! nawet myśleć nie chcę o tem!

Teraz tylko na północ, wciąż na północ!

*Pod* Timaeusem, *po wschodzie słońca czwartej doby księżycowej.*

Żaden wschód jeszcze nie wzbudził w nas takiej radości i takiej nadziei, jak ten ostatni. Poprzedził go brzask, zjawisko, któregośmy tutaj na Księżycu jeszcze nie widzieli.

Noc była się właśnie skończyła i spodziewaliśmy się, że lada chwila szczyt góry, majaczącej przed nami w świetle Ziemi, a świadczącej, że dobijamy już do północnego krańca *Mare Frigoris,* rozbłyśnie nagle pierwszemi promieniami wschodzącego słońca. Nim się to jednak stało, zauważyliśmy, że czarne niebo od wschodu przybiera barwę nieco jaśniejszą, jakby je zasnuła lekka, opalowo mleczna mgła. Sądziliśmy naprzód, że w jakiś niewytłumaczony sposób pojawia się pod tą znaczną szerokością, — minęliśmy już bowiem sześćdziesiąty równoleżnik —, światło zodjakalne, widoczne w pobliżu równika i przed wschodem słońca. Ale nie, nie było to światło zodjakalne; niebo osrebrzało się zlekka szeroko nad widnokręgiem i gwiazdy ćmiły się w tym białawym obrzasku. Wkrótce i szczyty *Timaeusa* — to bowiem był ów krater, do któregośmy się zbliżali, rozpłonęły w słońcu, ale — o, dziwo! zakwitły na tle nocy jak lekko spłonione róże. Niepodobna było wątpić dłużej; ten świt i to światło różowe zwiastowały nam, że tu powietrze dosyć już gęste, aby się rozświetlić przesiewającymi się przez nie promieniami i barwę ich białą zarumienić.

Przejęła mnie wielka, słodka radość; uśmiechnąłem się do Piotra, zapatrzonego całą duszą w to zjawisko, a potem zwróciłem się do Marty.

— Patrz — zawołałem — dziecię twoje przyjdzie już na świat tam, gdzie będzie można oddechać tak, jak na Ziemi!

Ona wzniosła głowę i popatrzyła ku wschodowi, który powlekał się jak sen lekką złotością, rozlewającą się tak po horyzoncie, jak się po naszych sercach rozlewała nadzieja nowego życia.

Słońce wschodziło powoli, wolniej jeszcze niż dni poprzednich, bo nie szło prosto w górę, lecz ślaniało się po łuku pochylonym mocno ku południu i nizko nad widnokręgiem wiszącej Ziemi. Wyszedłszy całe, stanęło na niebie w wielkim kręgu jakby mgły bia-



ławej, przechodzącej w błękit, gubiący się w czarnem tle naokoło. W pobliżu słońca gwiazd już nie widać. Błyszczą jeszcze w dalszych stronach firmamentu, ale znikła już ich różnokolorowość i są coraz więcej podobne do tych migotliwych płomyków, którymi się tam na Ziemi nocny błękit nieba rozkwieca.

Jeszcze jedna, najwyżej dwie księżycowe doby, a będziemy mogli wyjść z tego wozu i odetchnąć pełną piersią po raz pierwszy księżycowem powietrzem.

Przez ostatnią noc ujechaliśmy ogromny kawał świata.

Mróz nocny jest tu w pobliżu bieguna znacznie lżejszy niż pod równikiem, gdyż słońce tu nie zapada tak głęboko pod widnokrąg; to też nie zatrzymywaliśmy się w drodze ani na chwilę. O zachodzie słońca wjechaliśmy na *Mare Frigoris*, a teraz mamy już tę płaszczyznę poza sobą.

Od zachodniej strony rozpoczyna się już kraj górzysty; *Timaeus* jest jego słupem granicznym, który właśnie mijamy.

Przed nami, ku północy, rozciąga się płaszczyzna, wrzynająca się szeroką zatoką w pogórze, a sięgająca, jak mapy wskazują, do 68. równoleżnika. Nie jest ona już taka równa, jak *Morze Mrozów*, owszem, pofałdowana jest cała nizkiemi a równoległemi wzgórzami, które nam jednak nie utrudnią podróży, gdyż mają nader łagodny spadek. Powinniśmy ją przebyć nim dzień się skończy, tak, że najbliższa noc zastanie nas już w górach. Będzie nas wtedy jeszcze około sześciuset kilometrów dzieliło od bieguna...

Ale cóż znaczy sześćset kilometrów, gdyśmy ich już tyle przebyli?

Jesteśmy pełni otuchy i nadziei, wszystkie nieporozumienia między nami się rozwiały, znikły te zmory okropne, które nas w nocy dręczyły, jakby mgła, rozpływająca się w blasku wschodzącego słońca, — krzepi nas ta myśl błogosławiona, że do upragnionego celu naszej ciężkiej pielgrzymki wieziemy zarodek nowego życia — i tak nam jakoś dobrze, tak spokojnie, że aż zdaje nam się chwilami, że nie żałujemy opuszczonej Ziemi.

Czemuż Tomasza niema z nami? Dzielił nasze udręczenia; cóżbym dał za to, gdybyśmy mogli się z nim podzielić nadzieją życia!

*Czwarta doba księżycowa, 78 g. po wschodzie słońca, 0° 2' w. dł. 65° pn. szer. księżycowej.*

Dziwny smutek mnie gnębi. Nie wiem zkąd przyszedł i czego chce odemnie? Podróż odbywa się raźno, niebo nad nami zaciąga się zwolna ciemnym błękitem, skróś którego niewzruszone dotąd gwiazdy poczynają migotać, wszystko zapowiada blizkość owej «ziemi obiecanej», gdzie mamy nareszcie wypocząć po niewysłowionych trudach, trwających już czwarty miesiąc — a ja zamiast się radować, jestem smutny, coraz bardziej smutny.

Co temu winno? może ta Ziemia, chyląca się wciąż ku widnokręgowi, którą za kilkaset godzin stracimy już z oczu zupełnie, może te groby, znaczące naszą drogę przez okropną bezpowietrzną pustynię Księżyca, może te przejścia wewnętrzne, po których dusza moja nie zdołała jeszcze ochłonąć, a może myśl o tem dziecięciu zmarłego, które się ma narodzić w kraju nieznanym i na los nieznany?

Spokojny jestem, tylko ten smutek nieznośny i to zmęczenie! Oczy nam już oślepły od rażących blasków słońca; nuży mnie widok płaszczyzn dzikich a bezkreśnych i gór przepaścistych, sterczących nad niemi... O gdyby mała, maleńka sadzawka wody! gałązka, trawka bodaj zieleni!..

Okolica tu wygląda jak cmentarz ogromny. Jedziemy dnem od wieków wyschłego morza, po osadowych, na powierzchni skruszałych ławach wapienia, z których sterczą resztki rozmytych pierwotnych skał pierściennych.

Co się stało z tem morzem, które tu snadź niegdyś falowało, wyciągając wygięte karki bałwanów ku Ziemi, widnej wówczas jak tarcza złota wśród chmur, przeciągających nad wodami? Brzeg tylko stoi nad suchą kotliną, stromy, ogromny, wyżarty uderzeniami fal już nie istniejących... Wiatry rozwiały starte na pył jego okruchy; teraz i wiatrów tu już niema. Pustka i martwota...

Tak straszliwie pragnę dostać się już do kraju, gdzie nareszcie zobaczę życie! O, byle jak najprędzej! bo sił może zabraknąć.

Marta z nas trojga jest może najcierpliwsza, ale cóż! ona swój świat ma teraz w sobie! I zdaje się, że o tym świecie swoim myśli więcej nawet niż o zmarłym kochanku. Widzę często, jak siedząc nad



robotą, opuszcza naraz ręce i patrzy gdzieś w przyszłość, uśmiechając się do swych myśli. Jestem pewien, że oczyma duszy widzi już wtedy maleńkie, różowe dziecię, wyciągające do niej rączęta. Czasem tylko głębokie westchnienie spędza jej z twarzy ten uśmiech niewypowiedzianej błogości i łzami napełnia jej oczy. To wspomnienie Tomasza, który nie zobaczy już swego dziecka. Ale potem uśmiecha się znowu; wie, że gdyby nie był umarł, nie mogłaby dusza jego powrócić do niej w dziecięciu.

Marta, zajęta wciąż swemi myślami, nie wiele do nas mówi, ale kiedyś powiedziała mi: Dobrze, że przyszłam tu za Tomaszem, bo teraz dam mu na nowo życie...

Jakże nie ma się czuć szczęśliwą, jeżeli może tak o sobie powiedzieć?

*Czwarta doba, 17 g. po południu, na wyżynie przed* Goldschmidtem, *1° 3' w. długości. 69° 3' pn. szer. księż.*

Skończyły się już równiny; jesteśmy w górach, ciągnących się aż do bieguna. Szczególna to wyżyna, zasiana luźnemi obrączkowemi wzniesieniami, wśród których sterczą rozległe i wysokie pierścienie górskie, jak naprzykład ogromny *Goldschmidt* przed nami i stykający się z nim od wschodu, a jeszcze wyższy *Barrow*. Przychodzi mi teraz na myśl, że to takie dziwne, iż my tu spotykamy góry i lądy jeszcze ludzką nogą nie deptane, a już ponazywane przez ludzi... Śmieszna myśl.

Południe zastało nas dzisiaj na szczycie granicznego wału wyżyny. Gdyśmy się obejrzeli poza siebie, zobaczyliśmy nizko nad horyzontem pustyni Ziemię w nowiu, przesłoniętą lekkim oparem powietrza. Świetlna obrączka jej atmosfery błyszczała przez tę zasłonę jeszcze krwawiej, niż za dni poprzednich. Tuż nad nią, ocierając się prawie o jej ogromną czarną kulę, stało słońce w niewielkiej otęczy z promieni.

Mam takie wrażenie, że Ziemia spadła w przeciągu tych czterech miesięcy z zenitu ku widnokręgowi, a to tylko my uciekliśmy z pod niej, zbliżając się do bieguna. Klimat tu jest już zupełnie inny.

Popołudniowe słońce, nieznacznie nad horyzont wziesione, nie razi nas żarem, nie oślepia blaskami. Jakieś smutne i znużone wydaje się to słońce, tak jak my... Dookoła na wyżynie pełno długich cieniów. Niebo od północy coraz więcej się wybłękitnia, gwiazd już w tej stronie nie widać, choć jeszcze od południa świecą mdłym, białawym blaskiem, rozrzucone w szeroki krąg wokoło Ziemi i słońca.

Znużony jestem nad wszelki wyraz. Mimo lekkości własnego ciała na Księżycu, mam czasem wrażenie, że głowa moja, ręce i nogi są z ołowiu. Boję się, abym się nie rozchorował. Tak nieskończenie długą wydaje mi się ta podróż, że mimo oznak zbliżającego się kresu drogi, zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek staniemy u celu... Zresztą — cel? gdzie, jaki cel? Ach! wszystko jest nużące i smutne.

Marta jest niesłychanie dobra. Zdaje mi się, że gdyby nie ona, nie chciałoby mi się ręką ruszyć, aby zwrócić ster wozu ku biegunowi, ku któremu zdążamy z takim wysiłkiem... Ale ona widzi moje straszne znużenie i umie jakiemś ciepłem, poczciwem, świętem słowem dodać mi otuchy, podtrzymać me siły. Czem ja na tyle dobroci z jej strony zasłużyłem? — czy tą krzywdą, jaką jej myślami i żądzami swemi wyrządzałem? Jestem tak znużony, że wszystko mi jest obojętne, z wyjątkiem, dalibóg szczęścia tej kobiety. Pragnąłbym żyć, aby jej się przydać na co... A kto wie, czy będę żył...

Przed nami góry, wielkie, strome góry. Trzeba je przebyć. Te i jeszcze inne i znowu inne, bo do bieguna jeszcze daleko... Nie mam już sił. Nawet pisać już nie mogę. Wyrazy mi się nie kleją; zapominam wciąż, co miałem powiedzieć. Chciałoby mi się tylko wyciągnąć na hamaku i patrzyć z pod wpół spuszczonych powiek na Martę, uśmiechającą się wciąż do myśli o swem dziecięciu.

Szczęśliwa!

*Na przełęczy między* Goldschmidtem *a* Barrowem, *161 g. po południu czwartej doby księżycowej.*

Walczę resztką sił z ogarniającem mnie wciąż znużeniem. Czuję, że jestem chory i boję się tego. Jak oni sobie we dwoje dadzą radę bezemnie? Droga jest coraz przykrzejsza, a noc, długa noc się zbliża.



Czy doczekam jej końca? Może po O'Tamorze i Woodbellu teraz na mnie kolej przychodzi? Wszak *oni* pono przepowiedzieli...

Żalby mi było umierać. Chciałbym jeszcze zobaczyć dziecinę, która się ma narodzić, chciałbym odetchnąć choć raz pełnemi piersiami.

Ach! kiedyż będzie koniec tej drodze! Sądząc według mapy, góry, które właśnie przebywamy, są ostatnią najpoważniejszą przeszkodą, dzielącą nas od bieguna. Spuściwszy się z przełęczy, na której się obecnie znajdujemy, zwrócimy się szerokim wąwozem ku zachodowi wzdłuż północnych stoków *Goldschmidta*, potem skręciwszy znów ku północy, miniemy pierścienie *Challis* i *Main*, okrążymy od wschodu pierścień *Gioja*, przebywając jego nizką odnogę, wyciągniętą w kierunku równoleżnika i dostaniemy się na równinę, przedzieloną od kraju biegunowego już tylko jednem wązkiem pasmem gór.

Tak się przedstawia nasza droga według map. Ale mapy tych okolic, źle widocznych ze Ziemi, są bardzo niedokładne. Dodać trzeba, że większą część tej drogi wypadnie nam odbyć w nocy, nieroz jaśnionej nawet światłem Ziemi, którą będą już góry przed nami zasłaniać.

Z tej tu wysokości widać kawał świata przed nami, ale już tylko szczyty góry błyszczą się rumiano w słońcu; doły zalewa czarne morze cienia. Gdy tam zjedziemy, będą gwiazdy jedynymi naszymi przewodnikami.

W głowie mojej coś się zepsuło czy przerwało. Tylko przy największym wysiłku woli mogę trzeźwo myśleć. Co chwilę pojawiają się jakieś wizje, jakieś wpółsenne marzenia i strachy. Czyżbym miał gorączkę? Kąsam się w palce, aby oprzytomnieć. Ale i to mi nie pomaga. Wszystkie obrazy chwieją mi się przed oczyma; widzę mroczne morze z pływającemi po niem krwawymi szczytami gór, nasz wóz wydaje mi się okrętem, który lada chwila strącimy na tę otchłań... Jestem tak straszliwie znużony. Dokąd my popłyniemy przez ten czarny ocean? Czy może ku Ziemi?... Ach prawda! Ziemia pozostała daleko, daleko w przestworzach niebieskich; tam nie powrócimy już nigdy. Nigdy.

W głowie mi huczy straszliwy młyn; zdaje mi się, że mam gorączkę...

*Po zachodzie słońca w wąwozach między górami.*

Zwlokłem się jeszcze z hamaka. Marta kazała mi się położyć, ale co ona wie! Ja miałem jeszcze coś zrobić czy napisać, — nie pamiętam, ale muszę sobie przypomnieć. Jestem pewien, że utopimy się w ciemności, jeśli nie zrobię... Ale co ja to miałem zrobić?

Czemu tu jest tak ciemno? Jakaś bomba pękła mi widocznie w głowie, musiała pęknąć, bo głowa mi się rozdyma, pęcznieje, rośnie; jest teraz tak wielka jak Księżyc...

Jakie to zabawne, że my jesteśmy na Księżycu! A może mi się śni tylko? Bo skądżeby się tu wzięły psy?... Gdzież jest Woodbell?... Coś się z nim stało, ale nie pomnę... Było mu Tomasz na imię...

Ktoś stoi przy mnie i mówi, żebym się położył, bo mam gorączkę. A wszystko jedno! dlaczegoż ja nie mam mieć... czy mi nie wolno...

Pióro robi się strasznie ciężkie... ale i palce moje są ciężkie... Nie wiem, co to wszystko znaczy, — słyszę jakieś dwa głosy obok siebie, — już nie mogę...

*KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.*

# RĘKOPISU CZĘŚĆ DRUGA.

## NA TAMTEJ STRONIE.

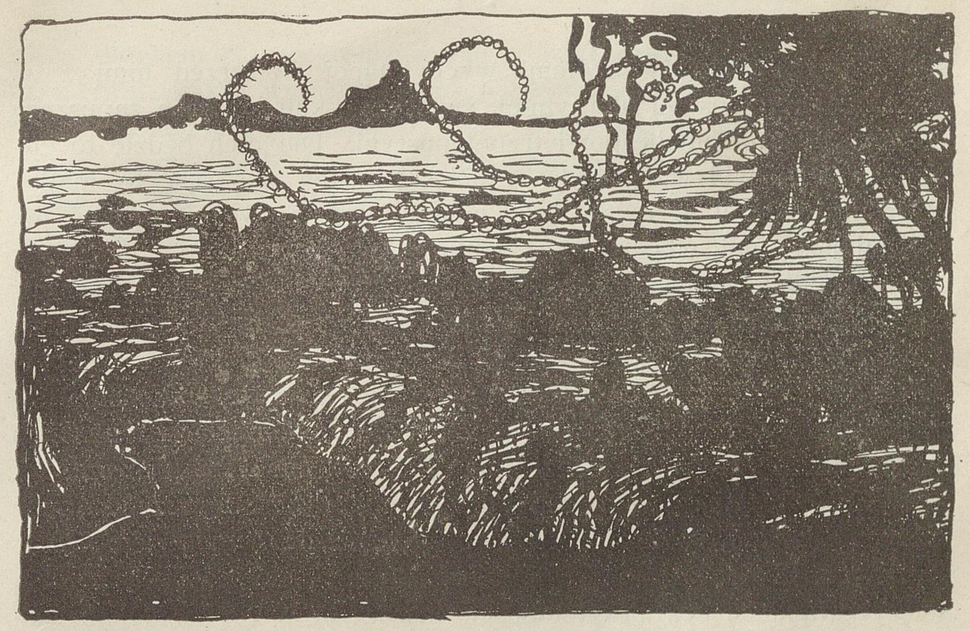

## I.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem, otworzywszy oczy po długiej chorobie, która mnie pozbawiła przytomności pod koniec owej straszliwej podróży przez bezwodną i bezpowietrzną pustynię księżycową. Dzisiaj, gdy się zabieram do spisania dalszych przygód naszych na tym globie, stoi mi ta chwila tak żywo w pamięci, jakby zaledwie kilkanaście godzin od niej upłynęło. A wszakże, gdy policzę księżycowe doby, widzę, że na Ziemi mija już rok jedenasty od czasu, gdyśmy spadli na powierzchni Księżyca, a dziesięć lat od wyjścia z wozu po półrocznem blizko zamknięciu. Teraz oddychamy już pełną piersią pod niebem tak samo jak na Ziemi błękitnem, nad brzegiem prawdziwego falistego morza i patrzymy na lasy roślin dziwnych i nieprawdopodobnych, ale również zielonych i pełnych właściwego sobie życia. Sto trzydzieści cztery razy okrążyło słońce ten świat w naszych oczach i jużeśmy się z niem prawie zżyli. Włos nam siwieje, a obok nas wzrasta nowe pokolenie — pokolenie ludzi, którzy kiedyś będą uważali za mit historję o dostaniu

się tu swych praojców z Ziemi, wychylającej się przed nimi z za widnokręgu w postaci olbrzymiej, świecącej kuli, gdy się zapuszczą czasem ku krańcom bezpowietrznej pustyni. Dla nich będzie to ciekawe, rzadko widywane światło niebieskie; dla nas jest to matka, którąśmy opuścili nazawsze, nie mogąc atoli zerwać ostatniej, ale najsilniejszej nici, wiążącej nas z nią — tęsknoty.

Przejdzie jeszcze kilkadziesiąt lub nieco więcej dni księżycowych i pomrzemy my wszyscy, którzyśmy na Ziemi byli urodzeni, a nowe pokolenie, czytając kiedyś mój pamiętnik, będzie go zapewne przez długi czas uważało za jakąś świętą księgę *Exodus*, nim się pojawi tutaj »krytyk« i dowiedzie niezbicie, że podanie o ziemskiem pochodzeniu ludzi jest tylko dziecinną fantazją zamierzchłych czasów.

Myślę o tem, jako o rzeczy całkiem naturalnej; wszakże i mnie już wiele z tego, co sam przeżyłem, wydaje się tylko snem fantastycznym. Zwłaszcza choroba, podczas której leżałem przez całą księżycową dobę bez przytomności, utworzyła w życiu mojem dziwną przerwę tak, że mi trudno było zrazu powiązać to, co się działo przed nią z tem, co zobaczyłem, przyszedłszy do siebie; odróżnić rzeczywistość od gorączkowych majaczeń. Ale istotnie przebudzenie moje było nader dziwne.

Otworzyłem oczy i nie mogłem nic zgoła zrozumieć z tego, co mnie otaczało. Spojrzawszy dokoła, spostrzegłem, że się znajduję na obszernej łące wśród wzgórz, pokrytej dziwnie świeżą, puszystą zielonością. Cała okolica zalana była łagodnem półświatłem, podobnem do ziemskich świtów, gdy słońce wydostaje się dopiero z pod horyzontu. Tylko nagie szczyty wysokich gór płonęły w pełnym czerwonym blasku. Nad niemi sklepiało się niebo blado błękitne, lekką mgłą zaciągnięte. Patrzyłem długo, nie umiejąc sobie zdać dokładnie sprawy z tego, gdzie się znajduję. Wtedy zobaczyłem na łące dwoje ludzi, idących zwolna i schylających się co chwila, jak gdyby czegoś szukali. Dokoła nich skakały dwa psy, poszczekując wesoło.

Zdawało mi się zrazu, że jestem na Ziemi w jakiejś nieznanej okolicy i myślałem, skąd się tu wziąłem, gdy wtem przypomniała mi się nagle nasza księżycowa wyprawa i długa podróż w zamkniętym wozie przez pustynie lunarne. Rozejrzałem się jeszcze raz dokoła, o ile mogłem to uczynić, nie podnosząc głowy, która mi ciążyła,



jakby ołowiem nalana. Gdzież się podział wóz? gdzie są te dzikie krajobrazy, które, widziane przez jego okna, tkwiły mi jeszcze w pamięci? Chciałem zawołać na ludzi, znajdujących się nieopodal, ale nagle ogarnęło mnie takie ogromne znużenie, że nie mogłem głosu wydobyć. Zresztą zacząłem przypuszczać, że te wszystkie niesłychane przygody były snem tylko. Miałem zrobić wyprawę na Księżyc — zasnąłem gdzieś na jakiejś łące — kto wie, jak długo spałem? i śniło mi się, żem już tam był, żem walczył z okropnemi trudami, tracił towarzyszy, na śmierć się narażał... To tylko dziwne, że nie znam tej okolicy...

Niejasna świadomość ciężkiej przebytej choroby zaczęła się budzić w moim umyśle. Tak, zapewne miałem gorączkę i w gorączkowych marzeniach wędrowałem po Księżycu. Ostatecznie dobrze, że ta mara już przeminęła. Doznałem ogromnej ulgi na myśl, że to wszystko snem było tylko, że znajduję się na Ziemi i nigdy nie będę zmuszony jej opuścić. Zrobiło mi się dziwnie słodko i błogo, a po chwili uczułem, że znowu zapadam w sen.

Gdym się obudził po raz drugi, spostrzegłem, że nad posłaniem mojem stoją dwie, poprzednio widziane postacie i rozmawiają półgłosem. Zdawało mi się, żem dosłyszał wyraz: śpi, — na co drugi głos odpowiedział: będzie żył. Zdziwiło mnie to, ale nie chciałem dać poznać po sobie, że czuwam i tylko leżąc bez ruchu, zacząłem się pilnie przypatrywać z pod wpół przymkniętych powiek stojącym nademną ludziom. Choć, jak mi się zdawało, spałem dość długo, oświetlenie okolicy w niczem się nie zmieniło; trudno mi było zatem w niepewnem blasku rozpoznać pochylone nademną twarze. Po pewnym czasie, gdy oczy przywykły do słabego światła, ludzie ci wydali mi się znajomymi, nie mogłem sobie atoli przypomnieć ich imion. Zwolna przeniosłem z nich wzrok na góry, widne na skraju widnokręgu i wciąż jednakowo u szczytów oświetlone, choć, jak zauważyłem, blask padał na nie teraz z innej strony.

W tej chwili zobaczyłem między niemi coś, co zajęło całą moją uwagę. Nad głęboką przełęczą między dwiema wysokiemi górami stał ogromny szaro-biały krąg, do połowy z za horyzontu wychylony. Patrzyłem nań długo, aż naraz wszystko mi się rozjaśniło: to była Ziemia — tam, na niebie świecąca!

Świadomość, że istotnie znajduję się na Księżycu, powróciła w całej pełni i dreszczem mnie przejęła. Krzyknąłem głośno i zerwałem się z posłania. Piotr i Marta — ich to bowiem przed chwilą widziałem nad sobą — podbiegli ku mnie z oznakami żywej radości, ale ja uczułem tylko ogromny zamęt w głowie i znowu straciłem przytomność.

Było to już ostatnie zemdlenie w ciągu mojej długiej choroby. Ocuciwszy się zeń, zacząłem zwolna powracać do zdrowia. Sto kilkadziesiąt godzin jeszcze upłynęło, nim zdołałem podnieść się i chodzić o własnej mocy. Piotr i Marta czuwali tymczasem z iście macierzyńską troskliwością nademną, a ja, zbyt jeszcze osłabiony, aby móc rozmawiać i wypytywać, rozmyślałem jeno nad tem, co mnie otaczało. Wiedziałem już, że podczas mej choroby przybyliśmy do kraju zdawna upragnionego, gdzie nie brak powietrza i roślinności, ale długo nie mogłem się jeszcze oswoić z myślą, że stało się to w sposób całkiem naturalny. Trudno mi bowiem było uwierzyć, żem cały ziemski miesiąc leżał bez przytomności, a wóz tymczasem, posuwając się wciąż ku północy, dotarł wreszcie do bieguna, odległego od nas jeszcze o paręset kilometrów w chwili, gdy mnie gorączka z nóg zwaliła.

Znajdowaliśmy się istotnie na samym północnym biegunie księżycowym. Dziwny kraj! kraj wiecznego światła i mroku zarazem, gdzie niema stron świata, niema wschodów ani zachodów, południa ani północy. Oś księżyca jest prawie prostopadła do płaszczyzny ekliptyki, stąd też słońce nie zapada tutaj pod horyzont ani nie wznosi się na niebie, lecz zdaje się tylko toczyć wieczyście po widnokręgu. Gdy się wyjdzie na górę, których tam jest kilka w pobliżu, widzi się to słońce jak kulę czerwoną i ognistą, czołgającą się leniwie u samego nieboskłonu. Szczyty gór płoną wieczyście w różowym obrzasku, który pada na nie z coraz innej strony; od stworzenia świata te góry nie miały nocy. Ale za to zielone doliny u ich stóp nigdy nie widziały słońca. Znajdują się one wiecznie w cieniu wzgórz; panuje tu wieczysty zmierzch lub świt wieczysty. Na świeżą, ciemną ich zieloność padają tylko odblaski nagich, słońcem zarumienionych szczytów, podobnych do olbrzymiego wieńca bladych róż, rzuconych na murawę. Jeno czasem, raz na parę ziemskich miesięcy,



słońce, wzniesione wskutek libracji Księżyca parę linij nad horyzont, błyśnie w jakiej głębokiej szczerbie między skałami płomienną, zarumienioną twarzą i stanie tak na chwilę w bramie z gór, jak cherub złocisty. Wtedy płynie wąwozem ogromna rzeka światła, spada ze skał kaskadami i znaczy się na mrocznej łące szeroką, złoto-czerwoną smugą. Parę godzin przemija, słońce chowa się za góry, znowu łagodny półmrok zalewa cichą dolinę.

Czasami tylko przez ten mrok idzie od strony słońcu przeciwnej dziwny, słaby, do szerokiej, bladej, ruchliwej tęczy podobny obrzask nad górskie czoła; to Księżycowa zorza biegunowa, podobna do ziemskiej, jak sen do rzeczywistości, ale jak sen piękna, czysta i smutna.

Jest coś zadziwiająco tajemniczego w tem słabem świetle biegunowych krain Księżyca. Pamiętam, że patrząc na nie, doznawałem wrażenia, jak gdybym znalazł się we śnie na jakichś zaczarowanych polach Elizejskich. Lekkie opary mgieł błądzą tam po nieskalanej zieleni, jak duchy; ogromnej, upajającej ciszy żaden głos nie przerywa. Nadto panuje tutaj ciągle chłodna a pogodna wiosna. Mieszkaliśmy w tym kraju więcej niż pół roku, a przez ten czas raz tylko zaciągnęło się chmurami blado-błękitne niebo. Deszcz nie pada tam prawie nigdy i dlatego też niema wód, źródeł ani potoków. Powietrze jednakże tak jest nasycone parą wodną, że wilgoć ta wystarcza zupełnie dla rozwoju roślinności. Nasze trawy, drzewa i kwiaty poschnęłyby tam niezawodnie, ale też kraje przy księżycowym biegunie posiadają odrębną, sobie właściwą a do warunków zastosowaną florę.

Łąki tutejsze utworzone są z dziwnie soczystych roślin, podobnych do ziemskich mchów i tak samo jak one obdarzonych zdolnością wysysania wilgoci wprost z powietrza, tylko w daleko jeszcze wyższym stopniu. Gromadzą one w sobie tyle wody, że wyciskając naręcze tych porostów, otrzymywaliśmy po parę litrów tego tak cennego dla życia płynu. Napój zyskiwaliśmy zatem z łatwością; nieco gorzej było z pożywieniem. Znaleźliśmy parę gatunków soczystych roślin, dających się jeść i wielką ilość ciekawych żyjątek, podobnych do dużych ślimaków bez skorupy, ale nie mieliśmy przy czem przyrządzić tej strawy. Nasze ze Ziemi zabrane zapasy paliwa wyczer-

pały się wkrótce, a w całej szerokiej okolicy nie mogliśmy znaleść niczego, coby je mogło zastąpić. Nawet grubsze, zdrzewiałe gałązki mchów były tak wilgocią nasiąkłe, że niepodobna z nich było rozniecić ognia, a o wysuszeniu ich w tem, jak łaźnia parą przesyconem powietrzu, nie mogło być mowy. Torf, któryśmy tam w wielkiej obfitości znaleźli, również wodą ociekał, gdy go się tylko w dłoni ścisnęło.

Właśnie byłem już zdrowszy i wychodziłem z naprędce sklecenego namiotu na przechadzki po równinie, kiedyśmy zostali zagrożeni brakiem paliwa. Wiedliśmy na ten temat długie narady i robili różne próby, które zawsze spełzały na niczem. Piotr podał myśl, aby wynosić grubsze, połupane gałązki i wyciśnięty torf na góry, gdzie słońce świeciło, w tej nadziei, że tam może łatwiej wyschną, niż w mrocznej dolinie. Atoli i tam ciepło słonecznych promieni było za słabe. Po kilkudziesięciu godzinach torf, poprzednio z wody wyciśnięty, nabierał znowu tyle wilgoci z powietrza, że cała praca okazywała się daremną.

Więc poświęciwszy wszystkie sprzęty drewniane, bez których tylko mogliśmy się obyć, rozpaliliśmy wielkie, ostatnie ognisko, próbując nad niem zebrany w okolicy palny materjał wysuszyć. Gdyby nam się to było udało, moglibyśmy utrzymywać wieczny ogień, podsycany wciąż nowem, przez siebie wysuszonem paliwem. Ale niestety i ta nadzieja nas zawiodła. Spaliliśmy wszystko, co się tylko spalić dało, a otrzymaliśmy zaledwie maleńką garstkę suchych gałązek i torfu. Pokazało się, że do wysuszenia pewnej ilości materjału, trzeba go w trójnasób tyle spalić. Nasz »wieczny ogień« zagasł po kilkunastu godzinach. Skorzystaliśmy tylko tyle, że puściliśmy przy nim w ruch maszynę, nabijającą akumulatory wozu.

Musieliśmy się zatem obywać bez ognia. Powietrze nasycone wielką ilością pary wodnej, zawsze równomiernie ogrzane, znakomicie przechowywało skąpe ciepło słoneczne, tak, że chłód nie dawał się nam we znaki. Bardzo nam trudno było jednak przyzwyczaić się do surowej strawy. Resztki zapasów sztucznego, bardzo odpowiednio dla organów trawienia przyrządzonego białka i cukru, schowaliśmy starannie na wypadek, gdybyśmy się kiedyś w dalszej podróży znaleźli w okolicy, nie dostarczającej nam pożywienia. Nie odstępowaliśmy bowiem ani na chwilę od zamiaru posunięcia się dalej ku środkowi odwróconej od Ziemi półkuli Księżyca. Ale na razie od tej wyprawy powstrzymywały nas trzy okoliczności. Przedewszystkiem ja byłem po przebytej chorobie zbyt jeszcze osłabiony, aby znieść trudy podróży, a następnie i Marta, która spodziewała się już wkrótce przyjścia na świat Tomaszowego dziecięcia, nie mogłaby się teraz narażać... Do tego dołączała się wobec braku paliwa obawa przed długiemi, mroźnemi nocami, które miały na nas spaść, jak tylko oddalając się od bieguna, opuścimy krainę wieczystego pół-światła.



Mimo wszystkie niedostatki i obawy, miesiące spędzone na biegunie należą do najprzyjemniejszych wspomnień mojego życia na Księżycu. Namiot płócienny, z Ziemi przywieziony, ustawiliśmy dokładnie na samym punkcie biegunowym, tak, że wprost nad głowami mieliśmy konstelację Smoka, gdzie świeci polarna gwiazda Księżyca. Co prawda, widzieliśmy tę gwiazdę, która nam długo była drogowskazem, raz tylko u zenitu podczas zaćmienia słońca, gdyśmy się już w dalszą puścić mieli drogę. Gwiazdy bowiem, na bezpowietrznej pustyni dzień i noc widoczne, tu nie okazują się nigdy, krom gdy słońce zajdzie poza tarczę Ziemi i krótka noc ogarnie te kraje wieczystego świtu.

W namiocie spaliśmy tylko, zaś większą część czasu spędzaliśmy pod gołem niebem, rozkoszując się krajobrazem, który, mimo żeśmy się z nim oswoili, nie stracił dla nas łagodnego a przejmującego uroku. Wszystko tam jest dziwnie harmonijne i dostrojone do ogólnego, niesłychanie spokojnego tonu: zieloność i góry różowe i blade niebo nad niemi i świeże, chłodne, balsamiczną wonią tamecznych ziół przesiąkłe powietrze. I nam w dusze wchodził spokój... Ciepła serdeczność panowała w naszem szczupłem gronie. Wszystkie urazy, namiętności i nieporozumienia były od nas tak dalekie, jak owe straszne, przebyte pustynie, których wspomnienie wciąż jeszcze przejmowało nas dreszczem.

Czas mijał niepostrzeżenie, podczas gdyśmy godzinami całemi rozmawiali to o Ziemi, której rąbek ukazywał się jeszcze niekiedy w czasie pełni w postaci szaro-białej chmurki nad widnokręgiem, to o drogich towarzyszach, śpiących pod cichemi wśród pustyń mogiłami, to o przyszłości nieznanej, która nas czekała. Mówiliśmy o dzie-

cku mającem przyjść na świat, o krajach, które zobaczymy, o wszystkiem, z wyjątkiem jednej tylko rzeczy... Nigdy nie poruszaliśmy sprawy, która już raz o mało nie doprowadziła do wybuchu między mną a Piotrem, a mianowicie: do kogo z nas Marta ma w przyszłości należeć. Dziwna, ale zdaje mi się, że w owym czasie istotnie nawet nie myśleliśmy o tem. Przynajmniej ja nie myślałem. Wszak dzisiaj, po latach, gdy wszystko od dawna jest już rozstrzygnięte i dokonane, mogę się przyznać sam przed sobą... Kochałem tę kobietę, kochałem ją nawet więcej niźli to zdolny jestem dziś wyrazić, ale miłość to była jakaś dziwna...

Kiedym patrzył na nią, na twarz jej delikatną i zeszczuplałą, z której nie schodził nigdy pół smutny, pół marzący uśmiech, na dłonie jej drobne i blade, ciągle robotą jakąś zajęte, wydawała mi się tak niepodobną do tej Marty, znanej kiedyś, pięknej, namiętnej, pewnej siebie a czasem wzgardliwej, i czułem równocześnie, jak mi wzbierało w piersi jakieś morze bezbrzeżnej czułości dla tej tak dobrej, a tak biednej istoty. Miałem ochotę przesuwać zwolna a lekko rękę po jej włosach i mówić jej, że gotów jestem zrobić wszystko, co leży w mej mocy, wyrzec się wszystkiego, czegobym mógł żądać, aby tylko ona choć trochę była przez to szczęśliwsza, — z wdzięczności jedynie za to, że ją mogę widzieć.

Na Ziemi śmianoby się z takiej miłości; ja, gdy dzisiaj o tem myślę, jestem tylko smutny, bo widzę, żem nic dla niej nie zdołał uczynić, choć zrobiłem największe, na jakie mnie stać było, poświęcenie.

A wszakże, jeśli żyję, jej to jedynie mam do zawdzięczenia. Gdym wówczas, na przełęczy pod *Barrowem* zapadł w gorączkę, jej tylko starania przywróciły mi zdrowie i dzisiaj myśl o niej utrzymuje mnie przy życiu. Myśl ta bolesna, ale tam na biegunie była jeszcze odemnie daleka, nie przeczuwałem nawet jeszcze, jak się wszystko ułoży i dlatego mówię, był to najszczęśliwszy okres mego życia na Księżycu. Martę miałem wciąż przy sobie. Póki byłem chory, czuwała nademną; gdym już wyzdrowiał, odbywaliśmy razem wycieczki po dolinie, szukając ślimaków na obiad, albo zbierając wonne zioła, któremi ona potem stroiła wnętrze namiotu.

Kiedy siły odzyskałem już w zupełności, wspinałem się z Piotrem na góry, aby zobaczyć słońce i ogromny, blady krąg Ziemi na nieboskłonie, albo spojrzeć ciekawem okiem na kraje nieznane i tajemnicze, nigdy wzrokiem ludzkim niedosiężone, w które mieliśmy się zapuścić. Marta pozostawała wtedy w namiocie; był to czas, kiedy trud mógł jej już zaszkodzić.



Podczas jednej z takich wycieczek Piotr pokazał mi z góry drogę, którędy przybyliśmy na tę dolinę i opowiadał o niesłychanych trudach, z jakiemi musiał walczyć w górzystym kraju, wśród nieprzeniknionej nocy, mając mnie chorego i Martę, wciąż jeszcze obezwładnioną bólem po stracie Tomasza.

— Wszystko musiałem sam jeden robić, — mówił do mnie, — i były chwile, kiedy mnie już rozpacz ogarniała. Parę razy straciłem drogę w skałach, kiedyindziej znowu musiałem wóz cofać, zapuściwszy się w wąwozy bez wyjścia. Myślałem, że już nie wydostaniemy się z życiem. W tych chwilach zwątpienia otuchą napełniał mnie widok barometru, który wznosił się ciągle. Ale pewna nadzieja zaświtała we mnie dopiero, gdyśmy się dostali na równinę za *Giją*. Astronomowie ziemscy, chrzcząc ową górę tem mianem, nie przeczuwali nawet, że będzie ono miało dla nas znaczenie dosłowne, — że po trudach i cierpieniach niewypowiedzianych, tutaj zaświta nam wreszcie *radość*...

»Noc się tu rozjaśniła. Byliśmy tak blizko bieguna, że rozproszone w dość gęstej atmosferze światło słońca, nie głęboko pod horyzontem schowanego, tworzyło rodzaj szarego zmierzchu, dozwalającego rozróżniać przedmioty. Tam też odważyłem się po raz pierwszy wyjść z wozu bez powietrzochronu. W pierwszej chwili doznałem zawrotu głowy; atmosfera była jeszcze rzadka i trzeba było silnie robić piersiami, ale można było oddychać. Nigdy nie zapomnę radosnego uczucia, jakie mnie przejęło, gdym zaczerpnął nareszcie księżycowego powietrza. —

Potem opowiadał mi, jakie olbrzymie trudy ponosił przy przebyciu ostatniego pasma gór, dzielącego równinę pod *Giją* od Kraju Biegunowego. Na pomoc Marty nie mógł liczyć, zwłaszcza że ja, zawieszony wciąż między życiem a śmiercią, wymagałem jej nieustannej opieki; musiał zatem sam w słabym obrzasku prowadzić wóz po bystrem zboczu, zasypanem zwietrzałemi kamieniami.

W ośmdziesiąt parę godzin po północy stanął na przełęczy. Stamtąd rozpościerał się już widok na Kraj Biegunowy.

— Zdawało mi się — mówił — że zobaczyłem ziemię obiecaną; przed wzrokiem moim, przywykłym już do widoku dzikich skał i pustyń, leżała ta ogromna, zielona równina. Radość zaparła mi oddech w piersi; w oczach uczułem łzy. Więc przez łzy patrzyłem na mroczne łąki i na słońce czerwone, widoczne z góry nad niemi, choć daleko jeszcze było do pory, o której wzejśćby powinno na tym południku.

Gdy to mówił, mimowoli obejrzeliśmy się obaj za słońcem. Leżało na widnokręgu w stronie świata, która dotąd była dla nas północą a odtąd stać się miała południem. Na półkuli Księżyca, odwróconej od Ziemi był dzień.

Wtenczas po raz pierwszy ogarnęła mną nieprzemożona żądza poznania tych krajów tajemniczych, nad któremi właśnie słońce stało. Schodząc z góry, już tylko o tem myślałem, a po powrocie do namiotu, zacząłem układać plany dalszej podróży.

Piotr również był zdania, iż należy się zapuścić na południe, ku środkowi nieznanej półkuli.

— Tu nam jest dobrze — mówił — i moglibyśmy ostatecznie spędzić tu już całe życie; ale żyć moglibyśmy jeszcze spokojniej na Ziemi. Przybyliśmy na Księżyc, aby zbadać jego tajemnice, należy to zatem zrobić.

Tak więc nowa wyprawa została w zasadzie postanowiona; wstrzymał nas na razie tylko wzgląd na Martę. Czekając więc chwili, kiedy będzie sposobna do dalszej drogi, robiliśmy przygotowania i gromadzili zapasy.

Przedewszystkiem przerobiliśmy wóz. Nie było celu brać ze sobą tak ciężkiej machiny. Mieliśmy początkowo zamiar odjąć jego górną połowę, przez co byłby się stał podobny do głębokiej łodzi na kołach, ale powstrzymała nas od tego myśl, że możemy się znaleść w okolicach mroźnych nocy, gdzie wóz szczelnie zamknięty i opalony będzie dla nas stanowił nieocenione schronienie. Odjęliśmy zatem tylko całą tylną część, dającą się odśrubować, gdzie poprzednio mieściły się nasze magazyny. Do zamykania powstałego przez to otworu mieliśmy płytę aluminjową, stanowiącą przedtem zamknięcie



magazynów od zewnątrz. Oprócz tego usunęliśmy wszystkie części metalowe, służące do wzmocnienia ścian, a teraz niepotrzebne. Motor, zabrany niegdyś nieszczęśliwym Remognerom, naprawiliśmy o ile się dało i umieścili w wozie na wypadek, gdyby się nasz zepsuł.

Te wszystkie przygotowania oraz sporządzenie zapasu żywności i wody, którą trzeba było mozolnie z mchów wyciskać, zabrały nam więcej, niż trzy miesiące czasu. Wreszcie wszystko było gotowe.

Piąty już raz stała Ziemia w pełni od czasu naszego przybycia na biegunową równinę, kiedy powracając z dalszej, samotnej wycieczki, usłyszałem w namiocie kwilenie dziecka. Żaden głos w życiu nie przejął mnie tak do głębi duszy, jak ten słaby płacz istoty, która przychodziła powiększyć nasze grono i rozweselić naszą samotność. Usłyszawszy go, rzuciłem naręcze uzbieranych jadalnych mchów i pędem już wpadłem do namiotu. Na posłaniu leżała Marta, blada i wysilona, ale promieniejąca radością. Zdawała się nawet nie spostrzegać mego przybycia. Całą jej uwagę pochłaniała maleńka istotka, owinięta w białe chusty i krzycząca wniebogłosy, którą namiętnym jakimś ruchem przytulała do wezbranej piersi.

— Mój Tom, mój Tom, mój śliczny, ukochany synek! — szeptała słabym głosem i śmiała się przez łzy. Przy posłaniu kręciły się oba psy i wyciągając ciekawe mordy, obwąchiwały to nieznane im krzykliwe stworzonko.

Obejrzałem się za Piotrem i zadziwiła mnie jego postawa. Siedział w kącie namiotu zadumany i ponury. Ale na razie nie zastanawiałem się nad tem dłużej. Podbiegłem do Marty, chcąc jej powiedzieć, że cieszę się jej dziecięciem, że ją błogosławię za ten dar życia, ale nie mogłem głosu wydobyć.

Chwyciłem tylko jej drobną, wychudłą rękę i wybąknąłem coś niezrozumiałego. Spojrzała na mnie, jakby mnie dopiero teraz spostrzegła. Doznałem przykrego ukłucia w sercu, bo wzrok jej mówił mi, że jestem jej tak obojętny, jak tylko człowiek może być obojętnym dla drugiego człowieka. Nagły smutek mnie ogarnął, a ona zauważyła to widocznie, bo uśmiechnęła się do mnie, jak gdyby chcąc naprawić mimowoli wyrządzoną mi przykrość i rzekła, wskazując na dziecię:

— Patrz, Tomasz powrócił, mój, mój Tomasz...

Zrozumiałem wtenczas, że żaden z nas nie zajmie nigdy miejsca w sercu tej kobiety, bo oddane będzie zawsze temu dziecięciu, w którem ona kocha nietylko własną krew i własne ciało, ale także duszę zmarłego kochanka.

W milczeniu zabrałem się do przygotowania pożywienia i napoju dla Marty. Piotr wyszedł za mną z namiotu.

— Cóż ty myślisz o tem wszystkiem? — zagadnął mnie, gdyśmy byli na dworze.

Nie wiedziałem na razie, co odpowiedzieć.

— A cóż, syn Tomasza przyszedł na świat... — wybąknąłem po chwili.

— Tak, syn Tomasza, — powtórzył Piotr i zadumał się.

Nie chciałem go więcej o nic dopytywać, wiedziałem o czem myślał.

Jak gdyby z obawy przed poruszaniem drażliwego tematu, mówiliśmy odtąd ze sobą prawie wyłącznie o wkrótce mającej się rozpocząć podróży. Marta szybko nabierała sił, zdrowie małego Toma zgoła nie budziło obaw, postanowiliśmy więc przed nadejściem najbliższej pierwszej kwadry Ziemi puścić się w drogę. Była to najodpowiedniejsza pora, gdyż na środkowym południku odwrotnej półkuli Księżycowej, wzdłuż którego mieliśmy się posuwać ku równikowi, właśnie z pierwszą kwadrą dzień się rozpoczyna. Wyruszywszy więc o tym czasie, mielibyśmy dwa ziemskie tygodnie światła przed sobą i w razie nieznalezienia pomyślnych warunków do życia, moglibyśmy przed zapadnięciem nocy powrócić do Kraju Biegunowego.

Tymczasem w dwa tygodnie po narodzeniu Toma wypadł nów, a podczas niego zaćmienie słońca, drugie już, jakieśmy mieli na Księżycu oglądać. Pierwszego, tam nad pustynią, przytłoczeni obawą wiszącej nad nami śmierci, nie badaliśmy wcale; teraz za to chcieliśmy lepiej skorzystać ze sposobności. Wziąwszy tedy ze sobą narzędzia astronomiczne, upakowane w małym wózku, który ciągnęły psy, wyszliśmy na wzgórze, najbliżej bieguna położone, skąd było widać Ziemię i słońce.

Widowisko było wspaniałe, ale badania nie świetnie się powiodły. Nizki stan Ziemi na widnokręgu przy atmosferze parą wodną przesyconej, nie dopuszczał ścisłych pomiarów i przeszkadzał obser-



wacjom tak, że w kilka minut po zajściu słońca za tarczę Ziemi rzuciliśmy narzędzia astronomiczne, aby gołem okiem podziwiać tylko czarodziejską grę światła na nieboskłonie. Ziemia widniała przed nami na tle krwawo-złotej zorzy w postaci ogromnego czarnego półkręgu. Szeroko naokół niej zażegnięte niebo pociemniało dalej i zasiało się gwiazdami. Wyglądało to, jakby stała na nocnym firmamencie łuna jakiegoś wielkiego pożaru, albo jakby to migotliwe światło polarne, które się żarzy na Ziemi w pobliżu biegunów, nagle tu przeniesione, skostniało i zastygło przed nami w niesłychanem jakiemś wzmożeniu.

Do tego czasu mam niezatarte wspomnienie tego widoku na oczach. Zdawało mi się wówczas, że mi się pokazał w ogniu zczerniały trup Ziemi. Było w tem coś strasznego i dziwnie przejmującego. Dzisiaj jeszcze, gdy myślę o Ziemi, staje mi przed oczyma w takiej okropnej, czarnej postaci, jak ją widziałem wtenczas i muszę wysilać całą moc wyobraźni, aby ją sobie przedstawić jako srebrną, świecącą tarczę.

Nie mogłem znieść długo tego nad wyraz wspaniałego, ale jakiegoś bolesnego widoku i zwróciłem wzrok na gwiazdy, od paru miesięcy nie widziane. Błyszczały wszystkie nad moją głową, wyiskrzone, jak czasem u nas na Ziemi, w zimowe noce. Patrzyłem na nie z lubością, jak na dawnych, dobrych znajomych, wyszukiwałem znane od dziecinnych lat konstelacje i pytałem się ich w myśli, co tam słychać na tym rodzinnym moim globie, leżącym teraz przedemną jak żużel na płomiennej łunie.

Naraz spostrzegłem, że gwiazdy ćmią mi się w oczach. Przetarłem powieki, sądząc, że łzy dawnem wywołane wspomnieniem wzrok mi zasłoniły, ale to nie pomogło: gwiazdy coraz słabiej były widoczne. I Piotr to zauważył. Byliśmy zaniepokojeni, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego zjawiska. Tymczasem gwiazdy przygasały ciągle, a nawet zorza w stronie, gdzie słońce zaszło na Ziemię, stawała się coraz mniej wyraźną i jakby zamazaną. W kilkanaście minut ogarnęła nas noc absolutna, bezgwiezdna; tylko w południowej stronie nieba znać było jeszcze lekki obrzask czerwonawy. Równocześnie uczuliśmy silny ciąg wiatru, rzecz w tej okolicy dla nas

nową. Przejęci zdumieniem i trwogą nie śmieliśmy się ruszyć z miejsca.

Nareszcie zaćmienie się skończyło i słońce wyjrzało z za kręgu Ziemi. Domyśleliśmy się tego raczej po powracającym dniu, gdyż mimo jasność, ani słońca ani okolicy nie mogliśmy dojrzeć. Wszystko tonęło w gęstym, mleczno-białym tumanie mgły.

Teraz dopiero zrozumielimy wszystko. W Kraju Biegunowym nie tworzą się chmury i deszcz nie pada tylko dlatego, że powietrze wciąż jest równomiernie ogrzane, brak więc pobudki, aby się z niego para wodna wydzielała.

Tak bywa w zwykłych warunkach; podczas zaćmienia jednakże nastąpiło nagłe oziębienie, wskutek czego powstał wiatr, a para wodna w chłodniejszym powietrzu w mgłę się skropliła.

To naturalne wyjaśnienie nieoczekiwanego zjawiska uspokoiło nas znacznie, ale położenie nasze było tymczasem bardzo przykre. Dotkliwy chłód nas przejmował, a w tej ćmie niepodobna było odnaleść drogi na dolinę, gdzie stał namiot. Nadto trapiła mnie myśl o Marcie. Nie było jednak rady; trzeba było siąść i czekać, aż się rozjaśni.

Jakoż istotnie wkrótce mgła się zaczęła podnosić. W niespełna pół godziny odkrył się widok na dolinę; już tylko szczyty wyższych gór tonęły w chmurze, gęstniejącej z każdą chwilą. Było widoczne, że spadnie deszcz; nie tracąc więc czasu, zaczęliśmy się spuszczać z pagórka. Nimeśmy jednak zeszli z niego do połowy, błysło nad nami, a — prawie równocześnie z głuchym echem grzmotu, lunął na nas istny potop. W parę sekund byliśmy przemoczeni do nitki. Przez strugi lejącej się z niebios wody nic nie można było widzieć; błyskawice i grzmoty nie ustawały ani na chwilę.

Trwało to ze dwie godziny, przez które, przeziębli i zmokli, tuliliśmy się wraz z psami pod jakimś wystającym cyplem skalnym, który nam zresztą słabą tylko był ochroną. Gdy tylko deszcz ustał, powstaliśmy natychmiast, aby się puścić w dalszą drogę z powrotem, ale zaledwie wyjrzeliśmy z za owego cypla, stanęliśmy przerażeni widokiem, jaki się przed nami roztaczał.

Na miejscu zielonej kotliny leżało u naszych stóp szeroko rozlane jezioro.



Pierwszą myślą moją było: co się dzieje z Martą i dzieckiem? Miejsce, gdzie stał namiot, musiało być teraz zatopione. Puściłem się pędem ku jezioru, nie zważając na krzyki Piotra, który mnie chciał zatrzymać. Dopadłszy do wody, poszedłem dalej w bród. Zrazu nie było głęboko, ale wkrótce miałem już wodę po pas. Zawahałem się chwilę, niepewny, czy brnąć dalej, czy się wrócić, a tymczasem Piotr, skoczywszy za mną do wody, chwycił mnie za rękę i zmusił do powrotu na brzeg.

Położenie moje było okropne. Straszliwy niepokój o los Marty aż potem kroplistym pokrył mi czoło, a musiałem przyznać słuszność Piotrowi, że brodząc przez zalew, narażam tylko życie, a jej w niczem pomóc nie mogę.

— Jeśli Marta zawczasu powódź spostrzegła, — mówił — i schroniła się na pagórek, pomoc nasza jest jej na razie niepotrzebna; dość będzie czasu odszukać ją, gdy woda opadnie. — A jeśli nie zdążyła uciec — także nic jej już nie pomożemy.

Mówił to spokojnie, nawet z jakiemś okrucieństwem, które mnie dreszczem przejmowało. Popatrzyłem mu w oczy i zdawało mi się, żem w nich wyczytał okropną, zawistną myśl: »Raczej niech zginie, niżby kiedykolwiek miała być twoją« ...

— Pójdę im na pomoc, mimo wszystko! — zawołałem.

— Idź — odpowiedział i usiadł spokojnie na brzegu.

Chciałem iść rzeczywiście, ale łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. A zresztą — dokąd miałem iść? — na środek tego jeziora? szukać ich pod wodą?

Usiadłem na brzegu obok Piotra, zły i zrozpaczony i począłem uporczywie wpatrywać się w wodę. Po powierzchni jej pływały tu i ówdzie oderwane gałązki mchów, zresztą równa była i gładka; żaden powiew wiatru jej nie marszczył. Myślałem był właśnie, jak w tak krótkim czasie tyle wody mogło się zlać z atmosfery i ile godzin upłynie, nim to morze zdąży wyschnąć i my będziemy mogli odnaleść trupy naszej towarzyszki i dziecięcia (jużem był bowiem nie wątpił, że poginęli), gdy naraz spostrzegłem, że gałązki mchów płyną wszystkie dość szybko w jedną stronę. Widocznie niósł je prąd, co było znakiem, że woda znalazła sobie gdzieś ujście z kotliny. To spostrzeżenie ucieszyło mnie niezmiernie, gdyż pozwalało

się spodziewać, że na opadnięcie wody nie przyjdzie nam czekać zbyt długo. Aby się więc upewnić, czy się nie mylę w przypuszczeniu, puściłem się brzegiem w tę stronę, w którą woda zdawała się płynąć.

Uszedłszy parę kilometrów, natrafiłem na rodzaj zatoki, którą przebyłem w bród. Za nią byłem już pewny istnienia odpływu: na powierzchni znać było wynioślejsze miejsca, wyłaniające się z toni na kształt płaskich zielonych wysepek.

Wszystko to razem stanowiło widok niesłychanie piękny i ciekawy, zwłaszcza, że w gładkiej szybie wody wśród zielonych wysp, odbijały się czoła nadbrzeżnych łysych gór, już znowu słońcem różowo oświetlonych. Wówczas jednak nie wiele zważałem na krajobraz, zajęty jedną tylko myślą: O Marcie. Bodaj czy nie po raz pierwszy wtedy uczułem jasno, jak mi ta kobieta jest droga i jakim straszliwym ciosem byłaby jej śmierć dla mnie... Z tą potworną myślą nie mogłem się pogodzić. Nie umiałem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby się uratować, a mimo to czułem gdzieś w głębi duszy resztkę jakiejś rozpaczliwej nadziei, że ona żyje i biegłem coraz szybcej naprzód, jak gdyby od tego, czy dotrę w krótkim czasie do miejsca odpływu nagromadzonej wody, mogło zależeć jej ocalenie!

Ale byłem zbyt wzburzony, aby móc myśleć logicznie, — miałem tylko jasną świadomość tego, że życie moje bez tej nie mojej kobiety i tego nie mojego dziecka nic nie jest warte i że gotów jestem nie zażądać jej nigdy dla siebie, gdybym ją przez to mógł ocalić... Kto wie, czy los nie podsłuchuje czasem cichych ślubów człowieka...

Upłynęło już dwanaście godzin od chwili rozstania się z Piotrem, kiedy powstrzymała mnie w pochodzie szumiąca rzeka, utworzona z wody odpływającej szerokim wąwozem, który dotąd przez nas nie dostrzeżony, stanowił bramę biegunowej kotliny ku nieznanej stronie kuli Księżyca. Znużony i zgłodniały usiadłem nad brzegiem, nie wiedząc, co począć.

Bezcelowość mojej gonitwy teraz dopiero okazała mi się w całej pełni. Zniechęcony do najwyższego stopnia, rozciągnąłem się bez myśli i woli na mchu, ociekającym jeszcze świeżo opadłą wodą i patrzyłem w niebo znowu tak samo spokojne i blade, jak przed owem złowrogiem zaćmieniem słońca.



Wtem zdało mi się, że mnie ktoś woła po imieniu. Zerwałem się na równe nogi, nadsłuchując pilnie. Po chwili znowu głos mnie doleciał, tym razem już wyraźniej. Jakoż rozglądając się bacznie, dostrzegłem po drugiej stronie w rzekę zamienionego wąwozu — Martę z dzieckiem na ręku, dającą mi zdala znaki. Ogarnął mnie istny szał radości. Nie zważając na niebezpieczeństwo, rzuciłem się w bród i wkrótce stałem tuż przy niej. Radość głos mi zatamowała, począłem więc tylko okrywać pocałunkami jej ręce, których mi ona, sama mocno wzruszona, nie broniła.

— Mój przyjacielu, mój dobry, drogi przyjacielu — powtarzała jeno zbladłemi jeszcze, a już uśmiechającemi się wargami.

Gdyśmy się oboje nieco uspokoili, zaczęła mi opowiadać, jak podczas katastrofy, spostrzegłszy powódź, podmywającą namiot, zdążyła się jeszcze z dzieckiem i najcenniejszemi dla nas sprzętami schronić do wozu, który stał nieopodal. To ją ocaliło. Wóz szczelnie zamknięty, po usunięciu wielu części, przedtem go obciążających, dość był lekki, aby się utrzymać na powierzchni wzrastającej wciąż wody, podsycanej strugami okropnej ulewy i w kaskadach walącemi się z gór potokami. W grzmocie piorunów i przy migotaniu nieustannych błyskawic unosił się wóz na falach, jak ongi arka Noego, tem podobniejszy do niej, że tak samo uratował ród ludzki na tym globie od zatraty.

Położenie Marty nie było bynajmniej godne zazdrości. Pozbawiona możności sterowania swym zaimprowizowanym statkiem, była zdana na wolę fali i wichrów, które miotały nim jak łupiną. Do przestrachu, wywołanego nagłą katastrofą, dołączał się jeszcze niepokój o nasz los i absolutna nieświadomość, jak się to wszystko skończy. Po ustaniu ulewy, gdy woda przestała wreszcie wzrastać, zauważyła Marta, że wóz płynie w pewnym oznaczonym kierunku. Domyśliła się, że go unosi prąd odpływającej gdzieś wody, ale to wzmogło tylko jej obawy. Wóz mógł z odpływem wpaść w jaką szczelinę, albo w najlepszym wypadku zostać zapędzonym w odległą okolicę, gdzieby nam potem trudno go było znaleść.

Odetchnęła dopiero nieco, gdy po kilkunastu godzinach spo-

strzegła, że z opadającego zalewu wyłaniają się łysiny pagórków. Wszystkie jej usiłowania jednakże, aby statek ku jednej z takich łysin skierować, spełzały na niczem. Słyszała już szum wody, uchodzącej owym wąwozem, nad którym ją spotkałem i była przygotowana, że wóz z nią gdzieś w nieznany kraj popłynie, gdy szczęśliwym trafem zatrzymał się u przylądka, utworzonego z wystającej skały nad gardzielą parowu. Przytomna kobieta skorzystała z chwili i zarzuciła linę przez otwarte okno na sterczący głaz, zabezpieczając się w ten sposób przed prądem, mogącym wóz każdej chwili unieść na nowo. W czasie, gdy ja przyszedłem, niebezpieczeństwo już minęło, gdyż woda opadła do tego stopnia, że wóz osiadł na suchem miejscu.

W kilkanaście godzin później pozostały już tylko w kotlinie niewielkie kałuże, wyglądające jak szklane szyby wśród zielonych porostów.

Na Piotra czekaliśmy jeszcze spory kęs czasu. Doprowadziły go do nas psy, biegnące za moim śladem. Przyszedłszy, zmierzył nas podejrzliwym wzrokiem i nie mówiąc ani słowa, zabrał się do przeglądu ocalonych w wozie zapasów i narzędzi. Dziwny to człowiek! — żyję tu już z nim ziemskich lat jedenaście, a przecież zdarzają się ciągle okoliczności, w których nie umiem sobie zdać sprawy z jego charatkeru, będącego szczególną mieszaniną odwagi, poświęcenia i stanowczości — z namiętnością, oraz skłonnością do samolubstwa, zawiści, skrytości i zniechęcenia. Wiem o nim to jedno tylko, że jest zgoła nieobliczalny.

Katastrofa wyrządziła nam dość znaczne szkody. Straciliśmy w powodzi wiele potrzebnych przedmiotów bezpowrotnie; wielu innych musieliśmy z mozołem szukać po rozległej kotlinie. Namiotu uniesionego przez wodę na razie nie mogliśmy odnaleść. Całe szczęście, że wobec robionych od dawna przygotowań do dalszej podróży większa część naszego dobytku w czasie ulewy znajdowała się już była we wozie. Odnieśliśmy jednak z tej powodzi także ważną korzyść; mianowicie odpływająca woda wskazała nam drogę, którą się mamy puścić na południe.

Rozumowanie nasze było bardzo proste: jeżeli woda tak prędko odpłynęła, widocznie wąwóz musi prowadzić ku miejscom niżej położonym, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdziemy jakiś znaczniejszy zbiornik wody, wielkie jezioro lub morze, a co za tem idzie, i wybrzeża skrapiane deszczem, a więc zapewne nie pozbawione życia.



Nim nadeszła pora odjazdu, byliśmy już oddawna ze wszystkiem gotowi. Wóz stał opatrzony u samego ujścia wąwozu, otwierającego się przed nami jak brama do nowego świata; należało tylko motor elektryczny puścić w ruch zapomocą akumulatorów, nabitych jeszcze w czasie, kiedyśmy mieli ogień. Nawet duży kawał drogi zbadaliśmy naprzód, zapuszczając się w wąwóz piechotą. Nie był to bity gościniec, zwłaszcza, że ostatnie wody miejscami głęboko grunt poryły, ale w każdym razie można się było tędy puścić, nie narażając się na nadzwyczajne trudności. Czekaliśmy więc już tylko sposobnej pory, aby wyruszyć w ślad za temi wodami, co spłynęły ku południu, w nieznany kraj przedziwnych cudów przyrody, którego długich nocy nie rozświetla nigdy srebrny krąg Ziemi, błyszczący nad pustyniami.

## II.

Czterdzieści godzin przed nastaniem pierwszej kwadry Ziemi wyruszyliśmy w drogę. Na nieznanej półkuli Księżyca, dokąd zdążaliśmy, była jeszcze noc, ale niebawem miało już słońce oświecić te kraje.

Nie bez przykrego uczucia żalu a nawet i niepokoju opuszczaliśmy krainę biegunową. Znaliśmy ją już i wiedzieli, co nam dać może, podczas gdy wszystko, co nas czekało, było tajemnicą i przypuszczeniem. Mieliśmy się znowu narazić na palące słońce długich dni i mrozy nocy, zdających się nie kończyć nigdy, mieliśmy przebywać znowu wąwozy, góry, a może i pustynie w podróży do kraju, o którym nie wiedzieliśmy zgoła, czy nas przygarnie i wyżywi. Nadto brak paliwa niepokoił nas mocno. Co się stanie, myśleliśmy, jeśli się nabój naszych akumulatorów skończy nadspodziewanie prędko, prędzej niż znajdziemy materjał do rozpalenia ognia i puszczenia w ruch maszyny, aby je nabić na nowo! Czy zdążymy wtedy powrócić piechotą przed nocą do Kraju Biegunowego, aby się zabezpieczyć przed nadchodzącem zimnem, tem groźniejszem dla nas, że nie będziemy mieli ognia? Była chwila wkrótce po wyruszeniu w drogę, kiedy chcieliśmy już wobec tych obaw zawrócić na mchami porosłą łąkę biegunową, aby przepędzić na niej całe życie, grzejąc się przy słabem cieple rozprószonych w atmosferze skośnych promieni słońca i żywiąc się jak ziemskie zwierzęta surowemi ślimakami i porostem. Ale wahanie trwało nie długo; ciekawość i nadzieja przemogły. Zapas żywności mógł nam wystarczyć na dość długi czas; wzięliśmy



też ze sobą trochę wyciśniętego z wody torfu, spodziewając się, że w słonecznych okolicach uda się go nam o tyle wysuszyć, aby móc ogień rozpalić. Zresztą postanowiliśmy w razie najgorszym po wyczerpaniu naboju połowy akumulatorów zawrócić do Kraju Biegunowego...

W pierwszych kilkudziesięciu godzinach drogi nie zdarzyło nam się nic godnego uwagi. Wąwóz się skończył i wydostaliśmy się na równinę, podobną do biegunowej, tylko znacznie obszerniejszą. Znać na niej było również niedawną powódź; w promieniach wschodzącego właśnie słońca błyszczały jeszcze tu i owdzie rozległe, płytkie kałuże. Tutaj zastanowiła nas już odmienna flora, choć od bieguna byliśmy zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów oddaleni. Wśród znanych nam już porostów, ale znacznie niklejszych niż na biegunie i rdzawą barwą zachodzących, sterczały z ziemi jakieś suche badyle, zrzadka rozsiane a tak spiralnie zwinięte, jak u nas młode listki paproci. Chłód dawał się czuć silnie po nocy, którą te okolice już mają, choć z powodu, że słońce kryje się zaledwie parę stopni pod horyzont, podobna być musi raczej do zmierzchu. Rozgrzewaliśmy się, zabijając ręce, jak czynią na Ziemi dorożkarze, kiedy Marcie przyszło na myśl, aby nałamać owych badyli i spróbować rozniecić z nich ognisko.

Wzięliśmy się zaraz do roboty; jakież było jednakże moje zdziwienie, kiedy pierwszy badyl, ujęty ręką, począł się rozwijać, to znów kurczyć, zupełnie jak żywa istota. Puściłem go z mimowolnym okrzykiem trwogi. Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zacząłem badać te szczególne rośliny. Uciąłem jednę z nich nożem i przekonałem się, że są to wielkie, podłużne i mięsiste liście, zwinięte podwójnie, naprzód w trąbkę, a potem w ślimak, podobnie jak rulony angielskiego tytoniu, o brunatnej, z drobnych zdrzewiałych łusk utworzonej zewnętrznej powłoce. Na stronie wewnętrznej, jasno-zielonej, rozsiane były liczne różowe żyłki. Cała roślina, póki żywa, obdarzona była zdolnością ruchu, podobnie jak nasze mimozy. — Najwięcej zaciekawiło mnie jednak to, że wszystkie te zwinięte liście były znacznie cieplejsze od otoczenia; — widocznie organizm ich przez jakieś procesy chemo-bijologiczne sam sobie w wielkiej ilości wytwarza ciepło, którego mu brak podczas długich nocy.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale ostatecznie nadzieja roz-

palenia ognia spełzła znowu na niczem. Zwracaliśmy więc z utęsknieniem oczy ku czerwonemu słońcu, czekając, rychło skąpe jego promienie ogrzeją okolicę.

Do chłodu dołączył się i inny kłopot; — nie wiedzieliśmy mianowicie, jaką obrać drogę. Mieliśmy jechać w stronę, w którą wody spłynęły, ale trudno to było rozeznać na równinie, całkiem podczas powodzi zalanej. Gdyśmy się jeszcze namyślali, rozglądając się po okolicy, Piotr zauważył w odległości paruset metrów jakiś duży, biały przedmiot. Ruszyliśmy zaciekawieni w tę stronę i znaleźliśmy nasz namiot, który, uniesiony przez powódź, zatrzymał się dopiero tutaj na niewielkim pagórku. Ucieszyliśmy się z odzyskania zguby podwójnie, raz, że namiot, jedyny, jakiśmy posiadali, był nam istotnie potrzebny, powtóre zaś, że mogliśmy teraz wywnioskować, w jakim kierunku wody spłynęły. Namiot dostał się na tę równinę przez wąwóz, któryśmy właśnie przebyli; a zatem linja, pociągnięta od ujścia wąwozu do miejsca, gdzieśmy go znaleźli, wytyczała mniej więcej kierunek prądu odpływającej wody. Linja ta biegła przez płaszczyznę ku południu z małem zboczeniem na zachód.

Posuwając się w tę stronę, natrafiliśmy na wązki, kręty wąwóz górski, a następnie po przebyciu jeszcze jednej niewielkiej kotlinki, dostaliśmy się na szeroką, zieloną dolinę, ciągnącą się wprost ku południu.

Po obu jej stronach wznosiły się wysokie pasma gór z licznemi, tkwiącemi w ich trzonie kraterami, podobnemi do tych, które zasiewają bezpowietrzną półkulę Księżyca. Szczyty gór pokryte były śniegiem; śnieg, spadły widocznie w nocy, leżał także jeszcze miejscami w dolinie, tając dopiero w promieniach nie wiele nad horyzont wzniesionego słońca. Ściekające zeń wody tworzyły spory potoczek, płynący bystro w licznych zakrętach.

W tej dolinie postanowiliśmy zatrzymać się pewien czas, przekonaliśmy się bowiem, że dalsza droga na południe o tak wczesnej porze dnia narażałaby nas na dotkliwe zimno w okolicach, gdzie jest coraz większa różnica między średnią ciepłotą dnia a nocy.

Gdyśmy wyruszyli znowu, słońce ubiegło już blizko trzecią część swojej dziennej drogi. Było ciepło i jasno. Śniegi w dolinie zniknęły całkowicie, a owe zwinięte badyle, przeważające już tutaj nad nikłemi



porostami, zaczęły pod wpływem słonecznego ciepła rozwijać się szybko w ogromne, różnemi odcieniami zieloności malowane liście. Kształt ich był nader rozmaity; jedne podobne były do olbrzymich wachlarzy, obwieszonych delikatną, ruchliwą frendzlą, inne znowu, nakrapiane różnemi barwami, wśród których przeważała czerwona i ciemno-błękitna, przypominały jakieś bajeczne pawie pióra. Były tam i takie, co miały brzegi wycięte w formę akantusowego liścia i najeżone kolcami i takie, co zwinięte u dołu, tworzyły lejki i jeszcze inne, gładkie i lśniące, albo pokryte długim, żółto-zielonym włosem, spadającym po obu stronach aż do ziemi — słowem największa rozmaitość barw i kształtów, a wszystko żyjące, ruchliwe, wijące się za najlżejszem dotknięciem.

Nad brzegiem strumyka, wpół zanurzone w jego kryształowej fali, ciągnęły się znowu długie wodorosty, jak rdzawo-zielone węże i liny, obwieszone, niby kwiatami, kręgami śnieżnej białości o silnym, upajającym zapachu. Gdzieindziej znowu, gdzie woda rozlewała się szerzej i prąd ustawał, rozwijała się delikatna rzęsa z kul, w których postaci przetrwała mróz nocy, pokrywając nurt leciuchną i drżącą siatką, podobną do najprzedniejszych koronek z fijoletowego i zielonego jedwabiu.

Byliśmy oczarowani tym zdumiewającym przepychem roślinności; za każdym krokiem spostrzegaliśmy coś nowego i godnego uwagi. Z zarośli poczęły wychodzić na słońce przedziwne stworzenia, podobne do długich jaszczurek o jednem oku i kilku parach nóg. Przyglądały nam się ciekawie i pierzchały szybko za zbliżaniem się wozu. Psy puściły się za jednem z tych zwierząt i złowiły je. Odebraliśmy im tę zdobycz, ale zwierzę było już nie żywe; mogliśmy więc tylko na zwłokach podziwiać niezmiernie ciekawą jego budowę, zasadniczo odmienną od organicznych ustrojów na Ziemi. Kościec ograniczał się do podłużnego pierścienia, złożonego z ruchomych kręgów, umieszczonych po obu bokach tuż pod skórą. Całą czaszkę tworzyły tylko silne szczęki; mózg mieścił się pod grzbietem, wewnątrz pierścienia. To, co uważaliśmy za nogi, było dwoma szeregami sprężystych, bezkostnych macek, za pomocą których zwierzę czołgało się po ziemi z nadzwyczajną szybkością.

Znacznie później znaleźliśmy na Księżycu jeszcze wiele innych

zadziwiających stworzeń, ale żadne nie zaciekawiło nas tak, jak to pierwsze, nader typowe dla tutejszej fauny.

Wogóle cała podróż nasza przez ową dolinę była jakby snem czarodziejskim, pełnym niespodziewanych a fantastycznych obrazów. Godziny mijały za godzinami, a widoki przed naszemi oczyma zmieniały się ciągle. Miejscami dolina zwężała się, tworząc skaliste przesmyki, przez które przedzieraliśmy się z trudem tuż nad brzegiem potoka, urosłego już w sporą szumiącą rzeczkę, to znowu wjeżdżaliśmy na rozległe, koliste równiny, gdzie woda rozlewała się w szerokie jeziora o brzegach zarosłych albo piaszczystych. Zwierząt spotykaliśmy coraz więcej. Głębie wód roiły się od szczególnych potworków; w powietrzu unosiły się jakieś latające jaszczurki, podobne zdaleka do ptaków o grubej szyi i długim ogonie. Ale co szczególna — wszystkie zwierzęta na Księżycu są nieme. Brak tutaj tych niezliczonych głosów życia, które brzmią wśród ziemskich łąk i lasów; jedynie gdy wiatr powieje, szeleszczą ogromne liście tutejszych roślin, przerywając wraz ze szmerem strumienia wieczystą głuszę.

Bujna wegetacja ogromnie utrudniała nam posuwanie się naprzód. Co chwila trzeba było stawać i odwijać oplątane koło osi badyle, tamujące ruch kół; czasem znowu przebijaliśmy się przez zarośla tak gęste, że wóz w nich prawie ustawał. Nie radzi byliśmy tym opóźnieniom, zwłaszcza że podróż i tak odbywała się bardzo powoli, gdyż musieliśmy się często zatrzymywać już to dla snu i posiłku, już to dla zbadania okolicy, lub poszukiwań żywności i paliwa. Pożywienia znajdowaliśmy poddostatkiem. Nieocenioną usługę oddawały nam w tym względzie psy przez swój instynkt zwierzęcy; krążąc wciąż po zaroślach, wynajdywały jadalne, mięsiste rośliny lub smaczne miękczaki. Znacznie gorzej było jednak z paliwem. Torf, zabrany z Kraju Biegunowego, wysechł wprawdzie i palił się wcale dobrze, ale musieliśmy go oszczędzać, bo zapas był nie wielki, a w całej okolicy nie mogliśmy nic znaleźć, czemby się po jego wyczerpaniu ogień dało podsycić. Drzew takich, jak na Ziemi, niema tutaj wcale, zaś owe szerokie liście są tak soczyste, że gotują się raczej na ogniu, miast płonąć. Ten brak niepokoił nas bardzo, zwłaszcza że torfowiska, pokrywające niemal całą przestrzeń Kraju Biegunowego, pozostawiliśmy już daleko za sobą.



Tymczasem nadchodziło południe księżycowe i trzeba się było ostatecznie zdecydować, czy mamy jechać dalej, czy też w braku ognia wracać przed nocą do Kraju Biegunowego? Początkowo mieliśmy zamiar pójść za tą drugą myślą; Marta zwłaszcza, bojąc się nocnego mrozu ze względu na Toma, namawiała nas do powrotu. Ja skłaniałem się również ku temu, ale Piotr oparł się stanowczo.

— Wracać teraz — mówił, — znaczy skazać się na dozgonne pozostanie w biegunowej krainie. Zważcie, że obecnie mamy jeszcze akumulatory nabite, nabój ten wystarczy, aby przebyć jeszcze raz tę drogę z powrotem, ale co dalej? Jeślibyśmy kiedyś chcieli znów wyruszyć w inne okolice Księżyca, jak nabijemy wyczerpane akumulatory wobec niemożliwości rozpalenia tam ognia?

— Ale podróż ku południu również do niczego nie prowadzi, — zauważyłem — a narażamy się na mróz nocny, którego bez ognia nie będziemy mogli przetrzymać...

— Przed nocą możemy znaleźć jeszcze opał...

— Możemy go również nie znaleźć.

— Tak, ale to jest tylko przypuszczenie, podczas gdy wiemy z pewnością, że na biegunie go nie znajdziemy nigdy. Zresztą mamy jeszcze trochę torfu. Przy tym zapasie w ostateczności zdołamy jakoś noc przetrzymać, a następny dzień poświęcimy cały na poszukiwania.

Nie mogliśmy Piotrowi odmówić słuszności, więc też ruszyliśmy dalej w stronę równika.

W kilkanaście godzin po południu niebo zaciągnęło się chmurami i spadł obfity deszcz. Był on dla nas bardzo pożądanym gościem, gdyż odświeżył upalne i duszne powietrze. Zaledwie strugi wody spłynęły i słońce z za obłoków wyjrzało, uderzył nas niezwykle silny szum.

Sądziliśmy początkowo, że to potok wezbrany tak szumi, ale wkrótce przekonaliśmy się, co było właściwą przyczyną tego zjawiska, Byliśmy właśnie w miejscu, gdzie dolina, załamując się ku zachodowi, tworzyła kolano, tak że dalsza jej część usuwała się z przed wzroku. Gdyśmy się jednak znaleźli na zakręcie, otworzył się nam rozległy i wspaniały widok.

Paręset metrów przed nami dolina urywała się nagle, spadając szerokiemi upłazami ku nieprzejrzanej równinie, ciągnącej się aż po

krańce widnokręgu. Potok staczał się w spienionych kaskadach po tych terasach, tworząc na nich szereg coraz niżej położonych stawów, aż wreszcie dosiągłszy poziomu płaszczyzny, płynął przez nią krętą, srebrną wstęgą, ginącą gdzieś w niezmiernej oddali. Jak okiem zasięgnąć, kraj był równy i płaski, jedynie w pobliżu granicznych gór wznosiły się zrzadka rozsiane, obrączkowe wzgórza, nalane wodą, jak czary. Takie małe i koliste jeziorka, tylko o brzegach mniej wyniosłych, widno też było po całej płaszczyźnie. — Bliższe wyglądały jak duże pawie oka, dalsze podobne były do pereł, naszytych gęsto na sino-zielonym pluszu. Między niemi jak srebrne nici różnej grubości, wiły się potoki, może nawet wielkie rzeki.

Wyszliśmy z wozu i stojąc na krawędzi terasu, patrzyliśmy długo w głębokiem milczeniu na ten dziwny kraj przed sobą. Pierwsza odezwała się Marta.

— Zjedźmy tam, — rzekła, — tam jest tak ładnie!...

Istotnie było tam pięknie, ale czy będzie tam i dobrze? — Mimowoli zadawaliśmy sobie to pytanie, przygotowując się do zjazdu po stromych upłazach na równinę.

Znalazłszy się po wielu trudach na dole, zostawiliśmy wóz nad brzegiem strumienia i zabraliśmy się zaraz do poszukiwań jakiego palnego materjału. Zeszliśmy całą okolicę wszerz i wzdłuż w kilkokilometrowym promieniu, kopaliśmy głębokie doły w nadziei natrafienia na torf lub na jaką żyłę węgla kamiennego, zrywaliśmy różne rośliny, próbując, czy się nie zdadzą na opał, ale wszystko napróżno. Za kilkanaście godzin miało już zajść słońce, kiedy wyczerpani i zniechęceni zaprzestaliśmy wreszcie bezowocnych prób i poszukiwań.

Położenie nasze było nader przykre i zaczęliśmy już żałować, żeśmy opuścili zbyt lekkomyślnie Kraj Biegunowy. Strach nas przejmował na samą myśl, co się z nami stanie w nocy. Torfu mieliśmy nie wiele; trzeba go było nadzwyczajnie oszczędzać, aby na całą noc wystarczył. Gdyśmy zrobili przegląd zapasu, pokazało się, że na dwadzieścia cztery godzin wypadała nie wielka garstka, zaledwie wypełniająca mały, przenośny piecyk.

— Ależ my pomarzniemy, paląc tak oszczędnie! — zawołała Marta, gdyśmy jej pokazali przygotowane porcje.

Piotr ruszył ramionami:



— Paląc więcej, pomarzniemy jeszcze pewniej, gdyż torfu braknie! Musimy się dobrze okrywać.

— Pocośmy wyjechali z Kraju Biegunowego! — zawodziła Marta. — Tom zimna nie zniesie, — on taki maleńki i biedny.

— Ach! Tom! — szepnął Piotr lekceważąco przez zęby.

Już wtedy spostrzegłem, że każda wzmianka o dziecku drażniła go niewymownie. Dotykało mnie to podwójnie; przedewszystkiem sam pokochałem ogromnie rozkosznego dzieciaka, powtóre zaś chodziło mi o Martę. Namiętnie do syna przywiązana, odczuwała boleśnie niechęć Piotra i nieraz widziałem jak zwracała nań spojrzenie, w którem wyrzut łączył się z instynktowną obawą. Zauważyłem także, że dziecka nie zostawiała nigdy przy Piotrze, choć mnie powierzała je często, gdy sama musiała się czemś zająć.

— Tom nie jest najważniejszą osobą — mruczał Piotr dalej — i choćby umarzł...

Marta znosiła zwykle milcząco podobne uwagi, ale teraz zerwała się nagle i przyskoczyła do Piotra z roziskrzonemi oczyma.

— Słuchaj ty — wołała stłumionym głosem — Tom jest najważniejszą osobą i nie umarznie, bo pierwej ja zabiję ciebie i twemi kośćmi w tym piecu napalę!

Mówiąc to, błysnęła mu przed oczyma małym indyjskim sztyletem, jakich ostrza tam zwykle zatruwają. Nie wiedzieliśmy nawet do tego czasu, że ma tę straszną broń przy sobie.

Piotr cofnął się mimowoli. Usiłował się naprzód uśmiechnąć, ale w głosie i wzroku malabarki była taka straszna, nieubłagana groźba, że zbladł i nadarmo starał się ukryć pomieszanie.

Roześmiałem się głośno, choć nieco wymuszenie, aby załagodzić sprawę.

— Marta dba o synaczka, ani słowa! — zawołałem. — Pójdź, Piotr, pomyślimy, jak się od nocnego mrozu zabezpieczyć, nie ofiarując własnych kości na opał!

Plan mój był dosyć prosty. Wykopaliśmy wspólnemi siłami obszerny dół, w którym wóz mógł się z łatwością zmieścić, a wtoczywszy go tam, przykryliśmy go jeszcze na wierzch ziemią i narzniętemi liśćmi. W ten sposób mogliśmy się spodziewać, że wóz nie będzie tracił dużo ciepła i da się łatwiej ogrzać.

Słońce już było zaszło, gdyśmy wreszcie ukończyli robotę. Jednak nie wchodziliśmy jeszcze do wozu — po długim dniu powietrze było ciepłe i miłe; szeroka, czerwona zorza wieczorna oświecała jeszcze zwolna w zmierzchu tonącą równinę, na której lśniły się tylko bliższe jeziora, jak czary żywem srebrem, albo, gdy pod zorzę było na nie spojrzeć, krwią nalane.

Usiedliśmy razem na wzgórku nieopodal wozu, ale rozmowa jakoś się nam nie kleiła. Ostatnie zajście silne na nas wszystkich wywarło wrażenie. To też po paru luźnie rzuconych uwagach zamilkliśmy i ciszę przerywał już tylko szum niedalekich kaskad i zlewający się z nim głos Marty, która śpiewała dziecięciu do snu jakieś rzewne i przeciągłe pieśni indyjskie.

Słuchałem tego śpiewu w zadumie, patrząc na gasnącą w mroku szybę jeziora, gdy w tem lekki okrzyk Piotra wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzałem nań pytająco, a on wyciągnął rękę w stronę równiny:

— Patrz, patrz!

Na równinie działo się coś dziwnego. W miarę, jak niebo ciemniało, ziemia stawała się coraz jaśniejsza. Zrazu jakby garść drobnych, błękitnych iskier rozsypanych nad brzegiem potoka. Później tych iskier pojawiło się coraz więcej; błyskały na prawo, na lewo, przed nami, wszędzie. W pół godziny już cała równina lśniła, jakby tumanem niebieskawej, gwiaździstej mgły zasnuta. Jeziora wyglądały na niej, jak czarne plamy.

Marta zaprzestała śpiewu i patrzyła wraz z nami na to czarodziejskie zjawisko.

Po pewnym czasie dopiero przekonałem się, że to była fosforescencja owych dziwnych, liściastych roślin, pokrywających tu obszar ogromny. Wewnętrzna ich powierzchnia błyszczała tak, jak próchno w głębi naszych lasów.

Nie trwało to długo. Zaledwie mieliśmy czas nasycić się niezwykłym widokiem, gdy światełka poczęły gasnąć jedno po drugiem. Liście zamykały się i zwijały pod wpływem chłodu na sen dwutygodniowy.

Obfita rosa zaczynała padać; i nam czas już był ukryć się w dobrze zabezpieczonym wozie.



Noc była mroźna, ale przetrwaliśmy ją nienajgorzej z naszym zapasem torfu dzięki przedsięwziętym ostrożnościom. Z wozu nie wychylaliśmy się ani na chwilę, aby nie tracić ciepła. Przez szyby nie mogliśmy także widzieć co się dzieje na zewnątrz, gdyż jak wspomniałem, wóz cały był szczelnie okryty ziemią i chwastami. Przez te dwa tygodnie nocy byliśmy całkowicie odcięci od świata.

Dopiero gdy nasze kalendarzowe zegary wskazywały porę wschodu słońca, odważyłem się wyjrzeć na świat. Dla zabezpieczenia się przed zimnem ubrałem się w powietrzochron, którego grube i odpowiednio zrobione ściany stanowiły znakomitą ochronę. Wyszedłszy z wozu, przekonałem się, że ostrożność moja nie była zbyteczna.

Spojrzawszy na równinę w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, nie mogłem jej zrazu poznać. Cały świat pokrywała gruba warstwa wyiskrzonego od mrozu śniegu. Tafle jezior po części zginęły pod śniegiem, po części zaś lśniły matowemi szybami lodu. Zdawało mi się, żem został nagle przeniesiony w jakieś arktyczne kraje.

Powróciłem coprędzej do wozu z wieścią, że teraz jeszcze wychodzić nie można. Ta zima wprawiła nas w niewesołe usposobienie, gdyż zapas torfu był już na schyłku. Istotnie przez całą noc nie cierpieliśmy tyle od chłodu, co z początkiem dnia nim nastała »wiosna«. Trzy ziemskie doby musieliśmy jeszcze na nią czekać, obywając się co gorsza w ostatku bez ognia. Ale po siedmdziesięciu godzinach walki z mrozem słońce wreszcie zwyciężyło. Śnieg roztopiony spływał strugami, jeziora wystąpiły z brzegów, potoki wszystkie wezbrały i gdyśmy po tym czasie wyszli na świat, na ociekającej wodą równinie rozwijały się już do słońca ogromne, wielokształtne liście i tylko szczyty gór okrywał jeszcze biały całun.

Z wyruszeniem w dalszą podróż, o której ciągle myśleliśmy, trzeba się było wstrzymać, aż okolica trochę podeschnie. Tymczasem zabraliśmy się na nowo do poszukiwań paliwa. Podczas jednej z wycieczek, któreśmy w tym celu robili we wszystkich kierunkach, natrafiliśmy przypadkiem na głęboki dół, poprzedniego dnia księżycowego wykopany w nadziei znalezienia torfu lub węgla. Dół był po brzegi wypełniony wodą. Minąłem go obojętnie, ale Piotr, snać czemś niezwykłem uderzony, stanął i jął się pilnie weń wpatrywać. Uszedłem już był kawałek drogi, kiedy mnie głos jego doleciał:

— Janie! — wołał, przyzywając mnie ręką, — pójdźże, pójdź coprędzej i patrz!

Zastałem go na klęczkach; jedną ręką wspierał się na krawędzi dołu, drugą dawał mi znaki. Twarz, pochylona nad dołem, płonęła mu od wzruszenia.

— Co się stało? — zawołałem.

Zamiast odpowiedzieć, zaczerpnął dłonią wody o szczególnej, brudno żółtej barwie i podsunął mi ją pod sam nos.

— Nafta! — krzyknąłem radośnie, poczuwszy znany, ostry zapach.

Piotr skinął głową z tryumfalnym uśmiechem. Aby się przekonać, czy nas pozory nie łudzą, umoczyłem w cieczy chustkę od nosa i zapaliłem. Buchnęła jasnym, czerwonym płomieniem, w który patrzyliśmy obaj jak w tęczę, zwiastującą nam nowe życie.

Pospieszyliśmy niezwłocznie podzielić się z Martą tą dobrą nowiną.

Znalezienie źródła nafty miało dla nas olbrzymie znaczenie. Teraz mogliśmy już puścić się dalej ku południu, lub pozostać na miejscu, nie obawiając się mroźnych nocy ani niedostatku gotowanego pożywienia. Kilkadziesiąt godzin poświęciliśmy zebraniu jak największego zapasu tego błogosławionego płynu. Wykopaliśmy w tym celu jeszcze parę głębokich dołów i zbieraliśmy gromadzącą się w nich ropę do czego się dało. Przed nadejściem południa mieliśmy już wszystkie rezerwoary pełne. Teraz odbyliśmy walną naradę, co dalej czynić. Najprzezorniej byłoby pozostać na miejscu, w pobliżu źródeł nafcianych, ale nie mogliśmy się oprzeć pokusie posunięcia się dalej, ku morzu, które, sądząc ze wszystkiego, nie powinno było zbyt być odległem. Oprócz ciekawości przemawiała za podróżą i ta okoliczność, że na wybrzeżu znajdziemy klimat znacznie złagodzony wpływem wielkiego zbiornika wody i mniej podległy dziennym wahaniom, mimo że przybliżymy się do równika. Mieliśmy zresztą tak znaczny zapas paliwa, że mogliśmy się z nim odważyć nawet na próbną tylko podróż, byliśmy bowiem pewni, że zdołamy w razie niepomyślnych okoliczności powrócić do źródeł nafcianych, do których, posuwając się nazad w górę za biegiem strumienia, nie trudno nam będzie trafić.

Ten dzień i najbliższą noc spędziliśmy jeszcze w tem samem

miejscu na kraju *Równiny Jezior*, jak nazwaliśmy ową wielką płaszczyznę, odkładając rozpoczęcie podróży do dnia następnego w tem mniemaniu, że będzie nam znacznie dogodniej mieć przed sobą trzysta kilkadziesiąt godzin słonecznych, podczas których nie będzie trzeba przerywać drogi z powodu nocy i mrozu. Ale zato rychło tylko pierwszy świt zaróżowił śniegi, ruszyliśmy, nie czekając nawet wschodu słońca, choć mróz dobrze dawał się we znaki.

Ranne, lub jakby tutaj powiedzieć należało: wiosenne powodzie, zastały nas blizko sto kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali, licząc po ziemsku, sześć przeszło tygodni. Zrazu nastanie roztopów zakłopotało nas bardzo; grunt rozmiękł do tego stopnia, że jazda stawała się wręcz niemożliwą. Dość wcześnie jednak przypomnieliśmy sobie, że wóz po założeniu odpowiedniego steru i zastąpieniu kół wachlarzami, da się z łatwością zamienić na pływający statek, wobec czego nie tylko nie potrzebowaliśmy się obawiać powodzi, lecz owszem mogliśmy z niej skorzystać, puszczając się na fale wezbranego strumienia. Pomysł to był nadzwyczaj szczęśliwy, zwłaszcza, że ten strumień i tak był dla nas nicią, mającą nas zaprowadzić do morza. Oszczędzaliśmy przytem mnóstwo paliwa, gdyż silny prąd unosił nas sam tak szybko, że nie potrzebowaliśmy się uciekać do pomocy wachlarzy dla przyspieszenia biegu.

Cały długi dzień księżycowy spędziliśmy tak na falach, zrzadka tylko przybijając do brzegu, już to dla wypoczynku, już to dla zwiedzenia jakiej ciekawej okolicy nadbrzeżnej.

Nim powódź opadła, posunęliśmy się tak daleko za biegiem wody, że strumień zamienił się w dużą rzekę, której koryto aż nadto było głębokie dla naszego drobnego statku.

Widoki i charakter krajobrazu po drodze zmieniały się ciągle. Przez pewien czas płynęliśmy wśród rozległego i jak się zdaje dość suchego stepu, pokrytego roślinnością drobną i wątłą, zgoła niepodobną do wspaniałych liściastych krzewów, rosnących wyżej nad strumieniem. Było coś niezmiernie smutnego w jednostajnym widoku tej okolicy.

Wzgórza obrączkowe, nalane wodą po brzegi i okrągłe jeziorka o skalistych, mało nad poziom wzniesionych krawędziach wśród kopiastych pagórków — pozostawiliśmy już daleko za sobą; teraz na

prawo i lewo rozciągała się płaszczyzna rdzawo zielona, od której odbijały tylko miejscami fioletowe łączki jakiegoś drobnego niby-kwiecia, lub ławy żółtego piasku, zalegające nieznaczne wzniesienia. Rzeka rozlewała się tu szeroko i płynęła tak leniwie, że puściliśmy motor, poruszający wachlarze, aby bieg statku przyspieszyć.

Było już nieco po południu, kiedyśmy się zbliżyli do łańcucha skalistych wzgórz, zamykających ów step od południa. Rzeka była tu na przestrzeni paru kilometrów ścieśniona z obu stron skałami tak, że żegluga stawała się wysoce niebezpieczną. Prąd porywał nas co chwila i uderzał statkiem o rafy. Jedynie silnej budowie pocisku, teraz na łódź zamienionego, mamy do zawdzięczenia, żeśmy wyszli cało.

Tuż za ową bramą rzeka rozlewała się w duże jezioro, którego brzegi, utworzone z małych pagórków, pokrytych nad wyraz bujną roślinnością i poprzerywane licznemi zatokami, tworzyły jeden z najmilszych widoków, jakie spotkaliśmy na Księżycu.

Jeszcześmy byli nie przepłynęli jeziora, kiedy niebo, dotąd prawie ciągle pogodne, zaciągnęło się z nagła ciemnemi chmurami. Zrazu radzi byliśmy temu, gdyż upał nieznośny srodze nam już dokuczał, ale wkrótce zaczęliśmy się niepokoić, przeczuwając nadejście burzy. Słychać już było dalekie, potężne grzmoty, a niebo od południa rozjaśniało się raz wraz krwawemi błyskawicami. Zaledwie mieliśmy tyle czasu, aby skręciwszy w bok, ukryć się w małej, wzgórzami zasłoniętej zatoce, gdy burza rozszalała się na dobre.

Znałem na Ziemi straszliwe burze tropikalnych krajów, ale przecież czegoś tak potwornego nie umiałbym sobie wyobrazić. Ogłuszające grzmoty zlewały się w jeden, nieustanny huk; przed oczyma wciąż nam stały pioruny, jak struny jakiejś ognistej harfy, gęsto między niebem a ziemią nawiązane. Deszcz... nie! to nie był już deszcz! potop lejącej się z chmur wody zamienił całą atmosferę w wiszące, wściekłemi wichrami targane jezioro. Powietrze, zmieszane z deszczem i pryskającemi pod wichrem w górę falami, było tak przesiąkłe elektrycznością, że rozbłyskiwało się czasem samo ze siebie, a wtedy mieliśmy przed oczyma dziwne, piekielne widowisko: pod krwawo z dołu zaczerwienionemi chmurami, — atmosfera z przeźroczystego ognia, pełna kropel wielkich jak pięść, podobnych do kapiącego, roztopionego metalu.



Czasem burza uciszała się nagle; chmury, jak rozstępująca się na dwie strony zasłona, otwierały widok na błękitne niebo i słońce, ale zaledwie mieliśmy czas odetchnąć, niebo czerniało znowu i znów z natarciem straszliwego orkanu, pędzącego od południa, zaczynały ryczeć gromy i pluskać strugi tryskającej z chmur wody.

Trwało to wszystko z przerwami blizko czterdzieści godzin. Znużeni, zalękli i oszołomieni patrzyliśmy na te potworne zapasy ognia, wody i powietrza, przywiązawszy statek linami do jakichś sterczących z brzegu korzeni w obawie, aby zatoka, skacząca czasem pod nami, jak dziki zwierz w agonji, ostatniemi zrywany dreszczami, nie odrzuciła nas na pełne jezioro, na pastwę wichrom i falom.

Wreszcie uciszyło się wszystko i rozjaśniło na niebie — i już tylko wezbrane potoki szumiały wśród pagórków, wzdymając rozkołysaną jeszcze powierzchnię jeziora.

Wody wezbrały ogromnie. Musieliśmy jeszcze przeszło dwadzieścia godzin czekać, nim opadły do tego stopnia przynajmniej, że można się było odważyć na dalszą podróż. Płynęliśmy teraz znacznie szybcej, gdyż prąd wezbranej rzeki wzmógł się bardzo. Po drodze spotykaliśmy wszędzie ślady strasznego spustoszenia: całe obszary ziemi spłukane, ogromne, dziwne rośliny, tworzące tu już gęste lasy szczególnie poplątanych liści i długich, grubych a mięsistych łodyg, leżały miejscami potargane wichrem na strzępy. Z każdej szczeliny buchały kaskady mętnej wody; na równinach stały płytkie kałuże, nad któremi gromadziło się mnóstwo najróżniejszych a przeważnie potwornych, do gadów podobnych zwierząt.

Dzisiaj, gdyśmy się już na Księżycu zaaklimatyzowali, wiemy, że te burze straszliwe są tu codziennem zjawiskiem w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. — Powstają one z powodu niesłychanego upału w porze popołudniowej, a są dla tego świata mimo swą okropność dobrodziejstwem, gdyż odświeżają atmosferę i wysychający grunt. Gdyby nie one, życie byłoby tu niemożliwe...

Nie będę opisywał naszej popołudniowej podróży; przeszła bez wypadków. — Krajobraz tylko zmieniał się przed nami ciągle, a z nim i roślinność, choć zaznaczyć wypada, że flora na tym globie, nie mającym wyraźnych stref, jest znacznie jednostajniejsza, niż na Ziemi.

Zbliżał się już wieczór, kiedy dostaliśmy się w miejsce, gdzie rzeka, zwolniwszy biegu, poczęła się rozlewać szeroko i tworzyć liczne mielizny, utrudniające nadzwyczaj żeglugę. Przyszło nam na myśl, że ma to być zapowiedzią niedalekiego ujścia.

— Zobaczymy morze — mówiliśmy sobie, obracając oczy ku słońcu, jakby chcąc się upewnić, że jeszcze wystarczy dnia, aby dotrzeć do tego upragnionego celu podróży.

Ale tymczasem żegluga stawała się coraz trudniejszą. Uwięzgnęliśmy parę razy na mieliznach, tak że wreszcie postanowiliśmy zamienić znów statek na wóz i puścić się dalej drogą lądową.

Zachód słońca zastał nas u podnóża niewysokich, zrzadka jakąś niby trawą porosłych wydm piaszczystych. Przeczuwaliśmy, że za niemi znajduje się już morze; zdawało nam się nawet, że słyszymy wielki, stłumiony łoskot fal i czujemy rozchodzącą się w powietrzu ostrą woń morskiej wody. Dlatego też gnani niecierpliwością, mimo zapadający zmrok, nie przerywaliśmy podróży.

Mrok zgęstniał już znacznie, kiedy dostaliśmy się nareszcie na szczyt owych wydm piaszczystych. Wytężaliśmy wzrok, aby zobaczyć morze, ale niepodobna było nic rozeznać. Przed nami lśniła się tylko upiornie fosforyzującemi roślinami pokryta płaszczyzna; od wschodu, skąd słychać było jakieś bełkotania i jakby łoskot tryskającej wody, snuły się gęste białe mgły czy opary, jak duchy błądzące po świetlistych łąkach. Nie wiedzieliśmy zrazu, co robić: pozostać przez noc na wyżynie, czy też spuścić się na dół, gdy w tem wiatr, zerwawszy się nagle, rozwiał snujący się pasmem opar i odkrył potoczek, zciekający o kilkadziesiąt kroków przed nami po kamiennych progach w nieduże naturalne baseny, schodami w szereg ułożone. Widok ten trwał jedną chwilę, gdyż zaraz gęsty opar pokrył wodę na nowo i tylko plusk i bełkotanie wciąż uszu naszych dolatywały. Zastanowiła nas ta niezwykła ilość i gęstość oparu i ruszyliśmy w kierunku basenów. Za chwilę znajdowaliśmy się w gęstej, ciepłej mgle. Koła wozu tętniały teraz po kamieniu.

Gdy wiatr znowu mgłę rozegnał, spostrzegliśmy, że znajdujemy się tuż nad brzegiem jednego z basenów. Ciepły, wilgotny powiew musnął nas po twarzy.

— Cieplice! — zawołaliśmy równocześnie obaj z Varadolem.



Istotnie musiały się gdzieś w pobliżu znajdować gorące źródła, gdyż woda odpływająca strumykiem i rozlewająca się po basenach miała dwadzieścia kilka stopni Celsiusa. Nie pora była badać po ciemku okolicę; postanowiliśmy tylko skorzystać z nader szczęśliwego przypadku i spędzić mroźną noc nad tą wodą, dostarczającą nam znacznej ilości ciepła.

Noc mieliśmy dość niespokojną. W cztery ziemskie doby po zachodzie słońca spadł gruby śnieg i mroźny wiatr przewiewał tak, że dla zabezpieczenia się od zimna musieliśmy wóz zepchnąć na ciepłą wodę basenu. Ciemności były nieprzeniknione. Niekiedy tylko, gdy wiatr na chwilę rozegnał wciąż podnoszące się z wody opary, widzieliśmy błyszczące w górze gwiazdy. Wtedy ukazywał się nam także na południu szeroki pas błękitnego światła, biegnący wzdłuż krańców widnokręgu. Dziwiło nas to zjawisko, gdyż nie znikało długo w noc, choć fosforyzujące rośliny, któreśmy uważali początkowo za przyczynę tego światła, zamknęły się były już dawno. Blask ten ciekawy zagasł dopiero dobrze po północy, gdy mróz zdala od cieplic musiał już być nadzwyczaj tęgi.

Nim to jednak nastąpiło, zaniepokoiła nas inna rzecz. Mianowicie około północy dało się odczuć silne wzburzenie wody, któremu towarzyszył głuchy grzmot podziemny. Prawie równocześnie dostrzegliśmy przez mgłę na wschodzie krwawą, słupem w górę idącą pożogę. Po kilku godzinach zgasła, ale wkrótce rozpaliła się znowu i trwała tak na niebie z małemi przerwami przez cztery ziemskie doby, podobna do strasznego, piekielnego ducha, pojawiającego się we mgle i nocy nad śnieżną pustynią.

Temperatura wody w basenie, kołysanej ciągłemi wstrząśnieniami gruntu, podniosła się wtedy cokolwiek, tak że cierpieliśmy raczej ze zbytku gorąca, niż z jego braku.

Już w nocy podczas trwania zjawiska, które nas z początku zaniepokoiło a nawet przeraziło, domyślaliśmy się, że gdzieś w pobliżu znajduje się wulkan, którego wybuch właśnie widzimy. Przemawiało za tem także samo istnienie silnych cieplic, pojawiających się najczęściej w wulkanicznych okolicach.

Nadchodzący dzień potwierdził nasze domysły. Zrazu, mimo jasności, nic nie mogliśmy widzieć, gdyż z powodu mrozu nie opusz-

czaliśmy jeszcze basenu, a mgły widok nam zasłaniały. Dopiero w czterdzieści godzin po wschodzie słońca wyszliśmy z wozu, przybiwszy od południa do kamiennego brzegu. Parę kroków szliśmy jeszcze w gęstej mgle, aż nagle, jakby za podniesieniem czarodziejskiej zasłony, otworzył się szeroki widok przed nami.

Stanęliśmy jak wryci, przejęci podziwem i radością.

O kilkanaście metrów poniżej, w odległości dwóch do trzech kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali, było — morze.

Jego to fosforyzujące od drobnych żyjątek fale świeciły nad mdłym obrzaskiem długo w noc przez mgły i cienie.

Teraz widzieliśmy je wyraźnie. Nieprzejrzana, u brzegów lodem jeszcze ścięta, ale dalej już falująca i ruchliwa, słońcem pozłocona wodna płaszczyzna ciągnęła się od naszych stóp gdzieś poza kresy widnokręgu.

W pierwszej chwili byliśmy tak zachwyceni tym upragnionym widokiem, żeśmy długo nie mogli oczu odeń oderwać. Po pewnym czasie dopiero, nasyciwszy się tym, od czasu opuszczenia Ziemi niewidzianym majestatem, zaczęliśmy się rozglądać po okolicy. Od zachodu wśród rozległych równin, połyskiwało szeroko rozlane, licznemi ławami piasku poprzerywane ujście rzeki, na której falach odbyliśmy większą część podróży dnia ostatniego. Od wschodu krajobraz był niezmiernie dziki i urozmaicony. Przedewszystkiem pociągał tu wzrok niebotyczny, u szczytu śniegiem ubielony stożkowy szczyt wulkanu, panującego majestatycznie w odległości kilkudziesięciu kilometrów nad okolicznemi, skalistemi wzgórzami. Południowe stoki tych gór, opadające ku morzu, czerniły się gęstemi lasami szczególnych a wielkich, dziwnie poplątanych liściastych krzewów i pnączów, rozwijających się właśnie z nocnego snu do życia; zaś bliżej nas tryskały wśród fantastycznie spiętrzonych głazów i małych dymiących jeziorek, liczne perliste, chmurą białej mgły owiane gejzyry. Odpływający z nich potok skakał po tarasach, zataczał się w basenach i ściekał szemrząc po głazach znów niżej, aż ginął w końcu wśród gąszcza zarośli, dążąc ku morzu.

Tu się miała zakończyć nasza odyseja.

## III.

Dziesięć lat ziemskich minęło od czasu, jak przybyliśmy nad brzeg morza, gdzie dzisiaj jeszcze mieszkamy. Nie wiele się tutaj od tej pory zmieniło. Morze huczy tak samo i tak samo co noc świeci nam długo roziskrzonemi falami; co pewien czas powtarzają się wybuchy wulkanu, któryśmy przez pamięć naszego drogiego przyjaciela nazwali Otamorem; tak samo biją gejzyry i strumyk szemrze po kamieniach, — tylko na jednym z basenów teraz wznosi się na palach domek zimowy, a niżej nad brzegiem morza szałas, służący nam za letnie mieszkanie; tylko na piaszczystem wybrzeżu lub na łąkach bawi się czworo dzieci, zbierając muszle i kwiaty, lub igrając z kilkoma psami, zrodzonemi już na Księżycu.

I myśmy już przywykli do tego świata. Nie dziwią nas długie, mroźne noce ani dni, podczas których leniwie pełznące słońce ogniem z nieba zionie; popołudniowe, straszliwe burze, przeciągające regularnie co siedmset dziewięć godzin nad naszemi głowami, przestały napełniać nas trwogą; na dziki, fantastyczny krajobraz, na roślinność tak od ziemskiej różną i potworne a niedołężne księżycowe zwierzęta patrzymy jak na rzeczy dobrze znane i naturalne... Za to Ziemia we wspomnieniach naszych staje się czemś, podobnem do snu, który przeszedł i pozostawił po sobie jeno nieuchwytny jakiś i tęsknotą rozmarzający ślad w pamięci.

Siadamy czasem nad brzegiem morza i rozmawiamy o niej długo, długo... Opowiadamy sobie o krótkich ziemskich dniach, o lasach, o ptakach, o ludziach i krajach, które oni zamieszkują, o mnó-

stwie rzeczy znanych i drobnych, jakby o czemś niezmiernie ciekawem i w bajce tylko zasłyszanem. Tom jest już dosyć duży i rozumny i słucha tego wszystkiego rzeczywiście jak bajki. On nigdy nie był na Ziemi...

Ostatecznie urządziliśmy sobie tutaj życie dosyć znośnie. U stóp Otamora, na skruszałem wulkanicznem podłożu odkryliśmy pnącze, których grube i tęgie korzenie są dosyć zdatnym materjałem, mogącym zastąpić od biedy ziemskie drzewo. Wysuszone i ze zdrzewiałych łusk oczyszczone wielkie liście, nadzwyczaj silne i trwałe, zastępują nam skórę, a z włókien innych tkamy sobie rodzaj grubego i miękkiego płótna. Na równinie za rzeką znaleźliśmy po długich poszukiwaniach pokład brunatnego węgla, a także odkryliśmy znacznie bliższe od pierwszych źródła nafty. Żelazo, srebro, miedź, siarka i wapno znajdują się tu w dość znacznej obfitości; morze dostarcza nam mnóstwa bardzo przydatnych muszel i bursztynu, różniącego się od ziemskiego tylko barwą płomienno-czerwoną.

Z morza też wyławiamy przeważnie pożywienie. Żyją tu najrozmaitsze, szczególne, a jadalne skorupiaki i jakieś niby ryby, niby jaszczurki, wcale smaczne i pożywne. Oprócz tego zbieramy w piasku lub po zaroślach jaja, — żadne z tutejszych stworzeń nie przychodzi na świat żywe, lecz wszystkie znoszą jaja, niesłychanie na mróz odporne, a wylęgające się nadzwyczaj szybko w słonecznem cieple, — albo też przyrządzamy smaczne i posilne potrawy z kilku gatunków roślin, obficie tutaj rosnących.

Początkowo przykrzyło nam się tylko bez mięsnego pożywienia, ale teraz jużeśmy się przyzwyczaili. Wszystkie zwierzęta tutejsze mają mięso łykowate i smrodliwe tak, że jeść go niepodobna. Psy niem tylko nie gardzą.

Upłynęło kilka dni księżycowych, nimeśmy się tutaj jako tako zagospodarowali. Naprzód wzięliśmy się do wyszukania budulca i paliwa, poczem zaczęliśmy wznosić na palach, zrobionych z mocnych korzeni, domek zimowy na tym samym stawku cieplic, gdzieśmy we wozie pierwszą noc spędzili. Po ukończeniu tej najważniejszej roboty, zaczęły się nasze długie wycieczki po okolicy, któreśmy odbywali przeważnie pieszo, mając ze sobą wózek z zapasami i narzędziami, ciągniony przez psy. Psy są tutaj dla nas jedynemi zwierzętami roboczemi; ze stworzeń księżycowych chowamy tylko pewien rodzaj dużych, skrzydlatych jaszczurek, znoszących wielkie i smaczne jaja.



Czasami puszczaliśmy się na morze, płynąc wzdłuż brzegów. Wybrzeże ku zachodowi jest płaskie i piaszczyste, na wschodzie za to występują liczne, z wulkanicznych gór utworzone przylądki, pooddzielane głębokiemi, daleko w głąb kraju wrzynającemi się zatokami. Prawie każda taka wycieczka, wodna czy lądowa, przynosiła jakąś korzyść; znajdowaliśmy coś nowego, co nam się mogło przydać, albo przynajmniej poznawaliśmy właściwości i tajemnice tej okolicy, w której snadź będziemy mieszkać już do śmierci.

Po trzynastu dniach księżycowych, to znaczy po ziemskim roku naszego pobytu nad morzem znaliśmy już okolicę wcale dobrze, a oprócz domu mieszkalnego mieliśmy warsztaty, małą hutę, składy, stajnie dla psów, słowem wszystko, co nam tu jest niezbędne do życia. Skończył się okres gorączkowej, wytężającej czynności i zwolna przychodziła na nas nuda i gorsza od niej tęsknota za opuszczoną Ziemią. Były to dla nas czasy okropne; pamiętam, że nie mogliśmy sobie dać rady. Podczas dnia zwiedzaliśmy jeszcze okolicę, błądząc samopas po górach, albo zajmowaliśmy się gromadzeniem żywności, ale w długich nocach rozpacz nas już ogarniała. Zamknięci w małym domku nad powierzchnią ciepłego stawu, bezczynni i rozleniwieni, staraliśmy się tylko spać jak najwięcej.

Ale i to nie zawsze się udawało. Siedzieliśmy wtedy milczący, nudą i tęsknotą obezwładnieni i niechętni sobie wzajemnie. Jest to prawdą, jedną z najniewątpliwszych, że nic tak ludzi nie zniechęca ku sobie, jak cierpienie i nuda. Miałem niestety sposobność stwierdzić to kilkakrotnie.

Można się było wprawdzie zająć i tem i owem, zaprowadzić jakieś ulepszenia, pomyśleć o przyszłości, ale niezdolnymi do tego czyniła nas myśl, że skazani jesteśmy tutaj na wymarcie. Ludzie na Ziemi nawet nie wiedzą o tem, że większą część swej energji zawdzięczają myśli — czasem nieświadomej, — że pracują nie tylko dla siebie, ale i dla tych, co przyjdą po nich. Człowiek chce żyć — otóż to jest wszystko. A tymczasem śmierć nieubłagana stoi mu przed oczyma i gdyby nie znalazł wybiegu, sposobu oszukania jej —

a może tylko siebie? dalibóg nie wierzę, aby inna myśl, oprócz tej strasznej i paraliżującej: *ja umrę*, mogła postać w jego głowie! Są różne lekarstwa: jest wiara w nieśmiertelność duszy, jest wiara w nieśmiertelność ludzkości i dzieł człowieczych. Człowiek czynami swemi przedłuża własne istnienie; bo jeśli wspomni czasem o tych wiekach, kiedy jego już nie będzie, to wyobraża sobie, że jednak pozostanie wówczas jeszcze jakiś ślad jego pracy i tak we własnych myślach staje się sam obecnym tej przyszłości, na którą już nie będzie patrzył żywemi oczyma. Ale do tego potrzeba mu wiedzieć, że będą po nim istnieli ludzie, którzy, jeśli już nie wspomną jego imienia, to przynajmniej nie wiedząc o tem, będą z jego pracy korzystać. To jest nieodzowny warunek życia jego czynów. Bo dzieła ludzkie są jak ludzie sami: żyją lub umierają. Dzieło, które żadnej zmiany w niczyjej świadomości nie powoduje, jest martwe.

Są to wszystko uwagi ogromnie proste i naturalne, ale uświadomiłem je w sobie zupełnie i jasno dopiero na Księżycu, podczas owych długich, bezczynnych i beznadziejnych dni w początkach naszego pobytu nad morzem.

Nieraz myślałem: dobrzeby było zbadać granice tej wielkiej wody, przejechać ten kraj wzdłuż i wszerz, poznać jego góry i rzeki, porobić mapy, opisać rośliny, zwierzęta i minerały, — ale w tej chwili stawało mi w myśli szydercze pytanie: i co komu z tego przyjdzie? Istotnie, co komu z tego przyjdzie, myślałem, komu opowiem to, co poznam, komu zostawię to, co piszę? Tom?... Ależ mały Tom umrze tak samo, jak ja, nieco później wprawdzie, ale to rzeczy nie zmienia: będzie ostatnim człowiekiem na tym świecie, na którym my jesteśmy pierwszymi. Z nim skończy się wszystko...

Ta świadomość paraliżowała wszystkie me czyny, czy to gdy zamierzałem badać ten kraj zadziwiający i to morze, którem Księżyc nalany jest jak srebrna czara, suchem dnem zwrócona ku Ziemi, czy to kiedy myślałem o postawieniu trwalszego domu, założeniu nowych i lepszych warsztatów, ogrodu i zwierzyńca, słowem o podniesieniu dobrobytu naszego małego gospodarstwa.

Wtedy to uczuliśmy obaj z Piotrem konieczność dania początku tutaj nowej ludzkości i oczy nasze zwróciły się znów na Martę. Usprawiedliwiam się dzisiaj sam przed sobą z tego, gdyż wiem, że



to było zbrodnią i samolubstwem. — I wtedy to wiedziałem, ale... ale... Człowiek chce żyć, za każdą cenę i jakkolwiekbądź, ale żyć — otóż to wszystko!

Było coś strasznego w naszem postanowieniu, zwłaszcza że było powzięte na trzeźwo i chłodno. Przynajmniej co do mnie...

Przywiązałem się był do Marty jakąś wielką miłością, cichą i tkliwą, ale ów czas, kiedy pożądałem jej dla siebie, dla zmysłów swych i szczęścia minął już dawno i, jak mi się zdawało, bezpowrotnie. Nawet nie wiem, dlaczego minął... Czasem zdaje mi się, że tylko dlatego, iż pokochawszy ją prawdziwie, przekonałem się zarazem, że ona mnie nie kocha i nigdy kochać nie będzie, zajęta wieczyście myślą o tamtym, zmarłym i odrodzonym w jej synu.

Nie o Marcie tedy myślałem w owym czasie przedewszystkiem, ale o dzieciach, o małych, wesołych dziewczynkach, z któremi, gdyby już urosły duże, mógłby się Tom ożenić, dając w ten sposób początek nowej ludzkości. Marzyłem o tem, jak o największem szczęściu; wszak wtedy praca nasza nie byłaby próżna; ze wszystkiego, cobyśmy odkryli lub zrobili, korzystaliby ci, mający z pokolenia w pokolenie żyć przez długie wieki na księżycowym globie.

Nie powiem, aby te marzenia moje były całkiem nieosobiste. Owszem, myśląc o dzieciach, wyobrażałem sobie mimowoli, że są to moje dzieci, a poza ich wesołemi, uśmiechniętemi twarzyczkami błyskała mi cicha, dobra i pogodna postać Marty, mojej Marty... Nużące to były i aż bolesne marzenia, bo tak mi się zdawały dziwnie niepodobne do urzeczywistnienia...

A potem znowu robiłem sobie wyrzuty, patrząc na bądź co bądź niegościnny i nie dla ludzi stworzony świat księżycowy. Jaki będzie — myślałem — los przyszłej ludzkości, lekkomyślnie tu przez nas dla nadania celu własnym czynom i racji własnemu życiu stworzonej? Poznałem już był o tyle warunki tego globu, że wiedziałem, iż ludzkość nie zdoła się na nim nigdy tak rozwinąć, jak na Ziemi. Człowiek będzie tu zawsze przybyszem i natrętem, który przyszedł nieproszony i — zapóźno. Tak jest, zapóźno. Księżyc mimo wszystko jest globem obumierającym.

Patrząc na tutejsze życie, zajmujące tak niesłychanie małą część powierzchni całego globu, na rośliny niby wspaniałe i bujne,

ale o wiele mniej od ziemskich żywotne, na zwierzęta dziwaczne, ale skarlałe i niedołężne, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że patrzę na przepych zachodzącego słońca. Tu życie już się przestało rozwijać; jest dojrzałe, przejrzałe nawet i czekające końca. I oto przyroda, pracując tutaj wieków bez porównania więcej, niż na Ziemi, (gdyż Księżyc, jako mniejszy, pierwej od niej ostygł i pierwej stał się »światem«), nie zdołała wypracować sobie rozumnej istoty, a jeśli nawet wypracowała, to czas jej minął bezpowrotnie. To najlepszy dowód, że glob ten, zwłaszcza dzisiaj, nie jest dla takich istot.

Człowiekowi będzie tu zawsze ciasno i marnie.

Takie refleksje budziły się we mnie, ale uczucie jest u człowieka zawsze silniejsze od abstrakcyjnej myśli: mimo wszystko pragnąłem całem sercem, aby tu po nas byli ludzie. Czasem oszukiwałem sam siebie i starałem się upozorować to samolubne pragnienie, że chcę ludzkości dla Toma, aby go uchronić od losu najstraszliwszego: być człowiekiem samotnym i ostatnim. Ale to nieprawda; ja chciałem nowego pokolenia dla siebie.

Nie wiem, co Piotr myślał, jak czuł i rozumował, ale to pewna, że to samo pragnienie nie mniej silnie go opanowało. Dość długi czas upłynął, nim zaczęliśmy o tem rozmawiać ze sobą. Pamiętam, było to jakoś o zachodzie słońca; Marta z Tomem na ręku poszła ku cieplicom, a my siedzieliśmy obaj w milczeniu na wybrzeżu morskiem.

Piotr patrzył długo za odchodzącą, a potem zaczął z cicha liczyć księżycowe dni, któreśmy już przeżyli.

— Dwudziesty trzeci zachód słońca, — odezwał się wreszcie głośno.

— Tak, — odparłem bez myśli, — dwudziesty trzeci, jeśli policzymy i dnie, spędzone na biegunie, podczas których, co prawda, nie mieliśmy zachodów...

— I co dalej? — spytał Piotr.

Ruszyłem ramionami:

— Nic. Jeszcze kilkanaście zachodów, może kilkadziesiąt lub paręset i będzie koniec. Tom zostanie sam.

— Nie o Toma mi idzie, — rzekł. A po chwili dodał:

— W każdym razie jest źle.



Milczeliśmy dość długo; potem Piotr znów zaczął:

— Marta...

— A tak, Marta — powtórzyłem.

— Trzeba coś postanowić?

Zdawało mi się, że w głosie jego usłyszałem znowu tę nutę, pamiętną mi z okropnej podróży przez *Mare Frigoris* po śmierci Woodbella. Odezwał się we mnie głuchy bunt. Spojrzałem mu bystro w oczy i odrzekłem z naciskiem:

— Trzeba.

On uśmiechnął się jakoś dziwnie i nic nie odpowiedział.

Tego dnia nie mówiliśmy już więcej o tej sprawie.

Długa noc przeszła w milczeniu i nudzie. Tom był trochę niezdrowy i Marta, zaniepokojona, ciągle nim była zajęta. Patrzyliśmy na jej bezbrzeżną czułość macierzyńską i kto wie, czy nie wtedy właśnie zrodził się w nas nieświadomie wstrętny plan wyzyskania jej miłości dla dziecka, aby ją nakłonić do uległości względem naszych życzeń. W każdym razie ta noc pustki i nudy przekonała nas, iż trzeba ostatecznie »coś postanowić«.

Rankiem następnego dnia wybraliśmy się z Piotrem do lasów u stóp Otamora. Podczas tej wycieczki omówiliśmy sprawę ostatecznie: jeden z nas miał pojąć Martę za żonę, a drugi zobowiązać się, nigdy mu w drogę nie wchodzić.

Jeden z nas! — powtarzałem w myśli te słowa z jakimś tęsknym i bolesnym niepokojem. W ustach Piotra, gdy je wymawiał, brzmiały jak groźba. Nie wiem, możem się łudził, ale tak mi się zdawało... Wybór między nami dwoma mieliśmy pozostawić Marcie, a dopiero w razie, gdyby go bezwarunkowo nie chciała dokonać, mieliśmy ciągnąć losy. Piotr upierał się wprawdzie, aby rzecz odrazu dać losowi do rozstrzygnięcia, twierdząc, że Marta nie zechce wybierać, ale ja sprzeciwiłem się temu stanowczo i wymogłem na nim tyle, że się zgodził wpierw Martę zapytać o zdanie. Przystał na to niechętnie i mówiąc wreszcie »tak«, miał na ustach zagadkowy uśmiech, a w oczach dziwnie niedobre błyski.

Przyszedłszy do domu, zwlekaliśmy jeszcze długo ze stanowczą rozmową, tak byliśmy pewni niechęci Marty względem tego, z czem mieliśmy się do niej zwrócić. Przez cały czas Piotr chodził zamy-

ślony i ponury, udając, że się czemś zajmuje, a ja błąkałem się nad morzem z sercem pełnem niewytłumaczonej obawy. Tego dnia miały się losy nas wszystkich rozstrzygnąć.

Wreszcie nadchodziło południe, duszne i upalne. Słońce, świecące na niebie od stu kilkudziesięciu godzin, prażyło całą okolicę nieznośnym skwarem, od którego więdły rośliny, czekając odświeżających deszczów. Nad morzem od południowo-wschodniej strony, tam, gdzie słońce już przeszło ponad równikiem, zbierały się gęste i czarne chmury. W niewielkich odstępach, podczas których powietrze wisiało nad nami zastygłe i ciężkie, zrywał się szalony, krótkotrwały wicher, bił o brzeg morskiemi falami, wichrzył lasy, łamał perliste fontanny gejzyrów i wył między skałami, zapowiadając codzienną porę burz.

Z letniego domku na wybrzeżu przenieśliśmy się do pieczary w okolicy gejzyrów, która służyła nam zazwyczaj za schronienie w czasie burzy. Siedzieliśmy właśnie wszyscy troje przed jej wejściem, a mały Tom, czepiając się kolan matki, usiłował spacerować na własnych nogach naokoło tej podpory, kiedy Piotr rzucił na mnie znaczące spojrzenie, a potem z wyrazem nagłego postanowienia zwrócił się ku Marcie.

Uczułem przyspieszone bicie serca, które mnie aż w gardle dławiło. Nadchodząca burza działała na nas zawsze podniecająco; tego dnia przyłączyło się jeszcze osobliwe rozdrażnienie, spowodowane myślą o blizkiej i stanowczej a tak ważnej rozmowie z Martą. Szczególnie na Piotrze znać było nienaturalny stan: rozszerzone źrenice błyszczały mu niespokojnie, pierś wznosiła się szybko w nierównym oddechu, a na policzkach paliły się krwawe wypieki. Patrzyłem weń z zapartym oddechem, a on bez wstępów i przygotowań zapytał tak wprost:

— Marta, którego z nas wolisz?

Marta, zaskoczona tem nagłem pytaniem, zdawała się zrazu nie rozumieć, o co mu chodzi. Popatrzyła ze zdumieniem na mnie, na niego, potem znów na mnie i wzruszyła pogardliwie ramionami.

Piotr powtórzył:

— Marta, którego z nas wolisz?

Jego wzrok, uparcie w nią wbity, musiał jej więcej powiedzieć,



niż to pytanie, gdyż nagle wszystko zrozumiawszy, zbladła i z lekkim okrzykiem zerwała się z siedzenia. W ręku błysnął jej znowu sztylet, którym już raz groziła Piotrowi.

— Z was? żadnego! — krzyknęła.

Piotr przybliżył się o krok:

— A jednak musisz wybierać i... i wybrać! — rzekł z naciskiem.

Jej oczy w niemej rozpaczy zatrzepotały jak ptaki, opętane przerażeniem. Zdawało mi się, że przez chwilę, przez krótką przelotną chwilę zatrzymały się na mojej twarzy z jakiemś błagalnem wahaniem czy namysłem, — ale nie! to musiało mi się zdawać, napewno tylko mi się zdawało, gdyż w tejże chwili podniosła obronnym ruchem rękę ze sztyletem i wyrzekła twardo:

— Nie wybiorę, a ciekawam, który z was się do mnie zbliżyć ośmieli! Nie chcę żadnego!

I znów, pamiętam, zdawało mi się, że ostatni wyraz zmiękł jej dziwnie w ustach a oczy jej znów się z mym wzrokiem spotkały, — ale niewątpliwie było to tylko złudzenie. Byłem wówczas tak podniecony... Święty Boże! chcę wierzyć, że to było złudzenie!

Tom, gdy matka wstała, usiadł na ziemi i patrzył z zaciekawieniem na całą scenę. Teraz Piotr dotknął ręką jego głowy. Marta to spostrzegła.

— Precz! — zawołała z trwogą, — precz! nie zbliżaj się do niego! on mój!

Piotr się nie ruszył. Dotykając wciąż palcami głowy malca, patrzył na Martę uporczywie z szyderczym uśmiechem.

— A co będzie z Tomem? — spytał wreszcie.

Marta zawahała się.

— Z Tomem? co będzie z Tomem? — powtórzyła prawie bezwiednie.

— A tak, gdy my pomrzemy, a on zostanie sam...

Te słowa uderzyły w nią jak piorun. Otworzyła szeroko oczy, jakby dostrzegłszy nagle otchłań, o której dotąd nie myślała; westchnęła głęboko i usiadła, czując snadź, że sił jej brakuje.

— Tak, co będzie z Tomem... — powtarzała szeptem, patrząc na dziecko z bezradną rozpaczą.

A Piotr wtedy zaczął jej tłumaczyć i przedkładać, że dla miłości Toma musi wybrać jednego z nas. Wszakże nie zechce skazać ukochanego synka na straszną, samotną śmierć, a przedtem na straszniejsze jeszcze samotne życie? Cóż on będzie robił po naszym zgonie? Opuszczony, smutny, zdziczały będzie się błąkał samotnie po tych górach i nad brzegiem tego morza, ostatni człowiek, jedyny człowiek na tym globie, myślący o jednej tylko nieuchronnej rzeczy, o śmierci.

Przyjdą chwile, kiedy będzie przeklinał matkę, która mu dała życie. Nie mając się do kogo odezwać, zapomni ludzkiej mowy. Słowa, których się od nas nauczył, będzie gubił jedno po drugiem, tak jak się rozsypuje niebacznie pieniądze na pustyni, gdzie nic za nie kupić nie można. Może zostanie mu wreszcie w pamięci kilka ostatnich bezużytecznych słów, których dźwiękiem będzie się długo pieścił, choć to będą zapewne słowa straszne, wyrażające grozę, samotność, opuszczenie i smutek. Gdy będzie rozpaczał, nikt go nie ukoi; gdy będzie czego potrzebował, nikt mu nie dopomoże. Jeśli zachoruje, u posłania jego będzie stało jedynie okropne, szydercze widmo głodowej śmierci. Wtedy nawet psy, szczęśliwsze od niego o tyle, że się tu będą mnożyć i rozradzać, opuszczą swego pana, niezdolnego im już wydawać rozkazów. Może tylko jeden, wierniejszy, który mu był przyjacielem i towarzyszem samotności w braku człowieka, pozostanie dłużej, aż w końcu przerażony pełnemi ostatniej rozpaczy, martwemi oczyma, których zamknąć nie będzie komu, zacznie wyć ze strachem przeciągle i długo. Inne, już zdziczałe, zbiegną się na ten głos i... sprawią sobie ucztę z ciepłego jeszcze trupa ostatniego człowieka na Księżycu.

Mówił jeszcze długo, malując wszystkie okropności, na jakie Tom będzie skazany po naszym zgonie, — a ja, — skarz mnie Boże! pomagałem mu pastwić się nad tą kobietą i przekonywałem ją, że dla Toma powinna wybrać jednego z nas...

Marta słuchała tego wszystkiego, nie odpowiadając ani słowa. Tylko na jej twarzy, początkowo zdumiałej malowały się kolejno: strach, rozpacz, przygnębienie, rezygnacja.

Od południa słychać już było pierwsze, dalekie grzmoty nadciągającej burzy... Marta siedziała niema.



Gdyśmy wreszcie skończyli i Piotr zapytał ją, czy się zgadza poślubić jednego z nas, zdawała się zrazu nie słyszeć pytania. Dopiero gdy je powtórzył, drgnęła i podniosła głowę, jakby ze snu obudzona. Popatrzyła na nas, a potem odezwała się głucho, z trudem wymawiając wyrazy:

— Ja wiem, wam nie o Toma idzie, ale wszystko jedno... Macie słuszność... Ja dla Toma... zrobię... wszystko...

Westchnęła spazmatycznie i umilkła.

— Brawo! — zawołał Piotr — to rozumnie! A zatem — dodał, pochylając się ku niej — którego z nas wolisz?

Ja stałem na uboczu i patrzyłem na Martę. Cofnęła się odruchowo, jakby przejęta nagłym wstrętem, ale opanowała się w tejże chwili i spojrzała na nas. I znowu, znowu, już po raz trzeci zdawało mi się, że wzrok jej zatrzymał się chwilę na mnie, wzrok biednej, szczutej, osaczonej i o litość błagającej łani.

Wszystka krew uderzyła mi ze ściśnionego serca do mózgu.

Musiał i Piotr jej spojrzenie pochwycić, bo zbladł nagle i zwrócił się ku mnie z wyrazem jakiejś strasznej zaciętości.

W tej chwili Marta wybuchnęła gwałtownym, długo powstrzymywanym płaczem i rzucając się na ziemię, poczęła wśród łkań zawodzić z rozpaczą:

— Tomasz! mój Tomasz! mój dobry, ukochany Tomasz!

Wzywała zmarłego, jakby ją mógł wybawić od żywych.

Piotr żachnął się niecierpliwie.

— Niema co mówić ani na co czekać — rzekł. — Ciągnijmy losy.

Chciałem się jeszcze opierać. Było mi duszno i straszno. Chmury powlokły już pół nieba; nad morzem raz wraz przelatywały olśniewające błyskawice. Mały Tom, widząc matkę płaczącą, zaczął sam płakać.

Postąpiłem krok ku Marcie.

— Marta...

— Marta, — powtórzyłem, dotykając zlekka dłonią jej ramienia.

— Precz! precz! — zawołała — wy wstrętni obaj!...

— Ciągnijmy losy, — naglił Piotr.

Obejrzałem się. Stał za mną, trzymając w zamkniętej dłoni dwa końce chustki.

— Kto wyciągnie węzełek, ten ją weźmie. — Wskazał głową na leżącą wciąż na ziemi.

Ze mną działo się coś strasznego. W głowie miałem dziwną jasność, byłem nawet spokojny, tylko brakowało mi oddechu, jakby mi kto piersi całą górą przywalił. Patrzyłem na dwa rogi chustki, sterczące z Piotrowej dłoni i naprzód zajął mnie obrąbek, w jednem miejscu nieco oderwany... Potem przypomniała mi się inna scena, na *Mare Imbrium*, gdzie tak samo mieliśmy ciągnąć losy — o śmierć..., jak teraz o... miłość!

Piotr się niecierpliwił.

— Ciągnij — zawołał.

Spojrzałem na niego. Twarz miał kurczowo wykrzywioną, oczy wbite we mnie uparcie. Zrozumiałem naraz wszystko. Jeśli wyciągnę los, będę musiał natychmiast zabić tego człowieka, gdyż w razie przeciwnym on mnie zabije. Mimowoli wsunąłem rękę do kieszeni, szukając broni. Ale wtem przyszło mi na myśl, że równie łatwo może się los dostać Piotrowi. Co wtedy? Czy będę miał dość siły, aby się wyrzec tej ukochanej kobiety, wiedząc, że marny przypadek wszystko rozstrzygnął? Czy się nie zbuntuję kiedy przeciw niemu?

Kroplisty pot pokrył mi czoło.

Gdybym wiedział, że Marta mnie woli, że ma dla mnie choć trochę więcej serca, niż dla Piotra, nie czekałbym losu...

Ale tak...

Wszak powiedziała przed chwilą: wstrętni obaj... Obaj...!

Mam jej zadawać gwałt i do tego zabijać człowieka.... albo uchylić czoła przed przypadkiem...?

Spojrzałem na Martę. Przestała już płakać i siedziała teraz cicho, zapatrzona w dalekie morze, jakby nie wiedząc, że my tu o parę kroków...

Straszliwa, bezdenna, bolesna litość zdjęła mnie nad tą kobietą.

Trwało to wszystko zaledwie sekundę, ale już mimowoli wsuwałem znów palce w zanadrze i dotykając rękojeści rewolwera, wybierałem błędnym wzrokiem, kogo mam zabić: Piotra, Martę, siebie



czy Toma, któregośmy zrobili nieświadomem narzędziem tortury dla niej...

Wreszcie po tem niesłychanem naprężeniu nerwów wszystko się we mnie rozprzęgło. Została mi tylko obojętność i... duma. Otworzyłem dłoń, zaciśniętą już około rewolweru.

— Ciągnij! — zasyczał Piotr zdławionym głosem.

— Nie! — odpowiedziałem z nagłem postanowieniem.

— Co?!

— Nie będziemy ciągnęli losów.

Jeszcze nie mógł zrozumieć. Wsunął prędko rękę do kieszeni i usłyszałem trzask podnoszonego kurka rewolweru. A więc i on był przygotowany; nie omyliłem się. Ruchem szybkim jak błyskawica, chwyciłem go za obie ręce. Przegiął się i zwinął w żelaznym uścisku; w oczach miał najwyższe przerażenie.

Usłyszałem przeraźliwy krzyk Marty. W pierwszej chwili zdawało mi się, że zadrgało w nim coś, jak gdyby radość, ale potem pomyślałem, że ona może obawia się o Piotra. Spojrzałem na niego; patrzył mi w oczy z bezsilną, rozpaczną wściekłością. Zdawało mi się, że oczekiwał śmierci. Uśmiechnąłem się i wstrząsnąłem głową.

— Nie! to nie to... Bierz ją sobie — rzekłem i puściłem go.

W pierwszej chwili oniemiał ze zdumienia. Popatrzył na mnie błędnie, a potem uśmiechnął się z przymusem:

— Jesteś szlachetny, tak, dziękuję ci... Co prawda, ja jestem młodszy, więc słusznie... Ale — tu zniżył głos — ale, czy mi przyrzekasz, że nigdy... nigdy...

Wskazał znów ruchem głowy w stronę Marty.

Spojrzałem mu w oczy.

— Tak, wiem, niepotrzeba... Dziękuję ci, ty jesteś... — wyrzekł prędko.

Przejął mnie wstręt nieopisany. Piotr zawahał się na chwilę, a potem odwrócił się szybko i podszedł ku Marcie. Spojrzałem i ja na nią i znowu nasze oczy się spotkały, ale teraz wzrok jej wyrażał jakąś bezbrzeżną pogardę czy nienawiść. Odwróciła się natychmiast, gdy spostrzegła, że na nią patrzę.

— Marta, mam być twoim mężem — rzekł Piotr.

— Wiem o tem. — Wymówiła to całkiem obojętnie.

— Marta...
— Co?
— Zbliża się burza...
— Widzę...
Piotr westchnął nerwowo.
— Pójdź, ukryjmy się w pieczarze.

W oczach tliła mu się straszna, zwierzęca namiętność, przez kurczem ściśnięte szczęki z trudem dobywały się słowa, a ciałem jego wstrząsały raz po raz febryczne dreszcze.

Nie śmiałem spojrzeć na Martę. Usłyszałem tylko jej głos, stłumiony, obojętny:

— Dobrze. Idę.

Piotr zawahał się jeszcze:

— Marta, oddaj pierwej sztylet.

Rzuciła nim o ziemię, aż ostrze dźwięknło po kamieniach i nie oglądając się, weszła do groty. Piotr, chwyciwszy Toma na ręce, poskoczył za nią.

W tej chwili oślepiająca błyskawica przeleciała po czarnem niebie i głuchy, echem przedłużony huk grzmotu oznajmił początek burzy. Już i deszcz ulewny zaczynał padać, chłodząc spiekłą i wysuszoną ziemię.

Zakręciło mi się w głowie i runąłem na kamienie, wybuchając straszliwem niemęskiem łkaniem. Nademną ryczały nieustanne gromy a świat cały ćmił się rozszalałą ulewą.

Tak się ułożyło nasze życie na Księżycu.

## IV.

Zaczęło się tedy dla mnie życie samotne. Stosunki me z Piotrem nigdy nie były zbyt serdeczne, a wobec Marty nie mogłem się przemóc, aby być takim samym, jak przedtem. Coś stało między nami; jakiś żal obustronny i wstyd... bo ja wiem? I ona zmieniła się nie do poznania. Schudła, pobladła, zbrzydła nawet; zawsze w sobie zamknięta i małomówna, zdawała się mnie unikać. Całe długie godziny spędzała sam na sam z Tomem. Jedynie widok tego dziecka mógł dokazać cudu, że twarz jej zasępiona rozjaśniała się na chwilę uśmiechem szczęścia. Syn był dla niej wszystkiem, o nim tylko myślała. Brała go często na kolana i pieściła długo i namiętnie, albo opowiadała mu różne, przedziwne historje, których nawet nie mógł jeszcze rozumieć: o Ziemi pozostawionej daleko, daleko w błękicie, o ojcu, leżącym w grobie wśród straszliwej pustyni, o sobie...

Piotr był zazdrosny. Zawsze dla dziecka niechętny, teraz spoglądał na nie czasem takim wzrokiem, że znając jego charakter, obawiałem się, aby mu nie uczynił jakiej krzywdy. Zresztą zazdrosny był i o mnie, choć unikałem wszelkich pozorów, mogących mu dać pochop do tego. Z Martą sam na sam nie spotykałem się w początkach nigdy, a i w jego obecności nie wiele z nią rozmawiałem. Za każdym razem jednak, gdym do niej słowo przemówił, czułem na sobie jego wzrok niespokojny i drapieżny,

Ciężkie było życie moje i Marty, ale bodaj czy on nie był najnieszczęśliwszy z nas trojga. Marta miała przynajmniej pociechę w dziecięciu, ja zaś to dumne choć marne zadowolenie, jakie daje

spełnienie dobrowolnej ofiary, podczas gdy on, Piotr, nękany zazdrością przy boku pożądanej a zimnej dla siebie kobiety, nigdzie nie miał oparcia. Ja mimowoli odsunąłem się od niego, a Marta była wprawdzie we wszystkiem uległa i powolna jego życzeniom, ale na każdym kroku dawała mu do poznania, że uważa go jedynie za narzędzie, za pomocą którego chce zapewnić błogosławieństwo ludzkiego towarzystwa swemu synowi na Księżycu. Nie widziałem nigdy, aby się doń zwróciła z cieplejszem, serdecznem słowem; gdy okrywał jej ręce lub twarz pocałunkami, nie broniła się, ale siedziała nieruchoma, sztywna i obojętna, tylko w oczach jej przebijał się czasem wyraz znużenia i... wstrętu.

A przecież on ją kochał po swojemu, ten człowiek i wszelkich środków używał, aby wymóc na niej wzajemność — jak gdyby taką rzecz czemkolwiek można było wymóc! Były chwile, kiedy jej groził i starał się okazać swą przewagę, ale ona wtedy patrzyła nań obojętnie i spokojnie; nie strwożona ale i nie mająca ochoty mu się sprzeciwiać. Gdy co rozkazał, spełniała bez szemrania ale i bez uśmiechu, zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy o co prosił. To go doprowadzało do rozpaczy. Widziałem, że chciał czasem wywołać u niej bodaj bunt i nienawiść, aby ją tylko wyrwać z tej strasznej obojętności. Chwytał się więc ostatniego sposobu: prześladował Toma. Przy mnie nie śmiał się tknąć dziecka; powiedziałem mu raz, że gdy najmniejszą krzywdę wyrządzi chłopcu, strzelę mu w łeb, a wiedział, że od owego pamiętnego południa zawsze rewolwer noszę przy sobie. Ale podczas mojej nieobecności bił Toma. Dowiedziałem się o tem dopiero znacznie później i przypadkiem... Marta bez słowa, bez wybuchu, pogroziła mu wtedy sztyletem, który ja jej oddałem, podniósłszy go wówczas, gdy wchodząc do groty, rzuciła nim o ziemię.

Więc znowu kiedyindziej, popadając z ostateczności w ostateczność, Piotr rzucał się jej do nóg i szlochał i błagał zmiłowania.

Byłem raz niepostrzeżenie świadkiem takiej sceny. Wracałem był właśnie z samotnej wycieczki do dość odległych źródeł nafty, kiedy zbliżywszy się ku domowi, usłyszałem podniesiony głos a potem płacz Piotra. Marta siedziała na ławce w ogródku, założonym przez nas na wzgórzu, skąd się roztaczał niesłychanie wspaniały widok na góry i morze, a u nóg, jej na piasku leżał Piotr. Złożone ręce oparł o jej kolana i modlił się do niej wprost twarzą, wzrokiem, głosem.



— Marta — mówił — Marta, zmiłuj się ty nademną! czy nie widzisz, co się ze mną dzieje! Przecież to jest okropne... Ja szaleję za tobą, ja od zmysłów odchodzę, a ty... ty...

Jakieś spazmatyczne, niemiłe łkanie przerwało mu mowę.

Marta nawet nie drgnęła.

— Czy chcesz czego odemnie, Piotrze? — spytała po chwili.

— Chcę twojej miłości!

— Jesteś moim mężem...

— Kochaj mię!

— Dobrze. Kocham cię.

Mówiła to wszystko powoli, spokojnie i tak strasznie obojętnie, że mnie aż mróz przeszedł.

Piotr zerwał się na równe nogi:

— Kobieto! nie drażnij mnie! — syknął.

— Dobrze. Nie będę cię drażniła.

Piotr chwycił ją obiema rękami za ramiona; twarz miał ściągniętą od bezsilnej wściekłości. Mimowoli wyciągnąłem rewolwer; tętno biło mi gwałtownie, ale czułem, że mi ręka nie zadrży.

— Czy mnie chcesz bić, Piotrze? — zapytała Marta znowu takim głosem, jakby mówiła: Czy chcesz się napić wody?

— Tak, będę cię bił, tłukł, mordował, aż... aż...

— Dobrze, bij mię, Piotrze...

On jęknął i zatoczył się jak pijany. Przystąpiłem bliżej, aby przerwać swą obecnością tę straszną scenę.

Widok wieczystego, przygnębiającego smutku Marty i wewnętrznych, okropnych walk Piotra był mi nad wszelki wyraz przykry, a że i oni unikali mnie po części, choć każde z innego powodu, więc tak wszystko złożyło się na to, że większą część długich dni księżycowych spędzałem w najzupełniejszej samotności. Przywykłem do tego powoli. Zresztą mogłem już teraz myślą o przyszłości zapełnić pustkę i nudę, na którą się sam dobrowolnie skazałem. Inaczej wprawdzie wyobrażałem sobie był niegdyś małżeństwo »jednego z nas« z Martą: marzyłem o jakiejś pogodnej, cichej, choć niepozba-

wionej tęsknego smutku sielance, o nowym, serdecznym węźle, łączącym nasze szczupłe grono, o rozmowach długich, prowadzonych głosem przyciszonym a wypełnionych zapobiegliwą troską o szczęście i wygody tych, którzy mają przyjść po nas; ale choć rzeczywistość zniszczyła doszczętnie te wszystkie piękne marzenia, to przecież dała mi jeden nieoceniony skarb: nadzieję nowego pokolenia. Kochałem już to przyszłe pokolenie, te nie moje dzieci, jeszcze nim przyszły na świat. W długich samotnych wędrówkach myślałem o nich nieustannie. Dla nich gromadziłem zapasy, badałem okolicę, spisywałem spostrzeżenia; dla nich odgrzebałem z pyłu i uporządkowałem przywiezioną z Ziemi bibljoteczkę; dla nich robiłem cegły i wypalałem wapno, aby zbudować murowany dom i małe obserwatorjum astronomiczne; dla nich wytapiałem z rudy żelazo, albo kułem ze srebra, obficie się tu znachodzącego, różne naczynia, sporządzałem szkło, papier i inne, niezbędne dla cywilizowanego człowieka materjały. Tak się niewymownie cieszyłem temi dziećmi, które się miały dopiero narodzić! Zdawało mi się, że z ich przyjściem coś się musi koniecznie zmienić na lepsze, że ich uśmiech i szczebiot rozwieje wreszcie tę duszną atmosferę, która wśród nas panowała.

Nie czekałem zbyt długo. W rok niespełna powiła Marta bliźniaczki: dwie córeczki. Przyszły na świat w nocy. Gdy usłyszałem z drugiej izby, gdzie siedziałem z Tomem, ich pierwszy, słaby płacz, zerwałem się podrzucony szaloną radością, ale w tejże chwili ścisnął mnie za serce taki straszliwy, nieukojony ból, że zacząłem gryść palce, aby stłumić przemocą wydzierające się łkania, a łzy polały mi się z oczu.

Tom patrzył na mnie ze zdziwieniem, nadsłuchując równocześnie głosów, dochodzących z drugiej izby.

— Wuju — rzekł wreszcie (tak mnie zawsze nazywał), — wuju, co to tam tak płacze, czy mama?

— Nie, dziecko, to nie mama płacze, to... takie małe dzieciątko, jak ty, jeszcze mniejsze.

Tom zrobił poważną minę i zaczął się namyślać.

— A skąd to dziecko? a po co to dziecko? — pytał znów.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. On tymczasem przypatrywał mi się bacznie.



— Wuju, a o co wuj płacze? — zapytał nagle.

Istotnie, o co ja płakałem?

— Bom głupi! — rzekłem opryskliwie, odpowiadając raczej własnym myślom, niż jemu.

Dzieciak pokiwał głową z niesłychaną powagą.

— A nie prawda! ja wiem, że wuj nie głupi. Mama tak nie mówiła. Mama powiedziała, że wuj jest dobry, bardzo dobry, tylko... tylko...

Tylko co? jak ci mama powiedziała?

— Zapomniałem...

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Piotr. Był blady i widocznie wzruszony. Uśmiechnął się do mnie gorzko, ale szczerze — po raz pierwszy od roku i rzekł: — Dwie córki...

A potem dodał:

— Janie, proszę cię, Marta chciała, żebyś jej przyprowadził Toma.

Wszedłem do izby, gdzie leżała chora. Zobaczywszy syna, wyciągnęła do niego ręce odrazu.

— Tom! pójdźże i patrz! masz dwie siostrzyczki, dwie naraz! To dla ciebie! Ty mi przebaczysz, Tom, prawda? przebaczysz,... ale to dla ciebie, tylko dla ciebie, mój najmilejszy, jedyny, ukochany synku! — mówiła urywanym głosem, przyciskając dziecko do piersi.

Tom się zadumał.

— Mamo, a co ja będę robił z temi siostrzyczkami?

— Co ci się spodoba, mój maleńki, będziesz je bił, kochał, drapał, pieścił, wszystko, co ci się spodoba! A one będą cię słuchały i pracowały za ciebie, gdy dorosną, wiesz?

— Marta! co ty mówisz! — krzyknął Piotr — Marta! to są moje dzieci!

Popatrzyła na niego chłodno:

— Wiem o tem, Piotrze to są *twoje* dzieci...

Piotr zrobił ruch, jakby się na nią chciał rzucić, ale przemógł się i przystępując do łóżka, rzekł, jak umiał najłagodniej.

— To są *nasze* dzieci, Marta. Czy nie masz już dla mnie żadnego słowa? nic?...

— Owszem. Dziękuję ci.

Poczem zaczęła znowu głaskać i całować namiętnie jasną główkę syna:

— Mój Tom, mój najmilejszy, ukochany, złoty synek...

Piotr wybiegł z izby jak oszalały, a mnie robiło się duszno. Było coś potwornego w tej wyłącznej miłości matki.

Narodziny tych dwóch dziewcząteк, Lili i Róży, nie wiele zmieniły nasze życie — wbrew oczekiwaniom. Stosunek Piotra i Marty wciąż był jednakowy. Współczułem oddawna z Martą, ale teraz zacząłem czuć głęboką litość nad losem tego człowieka. Osowiał, zasępił się; w każdem słowie, w każdym ruchu jego znać było ogromne, śmiertelne znużenie i przygnębienie. Młodszy o kilka lat odemnie, pochylił się i osiwiał; zapadłe oczy płonęły mu jakimś niezdrowym blaskiem. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że rok życia zdoła tak złamać ten niespożyty organizm, który przetrwał zwycięzko, najlepiej z nas wszystkich, niesłychane trudy podróży przez pustynię. Ostatecznie powodem tego była Marta, ale nie mogłem jej winić... Kochała tego pierwszego, który umarł; poza nim i jego synem nie było już miejsca w jej sercu, — to było całe nieszczęście.

Zdaje mi się nawet, że córek nie kochała. Dbała o nie wprawdzie troskliwie, ale widoczne było, że robiła to tylko z myślą o Tomie. Miały dla niej znaczenie cennych zabawek dla synka, których nie trzeba uszkodzić, rzadkich zwierzątek, wymagających baczności i pielęgnowania, bo strata mogłaby być niepowetowana. Nawet sposób, w jaki się wyrażała o córkach świadczył o tem; mówiła o nich zawsze: Tomowe dziewczynki. Piotr patrzył na to bezradny i posępniał coraz więcej.

W każdym razie te dzieci sprawiały Marcie wiele kłopotu i w pierwszych zwłaszcza miesiącach zajmowały dużo czasu; tak się więc złożyło, że Tom był nieustannie pod moją opieką. Zyskałem towarzysza. Dzieciak był bardzo rozumny i nad wiek rozwinięty. Wypytywał się ciągle o rozmaite rzeczy i rozmawiał ze mną jak dorosły. Po pewnym czasie tak się przywiązałem do niego, że niepodobna mi już było obejść się bez jego towarzystwa. Przez kilka samotnych dni księżycowych przyzwyczaiłem się do nieustannej włóczęgi; teraz na wszystkie, nawet dalekie wycieczki, brałem ze



sobą Toma. Marta powierzała mi go chętnie, wiedząc, że jest przy mnie bezpieczny, bezpieczniejszy nawet niż w domu, gdyż ojczym nie mógł go znosić.

Zbudowałem wózek i nauczyłem sześć tęgich psów chodzić w zaprzęgu. Wobec lekkości naszej na Księżycu wystarczał ten zaprzęg najzupełniej, aby nas łatwo i szybko przewozić z miejsca na miejsce. Czasem robiliśmy dalsze wycieczki, trwające dwa i więcej dni księżycowych. Wtedy ze względu na nocne mrozy, brałem wóz szczelnie zamykany, pędzony elektrycznym motorem i dający się opalać, który przerobiłem z naszego starego wozu, zmniejszywszy go znacznie. Wewnątrz oprócz mnie i Toma, mieściły się jeszcze dwa psy, oraz znaczne zapasy żywności i paliwa.

W ten sposób podróżując, zwiedziliśmy z Tomem prawie całe północne wybrzeże środkowego morza księżycowego i dostaliśmy się na wschód i zachód aż tak daleko, gdzie już rozrzedzające się ku krańcom pustyni powietrze zmusiło nas do odwrotu. Najdalej ku zachodowi wysuniętym punktem, gdzieśmy dotarli, było *Mare Humboltianum*, nizina, położona pod tą mniej więcej szerokością księżycową, co *Mare Frigoris*, a widoczna czasem z Ziemi podczas sprzyjających libracji Księżyca, jak mała ciemna chmurka na samym prawym rąbku górnej części srebrzystej tarczy.

I myśmy już stąd zobaczyli Ziemię, wyłaniającą się z pod horyzontu. Zatrzymałem się tu przez całą długą, dwutygodniową noc, aby się tylko napaść do syta widokiem tego, od dawna niewidzianego, od dawniejsza jeszcze porzuconego rodzinnego mojego świata... O wschodzie słońca Ziemia stanęła w pełni (znajdowaliśmy się bowiem na 90. południku, stanowiącym zachodnią granicę widocznej półkuli Księżyca). Gdy zobaczyłem tę rozlśnioną, zlekka zarumienioną tarczę i spostrzegłem przesuwające się po niej jasne zarysy Europy, owładnęła mną naraz taka niewysłowiona, nieprzemożona tęsknota za tym globem, świecącym na niebie, że nie umiałem dać sobie rady. Zdawało mi się, żem — wypędzony z raju — zobaczył znowu po długiej wędrówce na chwilę jego odblask złoty i wyciągnąłem ręce ku niemu z nierozumnem, naiwnem, dziecinnem, ale niepohamowanem pragnieniem: dostania się tam jeszcze raz, choćby... po śmierci. Jednak w tej chwili przypomniała mi się Ziemia taka, jaką

ją widziałem po raz ostatni w Kraju Biegunowym: zczerniała, trupia na tle krwawej pożogi — i nagle ogarnął mnie wielki smutek.

Wszystkie nieszczęścia, wszystkie złe namiętności i nędze ludzkie, które tam od wieków prześladują ród człowieczy, nie wyłączając i groźnej ich królowej, nieubłaganej śmierci, przyszły tu za nami, na ten glob, dotąd cichy i spokojny w swej martwocie. Wszędzie źle jest człowiekowi, bo wszędzie nosi sam w sobie zaród nieszczęścia...

Ponure dumania przerwał mi głos Toma. Stał przy mnie obudziwszy się przed chwilą z długiego snu i patrzył na nieznany, świetlisty krąg na niebie.

— Wuju, a co to jest? — rzekł wreszcie, wyciągając rączkę.

— Przecież wiesz, to jest Ziemia. Mówiłem ci nieraz, że cię zawiozę tu, skąd ją widać i pokażę. Zresztą widziałeś już ją przecie, gdyśmy tu przyjechali, nie pamiętasz?

— Nie, nie widziałem tej Ziemi. Tamta była inna, taka z jednej strony rogata, a ta jest okrągła.

— To jest ta sama Ziemia, dziecko.

Tom namyślał się przez chwilę.

— Wuju..

— Co?

— Ja już wiem, to ona pewnie urosła, albo rozwinęła się rano, tak jak te duże liście.

Starałem mu się wytłumaczyć, jak umiałem najprzystępniej powód zmian Ziemi. Słuchał z roztargnieniem, widocznie nie rozumiejąc tego, co mówiłem. Wreszcie przerwał mi znowu zapytaniem:

— Wuju, a co to jest, ta Ziemia?

Opowiadałem mu tedy, może po raz setny, że są tam morza, góry, lądy i rzeki takie jak na Księżycu, tylko daleko większe i piękniejsze; że jest tam dużo domów, zbudowanych obok siebie, które się nazywają miastami, a w tych miastach mieszka wiele, wiele, całe mnóstwo ludzi i małych dzieci; mówiłem, że stamtąd przybyliśmy na Księżyc i ja i mama i Piotr i ojciec jego, który już nie żyje, a nawet oba stare psy, Zagraj i Leda, z któremi tak się lubi bawić.



Gdym skończył, Tom słuchający opowiadania z wielkiem zajęciem, zrobił filuterną minkę i rzekł, głaszcząc mnie po brodzie:

— To ja już wiem, ale teraz, proszę cię wuju, nie żartuj, tylko powiedz tak *na prawdę*, co to jest ta Ziemia?

Oba psy stały przy nas i przekrzywiając głowy, przypatrywały się również ciekawie świecącemu na niebie kręgowi...

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca puściliśmy się w drogę z powrotem. Ziemia, przyćmiona blaskiem dziennym, widniała za nami już tylko jak szaro popielaty, kolisty obłok, wystający z za widnokręgu.

Kiedyindziej odbyliśmy znowu daleką wycieczkę ku południu. Wybrzeże morskie, biegnące łamaną linją, mniej więcej między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym równoleżnikiem, cofa się w okolicy 140°. wsch. szer. księż. ku równikowi, tworząc na kilka kilometrów szeroki półwysep, a może i przesmyk, łączący się z lądami południowej półkuli. Chciałem się był właśnie o tem przekonać i dlatego puściłem się owym językiem, ale nie zdołałem dotrzeć dalej, jak tylko do trzydziestego równoleżnika. W dalszem posuwaniu się na południe powstrzymał mnie klimat, niepodobny do zniesienia. Noce, mimo sąsiedztwa mórz, były tak mroźne, że przypominały mi zimna, panujące na bezpowietrznej półkuli, a podczas straszliwego skwaru dziennego nieustawały prawie potworne, orkanowe burze. Grunt był skalisty, wulkaniczny i zupełnie nagi, Żadnej rośliny, żadnego życia, nic — tylko okropna, martwa pustynia między dwoma nieprzejrzanemi morzami, wśród których sterczały ostre czuby wulkanicznych wysp, nierzadko owinięte chmurą dymu, albo krwawą łuną ognia.

Była chwila podczas tej wycieczki, kiedy żałowałem już, że wziąłem Toma ze sobą, obawiając się, abyśmy obaj nie stracili życia. Nie mogąc dla stromych gór posuwać się środkiem owego pasa lądu, trzymaliśmy się wschodniego wybrzeża, gdzie u stóp dzikich i fantastycznych skał ciągnęła się na paręset metrów szeroka, nizka równina. Było około południa i przypływ, wywołany przyciąganiem słońca, nadzwyczajnie tutaj powolny, ale dość znaczny, podniósł morze tak, że się jego powierzchnia zrównała prawie z poziomem wybrzeża. Obawiając się zatopienia tych miejsc, gdzieśmy się znajdowali, oglądałem się już za jakiem wyjściem na strome zbocza skał

gdy w tem zerwała się burza, poprzedzona nagłym orkanem ze wschodu. Ogromne fale zaczęły skakać na brzeg; jedna z nich uderzyła w nasz wóz i rzuciła go kilkadziesiąt kroków wstecz, tuż pod wystający cypel skalny. Nie było ani chwili do stracenia. Przytroczyłem wóz łańcuchem do głazu, poczem zamknąwszy go szczelnie z zewnątrz, zacząłem się z Tomem na ramionach wdzierać na skały. Nie pamiętam w życiu takiej śmiertelnej trwogi, jaką przeżyłem wówczas. Uczepiony u zwietrzałych głazów nogami i jedną ręką — w drugiej trzymałem chłopca, drżącego z przestrachu — miałem wprost pod sobą rozhukane, wściekłe, spienione morze, a nad głową zionącą deszczem i gromami chmurę. Na szczęście zrąb skalny zasłaniał mnie od bezpośredniego natarcia huraganu, gdyż w przeciwnym razie byłbym niewątpliwie runął w przepaść wraz z głazami, które oderwane wichrem u szczytu, sypały się gradem dokoła mej głowy. Straszne położenie pogarszał jeszcze piekielny niepokój o wóz, pozostawiony w dole. Gdyby bałwany zerwały łańcuch i uniosły wóz albo rozbiły go o skały, ba! tylko motor uszkodziły, byliśmy wydani niechybnie na zgubę gdyż piechotą bez zapasów żywności, bez ochrony przed zimnem nie zdołalibyśmy się dostać do domu. To też jak tylko wydrapałem się do miejsca, gdzie można było wygodnie oprzeć nogi, usadowiłem Toma pod głazem, okrywszy go dobrze i przywiązawszy tak, aby go wicher nie strącił, a sam powróciłem zaraz na dół w celu lepszego umocowania wozu. Po wielu trudach udało mi się wreszcie zaciągnąć go w rozpadlinę, gdzie był zabezpieczony od uderzeń bałwanów.

Kilka godzin przesiedzieliśmy tak z Tomem, oczekując końca burzy. Zalękniony dzieciak tulił się do mnie i dopytywał z płaczem, pocośmy tu przyszli? Nie umiałem mu odpowiedzieć, pocośmy tu przyszli, tak jak oddawna nie umiem już odpowiedzieć sam sobie, poco wogóle przyszliśmy na Księżyc...

Nauczony doświadczeniem, byłem już ostrożniejszy z powrotem i wybierałem drogę, dostatecznie wzniesioną nad poziom morza.

Zresztą był to jedyny wypadek, kiedy w podróży groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Wszystkie inne wyprawy odbywaliśmy bez przygód i wesoło.

Mieliśmy także dużą i mocną łódź. Drugi motor elektryczny,



który niegdyś miał służyć nieszczęśliwym Remognerom, naprawiłem na spółkę z Piotrem i umieściłem w szalupie, aby poruszał pędzącą ją śrubę. Szalupy tej używaliśmy do wypraw rybackich, a także puszczałem się nią z Tomem w przedpołudniowych lub wieczornych okresach ciszy na pełne morze.

Podczas jednej z takich wycieczek odkryłem wyspę, ze wszech miar godną uwagi. Już zdaleka zastanowiła mnie jej postać.

Wszystkie wyspy, które poznałem do tego czasu, były albo wysadzonemi nad powierzchnię morza wulkanami, albo też szczytami zalanych wodą gór pierścieniowych. Ta zaś zrobiła na mnie odrazu wrażenie szczątka morzem pochłoniętego lądu. Była obszerna i dość płaska, jedynie w południowo-zachodniej jej stronie wznosiło się pasmo gór, niewysokich, pokruszonych odwiecznem działaniem deszczów i wichru. Brzegi miała strome, uderzeniami fal snadź wyżarte, gdyż morze na szerokiej przestrzeni wokoło było tak płytkie i zasłane mieliznami, że trudno nam było naszą, nieznacznie tylko zagłębiającą się szalupą przybić do lądu.

A ląd to był ciekawy, zgoła niepodobny do znanych nam okolic księżycowych. Przedewszystkiem zastanowiła mnie całkowicie odmienna roślinność; mniej bujna, niż gdzieindziej, odznaczała się bezporównania większą rozmaitością gatunków. Na tych kilku kwadratowych kilometrach ziemi spotkałem zaledwie trzy czy cztery krzewy, znane mi skądinąd, ale za to niezliczoną moc roślin, nie znachodzących się gdzieindziej. Wszystkie były dziwnie smutne i skarłałe. Patrząc na nie, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mam przed sobą resztki pokolenia zamarłego i zewsząd wypartego, które się tutaj jakimś cudem ostało jeszcze, świadcząc o postaci życia na Księżycu przed wielu, wielu wiekami, kiedy tu, gdzie teraz jest morze, były lądy, a woda zalewała inne okolice.

To samo myślałem, zobaczywszy zwierzęta, żyjące na tej dziwnej wyspie. — Nie wiele ich było, te jednak, które spotkałem, różniły się również od wszystkich mi znanych. Było coś starczego i smutnego w ich wyglądzie i zachowaniu się. Gdy przechodziłem, wyłaziły z nor, niedołężne, karłowate potworki i patrzyły na mnie rozumnie i ostrożnie, ale bez obawy. Dopiero pies, którego wziąłem był ze sobą, napędził im strachu; poczęły się kryć przed jego napa-

ścią, wydając na poły gniewne, na poły żałośne sapanie, będące, jak się przekonałem, jedynym głosem, jaki są zdolne wydać.

Tom był ze mną — jak zawsze. Dziwił się wszystkiemu i wciąż się zatrzymywał, zajęty to jakimś barwnym kamykiem lub muszlą, to napotkaną wonną roślinką, która układem listków przypominała ziemskie kwiaty. Odszedłem był właśnie od niego kilkadziesiąt kroków, gdy posłyszałem wołanie:

— Wuju! wuju! chodźno i patrz jakie ładne kije!

Zwróciłem się i zobaczyłem, że malec siedzi na ziemi wśród mnóstwa białych, cienkich a długich kości. Zacząłem je oglądać; nie znam na Księżycu zwierzęcia, z któregoby mogły pochodzić.

Schyliwszy się, spostrzegłem między niemi zastanawiający przedmiot: był to kawałek grubej, z jednej strony mocno zdartej blachy miedzianej, przpominającej kształtem szeroki nóż. Serce zabiło mi gwałtownie: jeślim się nie mylił, jeśli to istotnie był przedmiot sztucznie obrobiony, to na Księżycu kiedyś, dawno przed naszem przybyciem, żyły już istoty rozumne...

Przypomniało mi się owo Miasto umarłych, spotkane przed laty na *Mare Imbrium*, a pamiętne strasznym wypadkiem, który spowodował śmierć Woodbella. Odjechaliśmy wówczas od tych skał, tak łudząco podobnych do ruin, w których niegdyś może rozbrzmiewało życie i nie przekonaliśmy się, czem były właściwie: przedziwną igraszką przyrody, czy też upiorem grodu, zamarłego przed wiekami, — a oto teraz znalazłem znowu rzecz, zdającą się świadczyć o istnieniu tutaj rozumnych stworzeń na długo, długo przed naszem przybyciem.

Zabrałem się do skrzętnych poszukiwań. — Zwiedziłem całą wyspę wzdłuż i wszerz, wchodziłem do skalistych grot u stóp pasma wzgórz, ale nie znalazłem niczego, coby mnie mogło niewątpliwie przekonać o słuszności mych przypuszczeń. Wprawdzie zdawało mi się, że w tej i owej grocie spostrzegam ślady celowej pracy; na wybrzeżu niewielkiego stawku znalazłem dwa czy trzy kawałki skamieniałego korzenia, które miały na sobie jakieś niby narznięcia, a grobla zmuszająca strumyk do rozlania się w staw, wyglądała tak, jakby była sztucznie zbudowana, w innej znów stronie leżały na sobie głazy, jakby szczątek zwalonego muru; ale to wszystko mogło



być zarówno dziełem przypadku, albo nierozumnych, ale przemyślnych zwierząt. Wszakże na Ziemi bobry naprzykład wznoszą ciekawe budowle...

Nie rozwiązałem tedy najważniejszej zagadki, ale w każdym razie wskutek dokonywanych poszukiwań upewniłem się w mniemaniu, powziętem od samego początku, że wyspa ta jest pozostałością większego, zaginionego w morzu lądu i daje przybliżony obraz świata księżycowego i rozwijającego się na nim życia w epokach zamierzchłych, poprzedzających okres obecny.

Nazwałem ten kraj Wyspą Cmentarną. Lubiłem tutaj często zawijać i patrzyć ze szczytu wzgórza na rozciągające się dookoła, słońcem posrebrzone morze, pod którego falami zaginęła prawdopodobnie reszta tego lądu — i życie kto wie, jak dziwne i bogate?

Przedemną na widnokręgu widniały szczyty dalekich wulkanów, nad któremi panował chmurny, prawie nieustannie łuną nakryty, olbrzymi stożek Otamora. Morze szumiało, wzdymając się przypływem ku leniwie pełznącemu po niebie słońcu, a ja kołysany tym szumem wielkim i szerokim, mającym w sobie coś z szelestu skrzydeł przelatujących eonów, coś z tajemniczego głosu ludzkiej duszy — pogrążony w pół-śnie, pół-jawie, marzyłem o tem, co na tym globie przeszło, może bez świadka myślącego — a bezpowrotnie...

Kiedy się tutaj życie rozpoczęło? Może wtedy Ziemia, zawieszona w mroźnych przestworzach, stygła dopiero na powierzchni, a słońce, z powodu szybszego ruchu obrotowego księżycowej bryły, który z wiekami zwolniał dopiero, szło raźniej nad tutejsze lądy i morza, znacząc bujnemu, budzącemu się życiu dnie i noce krótkie, szybko po sobie następujące, bez mrozu i bez nieznośnego skwaru? Wówczas — i Ziemia nie stała nad straszliwą pustynią śmierci, lecz krążyła po księżycowem niebie, wschodząc i zachodząc... Wówczas — może nie było jeszcze wcale bezpowietrznej i bezwodnej pustyni?

Wszak wieki długie, niesłychanie długie wieki martwoty mogły na tej półkuli, która, zwróciwszy się raz stale ku Ziemi, straciła powietrze a z niem wodę, zatrzeć tak dalece wszelki ślad dawnego

życia, że dzisiaj tak się wydaje, jakby pustynią była od początku świata? Tomasz niegdyś to przypuszczał.

Przymykałem oczy i wyobrażałem sobie, że w nieustannym i jednostajnym łoskocie fal morskich słyszę głosy owego pierwotnego życia: Lasy złożone z drzew wybujałych i śmigłych, niepotrzebujących giąć się i stulać przed mrozem nocy, którego jeszcze niema, szumią rozkołysane wiatrem; przez gąszcza ich przedzierają się zwierzęta ogromne i silne, ojce skarlałych dziś na tym świecie potomków; w gałęziach łopocą skrzydła potężnych latających jaszczurów... Jest wieczór i wiatr przycicha na chwilę — a tam nad mgły oparzelisk wstaje olbrzymi, krwawy, jasny krąg Ziemi.

I kto wie, kto wie, czy na to światło wschodzące nie patrzyły z murów miast ogromnych i z wysmukłych wieżyc oczy rozumne? czy nie wyciągały się ku niemu jakie ręce, od mądrej pracy oderwane, aby powitać srebrnego anioła-stróża, co rozjaśnia długie noce? Kto wie, czy tu na Księżycu nie domyślano się kiedy, że na tym olbrzymim globie, wśród nieb zawieszonych, są także istoty myślące, czy nie zgadywano, jak wyglądają? jak żyją?

I mimowoli wyobraźnia moja w inną zwracała się stronę; odrywała się od Księżyca, jak ptak wylatujący z klatki i szybowała dalej, setki tysięcy kilometrów w przestworze, tam do tej Ziemi, którą mi tęsknota tak upiększała i takim malowała czarem, jak słońce zachodzące maluje gór śnieżne szczyty...

Zazwyczaj marzenia te na Wyspie Cmentarnej przerywał Tom, zniecierpliwiony zbyt długiem mojem milczeniem. Wracaliśmy tedy do domu, gdzie Marta niecierpliwie oczekiwała malca. Tutaj Tom nie należał już do mnie. Matka stęskniona długą rozłąką, chwytała go w objęcia, a gdy się skończyły niezliczone, namiętne uściski i pocałunki, siadała z nim na progu i poczynała swą wiecznie powtarzaną opowieść o młodym, pięknym i dobrym angliku, jego ojcu, za którym ona poszła na Księżyc, a który śpi pod piaskiem wielkiej i cichej księżycowej pustyni... W końcu opowiadała już raczej sobie samej, niż synowi, a gorące, rzęsiste łzy płynęły jej na jasną główkę dziecka.

Piotr złamany i przygnębiony dłubał coś koło domu, albo szedł doglądać dziewczątek.

Ja, niepotrzebny nikomu, cofałem się więc znowu na ubocze, aby dumać w samotności, albo zająć się jaką robotą.

Godziny mijały po godzinach, słońce wschodziło i zachodziło, przechodziły ziemskie lata, liczone z trudem na dniach księżycowych, Tom wyrastał i dziewczątka biegały już za nim po łąkach, ale dla mnie nic się nie zmieniło. Starym nałogiem włóczyłem się samotnie po całym pustym kraju, spędzałem długie godziny na Wyspie Cmentarnej, a gdym przyszedl do domu, patrzyłem nieodmiennie na smutną, milczącą Martę i na Piotra, podobnego raczej do upiora, niż do żywego człowieka. I tylko tęsknota za Ziemią wzbierała wciąż w mej piersi i rosła z latami, aż stała się w końcu nieznośnym, przytłaczającym ciężarem. Aby się przed nią bronić, myślałem o nowem pokoleniu, chwytałem się gorączkowo roboty, ale w chwilach przerwy, kiedy znużony i wyczerpany padałem na ziemię, ona powracała — zwycięzka, nieodparta, pokazując mi blade twarze moich towarzyszy tutaj i rozmaite sny o tamtych, których opuściłem na wieki...

## V.

Tam, gdzie są lata, znaczone zmiennemi porami i słońcem, którego łuk wznosi się lub opada na sklepieniu niebieskiem: na Ziemi, siódmy rok już dobiegał od czasu naszego przybycia na Księżyc, kiedy Marta spostrzegła, że będzie po raz trzeci matką. Przyjścia dziecka oczekiwała niecierpliwie, spodziewając się, że to będzie syn, którego z góry przeznaczała na raba Tomowi. Nie kryła się z tem zgoła, owszem, gdy tylko spostrzegła, że po długiej przerwie znowu ma zostać matką, powiedziała do nas:

— Teraz dopiero będę spokojna, gdy dam Tomowi nareszcie służącego i niewolnika...

Mówiła to na pozór obojętnie, jak się mówi o jakiejś rzeczy bardzo naturalnej, ale ja dostrzegłem w jej głosie dziwną, skomplikowaną nutę...

Było to coś, jakby okrzyk tak ciężko okupionego tryumfu, że przez to już prawie tryumfem być przestaje, coś, jak westchnienie robotnika, zrzucającego z ramion własnowolnie podjęte brzemię, ze wstrętem, ale i z radością, że wyniósł je tam, gdzie zamierzył i nie upadł, nie zrzucił go pierwej.

Piotr, złamany zupełnie, oddawna poddawał się już spokojnie okrucieństwu Marty, która go raniła ciągle każdem słowem, każdym czynem, a tak nieznacznie i nieubłaganie, jak gdyby czyniła to bezwiednie, będąc tylko narzędziem jakiejś okropnej fatalności. Ale wówczas po tych słowach Marty spojrzał na nią przygasłym wzrokiem i uśmiechnął się szyderczo, a potem wyciągnął rękę do Toma.



Chwycił chłopca za ramię i przyciągnąwszy ku sobie, zaczął go oglądać. Tom umysłowo był bardzo rozwinięty, ale jak na swój wiek wyglądał nader wątle. Ojczym odsunął szeroki rękaw jego bluzy i obnażył drobne, dziecięce ramię, uderzył zlekka dłonią w jego wązkie barki, pomacał uda i kolana, stuknął w pierś, uśmiechnął się znów szyderczo i trzymając rękę na głowie zalęknionego chłopca, zaczął powoli cedzić słowa, ze wzrokiem utkwionym w Marcie:

— Tak... Tom jest ostatecznie dość mocny, aby przewodzić nad dziewczętami, — ale jego brat może być silniejszy.

Marta zbladła i spojrzała niespokojnie na chłopca.

Ale niepokój jej nie trwał długo. W błyszczących oczach dziecka wyczytała snadź to, co musiało być po wszystkie czasy wypisane w oczach twórców nowego porządku, bo uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała krótko:

— Tom będzie silniejszy, choćby tamten miał być i większy.

Rzeczywiście Tom już wtenczas, jako małe, sześcioletnie chłopię, zdradzał nadzwyczajną bystrość i energję. Rozwijał się bardzo prędko i w sposób jakiś szczególny, pod wieloma względami odmienny od tego, w jaki rozbudza się zazwyczaj dusza dzieci, tam na Ziemi. Zawczasu nauczył się samodzielności i miał zmysł praktyczny tak nadzwyczajnie rozwinięty, że nas czasem zadziwiał. Nie było u niego ani śladu owego marzycielstwa ziemskich dzieci, niewątpliwie bardzo powabnego, ale świadczącego zarazem o jakiejś sztucznej wybujałości umysłu. Tom był trzeźwy, tak strasznie trzeźwy, że mnie aż serce bolało, gdym patrzył na tę jasnowłosą główkę dziecka, w której myśli nie przerywane i nie plątane niesfornemi marzeniami, płynęły tak spokojnym i zwartym szeregiem, jakby pod łysą czaszką starca. Chłopak mimo wszystko miał dużo serca: kochał matkę nadzwyczajnie i do mnie bardzo się przywiązał, jedynie Piotra nie mógł znosić. Zawsze pewny siebie i przytomny, jak ojciec, — w jego obecności bywał zalękniony i zmieszany. Zresztą nie wiem nawet, czy użyłem odpowiednich wyrazów na określenie tego, co się musiało dziać w duszy tego dziecka w obecności ojczyma. Milczał przy nim zawsze tak uparcie, że zdawało się, wolałby narazić się nawet na plagi, niż usta otworzyć. Oczy tylko biegały mu niespokojnie. Był w jego zachowaniu się jakiś strach, ale też był i upór i zaciętość

i nienawiść i wstręt... Piotr to czuł i widział i zdaje mi się, że już wtenczas sam się bał tego dziwnego dzieciaka.

Marta miała słuszność: Tom nie był jednym z tych, którzy stworzeni są na to, aby kogokolwiek słuchać. Za dużo w nim było stanowczego, światowładnego ducha angielskiego i za dużo płomiennej krwi dumnych radżów z Travancore.

To też pewien byłem, że jeśli mu się brat narodzi, choćby nawet był większy i silniejszy od niego, będzie za nim tak samo biegał i tak samo pokornie w oczy mu patrzył, jak te dwie małe dziewczynki, Lili i Róża.

Ale Tomowi brat się nie narodził; przyszła natomiast na świat trzecia dziewczynka, którąśmy nazwali Adą.

Marta bez radości i wzruszenia powitała narodziny tego dziecięcia.

— Tom, — mówiła w kilkadziesiąt godzin później, gdyśmy na jej życzenie chłopca przyprowadzili do łóżka, — Tom, nie będziesz już miał brata. Ale masz za to trzy siostrzyczki. Muszą ci wystarczyć — za żony, za towarzyszy, za służące...

Tom nie pytał już, jak przy narodzeniu pierwszych dziewcząteк, co będzie ze siostrzyczkami robił, lecz obejrzał się tylko na Lilę i Różę, trzymające się w kącie za ręce i wpatrzone w malca, jak zwykle, oczyma pełnemi miłości i podziwu, dotknął palcem zlekka maleńkiej, wrzeszczącej w niebogłosy nowonarodzonej istotki i rzekł, kiwając poważnie głową:

— Wystarczą, mamo, wystarczą...

— Tom, — ozwałem się wtedy, dotknięty niemile słowami Marty i zachowaniem się dziecka, — musisz być dla nich dobry.

— A po co? — zapytał naiwnie.

Aby cię kochały, — odpowiedziałem.

— One i tak mnie kochają...

— Tak, my Toma bardzo kochamy! — odezwały się dziewczątka prawie jednogłośnie.

— Widzisz, Tom — mówiłem dalej kaznodziejskim tonem — one są lepsze od ciebie, bo cię kochają, choć ty może nie zawsze na to zasługujesz. Ale ta mała może cię nie kochać...



Tom nic nie odpowiedział, zauważyłem, że spojrzał na dziecko z niechęcią, zmarszczywszy drobne brwi.

Ostatecznie może to i dobrze się stało, że się Tomowi nie brat narodził. Byłby jego niewolnikiem, albo — wrogiem.

Wyszedłszy wtedy z izby i później jeszcze przez pewien czas myślałem długo nad straszną ironją ludzkiego istnienia, która przeszła za nami z Ziemi na Księżyc. Przypomniał mi się O'Tamor, biedny, szlachetny marzyciel! Jak on sobie to roił, że tu na Księżycu z dzieci Tomasza i Marty, uchronionych od złego wpływu ziemskiej »cywilizacji«, wyrośnie pokolenie idealne, nieposiadające tych wad i nieznające tych różnic, które są przyczyną odwiecznych nieszczęść ludzkości na Ziemi! — Patrzę na te dzieci i zdaje mi się, że stary, szlachetny marzyciel O'Tamor zapomniał, iż potomstwo człowieka będą zawsze składały istoty ludzkie, noszące w swojej piersi zaród tego wszystkiego, co się stało ohydą ziemskich pokoleń. I czy to nie jest najstraszliwsza ironja, że człowiek wroga swego przenosi sam w sobie nawet na gwiazdy świecące w niebie?

Dobrze się stało, że Tom nie ma brata. — Przynajmniej opóźni się nadejście okresu walk bratobójczych i niewoli, a my tymczasem może pomrzemy i nie będziemy potrzebowali patrzeć na to.

A dziewczątka... Tak mi się zdaje, że dziewczątka te są stworzone na to, aby podlegały. Nie będą może nawet rozumieć swej krzywdy, szczęśliwe gdy ich brat, mąż i pan, będzie czasem wobec nich łaskawy... Co do Lili i Róży jestem tego już pewien; Ada zaś zbyt jeszcze jest mała — ma zaledwie w tej chwili trzy lata, licząc po ziemsku — aby można jakieś prawdopodobne przypuszczenia robić o przyszłym stosunku jej do przyrodniego brata. Spostrzegam tylko, że go nie kocha tak, jak te starsze. Tom również jest dla niej więcej obojętny.

Zwracanie bacznej uwagi na wzrost i duchowy rozwój tego czworga dzieci stanowi w ostatnim czasie moją najmilszą, choć smutną rozrywkę. Pod względem fizycznym przystosowały się one znakomicie do warunków księżycowego świata, który dla nas, z Ziemi przybyłych, jest ciągle obcy i nieznośny, choć już tyle lat tu żyjemy. Taką rzeczą naprzykład, niezmiernie dla nas ciężką, jest regulowanie snu. Podczas długiego dnia prawie tyle samo spać potrze-

bujemy, co podczas nocy. Pociąga to za sobą tę niedogodność, że trzecią część czasu, kiedy słońce stoi na niebie, tracimy na sen, bardzo nieregularny i z tego powodu mało pokrzepiający, a za to dwie trzecie nocy przesiadujemy bezsennie, nękani zimnem, ciemnością i gorszą od nich nudą. Dzieci tu urodzone śpią we dnie bardzo mało: zaledwie godzinę lub dwie najwyżej w dwudziestogodzinnych odstępach, ale za to prawie całą noc przesypiają z małemi przerwami.

W kilkanaście godzin po zachodzie słońca ogarnia je już nieprzezwyciężona senność. Jeśli się w nocy zbudzą, to na dwie, trzy lub cztery godziny najwyżej, poczem znów zasypiają, jak u nas na Ziemi susły i świstaki śpią do czasu, kiedy pierwszy lekki obrzask na niebie zapowiada nadejście dnia.

Znoszą także bez porównania lepiej od nas klimat tutejszy.

Upały nie osłabiają ich do tego stopnia i nie wywołują tego rozdrażnienia, ani senności, co u nas.

Ale najwięcej zastanawia mnie to, że te dzieci i na mróz są znacznie wytrzymalsze, niż my, starsi. Rankiem, gdy natężenie zimna wzmaga się najwięcej, dzieci rozbudzone z długiego snu wybiegają często na dwór a nawet oddalają się znacznie, podczas gdy my odważamy się wyjść tylko w razie ostatecznej konieczności.

Inicjatorem tych wycieczek jest zawsze Tom. Obie starsze dziewczynki wybiegają tylko za nim, zarówno jak stary Zagraj, wiedzione, zdaje się, nawet takiem samem ślepem przywiązaniem. Ten pies i te dziewczynki stanowią nieodstępny dwór Toma.

Myślałem początkowo, że dzieci idą się bawić w śniegu, topniejącym rychło po wschodzie słońca, albo używają ślizgawki na brzegu zamarzłego w nocy morza. Ale wkrótce przekonałem się, że ta mała drużyna wychodziła tak rano pod przewodnictwem Toma na — polowanie! Dziwna, że myśmy na ten pomysł nie wpadli! Wszystkie tutejsze zwierzęta zasypiają na noc, zagrzebując się w ziemi dla ochrony przed mrozem.

Tom wyśledził to sam i przy pomocy Zagraja, który węch ma znakomity, wyszukiwał pod śniegiem kryjówki różnych potworków i zabijał je, nim się obudziły. Mięso tutejszych zwierzątek lądowych jest wprawdzie, jak już wspomniałem, nie do użycia, ale za to ich skóry dostarczają nam pięknych i trwałych futerek albo rogowego



materjału, wielce podobnego do szyldkretu. Polowanie podczas dnia przedstawia wielkie trudności, gdyż zwierzęta nauczyły się już nieufności względem nas i prześladujących je zarówno z nami psów, — jakże się więc zadziwiłem, gdy Tom przyniósł mi pewnego ranka kilkanaście skórek, wśród których parę było świeżych, a reszta starannie już wyprawionych! Te pochodziły z dawniejszych połowów. Chłopak widział, jak myśmy skórki odarte z zabitych zwierząt, czyścili ostremi muszlami i wyprawiali solą, zbierającą się obficie nad brzegiem morza i zrobił to wszystko na swoją rękę, a wcale nie gorzej od nas!

Już to nie brak mu sprytu. Mając lat ośm znał już dokładnie nasze fabryki i rozumiał cel i znaczenie każdego urządzenia, przydatność każdego narzędzia i materjału. Ja wziąłem na siebie obowiązek nauczania go, — ale do książek nie wiele ma ochoty. Ciekaw jest wszystkiego, co ma wartość praktyczną, inne rzeczy natomiast mało go obchodzą. Chciałem go nauczyć geografji ziemskiej, historji tamecznych ludów, obeznać go z przystępnemi dla jego umysłu arcydziełami wielkich ziemskich pisarzy, ale spostrzegłem bardzo rychło, że to zgoła nie zajmuje chłopca, tak ciekawego w innych kierunkach. Zrazu nie przerywałem nauki, sądząc, że zdołam w nim rozbudzić zmysł historyczny i estetyczny, a zaprzestałem usiłowań dopiero wtedy, gdy mnie raz podczas takiej naukowej pogadanki wprost zapytał:

— Wuju, po co mi ty opowiadasz to wszystko?

Nie wiedziałem, co mu mam odrzec — bo istotnie — po co?... A on pytał znowu:

— To wszystko, o czem mi mówisz, jest podobno na Ziemi, którą, pamiętam, raz widziałem podczas wycieczki jak dużą świecącą banię, a skąd ty, wuju, podobno przybyłeś tutaj — prawda?

— Tak, to jest na Ziemi, skąd ja przybyłem i skąd wogóle ludzie pochodzą.

Chłopak spojrzał na mnie, jakby się wahał, czy ma powiedzieć to, co myśli, a wreszcie odezwał się z zafrasowaną miną:

— Ale ja nie wiem, wuju, czy to wszystko jest prawda...

Dotknęła mnie ta uwaga, tak zresztą naturalna u dziecka, któ-

remu się opowiada o rzeczach, dziejących się na odległej i raz tylko przez nie widzianej planecie.

— Czy przekonałeś się kiedykolwiek, abym mówił nieprawdę?

— Nie, nie, nigdy! — zaprzeczył żywo, poczem dodał znów ciszej:

— Ale teraz nie mogę się przekonać, że mi mówisz prawdę... Wyjąłem z kieszeni zegarek.

— Wiesz co to jest? zegarek... Czy myślisz, że ja, albo Piotr, albo matka twoja, potrafimy zrobić taką maszynkę? Widzisz także książki, których my nie drukujemy; narzędzia astronomiczne, nie przez nas zbudowane. Otóż skądżeby się to wszystko tutaj wzięło, gdybyśmy tego byli nie przynieśli ze sobą ze Ziemi? A jeśli z Ziemi przybyliśmy tutaj, to musimy przecież wiedzieć, jak tam jest i co tam było.

Chłopiec zamyślił się.

— Ale ja, prawda? ja się nigdy nie dostanę na Ziemię? co?

— Nie, nie dostaniesz się nigdy.

— To wiesz ty co, wuju, naucz mnie ty lepiej robić takie zegarki i szkła powiększające, a nie mów mi już o tem, którędy się jedzie z jakiejś tam Europy do Ameryki, albo co robił ten Aleksander Wielki i ten drugi, Napoleon...

Musiałem przyznać, w duchu, że Tom ma słuszność. Nie był tam nigdy i nigdy tam nie będzie, więc pocóż mu mówić o tem, co mnie obchodzi tylko dlatego, że jestem rodem z Ziemi? Te wiadomości na nic mu się nie przydadzą; a jeśli zechce kiedy on, lub jego potomstwo, dowiedzieć się czegoś o Ziemi, o której może już tylko niejasna wieść będzie chodziła, że jest matką ludzkiego plemienia, a widzieć ją można świecącą na niebie z krańców śmiertelnej pustyni — to będą tu przecież te księgi, któreśmy ze sobą przywieźli, księgi zaiste więcej czarodziejskie dla przyszłych mieszkańców Księżyca, niż dla ziemian najfantastyczniejsze baśnie z »Tysiąca i jednej nocy«.

Odtąd postanowiłem uczyć Toma tylko tego, co ma dlań wartość realną w przyszłem życiu na Księżycu. Do tego okazywał nadzwyczajną ochotę.

Pochłaniał chciwie wszelkie wiadomości, jeśli tylko zrozumiał,



że mogą mu być użyteczne. Tak naprzykład astronomja początkowo mało go zajmowała, a wziął się do niej z całym zapałem dopiero wtedy, gdy mu wykazałem korzyści praktyczne, jakie odnieść można z pomiaru wysokości gwiazd.

Jestem przekonany, że gdybyśmy nie byli zabrali książek, które tu po nas pozostaną, przepadłaby dla następnych pokoleń cała idealna strona tej odrobiny przewiezionego tu z Ziemi duchowego dorobku człowieka, bo za pośrednictwem niezaprzeczenie zdolnego ale dziwnie trzeźwego Toma nie dałaby się zachować. A ja myślę jednak ciągle o tem przyszłem pokoleniu... Chciałbym, aby to nie byli ludzie dzicy. Niech wiedzą, że duch ludzki jest potężny, że tworzy rzeczy wielkie i piękne, że wyszukuje Boga w złotym pyle gwiazd i siebie samego wśród ścięgien i żył ciała, że zdolny jest gorąco pożądać prawdy dla prawdy i piękna dla piękna i że jest najskuteczniejszą bronią w życiowej walce człowieka z otaczającą go przyrodą; niech umieją cenić tego ducha i korzystać z jego siły... Tak mi pilno powiedzieć o tem wszystkiem Tomowi, choć on niestety nie zawsze chce tego słuchać, tak mi pilno, jakbym się obawiał, aby mi czasu nie zabrakło. Bo gdy ja umrę, bo gdy pomrzemy wszyscy my, ziemianie, nauczycielem i prorokiem księżycowego ludu będzie już tylko on, praojciec jego — i te stare książki, wraz z ludźmi z dalekiej planety na ten świat przeniesione.

Gdy mu raz powiedziałem, że musi być pilny i uczyć się wszystkiego, nie tylko tego, co jemu się podoba, bo będzie w przyszłości wychowawcą nowego pokolenia, popatrzył na mnie zdumionemi oczyma i zapytał:

— A ty, wuju, cóż ty wtenczas będziesz robił? Przecież ty wszystko umiesz...

— Ja wtenczas nie będę już żył.

— Któż cię zabije?

Tom nie rozumiał, że jest inna śmierć naturalna. Widział zabijane zwierzęta i sam je zabijał, ale nie widział jeszcze istoty umierającej. Zacząłem mu wtedy tłumaczyć konieczność śmierci. Słuchał mnie uważnie, aż wtem przerwał mi nagle, wykrzykując:

— To i Piotr umrze?

— Umrze, synu, jak ja, jak mama twoja, jak ty sam wreszcie...

Tom potrząsnął głową:

— Ja nie umrę, bo... coby mi z tego przyszło?

Roześmiałem się mimowoli z tej dziecinnej uwagi i znów mu wykładałem, że śmierć od ludzkiej woli nie zależy, ale chłopiec był roztargniony i myślał widocznie o czem innem. Wreszcie odezwał się głosem przyciszonym i jakby z wahaniem:

— Wuju, kiedy Piotr umrze, to niech on pierwej umrze, niż ty, najpierw z nas wszystkich, prędko niech umrze. Przecież on jest całkiem niepotrzebny. Wtedy zostałbyś ty sam z nami i z mamą i byłoby nam dobrze...

Zgromiłem chłopca za te słowa, mówiąc, że nikomu śmierci życzyć nie powinien, a tem mniej Piotrowi, który przecież jest ojcem jego siostrzyczek, Lili i Róży. Tom popatrzył ponuro i westchnął, a potem odezwał się z wyrzutem:

— Czemuż ty, wuju, nie jesteś ojcem moich siostrzyczek? Ja cię wolę, niż Piotra i mama także... Piotr jest niepotrzebny.

Czułem, jak jakieś najtajniejsze, najgłębsze fibry zadrgały we mnie, a równocześnie przestrach mnie ogarnął. Bo to była myśl, która w ostatnim czasie i mnie coraz częściej przychodziła do głowy.

Nie mogę się winić: dotrzymałem raz powziętego postanowienia i wytrwałem na dobrowolnie obranem, a tak niesłychanie śmiesznem stanowisku poczciwego nauczyciela cudzych dzieci, ale com ja przewalczył, co przecierpiał — tego dzisiaj mi już nie wypowiedzieć!

Bo przecież tę kobietę, jedyną na tym świecie, a tak mi drogą, miałem wciąż przy sobie, widziałem, że jest nieszczęśliwa, a czasem łudziłem się nawet, że może ze mną byłaby szczęśliwsza. Były takie dnie, że patrząc na Piotra, ściskałem rękojeść rewolweru w kieszeni i takie, gdy lufę brałem w zęby, z palcem na cynglu, sądząc, że dłużej nie wytrzymam, nie zniosę...

Ale zniosłem i wytrzymałem. Zniosłem, chociaż krew mi nieraz wzrok przesłaniała a spazm jakiś chwytał mnie za piersi, zniosłem, choć nie można sobie wymarzyć takiej pokusy, któraby mnie we śnie lub na jawie nie była nawiedzała i trapiła.

Owego pamiętnego dnia, gdyśmy mieli ciągnąć losy o Martę, myślałem, zrzekając się jej posiadania, że się uspokoję i zapomnę



z czasem; ale nadarmo mijały lata, nadarmo błąkałem się zdala od niej po księżycowych lądach, daremnie poświęcałem się wychowaniu Toma i myśli o przyszłem pokoleniu: ona jest mi ciągle tak samo droga, jak tam, w Kraju Biegunowym, gdy po długiej, dzięki jej szczęśliwie przebytej chorobie, chodziłem z nią razem po wonnych mrocznych łąkach, rozmawiając o rzeczach obojętnych, a tak pełnych znaczenia.

Mięśnie i ścięgna wciąż mam silne i krzepkie, ale duchem starzeję się już, czuję to; tęsknota za Ziemią rozstraja moje myśli i smutek coraz większy mnie obejmuje: nie tylko patrzę na wszystko przez łzy, ale nawet myślę przez łzy o wszystkiem, — jeno ta miłość moja nie chce się we mnie zestarzeć i osłabnąć, owszem zda się, że wzrasta z wiekiem, razem z gniotącą mnie coraz cięższej tęsknotą. Wiem, że jestem śmieszny, a przecież nawet śmiać się ze siebie nie mogę.

Czasem próbuję szydzić. Powtarzam sobie brutalnie, że kocham Martę tylko dlatego, że jest jedyną kobietą na Księżycu a nie do mnie należy; że to niby wzniosłe uczucie jest tylko w pryzmacie ducha ludzkiego załamanym najgrubszym zwierzęcym popędem i wiele, wiele podobnych rzeczy, ale powiedziawszy sobie po raz setny to wszystko, mimowoli szukam Marty oczyma i czuję, że dałbym się z chęcią przybić na krzyż, gdybym mógł przez to jeden pogodny uśmiech na jej usta wywołać.

W człowieku nawet na pustyni, nawet na innym globie, tkwi obok innych dzikich instynktów także poczucie słuszności czy prawa. Nie wiem, czy jest wynikiem li tylko wychowania, czy też jakiejś wrodzonej organizacji duchowej, ale to pewna, że istnieje i odzywa się głośno nawet tam, gdzie niema nikogo, ktoby mu jego milczenie mógł wytknąć.

Marta należała do Piotra. Zgodziłem się był na to, i ta myśl bądź co bądź powstrzymywała mnie od niejednego kroku, który inaczej byłbym może zrobił. Starałem się tak usunąć z jej oczu, aby nawet od siebie samego oddalić podejrzenie, że się chcę jej przypodobać. Zresztą i ona nie szukała mego towarzystwa; spostrzegłem nawet, że obecność moja wprawia ją zawsze w zakłopotanie. Ale to wszystko

zmieniło się po narodzeniu najmłodszej dziewczynki, kiedy nastąpiło zupełne zerwanie między Martą a Piotrem.

W dwie doby księżycowe po przyjściu na świat tego dziecka, nieco przed zachodem słońca siedzieliśmy razem — co nam się zresztą dość rzadko zdarzało — i patrzyliśmy w milczeniu na szerokie morze. Zachodzące słońce pozłociło jego wody, zlekka wiatrem wzruszone i poczynające już w cieniu skał fosforyzować. — Śniegi na szczycie Otamora były zupełnie krwawe od słońca, po czarnej chmurze dymu, zawieszonej nad kraterem, błyskały także ciemno-czerwone refleksy.

Milczenie przerwała Marta. Nie zmieniając postawy, nie odrywając oczu, zapatrzonych gdzieś w dalekie perspektywy morskie, zaczęła do nas mówić, na pozór spokojnie, jak zawsze, choć nie uszło mej uwagi, że głos drżał jej z początku.

— Spełniłam wielką zbrodnię, — zaczęła, — bo nie dotrzymałam wiary mojemu zmarłemu mężowi i chętnie za to będę pokutować setki tysięcy lat w rozmaitych wcieleniach... Ale wy wiecie, że zrobiłam to jedynie dla jego syna, w którym on sam żyje dla mnie. Nigdy się z tem nie kryłam. Coście wy myśleli i jakieście wy mieli zamiary, to mnie nie obchodzi; ja chciałam, aby Tom miał siostry i brata... Nie ma wprawdzie brata, ale ma trzy siostry i ja uważam, że spełniłam swój obowiązek... Ciężki obowiązek, ty wiesz o tem, Piotrze. Żal mi cię, boś się łudził, że możesz być dla mnie czemś więcej... Nie moja wina... Ale teraz wszystko skończone. Odzyskuję napowrót swobodę. Nie pytam się, czy wy... czy ty, Piotrze, zechcesz mi ją dać: ja ją sobie biorę sama. Nie jestem już twoją żoną...

Odetchnęła głęboko i zamilkła.

Byliśmy tak zaskoczeni i słowami i niespodziewanym tonem tego, co powiedziała, że siedzieliśmy przez pewien czas w milczeniu, nie umiejąc znaleść odpowiedzi. Zresztą jakąż jej można było dać odpowiedź? — ona jej nawet nie czekała...

»Biorę sobie swobodę... Nie jestem już twoją żoną...«

Dziwne wrażenie wywarły na mnie te słowa. Przez chwilę dźwięczały mi w uszach, jak hasło nowego życia, jak obietnica czegoś, czego się nawet nie śmiałem spodziewać, jak... nie! nie umiem



już powiedzieć, co się ze mną działo! Tak mi się zdało, że to jedno zdanie zaciera i niweczy wszystko smutne, co przeszło; w piersiach uczułem jakąś pełnię, jakiś napływ krwi, raźniej w żyłach tętniącej...

Spojrzałem na Martę. Siedziała nieruchoma i cicha, w morze zapatrzona — i tylko pod zastygłym, niezmiernie smutnym uśmiechem usta zadrgały jej czasem tak, jakby się miała rozpłakać.

»Biorę sobie swobodę«...

Tak przed chwilą mówiły jej usta.

Ale jej oczy i uśmiech jej mówiły teraz, że bierze ją sobie nie jak skrzydła, które są prawem lotu, lecz jak całun, który jest prawem do spokoju; że jest ta swoboda dla niej nie brzaskiem zapowiadającym dzień, ale zmierzchem, który przynosi odpocznienie... Na powiekach zabłysły jej łzy i przez te łzy patrzyła uparcie w dal, na słońcem pozłocone księżycowe morze.

Serce ścisnęło mi się bolesnym kurczem, bo zrozumiałem, że można się od przeszłości odwrócić, ale zmazać jej niepodobna.

Tymczasem Piotr odezwał się sucho:

— Wszystko mi jedno.

A po chwili dodał:

— Co teraz zamierzasz robić?

Marta drgnęła:

Nic... Żyć jeszcze trochę dla Toma... dla dzieci... A potem...

— Dla dzieci — powtórzył Piotr, jak echo.

Właśnie od wybrzeża biegły obie dziewczynki, śmiejące się, rozpromienione, z fartuszkami pełnemi uzbieranych kamyczków, muszel i bursztynu. Wołały głośno Toma, który nieopodal budował jakieś młyny na strumyku. Piotr powiódł za niemi zwolna oczyma.

— Dla dzieci... — powtórzył raz jeszcze i podparł głowę na dłoni.

Pamiętam tę chwilę, jak dzisiaj. Słońce dotykało już widnokręgu i świat ze złotego zaczynał się stawać purpurowym. Lekki wiatr od morza przynosił nam z ostrym zapachem wodorostów szmer rozbijającej się na żwirze fali i dźwięczne, srebrzyste głosy dziecięce.

Nagle Marta powstała i zwróciła się ku Piotrowi.

— Piotrze, daruj, — odezwała się głosem nizkim i ciepłym, jakiego zdawna już u niej nie słyszałem, — daruj, ja może... byłam

niesprawiedliwa,... daruj, ale ja... widzisz, nie mogłam, nie mogę... Żal mi, żeś miał przezemnie... takie życie...

Wyciągnęła ku niemu rękę.

Piotr powstał również, popatrzył na nią, potem na dłoń wyciągniętą, znów na twarz jej i nagle wybuchnął strasznym spazmatycznym śmiechem.

— Cha, cha, cha! to dobre, tak jednem słowem, za tyle lat! — cha! cha! cha! — chcesz swobody? dobra myśl! może nowego wyboru? cha! cha! cha! »Piotrze, daruj! Nie jestem już twoją żoną!«

Śmiał się jak opętany i wykrzykiwał różne niezrozumiałe słowa. Potem nagle urwał, odwrócił się i odszedł ku domowi.

Marta stała przez chwilę zmieszana, z wyrazem wstrętu i upokorzenia na twarzy, aż wreszcie i jej nerwy odmówiły posłuszeństwa i wybuchnęła głośnym, nieutulonym płaczem, — poraz pierwszy od owej burzy, kiedy została żoną Piotra.

Odszedłem w milczeniu, jeszcze więcej przygnębiony, niż zwykle.

Długą, czternastodniową noc przepędziliśmy prawie nie mówiąc do siebie. Na drugi dzień na pozór wszystko wróciło do dawnego trybu. Wzięliśmy się zaraz zrana do zwykłych dziennych zajęć, rozmawialiśmy nawet po staremu, nie wspominając o »rozwodzie«, który od owego wieczora stał się istotnie rzeczą dokonaną. Stosunek dotychczasowy między Martą a Piotrem był tego rodzaju, że zerwanie go odczuliśmy wszyscy raczej jako ulgę. Spostrzegłem zwłaszcza korzystną zmianę w usposobienia Marty. Nie powiem, żeby była weselsza, ale przynajmniej nie znać było na niej dawnego przymusu; rozmawiała z nami swobodniej, nawet dla Piotra była lepsza, choć tak brutalnie odtrącił jedyne serdeczne wyrazy, z jakiemi się do niego zwróciła.

A co się z nim działo? To snadź nazawsze pozostanie dla mnie zagadką.

Na pozór przyjął wszystko obojętnie, i niespodziewany wybuch owego wieczora, kiedy Marta z nim zerwała, był jedynym objawem jego skrytych uczuć. A jednak ileż żalu, upokorzenia, boleści musiało się zebrać w namiętnej duszy tego człowieka! i jakiejże siły woli musiał użyć, aby to wszystko stłumić i zamknąć w sobie! Bo on ją



kochał mimo wszystko — i kocha ją do tego czasu; pod tym względem nie mam zgoła wątpliwości.

Pierwszego dnia po zerwaniu przyszedł do mnie około południa, gdym był właśnie powrócił z wycieczki morskiej i wiązałem łódź do pala na wybrzeżu. Przez chwilę kręcił się niespokojnie, jakby chciał mi coś powiedzieć, lecz nie wiedział, jak zacząć. Potem, jakby powziąwszy nagłe postanowienie, chwycił mnie za rękę i wyrzekł, patrząc mi bystro w oczy:

— Pamiętasz obietnicę, daną mi wtedy, gdym ja Martę brał?...

Spojrzałem na niego zdziwiony, nie wiedząc jeszcze, do czego zmierza. On zaś ciągnął dalej:

— Przyrzekłeś mi wtenczas, że nigdy nie będziesz się starał zdobyć Marty dla siebie, nigdy! pamiętasz?

Skinąłem głową w milczeniu. Piotr uśmiechnął się gorzko.

— Zresztą, jak chcesz. To jest śmieszne. Jak chcesz. Tylko pierwej... strzel mi w łeb.

Ostatnie słowa wypowiedział głucho, a z taką bolesną namiętnością, że mnie aż dreszcz przeszedł. Chciałem mu odpowiedzieć, uspokoić go, ale on nie czekając na to, odwrócił się i odszedł.

Od tego czasu zaczęły się dla mnie najstraszliwsze walki i męczarnie. Marta w istocie nie należała już teraz do nikogo, a jednak czułem, że wyciągnąć po nią rękę byłoby zbrodnią, podwójną: zbrodnią wobec niej, żądnej już tylko ciszy i żyjącej po zrzuceniu wstrętnego jarzma li wspomnieniem dawno zmarłego kochanka i troską o jego syna — i wobec Piotra, tak zgnębionego i nieszczęśliwego, że każda krzywda jemu wyrządzona stawała się czemś więcej, niż zbrodnią: była podłością. A przecież zdarzały się chwile i okoliczności, kiedy się wahałem i musiałem używać całej woli, aby nie strzelić Piotrowi w łeb, jak sam sobie tego życzył i nie rozpocząć z Martą nowego życia. Takie pokusy nachodziły mnie zwłaszcza wtedy, gdy widziałem wzrastającą przychylność Marty wobec siebie. Uśmiechała się do mnie często i nazywała mnie po staremu swoim przyjacielem, a mnie roiło się już po głowie, że gdyby nie Piotr, moglibyśmy być ze sobą szczęśliwi — oboje. Na szczęście wkrótce przychodziło opamiętanie. — Wszakże Marta — myślałem — jest mi tylko dlatego przychylna, że nie stanąłem nigdy między nią a wspo-

mnieniem tego zmarłego, jedynie umiłowanego człowieka, że nigdy nie skalałem świętości jej uczucia, nie tknąłem jej ciała ani nie zażądałem duszy, które ona oddała na wieczność tamtemu, co leży teraz pod piaskami *Mare Frigoris*. Lecz gdybym tylko zapragnął czegoś więcej...

Straszne błędne koło!

Mimo to raz byłem już blizki szalonego czynu...

Urządziliśmy we troje wycieczkę na szczyt krateru Otamora. Dziewczynki zostawiliśmy w domu pod opieką Toma, któremu można je już było powierzyć z całą ufnością. Przedarłszy się od strony morza przez zarośla pnączów i przebywszy lasy ogromnych, zdrzewiałych liściowców, dostaliśmy się na pochyłą równinę, podobną do rozległej hali a porosłą krzewiącemi się płasko po ziemi wielkolistnemi mchami. Tutaj byliśmy już nieraz; zapragnęliśmy jednak dostać się wyżej, na sam szczyt, jeśliby to było możebne, aby się nasycić wspaniałym widokiem, jaki się musi roztaczać z wierzchołka tego najwyższego w całej okolicy stożka.

Dalsza droga nie była łatwa, bo trzeba się było wdzierać bystro w górę głębokim żlebem, wyrzniętym wśród skał zastygłej i zwietrzałej lawy, a zawalonym w górnej części śniegiem prawie po brzegi. Tu na Księżycu łatwiej wprawdzie przebyć taką drogę, niż na Ziemi, gdzie ciało ludzkie waży sześć razy więcej, ale mimo to był to trud nie mały.

Po kilkunastu godzinach wysiłku znaleźliśmy się już pod samym zrębem krateru, dalsze atoli wdzieranie okazało się czystem niepodobieństwem. Wyżej śnieg tajał od gorących par, wznoszących się ustawicznie z olbrzymiego lejka, którego brzegi sterczały teraz nad nami, do szerokiego osobnego łańcucha wzgórz podobne. a woda ściekając, zamarzała w czasie wiatru i pokrywała skały szklistą powłoką lodową, na której niepodobna się było utrzymać.

Przekonawszy się o niemożliwości dalszej podróży, zasiedliśmy na śniegu, chcąc przed powrotem odpocząć i rozejrzeć się po okolicy.

Widok był niezrównany. Tuż przed nami, poza masą czerniejących u stóp naszych lasów, rozciągało się w bezkresną dal morze, grające wszystkiemi barwami tęczy i usiane wyspami, podobnemi



stąd do małych, czerniejących punktów wśród roziskrzonej płaszczyzny. Niektóre z nich, rozleglejsze, tworzyły plamy obrąbione, jak pawie oka, kolorową opaską. Na lewo, ku wschodowi, ukazywały się z poza sterczącej grani poczerniałe szczyty i pierścienie pomniejszych kraterów górzystej krainy, wśród których tu i owdzie błyskała błękitna wstęga zatoki, wrzynająca się w ląd głęboko. Na prawo, poza gejzyrami, o których świadczył nam tylko drobny obłoczek białawej mgły, rozciągała się szeroka równina, przerznięta krętą rzeką, na której w dali, jak perły na sznur nanizane, świeciły odległe, o pasmo zielonych wzgórz oparte jeziora.

Siedzieliśmy dość długo, zachwyceni czarownym widokiem, gdy w tem zaniepokoił nas głuchy grzmot podziemny. Pary, wznoszące się nad kraterem, zczerniały i zbiły się w ogromny kłąb, z którego wkrótce zaczął się sypać na nas drobny i duszący popiół. Należało wracać co prędzej, gdyż widocznie zbliżał się wybuch wulkanu. Nie zdążyliśmy już jednakże ujść dość wcześnie. Znajdowaliśmy się zaledwie w połowie owego żlebu, kończącego się przy łąkach nad lasami, gdy nagle przy wzmożonym łoskocie podziemnym zatrzęsły się skały, z których poczęły na wszystkie strony opadać lawiny, a chmura dymu, dotąd czarna, rozbłysła krwawym blaskiem.

Nie było czasu do namysłu. Z największym pośpiechem schroniliśmy się w poblizkiej szczelinie, oczekując z drżeniem chwili, kiedy znowu będziemy mogli posunąć się ku dołowi.

Niebo nad nami, pokryte gęstymi kłębami dymu, wyglądało jak ognista czeluść piekielna; głuchy grzmot nie ustawał już teraz ani na chwilę, a powietrze przesycone wyziewami siarki i drobnym popiołem, dusiło nas i parzyło nam płuca. Z góry zaczynały już padać większe, gorące żużle, pokrywające brudny śnieg dokoła mnóstwem czarnych plam. Musieliśmy uciekać ze żlebu, którym teraz płynęła wartko woda ze stopionego śniegu, zmieszana z popiołem i ziemią.

Wybuch był dość silny, a wstrząśnienia gruntu, któreśmy odczuwali, musiały się rozchodzić szeroko i u stóp góry, bo gdy wiatr, rozegnawszy na chwilę duszące pary i tumany popiołu, odsłonił świat przed nami, zobaczyliśmy morze burzliwe i spienione.

Przyczepieni do bystrej turni, sterczącej jak przylądek w miejscu, gdzie żleb rozchodził się ku dołowi w dwie strony, zasłonięci

nieco od góry wystającemi głazami, przesiedzieliśmy tak kilkanaście godzin, niepewni zdrowia i życia. Martę ogarniał przytem straszliwy niepokój o dzieci. Tom był już wprawdzie obeznany z trzęsieniem ziemi, dość częstem i niezbyt groźnem w tych okolicach, i można było polegać na jego przezorności i rozsądku, ale Martę, a także i mnie trapiła myśl, że w razie naszej śmierci i dziatwa pozostawiona sobie byłaby skazana na niechybną zgubę. Piotr był obojętny i spokojny, lub przynajmniej udawał spokój.

Wreszcie uciszyło się nieco. Silny wiatr, który się zerwał nagle od morza, oczyścił trochę powietrze i rozgarniał rzednące powoli tumany dymu. Deszcz popiołu i żużli przestał już padać. Odetchnęliśmy swobodniej i zabieraliśmy się właśnie do dalszej drogi z powrotem, gdy wtem zaniepokoił nas jakiś dziwny a potężny szum i syk nad nami. Piotr wyskoczył pierwszy z kryjówki, aby zobaczyć coby to było, ale zaledwie stanął na wystającym głazie, wydał straszliwy okrzyk przerażenia: z góry pędził żlebem rozhukany potok lawy! Widziałem, że Piotr chciał zawrócić do nas, ale w tejże chwili zawył orkan, poprzedzający ten wylew płynnego ognia i zmiótł go tak z przed naszych oczu, że nie wiedzieliśmy na razie, co się z nim stało.

Skwar nieznośny i duszący wionął ku nam: oba żleby wypełniała już płynna czerwono-świecąco masa, hucząc w dół potwornemi kaskadami ognia i kamienia razem. Nie było ani chwili do stracenia. Gdyby się wylew wzmógł, lawa mogła nam odciąć powrót, wypełniając poprzeczne wgłębienia między żlebami, albo, co gorsza, rozkruszyć i unieść nasz ostrów kamienny tak, jak wartki prąd wezbranego potoku unosi po drodze gliniaste wysepki. Zatem nie myśląc już o Piotrze, którego w pierwszej chwili miałem za straconego, pochwyciłem na ramiona Martę, oniemiałą z przerażenia i począłem co prędzej spuszczać się ku dołom, czepiając się poszarpanego grzbietu sterczącej wśród żlebów grani.

Jakie to było schodzenie, o tem dzisiaj nawet straszno mi myśleć! Skały, o które rozbijała się piekielna fala, drżały pod moją nogą, jak pokład statku pędzonego przeciw wiatrowi całą siłą pary; okropny skwar groził nam upieczeniem się żywcem. Marta zemdlała i zwisła mi bezwładnie na ramieniu, co krępowało w najwyższym



stopniu moje ruchy. A musiałem przecież uważać, aby się nie pośliznąć, bo każdy krok fałszywy znaczył: śmierć.

Jakimś cudem nawpół uduszony od żaru, oślepiony gorącym dymem i blaskiem lawy, ogłuszony niewypowiedzianym szumem i potłuczony sypiącymi się z góry kamieniami dostałem się z Martą na równinę, skąd wyszliśmy byli przed kilkudziesięciu godzinami, tego już dzisiaj nie umiem powiedzieć.

Byliśmy jednak ocaleni. Lawa spłynęła gdzieś bokami przez lasy, które zadymiły w jednej chwili i pozostawiła w środku ogromny trójkąt wolny, którego wierzchołek stanowiła łąka i sterczącą nad nią grań, a podstawę morskie wybrzeże, ciągnące się przeszło tysiąc metrów pod nami.

Wziąłem się przedewszystkiem do ocucenia Marty. Gdy otworzyła oczy i przekonała się, że nie grozi nam już niebezpieczeństwo, zaczęła się zaraz dopytywać o Toma. Uspokoiłem ją, że Tom jest w domu i zobaczymy go niewątpliwie w dobrem zdrowiu, nim nadejdzie południe. Wtedy ona wyciągnęła obie ręce do mnie i poczęła powtarzać, jak wówczas w Kraju Biegunowym, gdym ją odszukał po powodzi:

— Mój przyjacielu, mój przyjacielu...

Było w jej głosie coś tak niesłychanie miękkiego i słodkiego, że dreszcz wstrząsnął całem mojem ciałem a spazm jakiś serdeczny ścisnął mnie za gardło. Pochyliłem nad nią twarz, aby mnie oczy nie zdradziły, a ona wtenczas wzięła moją głowę w dłonie i przygarnęła ją do piersi mówiąc:

— Tobie winna jestem życie własne i więcej: życie Toma, któremu jesteśmy jeszcze potrzebni. Ty jesteś dobry...

Pierś miała odsłoniętą, bo cucąc ją, rozerwałem suknię pod szyją. Dotknąłem czołem tej piersi, a równocześnie uczułem na głowie łzy, spływające jej z oczu.

Nagły pożar rozpalił się we mnie. Miałem tę kobietę, tak jeszcze piękną, a tak nadewszystko pożądaną i ukochaną tuż przed sobą; wystarczyło wyciągnąć ręce, objąć ją, obsypać pocałunkami, zadusić w uściskach. Krew przysłoniła mi oczy, w uszach zahuczały rozkielzane tętna żył: czułem ciepło i miękkość jej ciała, zapach jego upajał mnie, odurzał, oszaleniał... Wszakże jesteśmy — błyskało mi

w mózgu jak przez mgłę — jedynymi ludźmi teraz na tym globie, bo Piotr prawdopodobnie leży gdzieś martwy między głazami... A zresztą cóż mnie Piotr obchodzi, co mnie obchodzi wszystko na świecie i za światem, kiedy ona... Niewypowiedziana błogość, niewysłowione szczęście rozlało się spokojną falą po całej mej istocie.

— Nie!

Targnąłem się całą mocą i odskoczyłem w tył.

Piotr leży tam może w tej chwili gdzieś na skałach, pokrwawiony, pół martwy i czeka ratunku, a ja...

Marta spojrzała na mnie i — zrozumiała.

— Masz słuszność, — rzekła, jakby mi odpowiadała, choć nie odezwałem się ani słowa, — masz słuszność, idź i poszukaj Piotra.

Potem wstała i uścisnęła mi rękę.

— Dziękuję ci, — szepnęła.

Piotra znalazłem istotnie niedaleko miejsca, skąd wiatr go strącił. Leżał zaczepiony o ostry głaz, który go ocalił od stoczenia się w ogniem zionącą przepaść, bezprzytomny, ale jeszcze ze słabemi oznakami życia.

Zaniosłem go do domu, a wspólnym usiłowaniom Marty i moim udało się przywrócić mu zdrowie.

Kęs czasu minął już od tego wypadku, a ja pomny na chwilę słabości, staram się tem silniej, aby moja wola panowała zawsze nad tą resztą, która z nią razem tworzy duszę człowieczą.

A Piotr?... Siaduje po staremu milczący i ponury na progu domu i — nie wiem — może żałuje czasem, że nie zginął wówczas na stokach Otamora.

Ze mną wszystko snadź skończone. Wkrótce i te dzieci nie będą mnie już potrzebowały. Zacząłem sobie budować grób na Wyspie Cmentarnej...

## VI.

*Po sześciu dniach...*

Patrzę na ostatnie słowa, przed kilku księżycowemi dobami napisane i oczy mi się ćmią — nie łzami już, bo wyschły dawno, ale jak gorący piasek gryzącem bielmem przerażenia i rozpaczy. Nie dla siebie zbudowałem grób na Wyspie Cmentarnej.

Czemu... czemu?!

Odwieczne, głupie a tak straszliwie bolesne pytanie — bez odpowiedzi!

Zostałem sam.

Sam z czworgiem dzieci, tutaj zrodzonych, które nie są mojemi dziećmi. Jestem ostatnim na Księżycu człowiekiem z tych, co z Ziemi przybyli. Tamci dwoje, Marta i Piotr, poszli za O'Tamorem, za Remognerami, za Woodbellem. A ja żyję.

Jest to los, którego się najwięcej obawiałem i — najmniej spodziewałem...

I pomyśleć, że stało się to wszystko tak prędko! Sześć dni księżycowych, pół ziemskiego roku! Ktoby się był wówczas spodziewał! A przecież trzeci już raz wzeszło to leniwe słońce nad to morze, jak pogrzebałem tamtych. Jestem sam, tak straszliwie, tak okropnie sam, że zaczynam się zrywać w ciemności po nocach, a we dnie lękać się szelestu i cieniów, które rzucają mi pod nogi rozkołysane w wietrze rośliny-dziwoląg.

Tak, jestem sam. Bo przecież te dzieci — to nie są moi bliźni. To są istoty z innej planety w dosłownem znaczeniu tego wyrazu.

Cóżbym dał za to, aby tu mieć jeszcze przy sobie bodaj na jedną krótką chwilę Martę lub Piotra!

Gdy Marta zachorowała, nie przeczuwałem nawet, że się to wszystko tak strasznie skończy.

Widziałem wprawdzie od dawna, że organizm jej wyczerpany jest wszystkiem, co przeszła i osłabiony nurtującym w niej smutkiem, ale przecież ta myśl była odemnie daleka, tak daleka!...

Ostatniego dnia już Marta nie była zdrowa. Cichsza jeszcze i więcej zadumana niż zwykle, spędziła prawie cały dzień z dziećmi na morskiem wybrzeżu. Bawiła się z Tomem i pieściła nawet dziewczynki, dosyć zdziwione tym rzadkim u niej objawem czułości macierzyńskiej. Około południa, gdy przyszedłem nad morze powiedzieć, że czas już wracać ku domowi na stawach, bo wkrótce nadciągną burze, uśmiechnęła się do mnie i powtórzyła parę razy:

— Czas wracać, czas wracać...

Te wszystkie drobne szczegóły tak mi żywo stoją w pamięci, tak natarczywie na myśl się nasuwają, że teraz, gdy piszę, mam ją przed oczyma, widzę każdy jej ruch, słyszę jej głos — i wierzyć mi się nie chce, że jej już naprawdę niema i że naprawdę nigdy jej już nie zobaczę...

Idąc ku domowi wzięła najmłodszą Adę za ręce i dopytywała jej się, czy kocha Toma. Dziecię wstrząsnęło główką z przeczeniem.

— Nie. Nie kocham.

Marta posmutniała.

— Dlaczego nie kochasz? dlaczego? Aduś?

— Bo Tom jest nie dobry. Tom chce, żebym go słuchała.

— To źle — mówiła matka — trzeba Toma słuchać i kochać go, bo ty jesteś jego...

— Nie. Ja nie jestem Tomowa. Lili i Róża są Tomowe. Ja jestem swoja.

Zacząłem się głośno śmiać z tej odpowiedzi dziecka, ale Marcie zabłysły w oczach łzy.

— Niepodobna być swoją, niepodobna, — szeptała, raczej do siebie. Mimo to ucałowała dziewczynkę serdecznie.



Po południu rozmawiała długo z Tomem. Zawoławszy go do siebie, opowiadała mu o ojcu, powtarzając może po raz tysiączny mnóstwo szczegółów, które razem składały się na jakąś dziwną niby baśń, niby pieśń uwielbienia dla zmarłego kochanka. Tomasz był dzielnym i szlachetnym człowiekiem, ale we wspomnieniach Marty obraz jego stał się jakiemś bożyszczem, wcieleniem wszystkiego, co wielkie, dobre i piękne.

Napominała też Toma, by był dobry dla sióstr. Zastanowiło mnie to najwięcej, bo takie nauki rzadko z jej ust słyszał...

Przed wieczorem Marta zaczęła się skarżyć na ogólne osłabienie, zawrót głowy i bóle w kościach. Zazwyczaj znosiła wszelkie dolegliwości w milczeniu, tak że mogliśmy się tylko domyślać z jej twarzy, że jej coś brakuje, gdyż nigdy ani słowem nie mówiła nam o tem i nie szukała u nas współczucia ani pomocy. Nawet gdyśmy się dopytywali, widząc czasem, że mizernie wygląda, wstrząsała tylko głową i mówiła z uśmiechem:

— Nic mi nie jest. — Albo: — To przejdzie; nie umrę jeszcze, bo jeszcze jestem Tomowi potrzebna.

Wobec tego tem więcej zaniepokoiła mnie jej skarga tego wieczora. Spojrzałem na nią baczniej i dopiero teraz spostrzegłem przy świetle gasnącego dnia, że ma gorączkowe wypieki na policzkach a oczy podkrążone i zapadłe. Nie straciły nic ze swego dawnego blasku: wylane łzy i smutek gryzący nie zdołały ich przyćmić, ale paliły się teraz jakimś niezdrowym płomieniem, niepodobnym zgoła do dawnej, gwiezdnej ich jasności.

Gdy słońce zaszło, Marta, która się była położyła — więcej z osłabienia, niż dla potrzeby snu, — zaczęła się niepokoić i zrywać. Widoczne było, że ogarnia ją gorączka. Wołała dzieci, które już spały, to znów usprawiedliwiała się ledwo zrozumialnym szeptem — przed sobą, czy też przed duchem Tomasza, stojącym jej snadź na oczach — ze swego życia i wydania na świat tych biednych dziewcząt, a nawet z miłości do nich, której nie udało jej się całkowicie przemóc i pokonać. Zdaje się, że w jej przekonaniu ta miłość macierzyńska należała się wyłącznie synowi, a każdy objaw jej względem córek był krzywdą wyrządzoną jemu i pamięci zmarłego.

Po pewnym czasie uspokoiła się nieco. Siedzieliśmy obaj z Pio-

trem przy jej łóżku, zgnębieni i zaniepokojeni do najwyższego stopnia, zwłaszcza że pozbawieni środków lekarskich czuliśmy się bezradnymi wobec choroby. Marta patrzyła na nas długo szeroko rozwartemi oczyma, a potem naraz zapytała, czy słońce już zaszło? Odpowiedziałem jej, że już się zaczęła długa noc na Księżycu.

— A prawda! — rzekła znacznie przytomniej. — Przecież na świecie jest ciemno a tu światła się palą... Nie zauważyłam zrazu. A tam, nad *Mare Frigoris*, co teraz jest?

— Tam jest teraz dzień. Właśnie słońce wzeszło tam niedawno.

— Tak, słońce wzeszło... I świeci teraz nad grobem Tomasza, prawda? I to samo słońce z nad tego grobu przyjdzie tu do nas z rana?

Skinąłem głową w milczeniu.

— To samo słońce... — mówiła znowu chora. — I pomyśleć, że tak codziennie, przez tyle dni księżycowych, to słońce patrzyło na grób, a potem na mnie tu żywą i znów szło na grób, opowiadać mu, co tu widziało!

Zakryła oczy rękami i poczęła drżeć na całem ciele.

— To jest okropne! — powtarzała.

Piotr sposępniał i spuścił głowę. Zdawało mi się, że na pożółkłem i zwiędłem jego obliczu dostrzegłem nagły krwawy rumieniec, rozlewający się aż po zbruzdżone czoło.

Musiała to dostrzec i Marta, bo zwróciła się ku niemu:

— Nie chciałam ci, Piotrze, zrobić przykrości... teraz... Zresztą ty nie jesteś winien. Jakżebyś ty mnie był potrafił zmusić, abym została twą żoną, gdybym ja nie była chciała sama... dla Toma...

Zamilkła, oddychając głęboko. Po chwili odezwała się znowu:

— Chciałabym doczekać rana. To tak strasznie błąkać się w ciemności i szukać drogi tam na pustynię. Gdy tu dzień nastanie, nad *Morzem Mrozów* będzie świecić Ziemia. Wolę przy jej świetle stanąć nad grobem, bo nie wiem, czybym śmiała tak w pełnym blasku słońca spojrzeć...

— Marta! co ty mówisz! — krzyknąłem mimowoli.

Spojrzała na mnie i odpowiedziała krótko:

— Ja umrę.

Około północy zacząłem się już naprawdę obawiać, że umrze.



Nękała ją jakaś choroba, której nawet nie umieliśmy nazwać. Widzieliśmy tylko nadzwyczajny upadek sił, który w połączeniu z powracającą wciąż gorączką nie wróżył nic dobrego.

Zresztą co znaczą wszystkie lekarskie nazwania! Ja wiem, co to za choroba, znam ją aż nadto dobrze: nazywa się życie! Budzi człowieka z nieświadomości, pieści się z nim, igra, a wśród igraszek targa go i szarpie, morduje, tłoczy, aż wreszcie zmoże go i zniweczy. Z tą chorobą wszyscy się rodzimy i niemasz na nią lekarstwa — krom śmierci.

Piotr nie odstępował prawie od łóżka Marty. Patrząc na jego twarz ponurą i nieruchomą, mimo niepokoju, jaki mnie ogarniał z powodu Marty, zastanawiałem się mimowoli, co za uczucia mogą się kryć pod tą maską? Niestety, miałem się dowiedzieć o tem aż nazbyt prędko!

Nad ranem Marta była bardzo niespokojna, a dopiero pierwszy brzask dzienny sprowadził na nią ukojenie.

— Zobaczę jeszcze słońce! — mówiła i próbowała się uśmiechać zbladłemi wargami.

Teraz ja sam siedziałem przy niej, bo Piotr, znużony długą bezsennością, uległ wreszcie moim namowom i położył się spać w sąsiedniej izbie. Ranny brzask wdzierał się przez szyby z grubego, na Księżycu wyrobionego szkła, a światło lamp żółkło coraz więcej. Śnieg leżał na polach jak zwykle i gdy wiatr rozegnał nieco pary, podnoszące się wciąż z gorących stawów, widno było przez okna wielką i lśniącą płaszczyznę.

W tym ostrym i zimnym, od śniegu odbitym blasku nadchodzącego dnia, kłócącym się z żółtem i martwiejącem światłem lampy patrzyłem na Martę i nie miałem już zgoła wątpliwości, że wkrótce odejdzie od nas na wieki. Przez tę dwutygodniową noc zmieniła się nie do poznania. Twarz jej się wyciągła i pobladła; usta, niegdyś takie pełne, purpurowe i ponętne, zachodziły już blado-siną barwą śmierci. Z pod spuszczonych, niemal przeźroczystych, siatką drobnych żyłek powleczonych powiek patrzyły oczy gasnące już i nad wyraz smutne.

Oparłem czoło o krawędź łóżka i kąsałem palce, aby nie wy-

buchnąć okropnym, niemęskim płaczem, który mi się targał w piersi, jak zwierz na uwięzi.

Tymczasem na świecie robiło się coraz jaśniej. Opary, do niedawna jeszcze szare, przechodziły teraz przed oknami, poruszane wiatrem, jak lekkie, śnieżno białe widma. Czasem tuman ich skłębił się i świat zasłaniał, czasem wyciągały się w długie powiewne postacie, które zjawiały się nagle, biły pokłon przed oknem i przechodziły znów dalej. Wtedy widno było między ich smugi białe pola i chmurą owinięte, perliste kolumny gejzyrów i dalej nad niemi, na tle jasno-błękitnego nieba szczyt Otamora, zaróżowiony już pierwszemi promieniami słońca.

Marta zapytała o dzieci, ale usłyszawszy, że jeszcze śpią, nie dała ich budzić.

— Niech śpią, — szeptała — jeszcze je zobaczę... nim słońce wzejdzie. Tymczasem dobrze, że jest tak cicho.

Potem zwróciła się ku mnie:

— Ty będziesz im zawsze opiekunem, — prawda?

— Będę, — odpowiedziałem zdławionym łzami głosem.

— I nie opuścisz ich nigdy?

— Nie.

— Przysięgasz mi?

— Tak. Przysięgam.

Wyciągnęła ku mnie rękę:

— Dobry jesteś, mój przyjacielu, — szepnęła. — Umrę spokojnie, wiedząc, że ty o nich nie zapomnisz.

Pochwyciłem jej rękę i przycisnąłem namiętnie do ust. Palce jej drgnęły lekko, jakby chciały moją dłoń uścisnąć. Chłód bił już od nich tak, że nawet moje gorące wargi nie zdołały ich rozgrzać.

— Chciałabym ci jeszcze powiedzieć — zaczęła po chwili — przed śmiercią, że byłeś mi... drogi. Robiłam sobie z tego powodu wyrzuty większe, niż z tego, że byłam żoną Piotra... Może... gdybym była została twoją, miast jego, byłoby życie na Księżycu poszło innym torem, byłabym może żyła jeszcze dzisiaj...

Mówiła to wszystko cichym, gasnącym głosem, a we mnie nagle zerwała się burza. Ryknąłem płaczem, jak małe dziecko, i okrywając jej dłoń pocałunkami bez pamięci, wyrzucałem z piersi przez



łzy bezładne słowa miłości, tak długo tajone, a rozpętane dopiero teraz — wobec umierającej.

Ona przechyliła się nieco i położyła drugą rękę na mej głowie:

— Cicho — mówiła — cicho... Ja wiem... Nie płacz. Tak jak się stało, lepiej się stało... Byłeś mi drogi za swą szlachetność, za miłość dla Toma, zresztą — ja nie wiem sama za co... ale, mimo wszystko, możebym nie była dobra dla ciebie, gdybyś był stanął między mną a tamtym, zmarłym, który jeden miał do mnie prawo. Cicho już — nie płacz. Wiesz już teraz. Myślę, że Tomasz mi przebaczy, żem to czuła i teraz tobie w godzinę śmierci powiedziała... Ja byłam taka nieszczęśliwa...

Zamilkła wyczerpana, a ja, ukrywszy twarz na jej piersi, trząsłem się cały, targany wewnętrznem łkaniem.

Ale ona po chwili zaczęła znowu:

— Niech będzie... wyznam ci już wszystko. I tak po raz ostatni z tobą rozmawiam... W owo południe...

Umierająca urwała na chwilę, jakby nagły wstyd, nie blednący nawet wobec śmierci, głos jej zatamował, — ale ja wiedziałem, o jakiem ona południu mówiła! —

Milczała przez jakiś czas, zlekka tylko poruszając wargami, aż wtem, z nagłym wybuchem, podnosząc ręce ku skroniom, zakrzykła:

— Czemuś ty Piotra nie zabił!? —

W tej chwili posłyszałem stłumiony jęk za sobą. Było w nim coś tak strasznego, że mimowoli zerwałem się i odwróciłem głowę. — We drzwiach, dłonią o uszak oparty, stał Piotr, blady jak trup i patrzył na nas szeroko rozwartemi oczyma. Musiał stać tu już dość długo i słyszał zapewne wszystko, co Marta do mnie mówiła.

Gdy zauważył, że go spostrzegłem, postąpił chwiejnie parę kroków naprzód i zabełkotał coś niezrozumiałego.

Marta ze stłumionym okrzykiem wstrętu odwróciła się ku ścianie.

— Przepraszam, — wyjęknął Piotr, — Przepraszam; to mimowoli... Nie chciałem...

W tej chwili rozległy się w drugiej izbie głosy i tupotania.

— Dzieci! — zawołała Marta i wyciągnęła ręce. Ale dziewczynki onieśmielone zatrzymały się w progu i tylko Tom przypadł

do niej, więc wzięła jego głowę w drżące dłonie i przygarnęła ku łonu.

Piotr spojrzał na to i przystąpił do mnie:

— Obiecałeś jej, — tu wskazał głową Martę, — pamiętać o wszystkich dzieciach... o wszystkich! jednakowo...

Nim zdążyłem odpowiedzieć, zaskoczony tą dziwną uwagą, jego już nie było w izbie.

Między pląsające przed oknem opary przedostawał się już promień słoneczny, zamieniał górne szyby w kawałki jaśniejącego złota i biegł świetlistym snopem przez duszną atmosferę pokoju. Marta leżała bez ruchu, wpatrzona gasnącym wzrokiem w płat słonecznego światła, który coraz niżej ześlizgiwał się po ścianie i jak anioł zstępujący płynął ku jej poduszkom. Dziewczątka poczęły się na palcach zbliżać do łóżka, patrząc ze zdziwieniem na bladą i nieruchomą twarz matki.

Duszno mi było; w ustach czułem żrącą gorycz. Ten nastający dzień przychodził dla mnie jak bezlitosne, bolesne szyderstwo, bo wiedziałem, że zacznie się z nim pustka i patrzenie w przeszłość. — Chwile mijały w milczeniu...

Nagle Tom krzyknął:

— Wuju, wuju! ja się boję! Mama patrzy tak strasznie!

Odwróciłem się: promień słońca, padłszy na poduszki, oświecał twarz Marty zastygłą i martwą, szklistemi oczyma w słońce jeszcze wpatrzoną.

— Wasza matka umarła, — szepnąłem jakimś cudzym i zdławionym głosem do dzieci, które się cisnęły teraz zalęknione i zdumiałe dokoła łóżka. Poczem pochyliłem się, aby przymknąć jej powieki.

W tej chwili rozległ się huk wystrzału. Poskoczyłem ku drzwiom: Piotr leżał w sąsiedniej izbie na podłodze z roztrzaskaną skronią i dymiącym rewolwerem w ręku.

Zatoczyłem się na progu jak pijany...

Dzisiaj oboje leżą już w grobie. Ja sam oddałem im ostatnią śmiertelną posługę, owinąłem ich ciała w duże, z roślinnych włókien utkane i żywicą przepojone całuny i we własnych ramionach na łódź je zaniosłem, która je miała powieść na Wyspę Cmentarną. W łodzi obok mnie i trupów siadło czworo dzieci. Troje starszych



skupiło się około ciała matki. Tom zdumiały i przestraszony widokiem śmierci, siedział milczący u nóg trupa; Lili i Róża chwytały całun rączkami i wołały z płaczem matki, jak gdyby dopominając się jeszcze należnych im pieszczot, których im za życia skąpiła.

Ciało Piotra leżało w łodzi opuszczone. Najmłodsza dziewczynka tylko podpełzła ku niemu i głaszcząc rączką pokrywające je zwoje grubej tkaniny, szeptała cichutko:

— Biedny tatuś, biedny...

Smutnej naszej podróży sprzyjała cudowna pogoda. Słońce jeszcze nie wysoko nad widnokrąg wzniesione, rozświetlało złociście ogromną a spokojną, zaledwie w drobne skiby leciuchnym powiewem zoraną płaszczyznę morza, wśród której majaczyły przed nami dalekie wyspy, w przeźroczystej, błękitnej mgle zatopione. I nigdy w życiu nie czułem tak żywo i tak boleśnie tej bezlitośnej i strasznej ironji, która się mieści w pięknie przyrody, obojętnej zarówno na radość, jak i na ból człowieka. Bo przecież ja wiozłem na tej łodzi dwie ostatnie istoty ludzkie, które ze mną przybyły na ten glob i znały, jak ja, rodzinną mą Ziemię, wiozłem je martwe, aby napełnić grób dla siebie zbudowany i pozostać już potem na wieki samotnym, — a słońce świeciło spokojne, przepiękne i wspaniałe tak samo, jak wtedy, gdym szczęśliwem dzieckiem igrał w jego blasku na tej odległej odemnie w tej chwili płanecie.

Z łodzi zaniosłem ich oboje na plecach do grobu, który zbudowałem na wyżynie w najpiękniejszej okolicy wyspy. Lekkie były te trupy, sześćkroć lżejsze, niźli bywają na Ziemi, a przecież uginałem się pod ich brzemieniem... I nic dziwnego! Niosłem przecież do grobu resztkę mojego gorzkiego szczęścia!

Martę pochowałem w grobie, który niegdyś dla siebie przeznaczyłem. Dla Piotra wykopałem drugą mogiłę nieco niżej.

I będę żył dalej... Nieraz wprawdzie, kiedy ciężar niewypowiedzianej tęsknoty przygniata mnie i łamie, zbiera mnie straszna pokusa, aby odejść z tego globu jedyną, jaka mi pozostała drogą, którą stąd poszło już przedemną tamtych sześcioro: O'Tamor, dwaj Remognerzy, Woodbell, Varadol i Marta, ale wtedy przypomina mi się przysięga, dana umierającej, że nie opuszczę jej dzieci. Dla nich muszę żyć. Jestem teraz tak skazany na życie, jak — póki ona

żyła — byłem skazany na miłość. I te dwie najlepsze rzeczy na świecie stały się dla mnie najsroższym bólem i najgorszem cierpieniem...

Dni moje do tych dzieci należą. Staram się wszelkiemi siłami o nich ciągle myśleć, zajmuję się niemi, uczę je, garnę ku sobie, chronię i rozwijam, bo dalibóg na mnie bezdzietnym ciąży duchowe ojcowstwo księżycowego pokolenia.

Ale nocami wracam na Ziemię i rozmawiam ze zmarłymi. Coś się już w mózgu moim popsuło i zerwało, albo też ból ze serca wstający mgłą go przesłonił, bo jawa snem mi się wydaje, a senne marzenia są dla mnie życiem prawdziwem...

Tęsknię do snów. Chodzę w nich po Ziemi i z rozczuleniem całuję jej drzewa, kwiaty, nawet proch i kamienie — i tak mi się zdaje, że mnie z niej nigdy nie oderwała szalona pycha poznania tajemnic gwiaździstych przestworzy.

Czasem znowu przychodzą do mnie zmarli towarzysze.

Więc idzie naprzód siwy O'Tamor i obwinia się, on, co był dobrocią samą, że wywiódł nas lekkomyślnie na ten glob pusty, jak lampa dla Ziemi wśród nieb zawieszony. Potem widzę Remognerów. Skarżą się, że poszli za nami i śmierć znaleźli. Woodbell pojawia się blady i pyta, cośmy z Martą zrobili? czy była z nami szczęśliwa? Piotr opowiada mi we śnie to, co za ostatnich lat życia z oczu tylko jego czytałem: o swojej dzikiej i namiętnej miłości do Marty, która go tak pożarła, jak ogień garstkę wiórów pożera; o losie swym strasznym, który mu nie dał ani jednej chwili szczęścia, a kazał natomiast przez lata całe widzieć wstręt, odrazę i pogardę w oczach pożądanej i posiadanej kobiety i milczeć i tłumić w sobie wszystką miłość i wszystek ból i obrażoną dumę męską; opowiada mi, jakie piekielne rzeczy w jego duszy się działy w ową ostatnią noc, kiedy widział mnie z twarzą ukrytą na jej piersi i później jeszcze, kiedy przykładał rewolwer do czoła...

Ten korowód smutnych duchów zamyka Marta. Zjawia się przedemną cicha, — z bolesnym uśmiechem do ust przywartym i dziękuje mi za to, że byłem człowiekiem, a czasem, zdaje mi się, wyrzuca oczyma, że nie byłem... —

Taka otchłań smutku i żalu jest we mnie...



Tak te duchy rozmawiają ze mną. A chociaż nic mi nie mówią wesołego, to przecież swojsko mi jest i dobrze z niemi, bo to są moi bliźni.

To nowe pokolenie księżycowe, wzrastające dokoła mnie, jest już jakieś inne. Dzieci to są jeszcze, a przecież czuję już, że tworzą dla siebie świat odrębny, który dla mnie, z Ziemi przybyłego zawsze będzie obcy, podobnie jak mój świat jest niedostępny dla nich, urodzonych na Księżycu.

A przecież ja, brat tych sześciu grobów rozsianych po Księżycu, muszę żyć z tymi, dla których ten glob jest ojczyzną — i kto wie, jak długo jeszcze...

*KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.*

# RĘKOPISU CZĘŚĆ TRZECIA.

## WŚRÓD NOWEGO POKOLENIA.

## I.

*W Kraju Biegunowym.*

Dojrzewa już to pokolenie, a ja jestem wśród niego coraz mniej potrzebny i coraz smutniejszy... Poszedłem tedy w Kraj Biegunowy, aby patrzeć na Ziemię i być samotnym.

Od naszego EXODU z Ziemi Utraconej upłynęło już dwieście dziewiętnaście dni księżycowych, a sześćdziesiąt siedm upłynęło od śmierci Marty i Piotra.

Dziwno mi, że nie umieram...

*

Mieszkam więc znowu na Biegunie. — Bezbrzeżna tęsknota za ojczyzną moją, Ziemią, ciśnie mnie coraz więcej. Zapominam wobec niej nawet o tem pokoleniu, zdanem mi przez Martę w godzinę śmierci. Ale ono żyje tam nad morzem i jest szczęśliwe. Gdym od-

chodził, budziło się w niem wiosenne uczucie miłości. — Zanadto rozkosznie i nadto... boleśnie było mi patrzeć na tę wiosnę...

Tutaj jest cisza i samotność i wspomnienie...

*

Było znowu zaćmienie słońca i Ziemia czarna jak trup na tęczach złocistych i ulewa i powódź...

Od EXODU naszego dni księżycowych dwieście dwadzieścia sześć...

Jakiś niepokój mnie zbiera, co się dzieje z dziećmi Marty. Trzeba będzie iść tam znów — nad morze, i zobaczyć, czy mnie nie potrzebują.

Sen miałem przykry i Martę we śnie widziałem..

*

Byłem w Krainie Ciepłych Stawów po siedmiu księżycowych dniach nieobecności... Przywiodła mnie tam troska o dzieci Marty.

Tom jest mężem swoich sióstr, Lili i Róży.

To jest rzecz zastanawiająca, jak ci ludzie karleją na Księżycu! Tom jest już dorosły, a głową nawet ramion mi nie sięga. Ada, zdaje się, będzie jeszcze mniejsza...

Za pobytu mego nad morzem był straszliwy wybuch Otamora, największy ze wszystkich, jakie pamiętam. Południowa strona krateru obsunęła się w morze... Był to dzień księżycowy dwóchsetny trzydziesty i ósmy od EXODU naszego, — w czternaście godzin po południu wybuch się rozpoczął.

Kiedy odchodziłem, Róża spodziewała się potomstwa.

Adę zabrałem ze sobą, — zbyt tam była opuszczona... Potrzebuje teraz mojej opieki, więcej, niż kiedykolwiek. To straszne, że mi jeszcze umrzeć nie wolno!

Przybyłem do Kraju Biegunowego w dwieście pięćdziesiąt jeden dni księżycowych od naszego EXODU. Tom starał się zatrzymać mnie przy odejściu, ale mimo to widziałem, że był rad, iż odchodzę. Tom jest samowładny i niechętnem okiem patrzył na moją



powagę wobec jego żon. Rad jest także z odejścia ze mną Ady, której nie lubi, gdyż mu się ona nie chce poddać, choć to dziecko jeszcze.

*

Idą godziny blade i chłodne, jak to światło niewidzialnego słońca na biegunie, — długi, długi! nieskończony szereg godzin...

Z trudem tylko utrzymuję rachubę czasu; mówię nie wiele i Ada przy mnie milczy. Przesiaduje całemi godzinami na zielonych mchach i wodzi smutnemi, blademi oczyma dziecka po różowo oświetlonych szczytach gór...

A ja...?

Nie wiem już sam doprawdy...

Od dawna przestałem żyć teraźniejszością, a tem więcej przyszłością. Oglądam się za to poza siebie i patrzę nieustannie w twarz moim wspomnieniom. Niewesołe towarzystwo! — Smutny jestem tam nad morzem i smutny tu, gdzie widzę Ziemię na skraju niebokręgu.

*

Długi już czas upłynął od zapisania tej ostatniej notatki... Ada wyrasta i zaczyna tęsknić za rodzeństwem; widzę to po niej, choć wprost nie chce się przyznać do tego.

I ja myślę, że mimo wszystko czas mi powrócić nad morze. Starzeję się, a gdybym umarł w tej pustce i samotności, Ada byłaby skazana na zagładę. Dla niej powrócę znowu, choć Bóg widzi, jakbym rad pozostać tutaj i umrzeć, patrząc na Ziemię!

A i tak się już boję, że to dziecię za długo żyło ze mną, milczącym i smutnym samotnikiem. Dziwne jest to dziecko — i to dziwne, że w tej samotności, miast się zbliżyć, stajemy się coraz więcej obcymi wzajem dla siebie. Ona patrzy na mnie szeroko rozwartemi oczyma i widzę, że myśli o wielu rzeczach, których mi nie mówi.

Wszak mogę się przyznać sam przed sobą? — jestem tutaj z tą dziewczyną tak długo, a przecież nie przywiązałem się do niej, — owszem, razi mnie wciąż jej obecność, tak chciałbym być sam i dumać bez przeszkody o przeszłości... o Ziemi...

A jednak trzeba wracać... do Toma, do dzieci Tomowych, które patrzyć na mnie będą ze zdumieniem i zgrozą, na starego, siwego człowieka, który przybył ongi ze Ziemi, a teraz długo żył w samotności...

Trzeba mi wracać... Wracać nam trzeba, Ado...

Jeszcze mi umrzeć nie wolno.

## II.

*Nad morzem przy Ciepłych Stawach.*

Od EXODU naszego dni księżycowych czterysta dziewięćdziesiąt dwa, to znaczy blizko trzydzieści ośm lat ziemskich. Bardzo dawno już nie zapisywałem nic na tych kartach, — dzisiaj biorę je w rękę, aby zanotować śmierć Róży.

Umarła, rzecz straszna, z winy swego męża i brata, ukochanego niegdyś mego wychowanka, Toma, który w gniewie uderzył ją kamieniem w głowę!

Druga żona Toma i dzieci jego starsze przyjęły ten czyn w milczeniu, — zdaje im się, że on ma prawo zabijać wszystkich, którzy mu nie są posłuszni. Jedna Ada, zawsze zdala się trzymająca od Tomowej rodziny, wystąpiła teraz przeciw zabójcy. Bez wybuchu, bez krzyku, tylko z groźną twarzą i podniesionemi rękoma szła dziewczyna ku niemu, a on się cofał lękliwie, choć mógł ją jednem uderzeniem dłoni powalić, bo większy jest i silniejszy.

Ale ona zatrzymała się dwa kroki przed nim i pokazując jedną ręką za siebie, na świeży trup kobiety, poczęła drugą trząść nad jego głową i wołać:

— Za krew twojej żony przeklinam cię w imieniu Starego Człowieka!

(Starym Człowiekiem mnie tutaj teraz nazywają).

Tom się uląkł, ale po chwili spojrzał na mnie wciąż milczącego

posępnym wzrokiem, a potem rzekł do Ady, usiłując nadać hardość swemu głosowi:

— Róża była moja, — wolno mi było robić z nią wszystko... żywić ją lub zabić. Dlaczegóż była nieposłuszna?

Ten straszny wypadek i ta zbrodnia — mimowolna, gdyż nie wierzę do tej chwili, aby Tom z zamiarem zabójstwa uderzył był żonę, — oświetliły mi nagle trzy rzeczy, z których dotąd niedość jasno zdawałem sobie sprawę.

Widzę przedewszystkiem tyrańskwo Toma i zdaje mi się, że ja temu jestem winien, bom go wychował, a nie umiałem zrobić go innym. Zresztą nie trzeba może było spędzać samotnych lat w Kraju Biegunowym, a tych tu zostawiać swemu losowi...

A potem zadziwiła mnie Ada. Widzę z jej wystąpienia i z wielu rzeczy, które mi się dopiero teraz przypominają, to, na co nie dość dotąd zwracałem uwagi, mianowicie szczególny jej stosunek do brata i jego rodziny. Zdaje mi się, że oni się nienawidzą wzajemnie, a mimo wszystko tamci boją się tej dziewczyny, najmłodszej z pierwszego pokolenia tutejszych ludzi. Ona trzyma się zdala od nich i jest wśród nich jakby kapłanką, — choć nie wiem, czy ten wyraz dobrze rzecz określa... Żal mi Ady, bo jest samotna i samotna zda się będzie zawsze na tym świecie, tak jak ja, — żal mi jej tem więcej, że ja nie zdołam być dla niej tem, czem bym może być wobec tego powinien: dobrym ojcem i przyjacielem. Ale w jej też stosunku do mnie więcej jest czci jakiejś zabobonnej niż miłości. Snadź i temu ja sam jestem winien...

A trzecia rzecz, która mnie najwięcej przestraszyła, bo najbliżej mnie dotyczy: oni uważają mnie... Ale nie! może się tylko łudzę! Cóż, że Ada przeklinała Toma w *mojem* imieniu? Wszak jestem tu najstarszy, więc pewnie tylko dlatego... A jednak, gdyby tak było, czyżbym i temu... bałwochwalstwu ja był winien?

Jak oni wszyscy dziwnie wymawiają te wyrazy, któremi mnie mianują: *Stary Człowiek*...

*

Miałem dzisiaj znowu sen, który od lat mnie już trapi niezmiennie i sprawia, że coraz więcej obcym się czuję wśród tego świata...



Śniło mi się, że byłem na Ziemi.

Ale dziś był to sen dziwny...

Miałem dookoła siebie ludzi, z któremi rozmawiałem z najwyższem zajęciem o sprawach państw, narodów, postępu... Mówiono mi, że granice niektórych krajów zmieniły się od czasu, gdy Ziemię opuściłem, że teraz są już inne prawa i wiele z dawnych wierzeń upadło. Zaciekawiony byłem tem wszystkiem i chciałem po długiem niewidzeniu obejrzeć Ziemię własnemi oczyma, aby się przekonać, jak wygląda.

Wybrałem się więc w podróż i szedłem przez znane mi niegdyś okolice i miasta. Rzeczywiście zmieniło się wiele. Lotem ptaka przelatywałem nad lądy i dziwiłem się, że na miejscu dawnych stolic widziałem gruzy, na miejscu łanów kwitnących pustynie i zgliszcza, a tam, gdzie niegdyś rozciągały się pustynie, spotykałem wody lub pola uprawne i łąki, otaczające stolice nowe, pełne ruchu i życia. Zatrzymywałem się czasem i zachodziłem do domów ludzi i zapytywałem o rzeczy z moich czasów, ale nikt mi już nie umiał odpowiedzieć. Wstrząsano tylko głowami i mówiono: »Nie wiemy nic o tem«, albo: »Zapomnieliśmy«.

Przestrach mnie ogarniał i żal niewysłowiony, bo widziałem, że ta Ziemia jest już inna i niepodobna zgoła do tej, jaką ja znałem.

Widocznie — myślałem we śnie — upłynęły już nie lata, ale wieki od czasu, jak stąd odszedłem; na Księżycu tak trudno liczyć długie, podobne do siebie dnie — musiałem ich wiele pogubić w pamięci... Przybywam na Ziemię, — której nie znam i która już mnie nie zna.

I naraz uczułem się tak straszliwie nieszczęśliwym! Obcy na Księżycu, z którym zżyć się nie zdołałem, obcy na Ziemi, na którą jakimś cudem wróciłem — zapóźno! gdzież sobie miejsce teraz znajdę?

Szybowałem więc dalej w powietrzu z ogromną pustką w sercu, a tymczasem po krótkim dniu noc się już robiła. Pierwsze gwiazdy rozbłyskały już na niebie, kiedy wewnętrznym pędem niesiony znalazłem się nad bezbrzeżną płaszczyzną oceanu. Podemną wiły się fale, jak potworne, przelewające się skręty jakiegoś zwierza o śliskiej

i błyszczącej łusce, a w falach odbijał się tuman złocistych świateł niebieskich.

Spojrzałem dokoła: tutaj jedynie nic się nie zmieniło! Ta woda była tak samo niezmierzona, jak dawniej i tak samo ruchliwa.

Ale gdy o tem myślałem, spostrzegłem, że morze dziwnie się wydyma i podnosi ku mnie swe fale. Teraz też dopiero zauważyłem, że wprost nademną stoi Księżyc w pełni, a przez ocean idzie ku niemu olbrzymi wał przypływu. Zląkłem się widma tego świata tam w górze i chciałem uciekać dokądś, gdzie blask jego nie sięga, ale nagle sił mi zabrakło. Uczułem że opadam na wzdymające się wciąż fale, a one rosną i podrzucają mnie coraz wyżej, ku Księżycowi, wyginają się w jakieś potworne, niesłychanie długie szyje o pienistych grzywach, ryczą przytłumionym śmiechem i coraz wyżej, coraz wyżej mną rzucają. W najwyższem przerażeniu obejrzałem się na Księżyc: rósł w mych oczach, coraz bliższy, wydymał się, zajmował już pół widnokręgu; całe niebo było nim już nakryte, jak szarosrebrnym kaskiem. Zdawało mi się, że dostrzegam już na jego krawędziach wychylające się główki skarlałego potomstwa Marty i słyszę złośliwy śmiech i wołanie:

— Wróć do nas! wróć do nas, Stary Człowiecze! tyś już nie ziemski!

Rozpacz, przestrach, wstręt, obrzydzenie i straszliwa żądza pozostania na Ziemi, chociażby ona znać mnie już nie chciała — wszystko to naraz przeszło burzą przez pierś moją; krzyk okropny wydarł mi się z gardła, wytężyłem wszystkie siły, aby się oprzeć rzucającym mnie w przestrzeń falom, chwytałem się wody rękami, biłem nogami powietrze...

Nadarmo! Uczułem nagle, że Ziemia, zamiast pod memi nogami, jest mi już nad głową, a ja spadam na Księżyc z powrotem...

Straszny sen! straszniejsza rzeczywistość...

*

Od naszego EXODU dni księżycowych pięćset i jeden.

Tom wybrał się statkiem z dwoma najstarszymi synami w podróż odkrywczą na południe. Z opowiadań jego wnoszę, że dotarli prawie do samego równika. W dalszej jednak podróży powstrzymały



ich straszliwe, tropikalne burze morskie. I tak z niczem wracać musieli.

Tom po powrocie rozmawiał długo ze mną. Mówił dużo o matce swojej i o Róży i żałował jej śmierci. Potem, wspomniawszy o wyprawie i opisawszy mi straszliwe trudy, jakie przebył, zadumał się, a wreszcie powiedział, iż się obawia, że to była ostatnia jego podróż...

Istotnie — patrzę na niego i nie pojmuję już doprawdy... Ten człowiek, przeżywszy zaledwie połowę mego wieku, jest już starcem. Na Ziemi byłby w pełni lat dopiero. Tutaj ludzie wcześniej dojrzewają i wcześnie się starzeją. Tem dziwniejsza, że ja żyję...

Powiedziałem mu to, a on popatrzył na mnie i rzekł po chwili wahania.

— Tak, ale Ada i dzieci moje mówią, że ty jesteś Starym Człowiekiem...

Dziwnie te wyrazy zabrzmiały w jego ustach.

— Ale ty, — odparłem, — ty, co znasz mnie od dzieciństwa swego, co ty mówisz o mnie?

Tom nic nie odpowiedział.

*

W czternaście dni księżycowych po śmierci Róży umarł Tom, Pozostawił dwanaścioro dzieci, pięcioro ze zmarłej żony, a siedmioro z Lili.

Pochowałem go sam na Wyspie Cmentarnej obok grobów Marty i Piotra i Róży i najmłodszego trzynastego jego dziecięcia, które umarło było wkrótce po narodzeniu.

Lili rozpacza straszliwie po śmierci męża. Zdaje mi się, że i ona wkrótce za nim pójdzie.

Ada jedna jest spokojna...

Patryarchą księżycowego ludku jest teraz Jan, najstarszy syn Róży i Toma, ożeniony z córką Lili...

A ja... ja się już nie liczę od dawna...

*

Ada powiedziała mi dzisiaj z głębokiem przekonaniem, że ja nigdy nie umrę... Nie wiem, czy ona jest szalona i to księżycowe pokolenie, które słucha ją i snadź jej wierzy, czy też istotnie ja sam jestem dziwnym wyjątkiem wśród ludzi...

Bo istotnie — dlaczego ja jeszcze żyję? —

*

Lili umarła.

Z pierwszego pokolenia księżycowego Ada już tylko jedna jest przy życiu.

Od EXODU naszego dni księżycowych pięćset i siedemnaście...

*

Strach mnie przejmuje, bo tu naprawdę koło mnie dzieje się coś, czego nie mogę i nie chcę, nie chcę! zrozumieć...

Ten ludek podczas burzy, sroższej dzisiaj, niż zazwyczaj, i połączonej z groźnym wybuchem Otamora, — ten ludek przyszedł tedy pod moje mieszkanie z ofiarami, mając na czele szaloną kapłankę, Adę, której snadź długi niegdyś pobyt i samotność w Kraju Biegunowym zmysły odebrały. Już od czasu opłakanego zabójstwa Róży, które ją straszliwie wstrząsnęło, zacząłem uważać, że w jej głowie coś niedobrego się dzieje, — teraz widzę, że ma naprawdę pomieszanie zmysłów. Ale ja to jeden widzę! — oni ją czczą i mają za natchnioną! I dzisiaj pod jej szalonem przewodnictwem — straszno powiedzieć! — modlili się do mnie, abym powstrzymał wichry i uspokoił kołyszącą się pod ich nogami ziemię! Więc oni mają mnie naprawdę za...

O! jakże ja strasznie jestem samotny w towarzystwie tej obłąkanej i tych karłów, zaledwie zasługujących na miano ludzi! —

*

Takie mnie czasem straszne ogarnia zniechęcenie... Zabrałem się dzisiaj do porządkowania zapylonej od dawna bibljoteki mojej i papierów i przyszła mi nagle ochota spalić to wszystko i ten pamiętnik także...



Nie spaliłem. Ale książki i papiery zostały rozsypane na podłodze, — leżą w bezładzie przed oczyma mojemi, a mnie się ręki nie chce ściągnąć, aby je podjąć.

Niech tak zostaną. Gdy umrę — zapewne nikt ich już nie poruszy.

## III.

Tyle dni, tyle nieskończenie długich dni i nocy...

Zdaje mi się, że straciłem rachubę czasu. Tak ciężko liczyć dnie, podobne do siebie, jak krople wody, dnie, którym mój stary ziemski zegar nie może wydążyć — i ustaje w biegu, nim słońce wzniesie się w południe... Tylko serce moje znaczy uderzeniami każdą cząstkę doby, a kiedy je zapytam, która jest godzina, odpowiada niezmiennie, że jest godzina nieukojonej tęsknoty; a kiedy je zapytam, ile tych godzin upłynęło, odpowiada tylko: Za dużo! za dużo!

Tak jest, o, nieutulone, samotne serce moje! za dużo tych godzin, za dużo tęsknoty, za dużo już życia...

Włosy mam siwe oddawna... Od jak dawna? — A bo ja wiem? Tam na Ziemi musiało już upłynąć lat kilkadziesiąt od czasu, kiedym trupami napełniał pierwsze groby na Wyspie Cmentarnej. Przybyło już tych grobów dzisiaj. Kopałem mogiły dla Toma, dla Lili i Róży, którzy przecież byli dziećmi, gdym ja się już chylił; dokoła mnie wzrastają prawnuki tych, co ze mną na ten świat przybyli ze Ziemi, — a ja ciągle żyję.

To jest tak zadziwiające, że czasem nie rozumiem już własnej istoty: gotówbym sam przypuścić, że prawdę mówi ta wśród księżycowego pokolenia rozszerzona o mnie legienda, że ja wogóle nigdy nie umrę...

Przypominam sobie — na Ziemi, na mojej ukochanej, na zawsze straconej Ziemi, czytałem raz w książce jakiegoś uczonego przyrodnika, że śmierć jest zjawiskiem niepojętem i przypadkowem, nie wynikającem bynajmniej z warunków życia. Strach mnie przenika, gdy pomyślę, że wobec tego mogłaby zapomnieć o mnie i nie przyjść...



*

Jeśli dobrze liczę, pięćdziesiąt z górą lat minęło już od czasu, kiedy z pomarłymi dziś towarzyszami opuściłem Ziemię.

Z tych ludzi, których ja znałem, zapewne mało kto żyje; ci, którzy w dzieciństwie słyszeli o szaleńcach, udających się w podróż na Księżyc, są teraz siwi i zapomnieli może imion owych podróżników, których tam mają za straconych...

Pięćdziesiąt lat! Ileż się rzeczy od tego czasu musiało zmienić na Ziemi. Możebym znanych niegdyś okolic nie poznał teraz. I pamięć moja już słabnie... Tkwi w niej jeszcze mnóstwo szczegółów, z któremi się pieszczę z lubością w długich godzinach rozmyślań, ale widzę, że z każdym dniem stają się coraz luźniejszemi obrazami, mozajką drogocennych, tęsknotą moją rozlśnionych kamieni, która się już rozsypuje i łamie...

Składam tę mozajkę w myśli wciąż od nowa; kamyki, które już w ciągu długich lat pogubiłem, uzupełniam jakiemś smutnem rojeniem i znowu zmieniam obrazy, bawiąc się na starość temi skarbami wspomnień, jak dziecko kalejdoskopem.

I takie są perliste te wspomnienia, gdy przez łzy na nie patrzę!

O! gdyby jeden dzień, jedna godzina tam — na Ziemi! Gdyby zobaczyć jeszcze ludzi, takich prawdziwych, do mnie podobnych ludzi! o! gdyby słyszeć szum lasów: świerków, lip i dębów, gdyby zobaczyć jeszcze rozpuszczone na wiatr warkocze brzeziny, widzieć na łąkach trawę, czuć zapach ziemskich ziół i kwiatów, słyszeć śpiew ptaszęcy, patrzyć, jak łany pokrywają się na wiosnę runią ozimin lub falują w lecie złocistymi kłosami!

Wiele rzeczy na Ziemi zmienić się musiało, ale ludzie są tak samo, tak samo są ptaki i rośliny!

Czasem przypomina mi się złota gadka, że dusza ludzka z ciała uwolniona może wędrować do woli po światach, gwiazdach i słoń-

cach. Niegdyś małym chłopcem, mieszkając jeszcze na Ziemi, marzyłem, myśląc o tem, o podróżach po gwiaździstem przestworzu, — teraz pragnąłbym tylko być na Ziemi, wiecznie, wiecznie na Ziemi! A gdy czasem strach mnie przejmie, że ta Ziemia dzisiaj już inna, niż ja ją znałem przed pięćdziesięciu laty, to przypominam sobie, że są przecież ludzie, są lasy i śpiewające w nich ptaki, są łany i kwitnące na nich kwiaty... To wystarczy duchowi mojemu, jeśli będzie miał wolność iść tam...

Jak dawno ja już nie słyszałem śpiewu ptasząt!

A pamiętam, pamiętam jeszcze ranki takie, całe ptactwem rozśpiewane... Szary świt robi się na świecie, niebo blednie, potem różowi się lekko od wschodu, — cisza jest ogromna, — słychać tylko szelest dużych pereł rosy, spadającej z liści drzew. Wtem naraz pierwszy, krótki, urwany świergot, po nim drugi, w innej stronie, i trzeci, czwarty... Jeszcze chwila ciszy, a potem jakby wszystkie drzewa, wszystkie krzewy ożyły: świergot wszczyna się na około, klaskanie, gwizd, bicie i gwar, — zrazu można jeszcze poszczególne głosy odróżnić: tu kos się odezwał, tam z lasu słychać krzyk sojki, ówdzie bliżej wróble, sikorki, pliszki, a w górze skowronek, — później już jest tylko jeden ogromny, radosny, dźwięczny chór; powietrze drży od niego, listki, zda się, drżą i kwiaty i trawy... Na świecie tymczasem robi się coraz jaśniej, na niebie coraz rumianiej — aż wreszcie i słońce wypływa na firmament.

Tutaj słońce wschodzi leniwo i cicho... Chciałoby się przypuścić, że nie spieszy się dlatego, że go nie wołają żadne głosy... Kilkugodzinnego, szarego świtu, podczas którego okolica leży nieodmiennie ścięta mrozem i śniegiem spowita, nie rozwesela śpiew ptasząt... Słońce tu na Księżycu wschodzi zawsze nad martwym światem i w bezdennej głuszy. Jedynie człowiek zakrzyknie, z dalekiej gwiazdy przybyły, — przebudzone dziecko zapłacze z cicha, albo pies zdziczały, skostniały od mrozu zaskomli w jamie, z której wygnał przed wieczorem jakiegoś księżycowego potworka...

I przez cały, nieskończenie długi dzień panuje cisza, chyba, że wiatr się zerwie, rozbudzi morze i zaświszcze po skałach, albo szeroki gardziel wulkanu ryknie, odpowiadając huczącym gromom...

*



Tak mi żywo stanęło dziś w myśli wszystko, com przeżył. Przerzucam pożółkłe karty pamiętnika, a gdy na chwilę przymknę oczy, to mi się zdaje, że słyszę turkot wozu, wiozącego nas przez okropne księżycowe pustynie, zdaje mi się, że widzę znów to niebo czarne i rozświetloną na niem Ziemię, te olbrzymie góry, wyglądające jak węgiel w cieniu, a mieniące się wszystkiemi barwami tęczy w blasku słońca, co bezpromienne, potworne — płynie wśród gwiazd różnokolorowych ku wyginającej się w coraz węższy sierp Ziemi. A potem przypominają mi się te pierwsze lata spędzone już tu, nad brzegiem morza. Przez zamknięte powieki widzę Martę smutną i bladą, Piotra i te dzieci rozkoszne, których dzisiaj także już niema. Ada tylko jeszcze została przy życiu, ale zdaje mi się, że nie pamięta już rodziców, choć z tego, co odemnie o nich słyszała, opowiada wiele z fantastycznemi dodatkami nowemu pokoleniu. Była jeszcze taka maleńka, gdy oni pomarli. Dzisiaj jest po mnie najstarsza na tym świecie, a te karzełki czczą ją prawie tak samo, jak mnie, z tą tylko różnicą, że mnie boją się ponadto, choć Bóg widzi, nie wiem dlaczego, bo nigdy nic złego im nie wyrządziłem.

To prawda, że nie umiem się z nimi obchodzić, jak z równymi sobie ludźmi. Czasem robią na mnie raczej wrażenie dziwnie zmyślnych zwierzątek. Już pierwsze tu urodzone pokolenie różniło się od nas, z Ziemi przybyłych. Tom i jego siostry, nawet gdy dorośli, wyglądali wobec mnie jak dzieci. Ich wzrost zarówno jak i siły zastosowały się już do warunków tutejszego świata: mniejszej jego masy i zmniejszonego ciężaru przedmiotów. Wobec tego zaś plemienia, co teraz żyje dokoła mnie, ja jestem prawdziwym olbrzymem. Wnuczęta Marty, ludzie już dojrzali (dziwnie tu prędko dojrzewają ci ludzie!), sięgają mi głowami zaledwie do pasa i gną się pod ciężarem przedmiotów, które ja jedną ręką z największą łatwością podrzucam. Mimo tak wątłego ciała są jednakże bardzo zdrowi i wytrzymali nadzwyczajnie na mróz i gorąco.

Długie noce przesypiają wprawdzie po większej części, ale gdy zajdzie potrzeba, umieją na najtęższym mrozie pracować z zapalczywością, która we mnie podziw wzbudza.

Duch w tych karzełkach dziwnie zmarniały. Co się to porobiło z temi okruszynami cywilizacyi, któreśmy ze sobą z Ziemi przywie-

źli! Poglądam naokół siebie i mam takie wrażenie, jakbym się dostał między jakieś istoty, w połowie zaledwie będące ludźmi... Umieją one czytać i pisać, umieją z rudy wytapiać metale, zakładać sidła i tkać odzienie, posługują się ogniem, znają nawet użyteczność różnych narzędzi mierniczych, rozmawiają ze mną dość czystą polszczyzną i rozumieją nieźle treść książek pisanych po francusku i angielsku, — ale pomiędzy sobą posługują się jakąś dziwną, ubogą gwarą, na którą składają się poprzekręcane słowa polskie, angielskie, malabarskie i portugalskie, a pod ciasnemi ich czaszkami myśli płyną leniwie i ociężale; zda się, że z największym wysiłkiem łączą je w słowa, pomagając sobie przytem ruchami rąk i twarzy, jak dzicy gdzieś w głębi Afryki lub na południowych krańcach amerykańskiego lądu.

I taki niezmierzony smutek mnie ogarnia, gdy patrzę na to trzecie pokolenie przybyłych tu z Ziemi ludzi! Smutek tem większy, że nie mogę się w przeświadczeniu własnej wyższości oprzeć uczuciu pogardy dla tych biednych niby-ludzi, a zarazem czuję, że jestem współwinnym w zbrodni, która się stała. Bo myśmy naprawdę sponiewierali zbrodniczo dostojność ludzkiej rasy, przeniósłszy ją tu we własnych osobach i pozwalając jej się mnożyć na tym, nie dla niej utoczonym globie... Natura jest nieubłagana zarówno wtedy, gdy w tryumfalnym pochodzie kroczy naprzód i spełniając swe od wieków umiłowane dzieło rozwoju, stwarza formy ciągle nowe a coraz to wyższe — jak i wtedy, gdy obrażona cofa się i odwołuje to, co stworzyła. Daremnie z nią walczyłem, chcąc w księżycowym pokoleniu utrzymać ducha na tej wysokości, do jakiej wzbił się na Ziemi. Jedyny a nieoczekiwany skutek mych usiłowań, to ta z bojaźnią połączona cześć, jaką dla mnie mają. Jestem dla nich nietylko olbrzymem, ale i tajemniczą istotą, która wie, czego oni nie wiedzą i rozumie, czego oni pojąć nie są zdolni...

A przytem Ada opowiada im ciągle, że na północy jest kraj, gdzie słońce nigdy nie zachodzi,a dalej jest okropna, bezbrzeżna i śmiertelna pustynia, a nad pustynią świeci olbrzymia złocista gwiazda i że ja z tej gwiazdy na Księżyc przybyłem. Czyż to nie dość, aby zamącić biedne mózgi tych karzełków? — Nie byli tam nigdy i nie widzieli



świecącej Ziemi, lecz Ada była ze mną w Kraju Biegunowym i opowiada im teraz cuda, a oni słuchają jej z zapartym oddechem i poglądają lękliwie ku mojej, wobec nich olbrzymiej, siwej postaci...

I tak jestem wśród nich samotny!

*

Jest noc. Nie umiem, niestety, jak ci księżycowi ludkowie, przespać trzystu godzin z rzędu, — więc siedzę i dumam.

Mieszkam sam w starym domu, który zbudowałem był niegdyś z Martą i Piotrem; we dnie kręcą się tutaj dokoła stawu karzełki i przyglądają mi się ciekawie, choć przecież znają mnie od dzieciństwa, ale nie wiem dlaczego — żaden z nich wejść się tutaj nie waży. Ada jedna przychodzi do mnie o pewnych stałych porach dnia, składa żywność, porządkuje co trzeba, a jeśli mnie w domu zastanie, zadaje parę zwyczajnych, utartych pytań, a potem spędza jeszcze, siedząc na progu, parę godzin w milczeniu — i odchodzi, zostawiając mnie znowu samego.

Zdaje mi się, że ona pojmuje te odwiedziny, jako pewien rodzaj obowiązku względem mnie i spełnia je jak gdyby obrządek czci, należnej »Staremu Człowiekowi«.

Obłąkana jest ta kobieta dziwnym obłędem. Na pozór zupełnie spokojna i przytomna, ma ideję manjacką, która nie wiem skąd się wzięła w jej umyśle... Zdaje jej się, że ja jestem nadprzyrodzoną istotą, władnącą tym księżycowym światem, a ona moją kapłanką i prorokinią tego ludku, który w nią wierzy niezachwianie.

Jakiś mit, jakaś nowa, fantastyczna religja powstała w jej biednej głowie, złożona ze zdań Pisma Świętego i opowiadań moich o Ziemi i naszem tu przybyciu. Głosi ją dzieciom Toma, które jej więcej wierzą, niż mnie.

Początkowo starałem się przez długi czas przeciwdziałać wszelkiemi sposobami rozszerzaniu się tego mitu, w którym tak niepoślednie miejsce zajmowała moja osoba, ale przekonałem się w końcu, że jestem pod tym względem zupełnie bezsilny. Tłumaczyłem Adzie długo, że przecież ja, — jak i rodzice jej, których musi jeszcze pamiętać, — jestem takim samym człowiekiem, jak ludzie na Księżycu, a jeśli jestem większy i silniejszy, to tylko dlatego, że się na innej,

większej planecie, na Ziemi urodziłem. Słuchała uważnie i w milczeniu, a gdym się wreszcie zniecierpliwił, szepnęła, spoglądając na mnie z chytrym uśmieszkiem:

— A jak ty, Stary Człowieku, zdołałeś dostać się tu ze Ziemi i przenieść moich rodziców, czegoby nikt inny nie potrafił? skąd ty wiesz wszystko, czego nikt inny nie wie? a przedewszystkiem, dlaczego ty nie umierasz, tak jak inni?

Zgromiłem ją i zakazałem jej raz na zawsze rozsiewania o mnie baśni, ale nie na wiele się to przydało. W kilka godzin usłyszałem tylko, jak mówiła do Jana, który jest teraz księżycowym patryarchą, a szedł właśnie do mnie w jakimś interesie:

— Stary Człowiek się gniewa, Stary Człowiek nie chce, aby wiedziano, że on jest... Starym Człowiekiem.

Jan się strapił ogromnie.

— To źle, to bardzo źle, — a ja właśnie chciałem prosić go, aby przeniósł pod mój dom kamień, którego ja wraz z synami nie mogę ruszyć z miejsca...

— Trzeba go przebłagać, — rzekła Ada, — przynieście tylko dużo ślimaków, sałaty i bursztynu, ja mu to oddam. A przedewszystkiem — tu położyła palec na ustach — nie mówcie nic przy nim! sza! bo on tego nie chce!

Wyszedłszy z za węgła, skąd wysłuchałem całej rozmowy, zgromiłem znowu Adę i udałem się ku domowi Jana, aby zrobić, czego sobie życzył. Na odchodnem słyszałem jeszcze, jak Ada szepnęła zafrasowanemu »patryarsze«:

— A widzisz! on słyszy i wie wszystko!...

Skąd się u tej kobiety wzięło to szaleństwo — nie wiem, ale to pewna, że jest treścią całej jej istoty i tajemnicą jej ogromnej powagi wśród księżycowego ludu. Gdy żyło jeszcze pierwsze pokolenie, Róża i Lili obawiały jej się, a nawet Tom, który wobec mnie nie zawsze był skłonny do uległości, drżał przed nią. Dzisiaj — dzieci jego nie ośmieliłyby się w niczem sprzeciwić jej rozkazowi.

Mnie oburza to bałamuctwo, które wprowadza w biedne mózgi wnucząt Marty, a przecież czuję dla niej równocześnie wielką litość... Zwłaszcza, że w tem spokojnem jej szaleństwie spostrzegam



chwile jasne, przebłyski świadomości, wśród których zdaje sobie snadź sprawę, że żyje w urojeniach i zapewne cierpi.

Pamiętam raz taki wypadek:

Było już po północy, kiedy Ada przyszła do mnie. Zadziwiły mnie jej odwiedziny o tak niezwykłej porze, zwłaszcza, że mróz tu nie żartuje i wychodzić z domu w nocy nie jest rzeczą przyjemną ani zwyczajną.

Zastała mnie pochylonego nad jakąś książką, a nie chcąc mi przerywać, usiadła cicho w kącie na ławie.

Widziałem, że ma ochotę rozmawiać ze mną, ale naumyślnie nie zwracałem na nią uwagi. Ada siedziała przez pewien czas w milczeniu, — aż wreszcie widząc, że na nią nie zważam, zbliżyła się się do mnie i lekko, leciuchno dotknęła dłonią mego ramienia:

— Panie...

Odwróciłem się szybko. Tak nie mówiła do mnie nigdy. Z ust jej słyszałem tylko zawsze: Stary Człowieku! I dziwna! słysząc teraz wyraz: Panie! doznałem niezwykłego uczucia: był w niem odcień radości, że ktoś do mnie po ludzku przemawia, a obok tego jakby oburzenie, że tak ktoś śmie przemawiać.

— Panie... — powtórzyła znowu Ada.

— Czego chcesz, dziecko? — zapytałem, jak mogłem najłagodniej. Musiałem to pytanie parę razy powtórzyć, nim mi wreszcie odpowiedziała.

— Chciałam się zapytać... chciałabym wiedzieć...

— Co?

— Panie! ja nic nie wiem! — zawołała nagle z takim tragizmem w głosie i z taką rozpaczą w utkwionych we mnie oczach, że gdym na nią spojrzał, zamarła mi na ustach złośliwa uwaga, iż wobec tego nie powinnaby tak wiele rozprawiać księżycowym ludziom.

A ona tymczasem ciągnęła dalej:

— Ja zgoła nic nie wiem... I chciałam cię prosić, abyś mi powiedział wreszcie, co to wszystko znaczy, kto ty jesteś właściwie i co my jesteśmy? Widzę, że jesteś samotny i stary, silny i wielki, ale zdaje mi się, że pamiętam jeszcze moich rodziców, którzy byli również inni niż my dzisiaj, podobni do ciebie...

Zamilkła, a po chwili powtórzyła znowu, patrząc mi w oczy
— Powiedz, kto ty jesteś i co my jesteśmy?

A we mnie stało się coś dziwnego. Zdawało mi się wprawdzie, że na to jej pytanie byłem już dał odpowiedź oddawna i niejednokrotnie, ale mimo to wezbrała we mnie żądza mówienia, mówienia po ludzku do tej kobiety, która wreszcie po ludzku się do mnie odezwała. Ogarnęło nie rozczulenie; czułem, jak serce mi mięknie a łzy się cisną do oczu; z piersi nie mogłem na razie wydobyć głosu.

Po chwili powtórzyłem tylko za nią jak echo:

— Kto ja jestem!...

Zdawało mi się, że ja sam właściwie nie wiem już tego dobrze...

A Ada mówiła znowu:

— Tak, kto ty jesteś, panie... Nazywamy cię wszyscy Starym Człowiekiem, ale ja dzisiaj myślałam... i właśnie przyszłam spytać się ciebie... powiedz mi prawdę, czy ty jesteś rzeczywiście Starym Człowiekiem?

To imię moje tutejsze, które sama rozpowszechniła niegdyś, wymawiała teraz z zabobonnym strachem, zatrzymując się na chwilę i zniżając głos za każdym razem.

— Chcę wiedzieć, — mówiła dalej, — czy ty rzeczywiście stamtąd, z tej Ziemi, którą widziałam, przyszedłeś tutaj i czy możesz wszystko zrobić, co zechcesz, i czy naprawdę nigdy nie umrzesz i czy my, gdybyś nas opuścił, powracając na Ziemię, będziemy rzeczywiście skazani na zgubę, tak jak myślimy?

Powiedziała to wszystko jednym tchem prawie i utkwiła we mnie błyszczące i niespokojne oczy.

A cóż ja miałem odpowiedzieć? Przed chwilą jeszcze chciałem się przed nią wywnętrzyć, powtórzyć raz jeszcze tak od serca wszystko, com już tyle razy opowiadał, o Ziemi, o naszem tu przybyciu, o pomarłych moich towarzyszach, ale gdym słów jej słuchał, powstała we mnie nagle ta świadomość, że to wszystko będzie daremne, bo ona chce, abym ja ją utwierdził w mniemaniu, że jestem Starym Człowiekiem, to znaczy według ich rozumienia jakąś nadprzyrodzoną istotą.

Smutek mnie znowu ogarnął i długo nie mogłem znaleść słów...



— Dlaczego się pytasz? — zagadnąłem wreszcie. — Wszakże mówiłem ci już nieraz.

— Tak... ale jabym chciała, żebyś mi powiedział — prawdę!

Przypomniało mi się, jak przed wielu, wielu laty podobnie odezwał się do mnie mały Tom, gdym mu pokazywał Ziemię i opowiadał, że stamtąd przybyłem. »Wuju, powiedz mi teraz prawdę!« — mówił...

— Powiedz mi, — nalegała dalej Ada, — powiedz, czy to prawda jest, żeś ty przybył z moimi rodzicami z owej gwiazdy ogromnej, którą ty nazywasz Ziemią?

Chwyciła mnie za rękę i patrzyła we mnie płonącemi oczyma. Nigdy jeszcze nie widziałem jej takiej.

— Powiedz mi! — wołała, — bo ja to powtarzam tym ludziom, a oni wierzą w ciebie!

Ostatnie słowa wymówiła z jakimś krzykiem serdecznym, który mnie wprost przestraszył. Nie przypuszczałem nigdy, że w tej skrytej, obłąkanej, starzejącej się już dziewczynie mogą się odbywać walki i może płonąć takie uczucie. »Oni wierzą w ciebie!« — w tem mieściła się w tej chwili cała dziwna tragedja jej życia. Ona stworzyła księżycowemu ludowi nową, bałwochwalczą i fantastyczną wiarę i teraz, gdy nagle zbudziła się w niej wątpliwość w to, co sama głosiła, przyszła do mnie, aby usłyszeć z ust mych potwierdzenie, bo — oni wierzą we mnie! W tym okrzyku brzmiało coś, jak gdyby skarga, że ci ludzie są tacy biedni i marni wobec mnie, a zarazem i prośba, aby im nie odbierać tej ich wiary.

Patrzyłem na nią długo i zdaje mi się, że miałem łzy w oczach.

— Ado, uwierzysz temu, co ci teraz powiem?

— Uwierzę, uwierzę!

Zawahałem się chwilę: możeby się zaprzeć swego ziemskiego pochodzenia? Gdyby myśleli, żem się na Księżycu urodził, jak oni, przestaliby mnie może uważać za wyższą istotę? Ale naraz wydało mi się taką niesłychaną potwornością zaprzeć się ziemi, że na myśl tę samą pot mi wystąpił na czoło. Bądź co bądź postanowiłem wytłumaczyć Adzie, że jestem wprawdzie człowiekiem starym, ale bynajmniej nie Starym Człowiekiem w ich rozumieniu i że powinni to

pojąć, choćby im bolesna była strata rozpowszechniającego się zabobonu.

— Istotnie przyszedłem tu ze Ziemi, — zacząłem, lecz Ada nie dała mi już dokończyć.

— Więc to prawda? — zawołała, — prawda?

Skinąłem głową w milczeniu. W tej chwili uczułem, że Ada chwyta mnie za nogi.

— Dziękuję ci, Stary Człowieku i proszę, przebacz mi, żem śmiała... Teraz już wiem, ty jesteś Starym Człowiekiem!

Spojrzałem na nią zdumiony. W oczach jej, przed chwilą jeszcze przytomnych i rozumnych, palił się znowu ten tajemniczy ogień, który ją pożera, ręce jej drżały, a na lica wystąpiły gorączkowe rumieńce.

— Dziękuję ci, Stary Człowieku, — powtarzała — pójdę i powiem ludowi...

Nim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawiły mię te niespodziewane słowa Ady, jej już przy mnie nie było. Wymknęła się tak prędko, że nie miałem czasu zatrzymać jej ani na nią zawołać.

Ada jest szalona, ale dziwno mi, że Tomowe potomstwo tak bezwarunkowo wierzy jej słowom, dziwno mi, że te wszystkie baśnie znalazły u nich grunt tak podatny...

Zastanawiam się nieraz, jak się to wszystko stało. Może i ja tu sam jestem winien po części: zbyt się odsuwałem od nowego księżycowego plemienia, a spostrzegłszy, że otacza legiendą moją osobę, uważałem to zrazu za dzieciństwo i nie starałem się stłumić jej w zarodku. Gdym wreszcie przerażony wystąpił do walki z nią, było już zapóźno.

Jeszcze za życia Toma zauważyłem, że poczynają wśród jego dzieci krążyć różne fantastyczne wieści o mnie. Z dosłyszanych przypadkiem zdań dowiedziałem się, że wiedzę moją i moją nadzwyczajną w stosunku do nich siłę uważają za objaw jakiś nadprzyrodzony. Uchodziłem w ich oczach za potężnego czarnoksiężnika co najmniej. Tom wprawdzie nie rozpowszechniał tego mniemania, ale, o ile wiem, nie przeczył mu także. Mnie początkowo to bawiło tylko.

Ale po śmierci Toma rzeczy przybrały znacznie gorszą postać.



Zdaje mi się, że dzisiaj jestem dla tego ludku już czemś daleko więcej, niż czarnoksiężnikiem. Sądzą, że wszystko wiem i mogę, a jeśli nie zawsze robię to, o co mnie proszą, to tylko dla tego, że nie chcę. Wszak proszono mnie, abym zażegnał południowe burze, mówiąc, że Adzie się to niestety nie udaje, choć działa w mojem imieniu! I ona posłała ich do mnie, bo — ja wszystko mogę!

Kiedyś znowu Jan pytał mi się w wielkiej tajemnicy, kiedy mam zamiar opuścić ich i odejść na Ziemię? — Ada przepowiada im, że to nastąpi niewątpliwie, a oni się boją mego odejścia!

To pewna, że z najwyższym a bolesnym smutkiem patrzę na to, co się w głowach tego pokolenia dzieje. Nie mogę nic na to poradzić, — może tylko nie chce mi się już walczyć z naiwną ciemnotą...? Wszystko mnie męczy, wszystko mnie przygnębia. Rad jestem, gdy mogę zapomnieć na chwilę o tem, gdzie jestem i co się dokoła mnie dzieje i — przymknąwszy oczy — na jawie śnić o Ziemi.

Tam są ludzie — prawdziwi — i takie lasy, takie ptaki, takie kwiaty pachnące na łąkach...

O! tam...

I tylko coraz mi pilniej odejść stąd na zawsze! O! gdybym to mógł tak, jak oni w to wierzą, powrócić na Ziemię! Obłąkany jestem tą myślą o Ziemi. Czemkolwiek się zajmę, ta myśl powraca ciągle i w nocy nie daje mi spokoju. Gdy zasnę, snują mi się przed oczyma różne fantastyczne obrazy, ale wszystkie są warjacjami jednego motywu: Ziemia! Ziemia! Ziemia!

Niegdyś, gdym tam jeszcze mieszkał, były to dla mnie różne lądy i różne kraje, narody i społeczeństwa, — teraz stopiło się to wszystko w jedną myśl, jedną miłość i tęsknotę. Nie umiem już rozróżnić z odległości lat i przestrzeni państw ani ludów odmiennego języka i wiary; nawet ludzkość cała zlewa się w mojej duszy w nierozdzielną jedność ze zwierzętami, roślinami i całą ziemską bryłą i tak to wszystko błyszczy i świeci w mojej myśli, jak tam z czarnego nieba nad pustyniami!

Ziemia! Ziemia! Ziemia!

*

Przypomniał mi się dzisiaj Tom z tych czasów szczęśliwych, kiedy, dzieckiem, był jeszcze moim nieodłącznym towarzyszem i przyjacielem. Myślałem o nim długo — i teraz, w cichą, mroźną noc księżycową snują mi się przed oczyma samotnika barwne obrazy z lat jego chłopięcych...

Bądź co bądź — jedyny to był człowiek z nowego pokolenia, którego naprawdę kochałem. I tak nadzwyczajnie obchodziło mnie wszystko, co jego dotyczyło.

Rozwijał się zadziwiająco szybko — widocznie pod wpływem warunków tutejszego świata. Gdy miał lat czternaście, był już dorosłym i dojrzałym mężczyzną. Obie starsze dziewczynki także już dorastały... Patrzyłem na nie, jak na rozkwitające kwiaty, nieświadome jeszcze swego uroku, ale już wonne i przeczuwające może instynktownie, że są powabne i że dopełnia się w nich jakaś tajemnica, wzrasta jakaś moc niepojęta, przez którą są cenne, pożądane i święte.

Zachowanie się ich względem Toma uległo znacznej zmianie. Dawniej — były to dwie służki, dwa drobne motylki, kręcące się wciąż koło jego jasnowłosej głowy, szukające tylko sposobności, aby mu się przypodobać lub przydać na co. On był świadomy swej ogromnej przewagi nad siostrami i uważał ją za rzecz całkiem naturalną. Lekceważył sobie nawet dziewczątka. Jeżeli czasem, w przystępie rzadkiej czułości pogłaskał którą z nich po bujnych i miękkich włosach, albo nawet pocałował, to czynił to zawsze z miną dobrotliwego władcy, który raczy wynagradzać przywiązanie swoich poddanych, ale dba także o to, aby ich nie zepsuć zbyt częstemi objawami swego monarszego zadowolenia. Ten stosunek Toma do sióstr sprawiał mi nawet przykrość od samego początku i niejednokrotnie robiłem chłopcu uwagi, widząc, że posługuje się siostrami bezwzględnie, a w zamian jedynie — pozwala się im kochać. Nie przeczuwałem, że na pewien czas przynajmniej zmieni się to całkowicie.

W czasie, o którym mówię, dziewczątka stały się powściągliwsze w objawach swej miłości dla przyrodniego brata, a nawet, jak mi się zdawało, poczęły go unikać. Niekiedy tylko, gdy on tego nie widział, rzucały za nim lękliwe, ukradkowe spojrzenia, rumieniąc się przytem za każdym razem, gdy się do nich zbliżał. W miarę, jak się



odsuwały od Toma, stawały się coraz czulsze i serdeczniejsze wzajem dla siebie.

Zmiana ta dokonała się prędko, a tak jakoś nieznacznie, że spostrzegłszy ją, nie umiałem sobie już zdać sprawy z tego, kiedy się to wszystko stało. To tylko wiedziałem, patrząc na tych troje... dzieci jeszcze, sądząc po ziemsku, że mam przed oczyma przewrót zupełny, dokonany przez przyrodę, która chce stwarzać, choćby później mścić się miała na narzędziach i dziełach swej wielkiej woli.

To już nie było rodzeństwo: to były dwie kobiety i mężczyzna.

Oni sami, rzecz prosta, nie rozumieli tego jeszcze. Tom usiłował po dawnemu postępować ze siostrami, ale z trudnością mu to przychodziło. W ich towarzystwie tracił pewność siebie i mieszał się. Widno było, że te ciche, wątłe dziewczęta miały teraz przewagę nad nim, przyszłym panem księżycowego świata. Teraz on, miast posługiwać się niemi, służył im raczej. Znosił im żywność, dbał o ich odzienie, wygody, rozrywki, zbierał dla nich barwne muszelki i kawałki bursztynu, które one potem wplatały we włosy, albo też woził je w piękny czas łódką po morzu. Wycieczkom tym ja zazwyczaj towarzyszyłem, gdyż — dziwna rzecz! — dziewczęta razem z Tomem wychowane i spędzające dotąd całe dnie z nim razem, nie chciały się teraz puszczać z nim sam na sam. Nieraz chciałem, jako silniejszy i doświadczeńszy, wiosłować za Toma, ale on nie pozwalał na to. Zauważyłem, że nie tyle mu idzie o oszczędzanie mnie, jak raczej o popisanie się przed siostrami siłą swą i zręcznością.

Odwieczna komedja rozgrywała się przed memi oczyma, ale rad na nią patrzyłem. Zdawało mi się, że mam troje ptasząt przed sobą i trzymam dłoń na ich bijących sercach, wiem jak te serca uderzają i rozumiem nawet to, czego one same jeszcze nie rozumieją. Bodaj czy nie jedyny to był od śmierci Marty okres w mojem życiu, kiedy czułem się niemal szczęśliwym... Jakiś powiew wiosenny i rzeźwy szedł na mnie od tych dzieci, w których dokonywała się wielka tajemnica życia i miłości.

I to już dzisiaj są dawne wspomnienia! Z rozczuleniem je przywołuję do pamięci, bo tak niewiele miałem dni na tym globie, którebym mógł z przyjemnością wspominać i bez bólu.

Tylko — znowu ta straszna ironja życia! Miłość Toma do Lili

i Róży — bo obiedwie kochał jednakowo, — ta miłość, której sam widok kładł mi jakąś błogą pozłotę na serce, sprowadziła na ten świat owo skarlałe pokolenie, którem się teraz powoli zaludnia okolica Ciepłych Stawów.

Ilekroć to mi na myśl przyjdzie, wstrząsam się, jak gdybym nagle w koszu róż znalazł obrzydliwe, kłębiące się robactwo.

Zresztą może jestem niesprawiedliwy dla tych karzełków. Oni są przedewszystkiem biedni, tacy biedni, że gdy na nich patrzę, to moja duma ludzka aż się wije z bólu...

Tom był od nich jeszcze o całe niebo wyższy. Pamiętam jego drobną a szlachetną postać... Energiczny był i rozumny; w oczach miał jeszcze to, czego mi tak trudno dopatrzeć się we wzroku jego dzieci: duszę.

Zanadto jest to wszystko dla mnie bolesne i aż mi trudno pisać o tem spokojnie.

Czemu się to wszystko tak stało? — Zabawne pytanie, na które nie może być odpowiedzi! — Dlatego, dlaczegośmy tu przybyli, dlaczego Tomasz umarł i pozostawił Martę między nami dwoma, dlaczegom ja wyrzekł się jej, choć bliższy byłem jej sercu, dlaczego ona umarła i dlaczego ja żyję — to znaczy z tej jakiejś fatalnej i nieubłaganej konieczności, co gwiazdy wznieca i gasi, a zarówno dba o wolę i szczęście człowieka, jak wiatr o ziarnko morskiego piasku, który niesie...

*

Odczytuję znowu to, co na tych kartkach ostatniej nocy zapisałem i pytam się mimowoli siebie, po co ja to i dla kogo piszę?

Niegdyś, notując wypadki z naszej podróży przez martwą pustynię i później, kiedym opisywał pierwsze lata naszego życia na Księżycu, myślałem, że zostawię ten pamiętnik księżycowym ludziom, aby przyszłe pokolenia wiedziały, jak dostaliśmy się tutaj i cośmy musieli przecierpieć i przewalczyć, nim się nam udało znaleść znośne warunki do życia. Ale dzisiaj... Przecież to jest śmieszne — ta myśl! Księżycowi ludzie, tacy jak są, nie będą tego nigdy czytali. I nawet nie chcę, aby czytali kiedykolwiek. Co im do tego? co im do moich przejść, uczuć, bólów? Czyżby je zdołali zrozumieć?



czyżby widzieli w tych kartach co więcej nad fantastyczną i trochę niejasną dla nich opowieść? A zresztą po co się mają dowiadywać, jeśliby to pojąć zdołali, że są zwyrodniałym szczątkiem wspaniałej rasy, która włada swym duchem nad daleką i piękną gwiazdą? Od dnia, w którymby to zrozumieli, musieliby tylko tęsknić, wstydzić się i boleć tak, jak ja, gdy patrzę na nich.

Niech więc tutejsza ludzkość zapomni z czasem, czem była niegdyś na innej planecie i niech nie miewa »metafizycznych tęsknót«.

Ja ten pamiętnik piszę dziś dla siebie. Gdybym mógł marzyć o wysłaniu go jakim cudownym sposobem na Ziemię, pisałbym go jak list do tych braci moich z ducha, którzy tam zostali, pozdrawiałbym i błogosławił na każdej karcie ziemskie łany szerokie, zboża, kwiaty i owoce, lasy i sady, ptaki i ludzie, wszystko, wszystko, co mi jest dzisiaj we wspomnieniach tak niewypowiedzianie drogie!

Ale ja wiem niestety, że się to nigdy nie stanie, że nie mogę nawet słowa jednego posłać na Ziemię, do której wzlatam tylko myślą i wzrokiem, gdy czasem, przemożony tęsknotą, wybiorę się w Kraj Biegunowy, aby zobaczyć świecącą nad pustyniami moją ojczyznę.

Piszę więc dla siebie. Gawędzę sam ze sobą, jak wszyscy starcy. A gdy mi się czasem na przelotną chwilę uda wywołać w sobie złudzenie, że piszę to wszystko dla ludzi, którzy na Ziemi zostali, to serce raźniej mi w piersiach bije i skronie mi płoną, bo mi się zdaje wtedy, że nawiązuję jakąś nić między sobą a tą setki tysięcy kilometrów oddaloną rodzinną moją planetą!

Radbym wtedy opisywał najdrobniejsze szczegóły z mojego tu życia, spowiadał się z myśli i skarżył z bólów i wyliczał rzadkie krótkotrwałe radości.,.

Tylko... tych radości — było tak nie wiele!

*

Pisałem tedy o jedynej wiośnie, jaką miałem na tym smutnym globie, patrząc na budzącą się miłość między Tomem a dziewczętami.

Powinienem był może zostać przy nich... Ale mnie się zdawało, że gdy odejdę od nich na jakiś czas, przykazawszy, aby za mojej nieobecności nic ważnego nie przedsiębrali, to przedłużę ową świe-

żość i wiosnę ową, a powrócę w czas lata, aby wiązać snop dojrzały.

Ja stary szaleniec! — nie mniejszym cudem byłoby zatrzymać spadający kamień przez odwrócenie się od niego! Życie poszło swym zwyczajnym torem!

Gdym przybył nad morze po kilku dniach księżycowych, spędzonych w Kraju Biegunowym, Tom powitał mnie z dziwną powagą i wprowadził do starego domu, który przedtem zamieszkiwaliśmy wspólnie.

— Tu jest twój dom, — rzekł, — taki, jakim go opuściłeś. Nie ruszyliśmy niczego. Ada tylko zamieszkiwała go podczas twej nieobecności i dwa stare psy twoje, które pozostawiłeś.

— A ty? — zapytałem, — a starsze dziewczęta? gdzieżeście wy przebywali? —

Tom obejrzał się. Poszedłem za jego wzrokiem i spostrzegłem dopiero teraz, że nieopodal wśród zarośli nad brzegiem wyższego ciepłego stawu wznosił się prawie już ukończony, nowy domek.

— Ja zbudowałem sobie nowy dom, — rzekł Tom.

— Po co? — zapytałem z mimowolnem zdziwieniem.

Tom wahał się przez chwilę, — wreszcie wskazał na zbliżające się ku nam właśnie starsze dziewczęta i rzekł, patrząc mi prosto w oczy:

— To są moje żony!

— Która? — zapytałem prawie bezwiednie. Zaległo milczenie. Tom zwiesił głowę, a dziewczęta poglądały ku nam trwożliwie.

— Która z nich? — powtórzyłem teraz już świadomie.

— Ja je obie kocham — odparł, — i obie są moje! — Mówiąc to, wziął dziewczęta za ręce i przywiódł je do mnie:

— Pobłogosław nas, Stary człowieku!...

Wówczas to po raz pierwszy przezwał mnie tem imieniem, które dzisiaj już do mnie przyrosło — na zawsze, jak się zdaje.

Odtąd życie nasze uległo pewnej zmianie, napozór nieznacznej, a przecież bardzo istotnej. W szczupłem naszem towarzystwie nastąpił rozłam. Tom z żonami tworzył osobną, zamkniętą w sobie rodzinę, której węzły zacieśniały się w miarę, jak potomstwo przychodziło na świat. Ja i Ada zostaliśmy na uboczu. Z każdym dniem



czułem, że jestem mniej na tym świecie potrzebny, z każdym dniem wzrastała we mnie tęsknota za moim światem tak odległym, a takim innym — a życie tymczasem szło koło mnie z niepowstrzymanym pędem.

Nie rad myślę o późniejszem pożyciu Toma ze siostrami. Nie był dla nich dobry, choć one kochały go niezmiennie do ostatniego tchu. Za wiele od nich wymagał i zbyt był despotyczny. Nawet ja utraciłem dawny wpływ na niego. Po części te przykre stosunki były powodem, że po raz drugi wyprawiłem się był do Kraju Biegunowego, wziąwszy Adę tym razem ze sobą.

A później, po powtórnym moim powrocie, to już zda się początek tego ostatniego aktu mej księżycowej tragedji, który trwa aż po dziś dzień jeszcze. Straszna śmierć Róży, obłąkanie Ady, później zgon Toma i Lili — i ta nieutulona moja tęsknota za Ziemią, i ta okropna samotność, wzmagająca się dla mnie z dniem każdym, chociaż z każdym dniem prawie ludniej tutaj na Księżycu.

Tom doczekał się z dwóch swych żon licznego potomstwa, sześciu synów i siedmiu córek, z których wszakże najmłodsza umarła w kilkanaście dni księżycowych po urodzeniu. Jeszcze za życia rodziców Jan, najstarszy syn Róży, mając lat mniej więcej piętnaście, ożenił się z córką Lili; później w miarę dorastania pobrali się wszyscy parami. Dzisiaj po śmierci Toma, dwadzieścia i sześcioro jego wnucząt i dwoje prawnucząt, po najstarszym synu Jana, od dwóch lat już żonatym. Razem czterdzieści dwoje ludzi, którzy zaludniają ten glob, osiedlając się coraz dalej ku zachodowi, wzdłuż wybrzeża morskiego. Razem z nimi posuwa się »cywilizacja«. Wznoszą się domki, kuźnie, zagrody dla psów...

Ja pozostałem w dawnym domku na Ciepłych Stawach i tutaj snadź do śmierci już pozostanę, która oby przyszła jak najprędzej. I tak jestem już wyjątkiem na tym dziwnym świecie, gdzie ludzie z Ziemi przeszczepieni tak wcześnie dojrzewają i umierają tak wcześnie...

## IV.

Zdaje mi się, że byłbym szczęśliwy, gdybym bodaj mógł dać znak jakiś ludziom na Ziemi, że tu żyję i myślę o nich. To jest tak nie wiele, a takbym pragnął móc to uczynić!

Przecież to jest straszne, gdy pomyślę, że tyle setek tysięcy kilometrów, taka przestrzeń międzyplanetarna, nigdy nie przebyta dzieli mnie od tej bryły z kamienia i gliny, na której się urodziłem!

O ileż szczęśliwsze są odemnie te karzełki, myślące tylko o tem, aby połów na morzu był obfity, aby sałata pięknie wyrosła i aby zdziczałe psy nie poszarpały jajonośnych jaszczurów w zagrodach...

*

Spędziłem dzisiaj kilka godzin na Wyspie Cmentarnej. Dawniej, przed laty, lubiłem tam przesiadywać i myśleć o przeszłości zastygłego dziś księżycowego globu; teraz bywam tam znowu często, ale siedząc na grobami pokrytym, zielonym pagórku nad morzem, myślę tylko o Marcie, Piotrze, o Tomie i o sobie, który może nareszcie, nareszcie! spocznę wkrótce obok nich. Dzisiaj, gdym tak tam siedział i patrzył na cichą płaszczyznę morza, zebrał mnie nagle taki bezbrzeżny żal, taki nieutulony smutek, że zacząłem płakać jak dziecko i ręce wyciągać do grobów i prosić je, aby się otwarły, przemówiły do mnie, albo wzięły mnie do swego towarzystwa.

Czuję, że dłużej żyć mi niepodobna. I co mnie właściwie



trzyma na tym świecie? Boleść, żal, tęsknota, najgorsze osamotnienie — wszystko to już przeżyłem — oddawna nie jestem już nikomu potrzebny: czas odejść.

Tak jest, czas odejść. Chcę tylko raz jeszcze zobaczyć Ziemię, popatrzyć na tę jasną kulę, zawieszoną w błękicie, na tarcze lądów krążące po niej zwolna i przesuwające się nad niemi białe plamy chmur, — chcę jeszcze raz wytężyć oko: może rozeznam ten kraj, w którym się urodziłem — a potem...

Gdym wiosłował z powrotem ku wybrzeżu, zamiar mój dojrzał. Pójdę w Kraj Biegunowy, aby przynajmniej patrzyć na Ziemię.

Z tem postanowieniem zbliżałem się ku domowi, układając sobie w myśli całą wyprawę i zastanawiając się nad przygotowaniami do niej, jakie wypadnie porobić.

Na progu letniego domku spotkałem Adę. Przyszła o zwykłej godzinie, a nie zastawszy mnie, czekała cierpliwie mego powrotu.

Serce miałem tak pełne nadziei ujrzenia znowu Ziemi, chociażby z daleka, że nie mogłem się powstrzymać, aby się nie podzielić z Adą swym zamiarem.

— Słuchaj! — zawołałem, gdy się ze mną witała, — wkrótce już od was odejdę!

Popatrzyła na mnie z tą tajemniczą, manjalną powagą, którą zawsze wobec mnie zachowuje i odrzekła po chwili:

— Wiem, że kiedy zechcesz, to odejdziesz, Stary Człowieku..., ale...

Nigdy może nie sprawił mi takiej przykrości, jak wówczas, ten dziwny sposób obchodzenia się ze mną tutejszych ludzi, do którego ostatecznie powinienem się już był przyzwyczaić. W pierwszej chwili ścisnęło mi się serce uczuciem niewypowiedzianego osamotnienia i bolesnej goryczy, a potem nagła złość mnie zebrała.

— Dość tych błazeństw! — krzyknąłem, uderzając nogą o próg domu, — odejdę, kiedy mi się będzie podobało i dokąd zechcę, ale nic w tem niema tajemniczego, ani nadzwyczajnego! Idź do Jana i powiedz mu, że chcę mieć jutro rano psy do wózka; wybieram się w Kraj Biegunowy.

Ada nie odrzekła ani słowa i odeszła, aby spełnić mój rozkaz.

W dwie godziny może zauważyłem niezwykły ruch przed domem. Jan i jego bracia i dzieci ich, słowem wszyscy, nie wyłączając kobiet, zgromadzili się i stali z odkrytemi głowami, poglądając w milczeniu i trwożliwie na drzwi. Z grupy wysunęła się Ada i stanęła na progu. Była w uroczystym stroju: miała jakieś wieńce na głowie; sznury ogromnych, krwawo-czerwonych bursztynów i niebieskawych pereł zwisały jej z szyi aż do pasa. W ręku trzymała laskę, zrobioną z pacierzowych kręgów psa, wygładzonych i nanizanych sztywno na długi drut miedziany.

— Stary Człowieku! chcemy mówić do ciebie!

Ogarnęła mnie złość niewypowiedziana. W pierwszej chwili chciałem pochwycić zawieszony na ścianie rzemienny harap i rozegnać tę hołotę, co z taką pompą przyszła tu do mnie, — ale później żal mi się ich zrobiło. Co oni winni...

Przemogłem się tedy i wyszedłem przed dom, postanawiając w duchu przemówić raz jeszcze do ich rozsądku.

Zmieszany gwar potakiwania, który powstał po wezwaniu Ady, ucichł natychmiast, gdym tylko stanął na progu. W ciszy słychać tylko było płacz najmłodszego wnuka Janowego i rozpaczliwy, stłumiony szept matki: Cicho, cicho, bo Stary Człowiek się rozgniewa...

Ogarnęło mnie uczucie bezbrzeżnej litości.

— Czego chcecie odemnie, — rzekłem, odsuwając na bok Adę.

Teraz Jan wystąpił naprzód. Patrzył mi przez chwilę w oczy wzrokiem nieporadnego i zalęknionego karzełka, a wreszcie, oglądnąwszy się poza siebie, jakby w widoku towarzyszy pragnął zaczerpnąć odwagi, przemówił:

— Chcemy cię prosić Stary Człowieku, żebyś od nas nie odchodził jeszcze.

— Tak, tak! nie odchodź jeszcze! — powtórzyło za nim trzydzieści kilka osób. Była w nich taka obawa i taka prośba, że uczułem znowu budzące się we mnie wzruszenie.

— I co wam na tem zależy? — odezwałem się, stawiając pytanie raczej własnym myślom, niż im.

Jan pomyślał przez chwilę, a potem zaczął zwolna, wiążąc



z widocznym trudem w zdania myśli swe rozpierzchłe i niejasne uczucia:

— Bylibyśmy sami... Przyszłaby długa noc i mróz, oh! zły mróz, który kąsa jak pies, a my bylibyśmy sami... Potem słońce by wzeszło, a ciebieby nie było, Stary Człowieku... Ada, — tu obejrzał się na stojącą obok »kapłankę«, — Ada mówiła nam, że ty się znasz ze słońcem i jeszcze z inną gwiazdą, większą od słońca, tajemniczą i czerniejącą czasem, a czasem jasną, którą ona widziała, będąc z tobą tam, na północy... Mówiła, że ty stamtąd przyszedłeś i mówisz do tej gwiazdy, gdy ją zobaczysz, w świętym języku, tym, którym my musimy rozmawiać z tobą... My się boimy, żebyś ty tam, na tę gwiazdę nie wrócił, bo — zostalibyśmy sami... Więc cię prosimy...

— Tak, tak! prosimy cię! zostań z nami! — wołały karlice i karły, kończąc zdanie Jana.

Przez jakiś czas stałem w milczeniu, nie wiedząc zgoła, co mam odpowiedzieć. Mężczyźni i kobiety zwarli się teraz ciasnym kręgiem dokoła mnie i wyciągali ręce i prosili trwogą nabrzmiałym głosem:

— Zostań z nami! zostań!...

Czułem że daremną rzeczą byłoby powtarzać im teraz to, co mówiłem tyle razy: iż ja jestem zwyczajnym człowiekiem, nie obdarzonym zgoła żadnemi tajemniczemi siłami i tak samo, jak oni wszyscy, śmierci podległym. Nie wiedziałem, co robić; w uszach brzmiał mi tylko nieustanny, do jakiejś przeciągłej litanji podobny głos: Zostań z nami!

Spojrzałem na Adę. Stała na uboczu w swym kapłańskim stroju, z ogromną powagą w całej postaci, ale zdawało mi się, że na jej ustach dostrzegam jakiś uśmiech — pół szyderczy, pół smętny...

— Po coś ich tu przywiodła? — zapytałem.

Uśmiechnęła się znowu i podniosła na mnie dotąd spuszczone ku ziemi oczy:

— Wszak słyszysz, Stary Człowieku, czego chcą od ciebie.

Dokoła brzmiało bez ustanku: Zostań z nami!...

Tego było mi już za wiele.

— Nie! nie zostanę! — krzyknąłem twardo. — Nie zostanę, bo...

I znowu nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Jakże im wytłumaczyć, że idę zobaczyć Ziemię, gwiazdę ogromną i jasną, za którą tęsknię, nie utwierdzając ich tem samem w mniemaniu, że jestem nadprzyrodzoną istotą...?

Dokoła mnie zrobiło się teraz cicho. Spojrzałem na nich i — ktoby dał temu wiarę! — zobaczyłem, że te karły płaczą na myśl, że ja ich opuszczę! Nie wołali już, nie prosili mnie, ale w ich załzawionych, we mnie utkwionych oczach przebijała się jakaś psia pokora i błaganie głośniejsze od krzyku.

Żal mi się ich zrobiło.

— Odejdę od was, — rzekłem już łagodniej, — ale nie teraz jeszcze... Możecie spać spokojnie!

Usłyszałem coś, jakby westchnienie ulgi z kilkudziesięciu piersi.

— A gdy kiedyś udam się się w podróż, — dodałem tknięty nagłą myślą, — w podróż tam ku północy, gdzie świeci gwiazda najpiękniejsza, o której słyszeliście odemnie i od Ady, wtedy wezmę i was ze sobą, abyście ją zobaczyli i mogli później opowiadać swym dzieciom i wnukom...

— Wielki jesteś, Stary Człowieku! — wielki i łaskawy! — odpowiedziały mi liczne i radosne głosy. — Nie odchodź tylko od nas na tę gwiazdę, o której mówisz! —

— Gdybym mógł odejść! — westchnąłem mimowoli, — ale, niestety, jestem tylko człowiekiem, takim, jak wy...

W grupie karłów powstał ruch i ożywienie. Poglądali po sobie i zdawało mi się, że na szerokich ustach dostrzegam coś podobnego do chytrego uśmiechu porozumienia, który mówił: Wiemy już, wiemy! Ada nam mówiła, że Stary Człowiek z jakiejś niewytłumaczonej przyczyny nie chce, żebyśmy wiedzieli, iż on jest... Starym Człowiekiem.

Ogarniało mnie znowu zniechęcenie; odwróciłem się i wszedłem do izby. Przed domem powstał gwar — widziałem przez okno, jak wszyscy kupili się około Ady, która coś rozprawiała żywo, zapewne o mnie i o mojej nadprzyrodzoności.



Obecnie jest już blizko zachodu słońca i księżycowy ludek rozszedł się już od dawna po domkach, poprzylepianych do kamiennych brzegów ciepłych stawów, ciągnących się długim szeregiem ku południowemu zachodowi. Za kilkanaście godzin poukładają się długiego snu i będą marzyć zapewne o przyobiecanej im przez Starego Człowieka podróży i o Ziemi, ogromnej, dziwnej i zmiennej gwieździe, którą znają tylko z opowiadania.

*

Za kilkanaście godzin będę ja jedyną czuwającą istotą na Księżycu.

Ale teraz ruch jeszcze wszędy panuje. Widzę przez okno, jak przed domem Jana krzątają się jego starsi synowie; nieopodal kobiety kończą w pośpiechu gromadzenie żywności przed mającą wkrótce zapaść nocą.

Nie wiem, czy dobrze robię, zatrzymując się jeszcze pośród tych ludzi... Zresztą, niema o czem myśleć: przyobiecałem im, że pozostanę jeszcze.

Ale, pociesz się, stare serce moje! — nie długo już pozostanę! Jeszcze kilka dni, kilkanaście najwyżej długich dni księżycowych, a wyruszę na północ, w Kraj Biegunowy, aby tam już życia dokonać, patrząc na Ziemię.

Ci, ludzie, wiem, pomni mej obietnicy, będą chcieli iść ze mną. Więc wezmę kilku z nich w tę drogę, niechaj zobaczą Ziemię i niech wracają potem do swych braci — bezemnie.

Zbyt wielka tęsknota mnie ciśnie. Żałuję nawet żem uległ i obiecał pozostać tu jeszcze, a jeśli się czasem czego obawiam, to tylko, aby mi sił nie zabrakło i życia odejść stąd w tę krainę, gdzie będę miał Ziemię przed oczyma!

Ale nie! siły moje wystarczą jeszcze, wystarczą! Dziwię się czasem sam niespożytości swego organizmu. Toż to kilka lat brakuje mi już tylko do setki, a zda się, że każdy dzień, miast wyczerpywać me siły i nadwątlać zdrowie, hartuje mnie tylko coraz więcej...

I znowu myślę mimowoli o owem śmiesznem a przestraszają-

cem podaniu, rozpowszechnionem wśród tutejszego ludu, że ja nigdy nie umrę...

Przestraszająca, okropna myśl! — bo niestety, tylko fizyczna natura człowieka może się przyzwyczaić do tego, co jest z nią sprzeczne, dusza przenigdy! Ból mój i tęsknota moja nie tylko że nie zmniejszają się z latami, ale owszem rosną wciąż bez ustanku, nadmiernie...

Odpędzam tę myśl od siebie, a z lubością natomiast i ukojeniem myślę o tem, że za kilkanaście dni księżycowych zobaczę Ziemię. Serce mi drży w piersi tak dziwnie i gorąco, jakgdybym był dwudziestoletnim młodzieniaszkiem i miał iść na schadzką z jakąś wymarzoną, a nadewszystko drogą Beatryczą, z którą dotąd w snach tylko poważałem się rozmawiać...

Ale — wiem — kochanka moja będzie zimna, niema i daleka i ja tylko będę ku niej wyciągał rozpaczliwe, stęsknione ręce i ja tylko będę jej wołał przez te nieprzebyte otchłanie niebieskie, ona — ani głos mój usłyszy, ani jedną mi myśl, jedno wspomnienie poświęci.

To jest rzecz dziwna i straszna zarazem, mieć przedmiot swej tęsknoty na niebie... Zdaje mi się, że do tej dalekiej, niewidocznej stąd gwiazdy mej rodzinnej przywiązany jestem długą nicią, zadzierzgniętą o serce, która może się rozciągać w nieskończoność, ale nie pęknie nigdy. I tak zawieszony u niedostępnego mi już świata, czuję, że ten grunt pod memi nogami jest mi obcy i obcy zawsze będzie...

Straszna jest miłość gwiazd. Bo Ziemia jest dla mnie w tej chwili już tylko gwiazdą, którą kocham nadewszystko. Jeśli są duchy, które ze wspanialszych i światlejszych światów, ze słońc może płomiennych spadają na ciemne planety, to cierpią zaiste, zachowawszy pamięć, najsroższe męczarnie, które i mnie znosić wypadło w udziale...

Ileż razy co dnia powtarzam sobie, że ów pogardzony i obżałowany przezemnie księżycowy ludek karłów, co się nieomal w prochu czołga przedemną, Starym Człowiekiem, jest jednak stokroć odemnie szczęśliwszy...

Teraz oto, skończywszy robotę, snują się te człowieczki dokoła



swych domków i uśmiechają się do siebie z pogodą i zadowoleniem. Jan, który naturalnem prawem starszeństwa jest tu ich władcą, zawezwie ich przed wieczorem, tak, jak to raz na zawsze przed laty nakazałem, celem wspólnego odczytania kilku ustępów z wyznaczonych przezemnie książek. Dawniej, jeszcze za życia Toma, gdy Jan był małym chłopcem, przewodniczyłem zazwyczaj sam tym wieczornym zgromadzeniom, objaśniałem im biblję lub inne księgi do czytania przeznaczone i opowiadałem długie powieści o Ziemi i ludziach —, ale teraz nie pokazuję się nawet na miejscu zgromadzeń tam, pod krzyżem, którego znaczenie oni zaledwie rozumieją. Po co mam do nich mówić, kiedy każde me słowo po swojemu na opak tłumaczą, do każdej prawdy dorabiają zaraz fantastyczne a naiwne legiendy?

Chociaż — powtarzam to znowu — co oni winni! Co winni, że wszystko, co słyszą, odnoszą do siebie, niezdolni wznieść się myślą ponad ten szmat lądu, który zamieszkują? Co winni, że słuchając ksiąg gienezyjskich, myślą o swym dziadu Piotrze, którego grób na Wyspie Cmentarnej znają i zwracają oczy na mnie z wyrazem bałwochwalczego lęku? To, że ludzie mogą zamieszkiwać inny świat, jakąś gwiazdę, podobną do tych, co błyszczą w nocy nad nimi, uważają za rzecz, w którą wierzyć wprawdzie trzeba, gdyż ja tak powiedziałem, ale której niepodobna sobie wyobrazić.

Zrobiłem wszystko, co tylko leżało w mej mocy, aby rozbudzić duszę u tych ludzi, a opuściłem ręce dopiero wtedy, gdy przekonałem się o bezwarunkowej próżności swych zabiegów —, nie powinienbym sobie zatem robić wyrzutów, a mimo to czuję na sobie ciążącą straszną odpowiedzialność za ten upadek plemienia ludzkiego, które mnie było zdane.

I znowu ironja życia: oni się uważają za szczęśliwych, a ja rozpaczam nad nimi i bezradną troską o nich powiększam swój ból i swą tęsknotę...

## V.

Znowu lata na Ziemi upłynęły od czasu, jak po raz ostatni do kart tych zaglądałem. Dziś otwieram pamiętnik, aby zapisać datę opuszczenia tej krainy nad morzem. Odchodzę wreszcie do Kraju Biegunowego — na zawsze już, jak się zdaje.

Od EXODU naszego dni księżycowych sześćset dziewięćdziesiąt i jeden.

*

Wszystko jest już gotowe; stary wóz nasz, zmniejszony do połowy i naprawiony, zaopatrzyłem w żywność i paliwo, które będą mi mogły wystarczyć na długi czas pobytu w Kraju Biegunowym, — na dłużej może, niż będę potrzebował... Bo stary przecież jestem...

Miałem dziś z rana wyruszyć, ale tymczasem zaszła okoliczność, która o jeden dzień księżycowy przynajmniej opóźni mój wyjazd.

Rzecz tak się miała: Od czasu wyprawy Toma na południe, ku równikowi, której omal że życiem nie przypłacił, zakazałem surowo takich przedsięwzięć, będąc z góry pewnym, że nie wiodą do celu a narażają niepotrzebnie podróżników. Dotąd słuchano świętego rozkazu, a ja pewien byłem, że i zawsze tak będzie, zwłaszcza wobec małej przedsiębiorczości tutejszego pokolenia, zwróconego całą istotą tylko ku praktycznym i codziennym sprawom życia.

A jednak omyliłem się. Snadź i tutaj przedostała się z Ziemi



i tli w piersiach tych karzełków utajona odrobina tego ognia, co tam pchnął ludzi do stworzenia postępu i odkrycia nowych lądów wśród oceanu. Od jakiegoś czasu już zauważyłem, że niektórzy z mężczyzn poglądają tęskliwym okiem ku południu, za dalekie morze. Pytali mi się kiedyś, co tam jest, za tem morzem. Odpowiedziałem im, że nie wiem, ale oni, jak mogłem z wyrazu twarzy sądzić, nie uwierzyli temu. Podejrzywali raczej, że nie chcę im powiedzieć...

Ostatnią noc spędziłem z Janem przy poblizkich źródłach naftowych, zajmując się przygotowaniem zapasów na podróż do Kraju Biegunowego. Gdy rankiem powróciłem nad morze, aby pożegnać się z księżycowym ludkiem i pobłosławić go, nim odejdę dokonać życia zdala od tych okolic, dowiedziałem się, że korzystając z mej nieobecności trzej mężczyźni, najsilniejsi i najodważniejsi z całego zaludnienia, puścili się, jak nam ich żony opowiadają, na południe. Zbudowali sanie, umieścili w nich drugi motor elektryczny i wziąwszy ze sobą oprócz zapasu żywności, dwa psy i futra, wyprawili się nocą, po zamarzniętem morzu, aby dotrzeć przed ranem do przeciwległego brzegu na południowej półkuli.

Szalone przedsięwzięcie! Pewien jestem, że nie powrócą nigdy; ale tymczasem ulec muszę prośbom Jana i Ady i czekać jeszcze dzień jeden, aby ich pobłogosławić, jeśliby wrócili... nim odejdę.

Pytałem się żony Kaspra, najstarszego z trzech awanturników, po co oni poszli na południe? Odpowiedziała, że chcieli zobaczyć, co tam jest. Nadto żadnych objaśnień dać mi nie mogła.

Szkoda tych ludzi, bo zginą niewątpliwie, a są dzielni, jak dali tego dowód.

*

Nadszedł już tedy dzień odjazdu! — Słońce wzeszło od paru godzin i lody już tają; wkrótce siędę do wozu i ruszę ku północy.

Bez żalu żegnam ten kraj, choć wiem, że odjeżdżam, aby nie wrócić tutaj już nigdy.

Oglądam się jeszcze za grobem Marty na dalekiej wyspie i tak mi dziwnie na sercu...

Wczoraj przed wieczorem kilka godzin spędziłem na tym grobie. Ciężko mi się z nim było rozstawać: to jedyna rzecz, którą kocham na tym świecie. Wziąłem z niego grudkę ziemi, — przycisnę ją do ust, gdy będę umierał w dalekim kraju.

Czas mi już w drogę... Księżycowy lud zbiera się, aby mnie pożegnać. Nie szemrają, nie opierają się, — wiedzą, że tak być musi. Ada, Jan i dwaj jego bracia mają mi jeszcze towarzyszyć do Kraju Biegunowego. Nie mogłem im tego odmówić...

Tamci trzej nie powrócili jeszcze i zapewne nigdy już nie wrócą. Lecz nie będę już dłużej czekał. Zresztą wszyscy tak są przygnębieni moim odjazdem, że o nich już nawet nie myślą. Jan tylko wspomniał dziś o wschodzie słońca ich imiona i dodał:

— Spotkało ich nieszczęście, bo wyruszyli, nie pytając Starego Człowieka o radę.

Odpowiedział mu nagły wybuch płaczu pośród kilku zgromadzonych dokoła niego.

— Odtąd nie będzie już kogo pytać! — mówili wśród łkań, cisnąc się ku mnie...

Zdaje się, że ci ludzie mnie kochają... Dziwne odkrycie — w tej ostatniej chwili...

Wszystko jedno! — czas mi w drogę!

*

*W drodze, na Równinie Jezior.*

Z ulgą oddycham w tej chwili, gdy pomyślę, że poza mną leży już moje księżycowe życie, a przedemną jeszcze krótki pobyt w Kraju Biegunowym, pierwszej ongi przystani naszej na Księżycu, a potem — śmierć w obliczu Ziemi, ukochanej, na niebiosach rozświetlonej ojczyzny mojej.

Powoli wszystko snem mi się już staje, — życie moje przeszłe i ci ludzie, pozostawieni tam nad morzem; wszystko to ginie mi w srebrnej jakiejś mgle sennej, przez którą prześwieca tylko w duchu moim płomienny krąg Ziemi...



Niecierpliwy już jestem i takbym ją rad jak najprędzej zobaczyć, że tęsknoty ukoić nie mogę... Noc jest, a sen się mych powiek nie ima. Próbuję skrócić pisaniem długie godziny.

Oto zatrzymaliśmy się na noc tu, gdzie Piotr znalazł był niegdyś pierwsze źródła naftowe. Ile to lat już upłynęło od tego czasu! — I znowu wracam myślą mimowoli do tego życia minionego, które leży już poza mną. Stają mi przed oczyma pomarli towarzysze moi, i Marta, i dzieci jej pierwsze, które także już nie żyją...

Ach! Precz te wspomnienia, rozstrajające mnie tylko teraz, gdy sił mi potrzeba, aby dotrzeć do kraju, gdzie zobaczę Ziemię!

Z tęsknotą rwałem się do tej podróży, a przecież przyznać muszę, że ciężkie mi były ostatnie chwile pożegnania... Takie to dziwne jest serce ludzkie i taka moc przyzwyczajenia. Snadź i do krat więziennych przyzwyczaić się można.

Ostatniego rana, zaledwo skończyłem pisać poprzednią notatkę spostrzegłem gromadzącą się przed moim domem całą ludność tego świata. Stawali w milczeniu, posępi i smutni i czekali. Przeliczyłem ich z okna: byli wszyscy z wyjątkiem owych trzech. Wóz stał w pogotowiu...

Wtedy obejrzałem się jeszcze raz na te kąty, w których z górą pięćdziesiąt lat przeżyłem, a nie chcąc, aby czczono może kiedyś bałwochwalczo ten dom, jako miejsce pobytu Starego Człowieka, podpaliłem go własnoręcznie wraz ze wszystkiem, co w nim jeszcze pozostało, a czegom niegdyś używał — i wyszedłem do zgromadzonego ludu. Jasny płomień buchnął za mną przez drzwi i okna.

To był mój stos pogrzebowy.

Przytłumiony krótki okrzyk wyrwał się z ust zgromadzonych, gdym stanął przed nimi. Poglądali na płonący dom i na mnie, ale nikt się nie ruszył, aby gasić ogień: czuli, że ja chciałem tak... Milczeli wszyscy.

— Jestem dzisiaj po raz ostatni wśród was, — zacząłem, aby coś powiedzieć, gdyż w tej ciszy, przerywanej tylko trzaskiem płomienia, ogarniało mnie przygnębienie i smutek.

— Odchodzę od was, — mówiłem dalej, — do kraju, kędy już

dawno odejść zamierzałem. Wątpię, abym kiedy powrócił tu jeszcze, ale wy, gdy zechcecie, będziecie mnie mogli tam odwiedzać, póki nie umrę...

Karły patrzyły ciągle w milczeniu na płonące belki dachu i na mnie; niektórzy, widziałem, mieli duże łzy w oczach.

Odetchnąłem głęboko, bo ciężar jakiś przywalał mi piersi.

— Wzrośliście wszyscy w moich oczach, — zacząłem znowu z trudem szukając słów, — byliście ze mną do tej chwili, a odtąd macie się rządzić sami. Pamiętajcie, że jesteście ludźmi, pamiętajcie...

Głos mi się złamał w piersi.

— Dawałem wam nieraz nauki — nie zapominajcie o nich! Zostawiam wam księgę, świętą księgę przywiezioną z Ziemi, gdzie jest mowa o stworzeniu świata, odkupieniu i przeznaczeniu człowieka; czytajcie ją często i żyjcie jak należy.

Urwałem znowu, czując, że mówię rzeczy banalne i bezużyteczne.

Wtedy jedna młoda kobieta wystąpiła z pośród zgromadzonych i odezwała się:

— Stary Człowieku, nim odejdziesz, powiedz, czy dobrze, jest, aby mąż bił żonę?

Te słowa były jak gdyby hasłem. W jednej chwili otoczył mnie rój kobiet i mężczyzn i poczęli pytać głosami żałośliwemi:

— Stary Człowieku, powiedz, czy dobrze jest, aby brat zaprzęgał młodszego do pracy diatego, że jest słabszy?

— Powiedz, czy dzieci mają prawo wyganiać rodziców z chaty, którą oni sami niegdyś zbudowali?

— Powiedz, czy słusznie jest, aby jeden z ludzi mówił: To są moje pola — i nie pozwalał innym zbierać z nich plonu?

— Czy słusznie, aby jeden drugiemu odbierał żonę?

— Aby psuł narzędzia?

— Aby się mścił za wyrządzoną krzywdę?

— Aby okłamywał dla własnej korzyści?

— Powiedz, czy to jest słusznie!

— Powiedz nim odejdziesz, bo i ty i księgi uczyliście, aby tego nie czynić, a tymczasem to się dzieje wśród nas codziennie!



Straszliwy ból ścisnął mnie za serce. Opuszczając ten ludek, widziałem już jasno, jakimi torami pójdzie dalszy jego rozwój. Dużo z ducha ludzkiego zginęło w drodze na Księżyc, ale zło człowiecze przyszło tu z nami ze Ziemi!

— To jest źle! — odrzekłem wreszcie. — Jeśli pod mojem okiem takie rzeczy się dzieją, cóż będzie dopiero, gdy odejdę?

— Więc czemu odchodzisz? — odpowiedziano mi...

Było to pytanie takie proste, a tak straszne zarazem. Czemu ja odchodzę?

Zwiesiłem głowę, jak winowajca, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

W głuszy słychać tylko było trzask płonącego domu i stłumiony, daleki poryk wulkanu.

Lud już się nie odzywał. Zrozumiał snadź to, co i ja czułem w owej chwili, że odjazd mój jest bezwzględną koniecznością losu, której się daremnie opierać.

— Może powrócę do was jeszcze kiedy. Żyjcie tymczasem w zgodzie i po ludzku, — bąknąłem, wiedząc, że kłamię im i sobie.

— Nie wrócisz! — odezwała się milcząca dotąd Ada. A potem, zwracając się twarzą do obecnych, dodała podniesionym głosem:

— Stary Człowiek was opuszcza!

Było coś strasznego w tym krzyku, który dreszczem przejął wszystkich zgromadzonych.

— Tak być musi! — rzekłem głucho.

W godzinę później znajdowałem się już we wozie, dążąc wraz z Adą i trzema jej bratankami ku północy...

*

Czwarty dzień księżycowy jesteśmy już w drodze. Słońce wszedłszy dziś zrana, nie poszło już słupem w górę, ale zatoczywszy się na nieboskłonie, czołga się niemal po nim, rumiane, wzniesione zaledwie parę stopni nad siną linję gór na południowym wschodzie. Znak to, że się zbliżamy do celu podróży. Na północy rośnie przedemną górskie pasmo; rozróżniam już gołem okiem najwyższe, wie-

czyście słońcem oświetlone szczyty i wąwóz wśród nich, stanowiący bramę biegunowej kotliny.

Tak mi serce bije...

Dzień dzisiejszy nie będzie miał końca, bo w chwili, kiedy słońce zajśćby powinno na tej półkuli, staniemy już na biegunie, w kraju wiecznego świtu, gdzie o każdej godzinie jest równocześnie wschód, zachód, południe i północ dla różnych południków, których węzeł ma się tam pod stopami.

I wtedy — zobaczę Ziemię!

*

*W Kraju Biegunowym.*

Po czterech księżycowych dobach podróży, właśnie w godzinie, kiedy słońce w okolicach Ciepłych Stawów miało zachodzić, nadeszła wielka chwila: przedarliśmy się przez wąwóz w paśmie gór, stanowiącem graniczny mur biegunowej kotliny.

Z tak ogromnem wzruszeniem wstępowałem w ten kraj, mając oczy utkwione w stronę nieba, gdzie mi się niebawem miała ukazać Ziemia, — a gdym ją nagle w szczelinie skał zobaczył, tak byłem do głębi przejęty tym widokiem, że nie zważałem zrazu na to, co czynią moi towarzysze. Dopiero po chwili, podniósłszy się z kolan (bo na kolanach ją witałem, tę ojczyznę moją daleką i z rękami wyciągniętemi tak, jak je dziecko wyciąga ku matce), spojrzałem na moją drużynę. Jan, syn jego najstarszy i dwaj jego bracia, którzy tu przyszli ze mną, stali dokoła mnie z odkrytemi głowami, skamieniali, z świętą grozą na twarzach, poglądając osłupiałym wzrokiem na półkrąg Ziemi. Ada stała na przodzie i miała ręce wyciągnięte ku Gwieździe Pustyni.

Sporo czasu upłynęło, nim wreszcie zwróciła się do swoich zadumanych towarzyszy:

— Stamtąd o n przybył, — rzekła przytłumionym głosem, jakby niechcąc, abym ja słyszał, — i tam powróci, gdy czas nadejdzie. Upadnijcie na twarz.

I oni na twarz upadli przed widokiem Ziemi, po której deptali ich ojcowie...



Powstawszy, nie śmieli się zbliżyć do mnie, a gdy ja wreszcie ochłonąwszy, zawołałem ich i począłem im jeszcze wzruszeniem przerywanym głosem tłumaczyć zjawisko, które mieli przed sobą, stali dokoła mych kolan zalęknieni, grozą przejęci, jakby nie pewni, czyli w najbliższej chwili nie uniosę się nad ich głowy i nie poszybuję bladem powietrzem hen, ku tej świetlistej gwieździe!

Ach! gdybym to mógł uczynić!...

I wtedy, gdym do nich mówił — nierozumiany — zajęła mnie nagle ta myśl, tak, że bezwiednie prawie zamilkłem, zapatrzony na Ziemię, czując tylko, że tym ludziom dokoła siebie nie mam nic zgoła do powiedzenia.

I oni milczeli dość długo, aż wreszcie, skupiwszy się nieco poza mną, zaczęli trącać się łokciami i szeptać:

— Patrz, patrz, o n przybył stamtąd! — mówił jeden do drugiego, wskazując snadź na Ziemię.

— Wtedy, gdy tu jeszcze nikogo nie było...

— Tak... On tu przywiódł dziada Piotra i jego żonę, Martę...

— A jednego, który był ojcem naszego praojca, pozostawił na pustyni, martwym. Tak Ada uczy.

— Tego w Piśmie niema. Tam jest tylko mowa o Adamie, to niby Piotr i o...

— Cicho, Pismo jest inne. Pismo także o n przyniósł stamtąd...

— Tak, — wszystko o n zrobił; dla pierwszych ludzi zrobił tu morze i słońce i stawy...

Odwróciłem się szybko, usłyszawszy te ostatnie słowa, i półgłosem prowadzona rozmowa ucichła natychmiast.

Chciałem ich strofować, ale w tejże chwili przyszło mi na myśl, że to jest próżny wysiłek. Powiedziałem im więc tylko, aby rozbili namiot, bo tutaj dłuższy czas pozostaniemy.

I płyną od tej chwili godziny, znaczone niewidzialnem słońcem na zaróżowionych szczytach gór — płyną, dla nich, zda się, powoli, dla mnie aż nazbyt prędko!

Tak mi jest drogi ten Kraj Biegunowy! że strachem i boleścią przejmuje mnie myśl o samej możliwości powrotu tam, na brzeg morza, do Ciepłych Sławów... Przebywając tutaj, mam to

wrażenie, że się znajduję już w ostatnim przedsionku, niemal na samym progu Księżycowego świata, że stąd już tylko krok jeden przez międzygwiezdną przestrzeń do Ziemi — i dalibóg, więcej mnie nęci ku sobie ta bezbrzeżna martwa pustynia, co się poczyna za temi tam górami przedemną, niż ów kraj żyzny, gdzie mieszkałem tak długo.

Nawet grób Marty na Wyspie Cmentarnej nie pociąga mnie teraz. Wszak tutaj więcej mam z niej dokoła siebie, niż tam... Tutaj ona do mnie należała, choć nie mówiliśmy o tem nigdy ze sobą; tu stała ona nad mojem łożem, gdym chorował, tutaj chodziła ze mną po zielonych puszystych łąkach, albo wdzierała się na różowe szczyty gór, — a tam... była żoną innego, tam patrzyłem jeno na ból jej i na poniżenie, sam poniżony i zbolały.

Dobrze mi jest tutaj, w Kraju Biegunowym, tak dobrze, jak tylko może być człowiekowi, który stracił wszystko, nawet Ziemię z pod nóg i zawieszony na srebrzystej, martwej gałce wśród błękitów, żyje tylko przeszłością i oddalą i myślą o tem, co jest niepowrotne...

Cicho, cicho, stare, niepoprawne, nieutulone serce moje! — Oto masz świetlisty krąg Ziemi przed sobą, oto masz te same łąki, po którychśmy razem z nią, tą cudzą i martwą, błądzili, — a zapewne i grób już niedaleko, — czegóż ci nadto potrzeba stare serce moje? — —

*

O bracia moi! tam, na tej jasnej kuli, która się świeci w tej chwili przed mojemi oczyma!

O bracia moi dalecy! o bracia moi nie znani, a nadewszystko drodzy!

O Ziemio! gwiazdo przejasna! radości mych oczu! światło płonące nad pustyniami!

Ziemio! raju rozkoszny! klejnocie najprawdziwszy,szmaragdzie jasny, w lazur mórz oprawny, o, kwiatów snopie! kadzielnico przewonna! harfo ptaszęcemi rozśpiewana głosy!

O Ziemio! Ziemio! ojczyzno moja! matko moja stracona!

Łkanie mi się wydziera ze starej, stęsknionej piers a łez już

nie mam, abym cię opłakiwał, gwiazdo świecąca nad pustyniami! świecie nad inne godzien miłości!

Oto wyciągam ręce do ciebie — najdalszy, najnieszczęśliwszy z twych synów, a jedyny, któremu ty się raczysz zjawiać teraz w tej złotej postaci — gwiazda wśród gwiazd na niebie!

Oto się modlę do ciebie, ja opuszczony i samotny, ja, któregoś ty dzieckiem znała, a który się teraz zestarzałem nie na twojem matczynem łonie:

Ziemio!

daruj, iżem odszedł od ciebie, szaleństwem żądzy poznania obłąkany, którąś ty sama we mnie wychowała, uwiedziony srebrną twarzą tego globu martwego, któryś ty przed wiekami wyrzuciła ze siebie, aby nocom twym świecił i kołysał twoje morza!

Proszę cię, syn twój marnotrawny, któremuś ty wszystko dobro dała, postać wyniosłą i myślącego ducha, kwiaty, aby oczy swe radował, i ptaki, aby się pieśnią poił, i braci, aby miał z kim ból i radość dzielić; syn marnotrawny i srodze ukarany, a nie mogący już wrócić, aby najlichszem być z dzieci na twem szerokiem łonie:

Ziemio!

nie zapominaj o mnie! świeć oczom moim, nim je bielmo gorąco pożądanej śmierci przysłoni!

Piję, wchłaniam światło twoje całą swą istotą! Upajam się światłem twojem do obłędu, do szału!

Światło twoje, od mórz lazurowych obfite, od śnieżnych szczytów i łanów zielonych, od drobnych, łyskliwych listków drzew, od kwietnych kielichów, od rosy, która tam błyszczy na łąkach, od strzech wieśniaczych i od strzelistych wież kościołów, od twarzy ludzkich, które w zamyśleniu poglądają ku niebu — setki tysięcy mil przebiegło, dążąc tu do mnie przez pustkę odwieczną, i jest mi teraz wszystkiem: i lazurem mórz twoich i łanów zielenią, błyskotliwością rosy i barwnością kwiatów i odblaskiem ducha ludzkiego, zwierciedlącego się w ku niebu zwróconych oczach!

O Ziemio! Ziemio moja!

O! kiedyż duch mój, z ciała wyzwolony, będzie mógł pójść po tych świetlnych strunach, między tobą a tym strasznym światem nawiązanych, a łona twego dopadłszy, wiatrem cichym całować to wszystko, co tak ukochał i za czem tęskni tak bezmiernie!

O Ziemio!

## VI

Dziwne mam przeczucie, że wkrótce już umrę. Ta myśl krąży koło mnie; pełne jej jest powietrze, pełne jej są krwawe promienie słońca, — niebo wydaje mi się podobnem do cichego, miękkiego całunu, a Ziemia świeci na niem, jak srebrna lampa w grobie. Nigdy jeszcze nie czułem tak żywo, jak teraz, że umrę wkrótce...

Bez bólu, bez żalu i niepokoju myślę o tem, ale — co dziwniejsza, — i bez radości, którąby powinno wzbudzić w mej piersi nadchodzące ostateczne wyzwolenie.

Zdaje mi się, że coś mi jeszcze pozostaje do zrobienia, — coś niezmiernie prostego a ogromnie ważnego, na co jednak wpaść nie mogę. I to mnie gnębi, to sprawia, że nie cieszę się śmiercią wybawicielką, która, wiem, blizko już krąży koło mnie.

We śnie słyszę wyraźnie, jak mnie wołają tam, ze Ziemi. A ja — także we śnie — odpowiadam im za każdym razem: pragnę iść do was, ale nie wiem drogi...

Czyż nie przez pustynię bezpowietrzną wiedzie droga na Ziemię?

*

Byłem niedawno na górze, skąd niegdyś patrzyliśmy z Piotrem na zaćmienie słońca a potem na jezioro, zalewające nagle całą kotlinę biegunową.

Wziąłem był Adę ze sobą na tę wycieczkę. Prosiła mnie o to sama. Widząc, że wychodzę często na okoliczne góry, aby popatrzeć na Ziemię lub pustynię, widną już stąd na kraju niebokręgu, nalegała, abym ją zabrał kiedy, bo i ona chce widzieć, na co ja patrzę i za czem tęsknię.

Idąc dziś ze mną, przybrała się w najświetniejsze kapłańskie szaty, a Janowi powiedziała, że idzie patrzyć na ojczyznę Starego Człowieka. W drodze śmieszyła mnie jej powaga; zdawało się, patrząc na nią, że wstępuje na tę górę dla spełnienia jakiejś wielkiej i świętej ofiary. Jestem pewien, że tak też myśleli ludzie, których zostawiłem w namiocie na dolinie. Poglądali za nią z czcią i jakby lękiem.

Wstępowaliśmy w milczeniu na górę. Śmiech, który mnie zbierał w dolinie, gdym patrzył na kapłańskie szaty Ady, odleciał teraz gdzieś daleko odemnie — zapomniałem nawet, że ta kobieta postępuje za mną. Patrzyłem na Ziemię, wznoszącą się zwolna nad horyzont w miarę, jak postępowałem wyżej, i na słońce, które tutaj już widoczne, stało jak kula czerwona po przeciwległej stronie widnokręgu. Pod nogami miałem kobierzec z rośliny jakiejś do wrzosu podobnej a zaróżowionej słońcem — nad głową blade, zastygłe niebo...

Dziwne przejmowało mnie wrażenie! Zdawało mi się, że wstępując na tę górę, oddalam się już na zawsze od księżycowych ludzi i od tego całego obmierzłego mi świata; zdawało mi się, że istotnie jestem jakimś tajemniczym Starym Człowiekiem, który spełnił już swe ciężkie dzieło i powraca teraz do ojczyzny, tam, między gwiazdy... A słońce pali się za mną czerwone i żegna mię na tym świecie, który trudem mi był tylko i boleścią, a Ziemia wznosi się przedemną ogromna, jasna, gotowa przyjąć mnie na swe światłe łono...

Jużem stał na szczycie góry, w otchłani nad wyraz czystego powietrza, gdy spojrzawszy na tarczę Ziemi, — dostrzegłem przesuwający się po niej jasny klin Europy. Widoczna była dokładnie, choć chmury jakieś, przesuwające się nad Francją i Anglją, zatarły z tej strony jej kontury... Ale szerokie polskie równiny na wschodzie błyszczały jak srebrne, wygładzone zwierciadło, oparte z jednej strony o ciemny pas morza bałtyckiego, z drugiej o łańcuch karpacki, lśniący teraz szczytami, jak sznur drogocennych pereł.



Takie mi było niespodziane a czarowne to zjawisko mojej ojczyzny na niebieskim błękicie, że stałem przez chwilę z zatrzymanym oddechem, cały w oko zamieniony, aż nagle, ryknąwszy płaczem jak dziecię, upadłem na twarz na szczycie księżycowej góry.

Gdym się po niejakiem czasie podniósł, uspokoiwszy się nieco, spostrzegłem ze zdziwieniem, że Ada klęczy u moich nóg, a duże łzy spływają jej po twarzy.

— Co tobie? — spytałem prawie mimowoli...

Ona, zamiast odpowiedzieć, objęła mnie tylko rękoma za kolana i wybuchnęła głośnym płaczem. Po chwili dopiero wśród łkań zdołałem rozeznać urywane słowa:

— Ty jesteś nieszczęśliwy, Stary Człowieku! — mówiła.

— I ty z tego powodu płaczesz?

Nie odrzekła już ani słowa i tylko stłumiwszy łkanie, wpatrywała się w złocistą tarczę Ziemi...

I znowu długi czas upłynął w milczeniu.

Wreszcie Ada podniosła głowę i spojrzała mi w twarz dziwnie przenikliwym wzrokiem.

— Tutaj na Księżycu jest wszystko smutne i nieszczęśliwe, nawet ty, — rzekła. — Po co ty tu przyszedłeś? po co... z tej gwiazdy...

Urwała, a po chwili odezwała się znowu.

— Tamci, moi rodzice, pomarli. A dlaczego ty nie umierasz?

— Nie wiem.

Powiedziałem prawdę; nie wiem istotnie, dlaczego ja nie umieram.

W owej chwili lęk mnie znowu zebrał, bo przyszła mi na myśl ta okropna księżycowa gadka, że ja nie umrę nigdy.

Ada tymczasem milczała przez jakiś czas, aż wreszcie odezwała się głębokim, stłumionym głosem, sobie samej odpowiadając:

— Bo ty jesteś Starym Człowiekiem. A mimo to jesteś nieszczęśliwy...

— Właśnie dla tego, — odparłem bezwiednie...

Schodząc po jakimś czasie z góry, doznałem jeszcze złudzenia, które mi łzy wycisnęło z oczu. Oto gdy nagle na skręcie zobaczyłem namiot Jana i towarzyszy, stojący na tem samem miejscu, gdzie niegdyś stał nasz, zdawało mi się przez krótką chwilę, że w tym namiocie oczekuje mnie Marta z maleńkim Tomem przy piersi i Piotr zadumany jak zwykle, ale jeszcze młody i nie tak złamany, jak później tam nad brzegiem morza...

To rozkoszne złudzenie mojej starczej myśli rozwiał brutalnie widok karłów, kręcących się dokoła namiotu.

Spostrzegłszy ich, zatrzymałem się z jakąś nagłą wewnętrzną odrazą. Ada zauważyła to.

— Ty nie chcesz iść do nich, Stary Człowieku? — zapytała.

Cóżem miał odpowiedzieć? — Obejrzałem się mimowoli na Ziemię; zeszedłem już był w dolinę: tylko rąbek jej widno było na widnokręgu.

Ada, schwyciwszy moje przelotne spojrzenie, zrobiła ruch przerażenia, a potem złożyła błagalnie ręce:

— Nie! nie! jeszcze nie teraz! Oni cię jeszcze potrzebują...

Bała się, abym nie wrócił tam, do ojczyzny mojej!

— Czy myślisz, że mogę powrócić na Ziemię? — rzekłem.

— Możesz wszystko, co zechcesz, — odparła, — ale... nie chciej!

Przyszedłszy do namiotu, znużony i rozstrojony, położyłem się spać, ale sen miałem bardzo niespokojny. Przedewszystkiem przez parę godzin nie pozwalały mi zasnąć szepty mych towarzyszy za płócienną ścianą, którzy otoczywszy Adę, wypytywali ją o mnie, com podczas wycieczki mówił, co robił?... Drażniły mnie strasznie te głosy, a gdym wreszcie zasnął, śniły mi się ubiegłe czasy, Marta, księżycowa pustynia i Ziemia! Ziemia...

Męczą mnie te sny...

*

Chciałbym już zostać sam. Towarzystwo tych ludzi, co przyszli tu ze mną, męczy mnie i nuży. Zdaje mi się, że stoją bezustannie między mną a Ziemią i cień jakiś rzucają mi na duszę.

A oni tymczasem ani myślą o odjeździe! Rozłożyli się obozem na równinie, urządzają się i robią zapasy, jak gdyby mieli wieki tutaj mieszkać. Czyżby może łudzili się, że zdołają z czasem i mnie nakłonić do powrotu?



Kto wie, czy niema w tem wszystkiem ręki Ady? Coraz więcej zadziwia mnie ta kobieta. Czasem nie wiem już doprawdy, czy mam rzeczywiście z obłąkaną do czynienia, tak mi się jej czyny i słowa w nowem przedstawiają świetle. Bo czyż to nie jest zastanawiające, że ta szalona jest właściwie najrozumniejsza ze wszystkich tutaj urodzonych ludzi?

A zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? Wszakże jestem człowiekiem z innego świata, człowiekiem odchodzącym już i tak nad wszelki wyraz, tak okropnie znużonym tem, co przeżyłem.

O! gdyby ci ludzie zechcieli dać mi nareszcie spokój i odejść i pozostawić mnie w samotności!

Ziemio moja, Ziemio! ty nie wiesz, jak mi ciężko żyć bez ciebie i jakbym pragnął już umrzeć! Bodaj jutro, dziś, zaraz...

*

Cóż ja za bluźnierstwo napisałem! Wczoraj jeszcze pragnąłem umrzeć, a dziś chcę żyć, muszę żyć jeszcze bodaj kilka dni księżycowych — potem niech się dzieje, co chce! Szum mam w głowie a jakąś pełnię niewysłowioną i rozkoszną w piersi. Tak jest, tak jest! muszę tego dopełnić, muszę!

Chwała Bogu, że wóz nasz stary mam ze sobą i poddostatkiem zapasów...

A przecież to takie proste! Dziwna, że wcześniej nie pomyślałem o tem!

O Ziemio! o bracia moi ukochani! nie jestem ja tak opuszczony i oderwany od was, jak sam do niedawna jeszcze sądziłem, — mam sposób przesłania wam wiadomości o sobie i — chociaż mi życiem przyjdzie zapłacić za to, — uczynię to, tak mi Boże dopomóż!

Umrę na pustyni, w pełnym blasku mojej gwiazdy i matki! — lecz przedtem...

*

Obym ją znalazł! O niej teraz tylko myślę, o niej marzę i dalibóg nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu pragnąłem tak spotkania ukochanej kobiety, jak dziś pragnę znaleść ją, tę armatę, zostawioną przed pięćdziesięciu laty przy grobie O'Tamora!

Gdy przyszło mi to po raz pierwszy na myśl, ogarnął mnie istny szał radości; zdawało mi się, że zstępuje na mnie jakieś objawienie cudowne, które mi wskazuje sposób porozumienia się z bracią moją, pozostałą na Ziemi!

Bo doprawdy, pięćdziesiąt ziemskich lat tu żyję, a dotąd ani razu nie pomyślałem o tem, że tam na *Sinus Aestuum*, wśród kamiennej pustyni przy grobie O'Tamora stoi armata wymierzona dokładnie w środek srebrnej tarczy ziemskiej i czeka tylko iskry, aby wyrzucić powierzony jej list w przestrzenie ku Ziemi...

Tak jest, ja pójdę na martwą pustynię szukać tej armaty, pójdę szukać trupa starca O'Tamora w skalistym grobie, który jej tam pilnuje przez lat pięćdziesiąt, patrząc na Ziemię pustemi oczodołami... Wiem, że nie wrócę z tej wyprawy; zbyt jestem już stary i zbyt znękany, a nadewszystko niemam dokąd wracać ani po co. Śmierć mną pogardziła, nie chciała przyjść po mnie tu nad morze, więc ja pójdę naprzeciw niej, w ten kraj okropny, gdzie zaprawdę musi być jej siedlisko.

I spocznę tam na wieki, obok O'Tamora i wystrzelonej armaty, na skałach, pod jasnym kręgiem ziemi u zenitu... Byle jak najprędzej!

Ale przedtem... Serce mi bije gwałtownie! Przedtem zwinę ten pamiętnik, tę księgę boleści, którą niegdyś chciałem pozostawić przyszłym księżycowym ludom, przycisnę do piersi, ucałuję i poślę w kuli, jak list w stalowej kopercie, do was, o bracia moi dalecy, ukochani bracia moi!

Marzę o tem z bijącemi tętnami w skroniach, jak tam na Ziemi znajdzie ktoś kulę stalową, — może po tygodniach dopiero, może po latach, po wiekach? — a otworzywszy wyjmie z niej zwitek papierów... Będziecie wtedy, o, bracia moi nieznani, czytali to, com pisał z nieustanną myślą o was i o wspólnej matce naszej, Ziemi, którą wy znacie w zieleni, w przepychu kwiecia i srebrzystościach zimowych poranków, a ja znam także jako światło niebieskie, przeczyste i spokojne, płonące od wieków nad krainą ciszy i śmierci!



O, bracia moi! wy nie wiecie, jak piękna jest matka wasza, gdy się patrzy na nią przez nieba otchłanie! I nie wiecie, jak ja tęsknię za nią i za wami i przeklinam to niebo, które między nami legło, choć mi takim blaskiem maluje ojczyznę moją!...

*

A więc tak było:

Słońce stanęło już po raz trzeci nad pustynią i po raz trzeci Ziemia zczerniała nowiem od chwili, jak przybyliśmy po długiej i uciążliwej podróży do Kraju Biegunowego, kiedy Jan, zaszedłszy mnie zamyślonego na wzgórzach, odezwał się znagła:

— Stary Człowieku, czas wracać!

Drgnąłem na te słowa, a tak byłem w myślach o Ziemi pogrążony, żem ich nie rozumiał zrazu i sądziłem, że on mnie wzywa do powrotu tam — skąd przyszedłem!

Ale on mówił tymczasem:

— Żony nas czekają i dzieci... Czas wracać nad morze do Ciepłych Stawów, do pól naszych i zagród, Stary Człowieku...

Mówił nieśmiało, jakby pytał raczej a nie żądał, lecz w głosie ego i twarzy wyczytałem mimo to niezłomne postanowienie.

I nagle zdjęła mnie ogromna żałość: ci ludzie przybyli tu ze mną i myślą teraz o powrocie, o rodzinach swych, o ojczyźnie, do której tęsknią i którą wnet zobaczą — a ja?... Mój dom, moja rodzina i ojczyzna tam — na niebie! ani mi do niej powrócić, ani żyć w niej kiedy, choć przecież pewnie stokroć gorsza tęsknota żre mnie za nią, niż tych ludzi za kawałkiem Księżyca nad brzegiem księżycowego morza! Zazdrość mnie ogarnęła.

— Wracajcie! — odparłem sucho.

— A ty? — zawołał Jan z najwyższym zdziwieniem i przerażeniem, cofając się o krok przed zamaszystym ruchem mej ręki, którą mu wskazałem drogę na południe, i poglądając ku mnie w górę.

— Ja zostanę tutaj. Wszakże wam mówiłem, biorąc was w drogę ze sobą, że odjeżdżam, aby nie powrócić już nigdy...

— Tak, szepnął Jan, — ale ja myślałem, — że z czasem przecież... Tu nie jest dobrze dla ludzi...

— Więc wracajcie. Ja zostanę.

Teraz nie odrzekł ani słowa. Pochylił tylko głowę, jakby ugodzony ciężarem w kark i odszedł szybko — do Ady! pomyślałem od razu, po radę!

Jakoż nie omyliłem się. Po chwili przyszła księżycowa kapłanka. Byłem przygotowany na jakąś śmieszną scenę z dodatkami tłumnych próśb, zaklęć, a nawet płaczu, w rodzaju tej, która się odegrała przed wyruszeniem w drogę, — jakież mnie tedy ogarnęło zdziwienie, gdy Ada przyszła sama i cicha i nie pytając o nic ani prosząc, rzekła tylko:

— Zostajesz tutaj, aby patrzeć na Ziemię, Stary Człowieku?

Skinąłem głową milcząco.

— Ale *tam* nie odejdziesz jeszcze? — to mówiąc wskazała ruchem głowy Ziemię i leżącą pod nią martwą księżycową pustynię.

Mimowoli spojrzałem w ową stronę i wtedy nagle zaświtała we mnie po raz pierwszy ta myśl, że mógłbym się udać tam, na pustynię, którą przed pięćdziesięciu laty przebywałem z towarzyszami, aby przynajmniej na krótki czas, nimbym umarł z wyczerpania, czuć się bliższym Ziemi, mieć ją wprost ponad głową. Dzisiaj myśl ta owładnęła mną już niepodzielnie, towarzyszy każdemu memu ruchowi i pozbyć się jej nie mogę, ale wówczas był to pierwszy przebłysk zaledwie, który na razie wnet stłumiłem, sądząc, że jest to rzecz niemożliwa — jak gdyby śmierć stała już u kresu możliwości i niepodobna było kupić tego, za co życiem trzeba zapłacić.

— Tam nie odejdziesz? — powtórzyła kapłanka.

Zawahałem się.

— Nie. Jeszcze nie.

— Więc... czy nie mógłbyś jeszcze powrócić z tymi biedakami nad morze? Oni tak pragną mieć cię wśród siebie.

— Nie, — odpowiedziałem ostro, widząc, że się już zaczynają prośby, — zostanę tutaj.

— Jak ci się podoba, Stary Człowieku. Oni będą bardzo smutni, ale... jak ci się podoba, tak zrobisz. Gdy wrócą sami, zapytają ich ci, co pozostali w domach: A gdzie jest Stary Człowiek,



na którego patrzyliśmy od dziecka? Oni zaś spuszczą tylko głowy i odpowiedzą: Opuścił nas.

»Ale jak ci się podoba. Ostatecznie wiedzą, że jesteś gościem wśród nich i że przyjdzie czas, kiedy się będą musieli rządzić sami.

— Ty im zostaniesz i będziesz nimi rządzić. Nawet Jan cię słucha i poważa.

— Nie, ja nie zostanę z nimi.

Spojrzałem na nią zdziwiony, a ona po krótkiej chwili wahania schyliła się do moich kolan:

— Mam prośbę do ciebie, Stary Człowieku...

— Mów.

— Nie odpędzaj mnie!

— Co?

— Nie odpędzaj mnie. Pozwól mnie zostać ze sobą.

— Ze mną tutaj: w Kraju Biegunowym?

— Tak jest. Z tobą w Kraju Biegunowym.

— Ależ dlaczego? cóż ty tu będziesz robić? Tam są twoi bliźni, nad morzem!

— Ja wiem, ty nie jesteś mój bliźni, bo ty jesteś z gwiazd dalekich; ja wiem, ale pozwól mi...

Zamyśliłem się nad tą dziwną prośbą.

— Dlaczego chcesz pozostać ze mną? — spytałem wreszcie po raz drugi, — tutaj nie jest dobrze ani wesoło...

Ada pochyliła głowę i głosem stłumionym, głębokim, ale mocnym odpowiedziała:

— Bo ja cię kocham, Stary Człowieku.

Milczałem, a ona po chwili ciągnęła dalej:

— Wiem, że to jest karygodna zuchwałość, gdy mówię do ciebie, że cię kocham, ale ja nie umiem nazwać inaczej tego, co czuję. Rodziców moich już nie pamiętam prawie. Przypominam sobie tylko, że byli nieszczęśliwi. Na ciebie patrzę od dziecka i widzę w tobie wielkość jakąś, jakieś światło, jakąś potęgę, coś, czego nie znam, ale wiem, że z gwiazd tu przyszło z tobą.

Umilkła, a gdym zdumiony wsłuchiwał się jeszcze w przebrzmiałe jej słowa, podjęła znowu:

— A przytem i ty byłeś nieszczęśliwy i taki samotny, samotny przez całe życie, jak ja. Nie wiem, po co przyszedłeś z tej gwiazdy jaśniejącej na Księżyc... Tak chciałeś... Wiem, że robisz wszystko, co zechcesz, wystarczasz sobie i mnie nie potrzebujesz, ale ja ci chcę służyć i być z tobą do ostatka. Nie odpędzaj mnie. Ty wielki, ty dobry i mądry!

To mówiąc schyliła się znowu do moich nóg i tak już pozostała, z czołem na moich kolanach.

— A gdy zechcesz już odejść, powrócić do swej jaśniejącej na niebie ojczyzny, — mówiła znowu po niejakim czasie, — to ja odprowadzę cię aż po kraniec tej wielkiej i martwej pustyni, pożegnam i będę patrzeć jeszcze długo, długo za tobą, Stary Człowieku, aż mi znikniesz z przed oczu, a wtedy wrócę do ludzi nad morskim brzegiem i powiem im tylko: On już odszedł... Potem umrę.

Tymczasem, gdy tak mówiła głosem, rozpływającym się w obcym dotąd u niej dla mnie szepcie marzenia, księżycowi ludkowie, podkradłszy się już blizko, nadsłuchiwali jej słów z zapartym oddechem. I nagle usłyszałem stłumiony głos Jana:

— Stary Człowiek odejdzie od nas... na Ziemię!

A potem płacz. Dziwny, przejmujący, półcichy płacz.

I szczególna! Zwykle drażnił mnie i gniewał płacz tych antropomorfów, a teraz, nie wiem, czy to wobec wzruszenia, jakie wywołały we mnie niespodziewane słowa Ady, czy wobec tej budzącej się myśli o ostatecznej podróży na pustynię pod świecącą się Ziemię: dość, że przejął mnie wielki smutek i litość.

Zwróciłem się ku nim, a Jan, ośmielony snadź moim wzrokiem, postąpił parę kroków i odezwał się, spoglądając mi w oczy:

— Stary Człowieku, czy to już nieodwołalne? Czy tam cię już oczekują? Czy zapowiedziałeś już swe przybycie? Musimyż pozostać sami?

W tej chwili — jakby mnie kto obuchem uderzył w głowę! Jeden błysk, jedna myśl:

Armata!

Tak jest! armata! przy grobie O'Tamora, tam, na pustyni!



Zakołowało mi wszystko przed oczyma; obiema rękami przycisnąłem serce, bojąc się, by mi snadź piersi nie rozsadziło.

Oczy utkwiłem w rąbku tarczy ziemskiej, widnym nad horyzontem, a przez myśl szły mi teraz jakieś szalone błyskawice: podróż, pustynia, armata, strzał, bracia moi ziemscy, ten pamiętnik... a potem szara mgła, roztapiająca w sobie wszystko: zrozumiałem, to śmierć!

Zapomniałem zupełnie, gdzie jestem, co się dokoła mnie dzieje. Oni w oniemieniu patrzyli na mnie, snadź z najwyższem zdziwieniem, ale ja ich nie widziałem. Jak przez sen doleciał mnie tylko głos Ady:

— Odejdźcie, Stary Człowiek mówi ze Ziemią. Wkrótce nas opuści.

Gdym oprzytomniał nieco z pierwszego, piorunującego wrażenia, jakie ta myśl na mnie wywarła, spostrzegłem, że jestem sam.

Zrozumiałem, że to jest objawienie, że muszę iść na pustynię, znaleść armatę, przesłać Ziemi ostatnią wieść i ostatnie pozdrowienie i — umrzeć na pustyni.

W jakiś czas opowiedziałem Adzie i Janowi o swem postanowieniu; przyjęli to z głowami posępnie spuszczonemi, ale bez słowa oporu, jak gdyby byli na to przygotowani.

O powrocie ich teraz nad morze niema już mowy. Chcą pozostać tutaj aż do chwili mego odjazdu.

Obecnie, gdy stanę twarzą ku Ziemi, mam słońce po prawej ręce; nim zatoczy pół kręgu i stanie po stronie lewej, niosąc dzień na pustynną półkulę, — wyruszę w drogę.

*

Skończyła się tedy moja księżycowa tragedja! Jestem tutaj, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem na Księżycu łąki, zieloność i życie; wówczas przybyłem tu odbywszy podróż przez śmiertelną pustynię — obecnie wybieram się, aby przebyć ją po raz drugi i ostatni.

Chmurno jest w sercu mojem, ale spokojnie. Patrzę na minione życie i zdaje mi się, że czas jest zrobić rachunek sumienia. Chciał-

bym, tak jak czynią na Ziemi ludzie na śmierć się gotujący, wyspowiadać się z grzechów, a dziwna rzecz! na usta cisną mi się nieszczęścia moje. Byłożby to oboje jednem i tem samem?

Więc Ty, Panie, który słyszysz snadź zarówno głos najlichszego robaka jak łoskot światów, w przestrzeni pędzących, który widzisz mnie tu na Księżycu tak, jak niegdyś widziałeś mnie na Ziemi, przyjm tę spowiedź, przez którą Ci wyznawam, żem był grzeszny i nieszczęśliwy!

Oto gdy byłem dzieckiem, ciasno mi było na Ziemi, którąś dla mnie zbudował i wylatywałem nieustanną, w skrzydła tęsknoty ubraną myślą do tych światów odległych, błyszczących na firmamencie, tak że pieszczot matki odbiegałem, aby marzyć o cudach, któreś Ty stworzył — nie dla mnie! — Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

Kiedym dorastał i pochłaniał te okruszyny wiedzy, któreś Ty ludziom zdobyć pozwolił, dusza wciąż we mnie krzyczała: mało! i śniła o zrywaniu siedmiorakich pieczęci i podnoszeniu zasłon, Twoją zasuniętych ręką. Grzeszny byłem i nieszczęśliwy.

A zaledwie stałem się mężem, opętała mnie żądza bujania w przestworach — jak gdybym, stojąc na Ziemi, nie był również w bezmiarach wszechświata i nie unosił się nad otchłaniami — i skorzystałem ze sposobności i z lekkiem sercem rzuciłem matkę-żywicielkę dla srebrnej, uwodzącej lunatyków twarzy Księżyca. Grzeszny byłem, Panie i jestem nieszczęśliwy...

Patrzyłem na śmierć towarzyszy i przyjaciół, łamiąc się w duchu, a gotów byłem walczyć z nimi o odrobinę powietrza, potrzebną dla utrzymania życia, albo o kobietę, która nie należała do żadnego z tych, co po nią ręce wyciągali... A kiedy byłem świadkiem jej nieszczęścia, którego sam biernym sprawcą się stałem, nie uczyniłem nic, aby ją z niego wybawić... Grzeszny byłem i nieszczęśliwy...

Zostałem sam na tym okropnym świecie, na który mnie własna wola zaniosła, a mając sobie powierzone młode pokolenie ludzkie, nie umiałem rozbudzić w niem ducha, ani zwrócić ócz jego ku niebu... Owszem, miasto miłości, pogardę miałem dla nieszczęsnych i zezwoliłem, aby mnie czcili, podczas gdy Tobie jednemu cześć się należy. . Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

A teraz łamany bólem, znużony tęsknotą, opuszczam tych powierzonych losem mej pieczy i przewodnictwu i idę po ostatnią smutną rozkosz, po śmierć w obliczu Ziemi!



Grzeszny jestem, Panie! i nieszczęśliwy!

Życie moje rozłamało się na dwie wielkie części z których jedna była pragnieniem rzeczy nieznanych, a druga tęsknotą za straconemi... A obie były smutne i nad wyraz bolesne...

A czegom pragnął, nie osiągnąłem, bo oto zaledwie o marny krok posunąłem się we wszechświecie, a nawet nie znam tajemnic miejsca, gdzie się znajduję. Nadarmo wszystko poświęciłem, nadarmo przebrnąłem przestrzenie błękitu, przebyłem pustynię straszniejszą, niż jakiekolwiek na Ziemi, daremnie lat kilkadziesiąt żyłem na tym srebrnym globie: zagadki są dokoła mnie dzisiaj tak, jak przed połową wieku...

A po czem tęsknię — wiem, że nigdy nazad nie osiągnę.

I to jest całe życie moje!

O! czas, czas! że się już zakończy! Z umiłowaniem i upragnieniem poglądam ku pustyni, na którą rychło strącę wóz, aby być samotnym — aż do śmierci.

Ci ostatni ludzie, których widzę, pozostaną tutaj... Wyjdą zapewne na górę i będą jeszcze długo poglądali za mną, za czarnym wozem, niknącym w zorzy słonecznej, a potem powrócą do swego ludu i powiedzą: Stary Człowiek już odszedł.

I z tego, z tych słów, wyrośnie tutaj kiedyś w przyszłości legienda, tak jak z naszego na ten świat przybycia! Grzeszny jestem...

Zbliża się chwila odjazdu...

## VII.

*Na Mare Frigoris.*

Jestem sam — i takim straszliwym lękiem przejmuje mnie ta bezbrzeżna samotność i głusza. Zdaje mi się, że już umarłem i płynę w tym wozie, jak w Charonowej łodzi ku jakimś nieznanym krainom...

A przecież znam to bezdroże i widziałem już te góry, rysujące się na horyzoncie dokoła. Jechałem już tędy, przed laty, przed długiemi laty! Ale wtenczas dążyliśmy ku życiu, a teraz...

Boże! daj mi tyle sił jeszcze tylko, abym zdołał dotrzeć tam, do grobu O'Tamora! O nic Cię już więcej nie proszę.

Obiecałem księżycowemu ludkowi, że jeśli sił mi starczy powrócić z pustyni, zamieszkam już pośród nich do końca życia, ale ja wiem, że nie powrócę z pustyni...

Chociaż może potrzebniejsza by teraz była obecność ma przy Ciepłych Stawach, niż kiedykolwiek.

Jeśli to jest prawdą...

Dziwną i straszną wieść usłyszałem w chwili odjazdu.

Słuchajcie mnie, ziemscy ludzie:

Już miałem siadać do wozu i żegnałem skupioną koło mnie gromadkę, gdy nagle u wejścia do kotliny spostrzegłem dwóch ludzi. W pierwszej chwili sądziłem, że to złudzenie, — ale wkrótce niepodobna już było wątpić: dwóch karłów zbliżało się szybko ku nam. Jan spostrzegł ich także i wydał okrzyk:



— Posyłają za nami! Tam się musiało stać coś złego!

Jakoż nie omyliło go przeczucie, — przybywali posłowie z nad morza z dziwną a straszną wieścią.

Wkrótce po moim odjeździe z krainy Ciepłych Stawów, śmiali awanturnicy, których miałem już za straconych, powrócili z wyprawy na południową półkulę. Ale powróciło ich dwóch tylko. Trzeci nie wróci nigdy. I ci dwaj takie przynieśli wieści, że coprędzej uradzono posłać za mną do Kraju Biegunowego i nakłaniać mnie do przyjazdu nad morze.

Dwaj wybrani posłowie ruszyli w górę za biegiem rzeki, a potem, kierując się słyszanemi niegdyś opowiadaniami Ady, dostali się na wyżynę ponad Równinę Jezior i stąd, przedzierając się wąwozami, trafili szczęśliwie i dość wcześnie do biegunowej kotliny.

Słuchałem niecierpliwie tego opowiadania, pragnąc dowiedzieć się wreszcie szczegółowo, co ich skłoniło do tak nadzwyczajnej podróży?

Wreszcie posłowie, nagabywani przezemnie i Adę, poczęli, przerywając sobie wzajemnie, opowiadać historję wyprawy owych awanturników.

Z chaotycznych wyrazów i zdań dowiedziałem się jeno tyle, że przy sprzyjającym i nader silnym wichrze na saniach opatrzonych żaglami przebyli w ciągu długiej nocy lotem strzały zamarznięte morze i dotarli o wschodzie słońca do przeciwległego brzegu na południowej półkuli. To było jasne, ale dalej trudno się było połapać w tem wszystkiem, co mówili... Zresztą było to takie nadzwyczajne...

Wśród gór na rozległych równinach mają tam mieszkać jakieś dziwne istoty, pół ludzkie, a pół zwierzęce, kryjące się przed mrozem w głębokich jamach, wykopanych dokoła rozwalających się w gruzy, od wieków snadź opuszczonych miast. Z temi to istotami, nad wyraz drapieżnemi, musieli podróżnicy staczać walki, z których postradawszy tylko jednego towarzysza, wyszli zwycięsko jedynie dzięki posiadaniu broni palnej. Z powrotem uciekali w najwyższym przestrachu, bo owe istoty goniły ich zawzięcie po lodach.

— To są złe potwory! — mówił opowiadający, trzęsąc się na samo ich wspomnienie, — małe ale bardzo złe! Musieli uciekać, bo

ich jest dużo, dużo! i są złe! Mają takie, o, długie ręce i dzióby zamiast ust... Kaspra pochwyciły na długi sznur i rozszarpały, a potem zawlokły trupa do głębokiej jamy, w której mieszkają. Tam kraj jest piękny, ale te potwory złe! Towarzysze biednego Kaspra opowiadali nam o tem. Te potwory ich goniły, ale oni mieli sanie z motorem i psy, więc zdołali uciec, choć z wielkim trudem. O! tam jest kraj dziwny! bardzo dziwny — za morzem, na południu. Tam stoją wielkie wieże, ale rozwalone; są jakieś ogromne maszyny czy fabryki, ale popsute, zarosłe. Te potwory pilnują tego i kłaniają się wieżom, zdaje się jednak, że nie wiedzą, co z tem robić. Mieszkają w jamach i są złe.

Daremnie wypytywałem, chcąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o owych istotach, żyjących za księżycowem morzem: nic nadto nie umieli mi powiedzieć. Usłyszałem tylko jeszcze historję powrotu podróżników z za morza, okropną, dreszczem przejmującą odyseję! Wiatr z powrotem im nie sprzyjał, więc też nie starczyło jednej nocy na przebycie morza. Lód już puszczał rankiem, gdy przerażeni dotarli szczęśliwie do jakiejś drobnej i pustej prawie wysepki, na której, chroniąc się w jamach przed straszliwym równikowym upałem, przesiedzieli cały dzień w oczekiwaniu nocy i mrozu, aby się puścić po lodzie dalej z powrotem. Drugiej nocy wicher odrzucił ich daleko na zachód, a na domiar złego zepsuł im się motor przy końcu podróży, tak że walcząc z niewysłowionemi trudami, musieli iść pieszo morskiem wybrzeżem, powierzywszy psom ciągnienie sań po piasku.

I oto dotarli wreszcie do krainy Ciepłych Stawów, ażeby się dowiedzieć, że Starego Człowieka już tam niema.

— Więc czego chcecie odemnie? — spytałem, wysłuchawszy tego zadziwiającego opowiadania.

— Broń nas, Stary Człowieku! broń — zakrzyknęli równocześnie obaj posłowie. Źle nam się dzieje bez ciebie i nieszczęścia na nas spadają! Te potwory drapieżne przebędą teraz niewątpliwie morze, kiedy się już dowiedziały o naszem istnieniu i będą walczyć z nami, gnębić nas, trapić! A ich jest więcej! znacznie więcej, niż nas!

Ze złożonemi rękoma rzucili mi się do kolan; czułem utkwione



w sobie pytające, niespokojne i błagalne spojrzenia Jana i jego braci, — Ada tylko była nieruchoma i na pozór obojętna.

A ja stałem, do głębi wstrząśnięty, wahający się jeszcze, niepewny co powiedzieć, co zrobić, uderzony nie tyle możliwością najazdu owych istot na ludzką kolonję księżycową, co samą wieścią, że tu żyją jakieś istoty i rozumne, jak się zdaje. — Była chwila, kiedym już myślał wyrzec się ostatniego szczęścia, umiłowanego zamiaru przesłania wieści o sobie wam, ziemscy bracia moi, aby pozostać wśród księżycowego pokolenia, poznać owe dziwne, potworne narody, mieszkające za morzem, o których istnieniu dowiedziałem się dopiero teraz, przypadkiem, po kilkudziesięcioletnim tu pobycie, a w razie potrzeby bronić przed niemi potomstwo moich pomarłych przyjaciół.

Ale krótko trwało to wahanie. Jakiś bezbrzeżny smutek mnie ogarnął. I co mnie obchodzą księżycowe narody, te z Ziemi przybyłe i tamte, szczątki jakiegoś dawnego księżycowego ludu, mieszkające jak krety w jamach dokoła rozwalonych miast, w których snadź niegdyś panowali dumnie ich przodkowie? Niechaj się żrą, niech walczą, niech się wygubią wzajemnie... Co mnie to obchodzi? Stary jestem i nie wiem, czy mi życia stanie, aby odbyć daleką, śmiertelną podróż na bezpowietrzną pustynię, — mamże je marnować teraz dla głupiej litości lub głupszej jeszcze ciekawości? — A kto mi zaręczy zresztą, że opowiadanie tych dwóch szaleńców jest prawdziwe? Może to nie miasta tam stoją, lecz skały spiętrzone? może owe rzekome narody księżycowe są tylko bezrozumnemi zwierzętami? Stary już jestem i nie mam czasu przekonać się o tem, bo pilno mi umrzeć tam, przy grobie O'Tamora, w pełnym blasku Ziemi.

— Nic wam już pomóc nie mogę, — szepnąłem wreszcie, — myślcie sami o sobie. Podróż mnie czeka nieodwołalna, a droga moja w innym kierunku wiedzie, niż wasza...

— Wiedziałem, że tak odpowiesz, — odezwała się Ada, podczas gdy ja stawiałem już nogę na stopniach wozu.

Ale Jan chwycił mnie jeszcze za kolana:

— Przyrzeknij nam tylko, — zawołał, — jeśli inaczej być już nie może, przyrzeknij nam, że powrócisz do nas z tej pustyni, do-

kąd zmierzasz! Będziemy cię oczekiwali i myśl o tobie będzie nas krzepiła w walkach, które stoczyć nam wypadnie!

Zawahałem się.

— Jeśli sił i życia stanie: powrócę!

Ada zwróciła się ku gromadce:

— Powróci, ale tam!

To mówiąc, wyciągnęła rękę ku rąbkowi Ziemi, błyszczącemu nad widnokręgiem.

Byłem już w wozie i rękę trzymałem na sterze, gdy doleciały mnie jeszcze ostatnie jej słowa:

— A tutaj przyjdzie znowu dopiero po wiekach, po wiekach.. gdy się dopełni...

*

*Na Mare Imbrium, pod Trzema Głowami...*

Straszliwą przebyłem drogę, dążąc ku wam, o bracia moi! — Kamienne przerażenie mnie chwyta, gdy pomyślę o tej samotności bezdennej i o przeprawach onych przez góry, rozpadliny, pustynie rozległe i martwe. Płynąłem przez morza ciemności sam i piekła ogniste mam jeszcze przed sobą, żary oślepiające i mrozy nielitościwe. I pustkę... pustkę...

Inną drogą się tutaj dostałem, niż ta, którą przebywaliśmy niegdyś — ale niemniej straszliwą — Obawiając się pamiętnej groźnej rozpadliny w *Poprzecznej Dolinie*, abym snadź w niej nie uwiązgł, okrążyłem z *Morza Mrozów* pieścień *Platona* od zachodu i tak się dostałem na tę wielką równinę, która mnie aż pod stopy *Eratosthenesa* powiedzie...

Po cóż mam opowiadać straszliwości dotychczasowej przeprawy? — gorsze mnie jeszcze pewno rzeczy czekają.

Byłem też na miejscu, gdzie ongi widzieliśmy Miasto Umarłych. — Ale pustynia tam gładka; nie dojrzałem nic, ani skały nawet, ni śladu...

Czy wtedy nas zmysły łudziły, czy pomyliłem się teraz w pomiarach i minąłem zdala to miejsce przeklęte?

A może karawana trupów zwinęła tymczasem kamienne namioty i poszła dalej na pustkę, na bezbrzeżną śmierci równinę...?



Lęk idzie za mną, idzie lęk przedemną — a ja z okropną ostatnią samotnością swoją...

Słońce wstaje rozluźnione, — błyszczą gwiazdy różnokolorowe na czarnem aksamitnem niebie — i strasznie... strasznie... I po co mam szukać Miasta Umarłych, — znajdę je rychło, dość rychło, — czyż to nie jest Kraj Śmierci dookoła mnie?

*

*Pod Eratosthenesem.*

Jeszcze ostatni, krótki wysiłek... Ostatnia góra, ostatni szczyt. Okrążę go od zachodu i południa i tak się dostanę na *Sinus Aestuum* — i stamtąd, z nad grobu kamiennego starca O'Tamora...

Dzikie, poszarpane turnie przedemną — i Ziemia, już prawie w zenicie — w pełni jak kwiat rozwinięta — i słońce tuż pod nią...

Starczy jeszcze żywności i starczy powietrza, — oby sił jeszcze starczyło —! Ubywa mi ich coraz więcej, gwałtownie, nagle... Wiem, że umrę tutaj... Sypiać już zdawna nie mogę, nawet w nocy, nawet w czas południowego żaru. Gdym zasnął po raz ostatni, kędyś w pośrodku *Morza Dżdżów* po słońca zachodzie, prześladowały mnie we śnie różne głosy i zwidzenia... Naprzód zdawało mi się, że słyszę za sobą wołanie pozostawionego ludu, który mnie błagał, abym powrócił i bronił go przed księżyczanami, którzy przebyli już równikowe morze i palą mu chaty i zabijają żony i dzieci... Zaledwie usnąłem, zbudzony tą marą, gdy znowu pokazały mi się postacie moich zmarłych przyjaciół i towarzyszy. Witali mnie pośród siebie i wzywali, abym do nich poszedł, cień między cienie — błądzić po pustce na wiekuistość... A wreszcie śniło mi się, że mnie wołano ze Ziemi — i to był jedyny głos, któremu odpowiedziała cała moja istota.

Zbudziłem się i idę za tym głosem, o bracia moi ziemscy — i wiem, że już nie zasnę, aż wtedy, gdy wolno mi będzie w śnie ostatecznym na zawsze przymknąć powieki.

To już nie długo — wszak prawda? — nie długo...

*

*Nad grobem O'Tamora w ostatnią godzinę.*

Niech Bogu będą dzięki Najwyższemu: znalazłem drogę i miejsce owo... przeklęte! gdzie po raz pierwszy dotknęła noga nasza księżycowego gruntu, i... błogosławione! skąd posłać mogę na Ziemię wieść o sobie.

Stoję nad trupem starca O'Tamora i dziwię się, widząc, że młodszy jest odemnie, żywego. Lata przeszły nad nim, nie dotknąwszy go, tak jak wiatr lekki przechodzi nad granitowemi skałami. Tu w tej pustce bezpowietrznej niema zepsucia: starzec O'Tamor wygląda tak, jak w chwili, gdyśmy go opuszczali, — patrzy nieustannie w błyszczącą Ziemię szeroko rozwartemi, martwemi oczyma. A ja, który młodzieńcem odszedłem od jego grobu, stoję teraz nad nim z siwą po pas brodą i resztką siwych włosów na wyłysiałej czaszce i z przerażeniem w gasnących oczach...

Za długo żyłem, starcze O'Tamorze! za długo żyłem!...

Działo znalazłem: gotowe jest i niezepsute; czeka na mnie od pięćdziesięciu lat z górą.... A oto piszę ostatnie wyrazy, nim zamknę te papiery w kuli, która je poniesie ku Ziemi.

Zapasy żywności już się wyczerpały, powietrza starczy mi zaledwie na dwie lub trzy godziny. Muszę się spieszyć...

Od EXODU naszego dni księżycowych siedmset i siedm.

O, Ziemio! — — O, Ziemio Utracona — — —

. . . . . .

*NA TEM URYWA SIĘ RĘKOPIS, ODNALEZIONY W KULI, SPADŁEJ Z KSIĘŻYCA.*

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 443038 Inwentarz Główny w Białymstoku

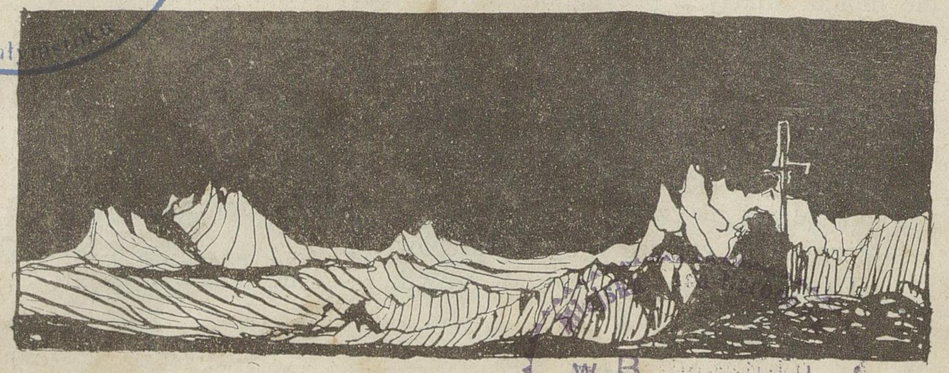

Pisałem w Krakowie w zimie 1901—2.

w Białymstoku Biblioteka Uczelnia Publ. 4335

443038

Mp 4

Książnica Podlaska
im. Ł. Górnickiego w Białymstoku

KP-BG-0444873